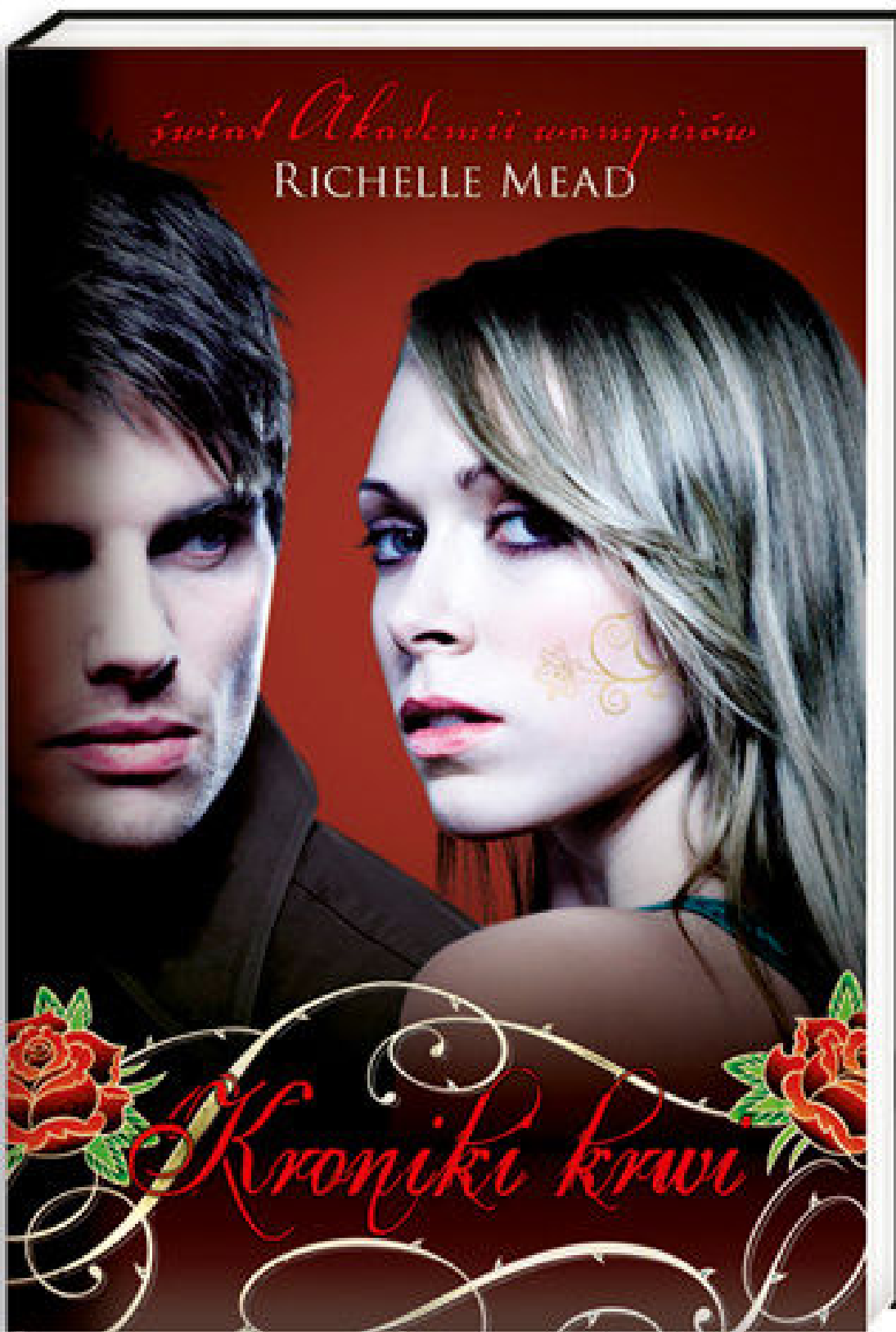


Świat Akademii wampirów
RICHELLE MEAD



MEAD RICHELLE

KRONIKI KRWI 01

KRONIKI KRWI

Uczono nas, że wszystkie wampiry, moroje i strzygi, są mroczne i złe. Kto chciałby pić cudzą krew? To obrzydliwe. Sama myśl o tym, że wkrótce będę karmić morojkę, przyprawiała mnie o mdłości.

Kiedy alchemiczka Sydney dowiaduje się, że ma strzec bezpieczeństwa księżniczki morojów Jill Dragomir, nie jest zachwycona. I nawet nie przypuszcza, że ich wspólną kryjówką okaże się... szkoła dla śmiertelników w Palm Springs w Kalifornii. Ale to dopiero początek ryzykownych przygód obu dziewczyn...



ROZDZIAŁ PIERWSZY

DUSIŁAM SIĘ.

Czyjaś ręka zakrywała mi usta, a druga szarpała za ramię, co wyrwało mnie z głębokiego snu. W ułamku sekundy przebiegło mi przez głowę tysiąc szalonych myśli. Zaczęło się. Właśnie ziszczał się najgorszy koszmar.

„Są tutaj! Przyszli po mnie!”.

Zamrugalam, usiłując rozpoznać w mroku napastnika. Oślupiałam, gdy po chwili zobaczyłam twarz ojca. Przestałam się miotać. Puścił mnie wtedy i obrzucił chłodnym spojrzeniem. Usiadłam na łóżku z łomoczącym sercem.

— Tato?

— Witaj, Sydney. Nie mogłem cię dobudzić. Naturalnie ani słowa przeprosin za to, że mnie śmiertelnie przeraził.

— Ubierz się i doprowadź do porządku — nakazał. — Jak najszybciej. Spotkamy się w gabinecie.

Wytrzeszczyłam oczy ze zdziwienia, lecz nie zwlekałam ani przez chwilę. Ojciec oczekiwał tylko jednej odpowiedzi.

— Tak, tato. Oczywiście.

— Obudzę twoją siostrę — oznajmił i skierował się do wyjścia.
Zerwałam się z łóżka.

-- Zoe?! — wykrzyknęłam. — Ale po co?

— Cśśś — syknął. — Nie hałasuj, matka śpi.

Ojciec zamknął za sobą drzwi. Znowu poczułam strach, choć już po chwili się odprężyłam. Dlaczego poszedł po Zoe? Nocna pobudka musiała się wiązać z przyjazdem alchemików, a siostra nie miała z nimi nic wspólnego. Właściwie ja też już nie powinnam mieć. Tego lata zostałam zawieszona w obowiązkach za złe zachowanie. A może właśnie dlatego do nas przyjechali? Postanowili odesłać mnie do ośrodka reedukacji i wyznaczyli Zoe na moje miejsce?

Poczułam nagły zawrót głowy i musiałam się przytrzymać łóżka. Ośrodki reedukacji budziły lęk wśród młodych alchemików. Były to miejsca owiane ponurą tajemnicą, do których przymusowo wysyłano takich jak ja — osoby, które niebezpiecznie zbliżyły się do wampirów i muszą sobie uświadomić popełnione błędy. Nie miałam pojęcia, jak przebiegał ten proces, ani ochoty się tego dowiadywać. Czułam, że „reedukacja” to łagodne określenie „prania mózgu”. Tylko raz spotkałam kogoś, kto powrócił z takiego ośrodka — był cieniem dawnego siebie. Zachowywał się jak zombie. Wolałam nie wiedzieć, co mu zrobili.

Odsunęłam od siebie te myśli, bo ojciec kazał mi się pospieszyć. Staralam się zachowywać jak najciszej. Mama ma lekki sen. Normalnie nie przejęłaby się, że wypełniamy polecenia alchemików, ale ostatnio nie była nastawiona przychylnie do pracodawców męża (oraz córki). Od miesiąca, kiedy to wściekli alchemicy odstawili mnie pod drzwi rodzinnego domu, czułam się tu jak w więzieniu. Rodzice bez przerwy się kłócili, a Zoe i ja starałyśmy się chodzić na palcach, żeby ich nie drażnić.

„Zoe. Dlaczego po nią poszedł?”.

Ubierałam się, obracając w myślach to pytanie. Rozumiałam, dlaczego ojciec kazał mi doprowadzić się do porządku. Nie mogłam się pokazać zwierzchnikom w dżinsach i podkoszulku. Wybrałam popielate spodnie i białą bluzkę, na którą narzuciłam grafitowy kardigan przewiązany czarnym paskiem. Moją jedyną biżuterię stanowił mały złoty krzyżyk, z którym nigdy się nie rozstawałam.

Więcej uwagi musiałam poświęcić fryzurze. Spałam ledwie dwie godziny, ale to wystarczyło, by włosy były potargane. Rozczesałam je, na ile się dało, i spryskałam obficie lakierem w nadziei, że przetrwają do końca wizyty. Nie malowałam się, przypudrowałam tylko lekko twarz. Nie miałam czasu na nic więcej.

Przygotowania zajęły mi sześć minut, czym zdaje się ustanowiłam niechcący nowy rekord. Bezszelestnie zbiegłam po schodach, starając się nie obudzić mamy. W salonie panował mrok, rozjaśniony tylko smugą światła sączącą się przez uchylone drzwi gabinetu ojca. Potraktowałam to jak zaproszenie, więc otworzyłam je szerzej i wśliznęłam się do środka. Na mój widok przyciszone głosy zamilkły. Ojciec zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów i okazał aprobatę w jedyny znany mu sposób: powstrzymując się od krytyki.

- Sydney - rzucił szorstko. - Sądzę, że znasz Donnę Stanton.

Alchemiczka stała przy oknie z rękami skrzyżowanymi na piersi. Była niezwykle smukła i miała ten nieustępliwy wyraz twarzy, który zapamiętałam. Niedawno spędziłyśmy ze sobą dużo czasu, ale nie mogłabym powiedzieć, byśmy się zaprzyjaźniły. Szczególnie że moje poczynania skazały nas na coś w rodzaju „aresztu domowego u wampirów”. Jeśli Stanton chowała do mnie urazę, nie okazała

tego. Skinęła uprzejmie głową na powitanie — prawdziwa profesjonalistka.

W pokoju znajdowało się jeszcze trzech innych alchemików. Zostali mi przedstawieni jako Barnes, Michaelson i Horowitz. Barnes i Michaelson byli w wieku mojego ojca oraz Stanton. Horowitz wyglądał na dwadzieścia parę lat. Zobaczyłam, że przygotowuje narzędzia do tatuowania. Wszyscy byliśmy podobnie ubrani. Zawsze staramy się wyglądać schludnie i nie zwracać na siebie uwagi. Alchemicy od stuleci odgrywają rolę „facetów w czerni”. Początki naszej misji sięgają czasów, gdy ludziom nawet się nie śniło

o istnieniu innych światów. Rozpoznać nas można po tatuażu w kształcie lilii, który pokazuje się w świetle. Noszę taki na policzku.

Byłam zdenerwowana. Czyżby zapowiadało się kolejne przesłuchanie? Znow będą dociekać, czy ich zdradziłam, pomagając renegatce i półkrwi wampirzycy? Skrzyżowałam ręce na piersi, starając się przybrać zdystansowaną

i pewną siebie postawę. Jeśli miałam jeszcze szansę oczyścić się z zarzutów, powinnam zrobić na nich jak najlepsze wrażenie.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, do gabinetu weszła Zoe. Zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się lękliwie. Gabinet ojca jest ogromny — zajmuje sporą, dobudowaną specjalnie część domu — więc wszyscy zmieściliśmy się bez trudu. Zerknęłam na siostrę. Pomieszczenie wyraźnie ją przytłaczało. Napotkałam wzrok Zoe i starałam się spojrzeniem podnieść ją na duchu. Chyba to zrozumiała, bo podeszła do mnie od razu. Nie wydawała się jednak spokojniejsza.

— Zoe... — zaczął ojciec.

Wymówiwszy jej imię, zrobił długą pauzę, dając do zrozumienia, że jest rozczarowany. W jednej chwili zrozumia-

łam dlaczego. Zoe włożyła dzinsy i sprany podkoszulek, a włosy związała w urocze, lecz niedbałe kucyki. Każdy uznałby, że wyglądała przyzwoicie, ale nie ojciec. Siostra próbowała się za mną ukryć, więc natychmiast wyprostowałam się, by ją zasłonić. Ojciec upewnił się, że jego krytyczny wzrok został zauważony, i przedstawił Zoe gościom. Stanton skinęła jej głową równie uprzejmie jak mnie, a potem zwróciła się do ojca.

- Nie rozumiem, Jared -- zaczęła. - Którą z nich chcesz posłać?

- W tym właśnie problem - odparł ojciec. - Poproszono o Zoe... ale nie wiem, czy jest gotowa. Właściwie jestem pewien, że nie. Przeszła zaledwie podstawowy trening. Jednak w świetle niedawnych... doświadczeń Sydney...

Mój umysł błyskawicznie poskładał wszystkie informacje. Po pierwsze - i najważniejsze - wyglądało na to, że nie zostaną odesłana do żadnego ośrodka reedukacyjnego. W każdym razie nie teraz. Tu chodziło o coś innego. Moje wcześniejsze podejrzenia okazały się słuszne. Alchemicy zamierzali przedsięwziąć nową misję i ktoś uznał, że powinna ją zrealizować Zoe, jedyna przedstawicielka naszej rodziny, która nie dopuściła się zdrady. Ojciec miał jednak rację - moja siostra odbyła jedynie podstawowe szkolenie. Funkcja alchemika przechodzi z pokolenia na pokolenie. W naszej rodzinie to ja miałam podjąć się służby. Wybrano mnie przed laty, po tym jak okazało się, że moja starsza siostra Carly zostanie pominięta. Studiowała teraz w college'u. Ojciec wyszkolił Zoe na wypadek, gdyby coś mi się stało, na przykład gdybym została napadnięta przez wampiry.

Zrobiłam krok naprzód, nie wiedząc nawet, co zamierzam powiedzieć. Wiedziałam tylko, że nie pozwolę wciągnąć siostry w intrygi alchemików. Perspektywa niebezpie-

czeństw, jakie czyhały na Zoe, była dla mnie gorsza niż wizja przebywania w ośrodku reedukacyjnym.

- Zeznawałam już przed komisją - oświadczyłam. — Odniosłam wrażenie, że jej przedstawiciele zrozumieli powody mojego postępowania. Posiadam odpowiednie kwalifikacje i doświadczenie, by wam służyć. Bez wątpienia przydam się bardziej niż moja siostra.

- O ile mnie pamięć nie myli, zebrałaś nawet trochę za dużo tych doświadczeń — zauważyła cynicznie Stanton.

- A ja chętnie poznałbym te „powody”. - Barnes zaznaczył w powietrzu palcami cudzysłów. - Nie zachwyca mnie perspektywa posyłania dziewczyny po niepełnym szkoleniu w świat, lecz zarazem trudno mi uwierzyć, że ktoś, kto pomagał wampirowi i przestępcy, posiada „odpowiednie kwalifikacje”. — Zrobił kolejny cudzysłów.

Uśmiechnęłam się grzecznie, próbując zamaskować złość. Czułam, że nic bym nie wskórała, okazując negatywne emocje.

- Rozumiem, sir. Ale Rose Hathaway została ostatecznie oczyszczona z zarzutów. Nie pomagałam przestępcy. Przeciwnie, przyczyniłam się do ujęcia prawdziwej morderczyni.

- Nawet jeśli tak było, to początkowo nie wiedzieliśmy, ty również, że jest niewinna — upierał się Barnes.

- Fakt - przyznałam. — Ale jej uwierzyłam.

- W tym rzecz! - prychnął Barnes. - Powinnaś była wierzyć alchemikom, a nie rzucać się jej na pomoc na podstawie niepotwierdzonych przesłanek. Mogłaś potem przynajmniej przedstawić zebrane dowody zwierzchnikom.

Dowody? Jak miałam mu to wytłumaczyć? Nie myślałam o dowodach, gdy zdecydowałam się pomóc Rose. To intuicja kazała mi jej uwierzyć. Nie, oni by tego nie zrozumieli. Uczono nas nieufności wobec jej gatunku. Nie po-

mogłabym sobie, wyznając, że wyczytałam szczerą w jej oczach. Dodatkowo pogorszyłabym sytuację, przyznając, iż zostałam zmuszona do udzielenia pomocy Rose szantażem. Pozostał mi tylko jeden argument, który alchemicy mogli uznać za wiarygodny.

— Ja... nie powiedziałam o tej sprawie nikomu, ponieważ chciałam zaskarbić sobie wasze uznanie. Miałam nadzieję, że odkrywając prawdę, zasłużę na awans i lepszą pracę.

Sięgnęłam szczytów samokontroli, łącząc tak w żywe oczy. Czułam się upokorzona tym oświadczeniem. Jakbym kiedykolwiek wykazała się przerostem ambicji! To by było śliskie i płytkie. Z drugiej strony właśnie taką postawę alchemicy mogli zaakceptować.

Michaelson parsknął głośno.

— Niewłaściwe, choć w sumie zrozumiałe w jej wieku.

Pozostali mężczyźni też patrzyli na mnie protekcjonalnie, nawet ojciec. Tylko mina Stanton wyrażała wątpliwości, ona dostrzegała więcej niż inni.

Ojciec popatrzył na przybyłych, oczekując komentarzy. Nikt się nie odezwał, więc wzruszył ramionami.

— Skoro nie słyszę sprzeciwu, wolałbym posłać Sydney. Co nie znaczy, że wiem, na czym ma polegać jej zadanie. - W głosie zabrzmiał oskarżycielski ton. Był zły, że jeszcze go nie wtajemniczono w szczegóły. Jared Sage nie lubił być pomijany.

— Nie widzę problemu, by posłać starszą dziewczynę — zgodził się Barnes. — Ale trzymaj młodszą w pogotowiu do przyjazdu pozostałych na wypadek, gdyby któryś z nich się sprzeciwił.

Zastanawiałam się, ilu ich tu jeszcze zjedzie. Gabinet ojca nie był stadionem. Tak liczna delegacja wskazywała na niezwykłą powagę sytuacji. Oblałam się zimnym potem na myśl o tym, co mnie czeka. Widywałam alchemików

rozwiązujących najtrudniejsze problemy w pojedynkę lub we dwójkę. To musiała być wielka sprawa.

W tej chwili po raz pierwszy odezwał się Horowitz.

— Co mam robić?

-Nałóż Sydney drugą warstwę tatuażu - nakazała Stanton. — Nie zaszkodzi wzmocnić zaklęcie, nawet gdyby miała nigdzie nie pojechać. Nie ma sensu tatuować Zoe, dopóki nie będziemy wiedzieli, co z nią począć.

Spojrzałam na blade policzki siostry. Tak. Pozostanie wolna tak długo, dopóki nie zrobią jej tatuażu. Potem nie będzie już miała odwrotu. Stanie się własnością alchemików.

Ta prawda dotarła do mnie dopiero przed rokiem. Nie byłam jej świadoma, kiedy dorastałam. Od najmłodszych lat ojciec wpajał mi poczucie obowiązku i konieczność pełnienia służby. Nadal wierzyłam w słusność naszego postępowania, choć żałowałam, że nie uprzedził mnie, jak wiele będę musiała poświęcić.

Horowitz rozstawił stolik w drugim końcu gabinetu. Klepnął dłonią w blat, uśmiechając się do mnie przyjaźnie.

- Podejź tu - polecił. - Odbierzesz swój bilet. Barnes obrzucił Horowitza wzrokiem pełnym dezaprobaty.

— No wiesz? Mógłbyś okazać trochę szacunku dla rytuału, Dawidzie.

Ten lekko wzruszył ramionami. Pomógł mi się położyć i choć nazbyt obawiałam się tych ludzi, by otwarcie odwzajemnić jego uśmiech, miałam nadzieję, że wyczytał wdzięczność z moich oczu. Chyba tak. Odwróciłam głowę i przyglądałam się, jak Barnes z namaszczeniem kładzie czarną walizkę na podręcznym stoliku. Pozostali alchemicy zebrali się wokół i wyciągnęli przed siebie połączone ręce. Zorientowałam się, że to on pełni funkcję kapłana.

Większość działań alchemików miała podstawy naukowe, ale w niektórych kwestiach uciekano się do bożej pomocy. Ostatecznie nasza nadrzędna misja chronienia ludzkości wypływała z przekonania, iż wampiry są zwyrodniałymi stworami nieuwzględnionymi w planie Najwyższego. To dlatego nasi kapłani ściśle współpracują z naukowcami.

— O, Panie — zaintonował Barnes, zamykając oczy. — Pobłogosław te eliksiry. Oczyść je ze skazy zła, aby ich moc dająca życie, napełniła czystością nas, Twoje sługi.

Otworzył neseser i wyjął cztery małe fiołki z ciemnoczerwonym płynem. Na każdej widniała etykieta, jednak z daleka nie mogłam odczytać napisów. Alchemik sprawnie przelał odmierzoną ilość płynu z każdej fiołki do większej butelki. Potem wyjął paczuszkę jakiegoś proszku i dosypał go do mikstury. Poczulałam drganie w powietrzu i zawartość butelki zmieniła barwę na złotą. Barnes podał ją Horowitzowi, który czekał już z igłą w dłoni. Wszyscy się rozluźnili, ponieważ rytualna część dobiegła końca.

Posłusznie przechyliłam głowę, odsłaniając policzek. Chwilę później padł na mnie cień Horowitza.

— Poczujesz ukłucie, ale mniej bolesne niż za pierwszym razem. Teraz jedynie pokryję istniejący tatuaż — wyjaśnił życzliwie.

— Wiem — odparłam. Już raz to przeszłam. — Dziękuję.

Staralam się nie skrzywić. Bolało, chociaż Horowitz naprawdę nie tworzył nowego tatuażu. Wstrzykiwał tylko niewielkie ilości atramentu pod skórę, wzmacniając działanie pierwszego zaklęcia. Przyjęłam to za dobrą monetę. Zoe nie była jeszcze całkiem bezpieczna, lecz przecież nie zadawaliby sobie trudu z powlekaniem mojego tatuażu, gdyby zamierzali mnie wysłać na reedukację.

— Skoro czekamy, moglibyście wprowadzić nas w temat — zauważył ojciec. — Poinformowano mnie jedynie, że po-

trzebujecie nastolatki. — Sposób, w jaki to powiedział, sugerował, że zadanie mogła wypełnić pierwsza lepsza. Zdusiłam w sobie złość. Tylko tyle dla niego znaczyliśmy.

— Mamy problem — usłyszałam głos Stanton. Nareszcie mogłam się czegoś dowiedzieć. — Z morojami.

Westchnęłam cicho z ulgą. Lepszy moroje niż strzygi. Wszystkie „problemy”, z jakimi mierzyli się alchemicy, dotyczyły wampirów. Z tymi żywymi, które nie zabijały, mogłam mieć do czynienia choćby codziennie. Chwilami bardzo przypominali ludzi (choć nigdy bym tego nie przyznała wśród swoich). Żyli i umierali tak jak my. Strzygi były zaś zwyrodnialcami. Wypiwszy krew strzygi lub innej istoty, której odbierały w ten sposób życie, przemieniały się w nieumarłe, okrutne bestie. Każdy problem ze strzygami wiązał się nieuchronnie ze śmiercią.

Rozważałam w myślach najbardziej prawdopodobne powody wizyty alchemików tej nocy. Mogło chodzić o człowieka, który zauważył u kogoś kły, zbiegłego karmiciela, który ujawnił prawdę o mocodawcach, albo moroja, który trafił do ludzkich lekarzy... Takie problemy rozwiązywaliśmy najczęściej, nauczono mnie, jak sobie z nimi radzić i zacierać ślady. Wciąż nie rozumiałam jednak, po co była im potrzebna „nastolatka”.

— Wiecie, że w ubiegłym miesiącu wybrali sobie tę dziewczynę na królową — rzucił Barnes. Niemal widziałam, jak przewraca oczami.

Wszyscy obecni wydali twierdzące pomruki. Oczywiście, że wiedzieli. Alchemicy pilnie śledzili polityczne wydarzenia w świecie morojów. Świadomość poczynań wampirów była niezbędna do ukrywania ich istnienia przed ludźmi oraz dbania o bezpieczeństwo naszego gatunku. To był cel naszych działań — ochrona ludzkości. Poważnie traktowaliśmy powiedzenie „poznaj swojego wroga”. Wa-

syliśsa Dragomir, dziewczyna, którą moroje obrali na władczynię, miała osiemnaście lat i była moją rówieśniczką.

— Nie napinaj się — upomniał mnie delikatnie Horowitz.

Nie zdawałam sobie sprawy, że zeszywniałam. Spróbowałam się rozluźnić, jednak wspomnienie Wasylissy przywiodło mi na myśl Rose Hathaway. Pomyślałam z niepokojem, że pochopnie uznałam, iż mogę się czuć bezpieczna. Na szczęście Barnes kontynuował opowieść, nie wspominając już o moich powiązaniach z królową wampirów i jej przyjaciółmi.

— Ta wiadomość była dla nas szokiem i, jak się okazało, wstrząsnęła również częścią ich społeczności. Wzbudziła wiele protestów i falę buntu. Nikt nie przeprowadził na razie zamachu na Dragomirównę — zapewne tylko dlatego, że jest dobrze strzeżona. Jej wrogowie znaleźli jednak inny sposób, by w nią uderzyć: jej przyrodnią siostrę.

— Jill... — wtrąciłam, zanim ugryzłam się w język. Horowitz skarcił mnie, bo się poruszyłam, i natychmiast

tego pożałowałam, ściągnęłam na siebie uwagę wiedzą o morojach. Znow zobaczyłam w myślach Jill Mastrano, wysoką i irytująco smukłą, jak wszystkie morojki, o wielkich bladozielonych oczach, które wydawały się wiecznie niespokojne. Miała powody do zmartwień. W wieku piętnastu lat odkryła, że jest przyrodnią siostrą Wasylissy i zarazem jedyną oprócz niej przedstawicielką królewskiego rodu. Ona również brała udział w awanturze, w jaką wdałam się tego lata.

— Znacie ich prawo — podjęła Stanton po chwili niezręcznej ciszy. Jej ton wyrażał wszystko, co myśleliśmy o prawach morojów. Monarchia elekcyjna? To nie miało sensu, ale czego można się było spodziewać po tych wynaturzonych istotach? — Wasylissa potrzebuje przynajmniej

jednego przedstawiciela rodziny, żeby utrzymać się na tronie. Dlatego jej wrogowie postanowili wyeliminować siostrę.

Ciarki przebiegły mi po plecach, jednak znów odważyłam się odezwać.

— Czy coś się stało Jill? - zapytałam. Tym razem przynajmniej wybrałam moment, kiedy Horowitz musiał napelnić strzykawkę i nie naraziłam go na błąd w sztuce.

Przygryzłam wargę, żeby powstrzymać się od dalszych komentarzy, bo wyobraziłam sobie gniew ojca. Za nic w świecie nie chciałam okazywać troski o morojów, biorąc pod uwagę swoją nadszarpniętą reputację. Nie byłam związana z Jill, lecz sama myśl o tym, że ktoś próbuje zamordować piętnastoletnią dziewczynę — rówieśniczkę Zoe — była zatrważająca, nawet jeśli dotyczyła przedstawicielki innego gatunku.

— Tego właśnie nie wiemy - wyjaśniła Stanton. — Wiadomo tylko, że została napadnięta, jednak nie mamy pojęcia, czy jest ranna. Doszła już do siebie, ale fakt, że ataku dokonano na królewskim dworze, dowodzi, iż mają wśród siebie zdrajców.

Barnes prychnął z pogardą.

— A czego się spodziewaliście? Doprawdy nie pojmuję, jak ten gatunek zdołał przetrwać tak długo, nie wyrzynając się nawzajem.

Rozległy się zgodne pomruki.

— Nieważne, jak absurdalna wydaje się ta historia, nie możemy pozwolić, by rozpętali wojnę domową — ciągnęła Stanton. — Część protestujących morojów wzbudziła już zainteresowanie ludzkich mediów. To niedopuszczalne. Ich rząd musi pozostać stabilny, toteż naszym zadaniem jest dbać o bezpieczeństwo tej małej. Może i nie ufają sobie nawzajem, ale nam mogą.

Nie było sensu tłumaczyć, że moroje nie wierzą alchemikom. Z drugiej strony zasługiwaliśmy na zaufanie, skoro nie mieliśmy powodów nastawać na życie ich królowej i jej rodziny.

— Powinniśmy ukryć gdzieś Jill — zaproponował Michaelson. — Przynajmniej dopóki moroje nie wprowadzą zmiany prawa elekcyjnego. Dziewczyna nie może bezpiecznie pozostawać na dworze. Najlepiej będzie wywieźć ją między ludzi. — Przez słowa alchemika przebijała pogarda. — Pod warunkiem że ludzie również jej nie rozpoznają. Nie mogą się dowiedzieć o istnieniu tej rasy.

— Skonsultowaliśmy się w tej sprawie ze strażnikami i wybraliśmy najbezpieczniejsze miejsce, w którym będzie się ukrywać przed morojami i strzygami — oznajmiła Stanton. — Ponieważ Jill i jej towarzysze nie mogą zostać rozpoznani, wyślemy z nimi alchemika, który będzie troszczył się o wszystko.

Mój ojciec się zachnął.

— Marnujemy siły. Nie wspominając, że to przykra sytuacja dla tego, kto będzie z nią przebywał.

Ogarnęło mnie złe przeczucie.

— I to jest właśnie zadanie dla Sydney — zakończyła Stanton. — Chcemy, by jako jedna z alchemików eskortowała Jillian do kryjówki.

— Co takiego?! — wykrzyknął ojciec. — Nie mówisz poważnie.

— Czemu nie? — Ton głosu Stanton był spokojny i rzeczowy. — Są prawie rówieśniczkami, więc nie powinny wzbudzać podejrzeń. Poza tym Sydney zna tę dziewczynę. Pobyt z nią nie będzie dla niej tak „nieznośny” jak dla innych alchemików.

Podtekst wydawał się jasny i klarowny. Nie uwolniłam się od przeszłości, jeszcze nie teraz. Horowitz przerwał pra-

cę i uniósł igłę, dając mi szansę na odpowiedź. W głowie kłębiły mi się myśli. Oczekiwali mojej odpowiedzi. Nie chciałam okazać zdenerwowania. Zależało mi na odzyskaniu dobrego imienia i dowiedzeniu gotowości do wypełnienia rozkazu. Z drugiej strony nie chciałam zdradzać, że czuję się zupełnie swobodnie wśród wampirów oraz ich towarzyszy półludzi, dampirów.

~^{lcn} towarzystwo nigdy nie jest przyjemne - zaczęłam ostrożnie., starając się mówić chłodno i hardo. - Nieważne, jak często się stykamy. Ale zrobię, co będzie trzeba, żeby zapewnić nam oraz wszystkim innym bezpieczeństwo. — Nie musiałam wyjaśniać, że ci „inni” to ludzie.

- No proszę, widzisz, Jared? - Barnes był zadowolony z mojej odpowiedzi. - Dziewczyna zna swoje obowiązki. Podjęliśmy już stosowne kroki, by przeprowadzić całą misję bez przeszkód. Poza tym nie wyślemy jej tam samej, szczególnie że mała morojka także nie wybiera się w pojedynek.

- Jak to? — Ojciec nadal nie wydawał się uszczęśliwiony takim obrotem spraw. Ciekawe, co go tak zdenerwowało. Czyżby naprawdę obawiał się o moje bezpieczeństwo? A może po prostu martwił się, że czas spędzony z moroja-mi jeszcze bardziej osłabi moje morale? - Więc ilu ich tam będzie?

- Wysyłają z nią dambira - wyjaśnił Michaelson. - Jednego z ich strażników. Nie będzie sprawiał problemów. W miejscu, które wybraliśmy, nie widziano strzyg, a jeśli nawet się pojawią, lepiej, żeby to oni z nimi walczyli, nie my.

Strażnicy są dambirami szkolonymi specjalnie do tej roli.

- Gotowe - mruknął Horowitz i się cofnął. - Możesz już usiąść.

Posłuchałam i oparłam się pokusie dotknięcia policzka. Czułam jedynie ukłucia, ale wiedziałam, że w tej chwili

przeżywa przeze mnie potężna magia, która nadludzko wzmocni moją odporność i nie pozwoli mi opowiadać nikomu o istnieniu wampirów. Staralam się nie myśleć o tym, skąd ta moc się bierze. Tatuaze stanowiły zło konieczne.

Alchemicy nie zwracali na mnie uwagi. Tylko Zoe, nadał zdezorientowana i przestraszona, raz po raz rzucała mi niespokojne spojrzenia.

— Zdaje się, że przyjedzie też jakiś moroj — ciągnęła Stanton. — Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego tak nalegali, by towarzyszył tej Mastrano. Uprzedziliśmy, że im mniej osób jest wtajemniczonych w tę sprawę, tym lepiej, ale... cóż. Najwyraźniej uznali, że to konieczne, oznajmili bowiem, że sprawa jest przesądzona. To chyba któryś z Iwaszkowów. Nieistotne.

— Co to za miejsce? — chciał wiedzieć mój ojciec. — Dokąd zamierzacie ją wysłać?

Trafne pytanie. Zastanawiałam się nad tym samym. Moim pierwszym poważnym zadaniem zleconym przez alchemików była praca na drugim końcu świata, w Rosji. Skoro zamierzali ukryć Jill, musieli ją posłać w odległe miejsce. Przez chwilę rozmarzyłam się, że może to będzie Rzym, moje ukochane miasto. Legendarne dzieła sztuki i włoska kuchnia mogły mi zrekompensować robotę papierkową i obecność wampirów.

— Do Palm Springs — oznajmił Barnes.

— Palm Springs? — powtórzyłam. Nie tego się spodziewałam. Myśl o Palm Springs nasuwała mi skojarzenia z gwiazdami filmowymi i kursami gry w golfa. Nie były to co prawda rzymskie wakacje, ale też nie zesłanie na Arktykę.

Stanton uśmiechnęła się ironicznie.

— Znajduje się na pustyni i jest mocno nasłonecznione. Tamtejszy klimat skutecznie zniechęca strzygi.

— Czy nie zniechęci i morojów? — spytałam.

Moroje nie palą się na słońcu jak strzygi, ale nadmiar światła osłabia ich i naraża na choroby.

— Cóż, to prawda — przyznała Stanton. — Jednak ta drobna niewygodna warta jest poczucia bezpieczeństwa. Nie będzie problemu, dopóki moroje nie zdecydują się wychodzić z domu. Dodatkowo zniechęcimy innych do odwiedzania ich i...

Uwagę wszystkich zwrócił trzask zamykanych drzwi samochodu.

— Ach — rzucił Michaelson. — Już są. Wpuszczę ich.

Wymknął się z gabinetu i zapewne ruszył do drzwi frontowych, żeby zaprosić do środka kolejnych gości. Chwilę później usłyszałam w korytarzu nowy głos.

— Tata nie mógł przyjechać, więc przysyła mnie. Drzwi gabinetu otworzyły się i moje serce zamarło. „Nie — pomyślałam. — Każdy tylko nie on”.

— Jared — odezwał się przybyły na widok mojego ojca. — Wspaniale znowu cię widzieć.

Ojciec, który ledwie raczył na mnie spojrzeć tej nocy, posłał gościowi promienny uśmiech.

— Keith! Byłem ciekaw, jak ci się wiedzie. Uścisnęli sobie dłonie, a mnie ogarnęło obrzydzenie.

— To jest Keith Darnell. — Michaelson przedstawił go pozostałym.

— Syn Toma Darnella? — Barnes był pod wrażeniem. Tom Darnell to legendarny przywódca alchemików.

— Ten sam — potwierdził wesoło Keith.

Był jakieś pięć lat starszy ode mnie, o blond włosach, nieco jaśniejszych od moich. Wiedziałam, że podoba się dziewczynom. Co do mnie — brzydziłam się nim. Był ostatnią osobą, jaką spodziewałam się tutaj zobaczyć.

— Zdaje się, że znasz siostry Sage — dodał Michaelson.

Keith najpierw spojrział na Zoe. Jego oczy lekko różniły się barwą. Jedno było szklane, nieruchome i wpatrywało się pusto w przestrzeń. Drugim mrugał, uśmiechając się szeroko.

„Jeszcze ma czelność mrugać” - pomyślałam z wściekłością. Irytujące, głupie, protekcyjne mrugnięcie! Zresztą, czemu tak mnie zdziwiło? Wszyscy słyszeliśmy o wypadku, jakiemu Keith uległ tego roku. To wtedy stracił oko. Myślałam, że mając tylko jedno, przestanie tak irytująco mrugać.

- Mała Zoe! Popatrz, popatrz, aleś ty wyrosła - przywitał się serdecznie.

Nie mam gwałtownego usposobienia, co to, to nie, ale nagle zapragnęłam mu przyłożyć za to, że tak patrzy na moją siostrę.

Zoe uśmiechnęła się z wyraźną ulgą, widząc znajomą twarz. Kiedy Keith przeniósł wzrok na mnie, jego urok i przyjazny ton ulotniły się bez śladu. Uczucie było wzajemne.

Bulgocząca we mnie nienawiść była tak obezwładniająca, że z trudem się przywitałam.

- Cześć, Keith - rzuciłam sztywno.

Nawet nie próbował silić się na uprzejmości. Błyskawicznie zwrócił się w stronę starszych alchemików.

- Co ona tu robi?

- Wiemy, że prosiłeś o Zoe - zaczęła pojednawczo Stanton. -

Rozważyliśmy jednak tę kwestię i uznaliśmy, że Sydney lepiej wypełni tę misję. Ma doświadczenie. Postanowiliśmy puścić jej winy w niepamięć.

- Nic z tego - rzucił szybko Keith, zwracając na mnie stalowoniebieskie spojrzenie. - Nie ma mowy, by tam pojechała. Nie ufam tej popapranej miłośniczce wampirów. Schrzani wszystko. Zabieramy jej siostrę.

ROZDZIAŁ DRUGI

USŁYSZAŁAM KILKA ZDUSZONYCH OKRZYKÓW, kiedy Keith nazwał mnie „miłośniczką wampirów”. Każde z tych słów było z osobna do przyjęcia, lecz razem... Cóż, zabrzmiały niemal jak oskarżenie o bluźnierstwo. Chroniliśmy ludzi przed wampirami. Ten z nas, kto przeszedłby na drugą stronę, winien byłby największej niegodziwości. Nawet podczas przesłuchań alchemicy bardzo starannie dobierali słowa, by nie posunąć się za daleko w oskarżeniach.

Keith zachował się obrzydliwie. Horowitza wyraźnie to zniesmaczyło. Otworzył usta, jakby chciał rzucić gorzką ripostę, lecz zmitygował się, zerknąwszy na Zoe i na mnie. Także Michaelson był poruszony.

- Miej nas wszystkich w opiece - mruknął, czyniąc znak przeciwko złu.

Jednak to nie obelga z ust Keitha wkurzyła mnie najbardziej (choć poczułam ciarki na plecach). Byłam wstrząśnięta tym, co powiedziała Stanton. „Wiemy, że prosiłeś o Zoe”.

A więc to Keith nalegał, żeby wyznaczyli siostrę do tej misji... Nie mogłam do tego dopuścić. Pięści same zaciskały mi się na myśl, że musiałyby wyjechać właśnie z nim.

Wszyscy mogli uważać, że Keith Darnell to chodzący ideał, ale ja go znałam. Żadna dziewczyna — nie tylko moja siostra — nie powinna być skazana na przebywanie z nim sam na sam.

— Keith — w głosie Stanton przebijało łagodne ostrzeżenie. — Szanuję twoje zdanie, lecz nie możesz dyktować nam warunków.

Chłopak oblał się rumieńcem.

— Palm Springs to mój rewir! Mam prawo decydować, co się dzieje na tym terytorium.

— Rozumiem twoją reakcję — wtrącił ojciec.

Nie do wiary! Gdyby któraś z jego córek zakwestionowała decyzję autorytetu, tak jak zrobił to Keith, ojciec nie zawahałby się poinformować nas, jakie mamy prawa — a raczej, że nie mamy żadnych.

Keith mieszkał u nas kiedyś przez całe lato — młodzi alchemicy czasem przenoszą się dokądś na okres treningu — i ojciec zaczął go traktować jak syna, którego nie miał. Już wtedy ten chłopak zyskał mocną pozycję w naszym domu. Czas i odległość najwyraźniej tego nie zmieniły.

— Palm Springs leży wprawdzie w twoim rewirze — ciągnęła Stanton — lecz to zadanie zostało zlecone przez wysoko postawione osoby w naszej organizacji. Nie masz tu nic do powiedzenia. Jesteś nam potrzebny wyłącznie do koordynacji działań, nie będziesz o niczym decydować.

W przeciwieństwie do mnie Stanton paru osobom już pokazała miejsce w szeregu i najwyraźniej miała ochotę zrobić to samo z Keithem. Zabawne, że właśnie ona stanęła w mojej obronie, przecież nie wierzyła w zapewnienia o ambicjach zawodowych, które rzekomo skłoniły mnie do udzielenia pomocy Rose.

Keith zdążył się opanować. Musiał sobie uświadomić ten prosty fakt: dziecinny upór niczego tu nie zmieni.

— Rozumiem. Troszczyć się jedynie o powodzenie tej misji. Znam obie siostry Sage. Już przed „incydentem” Sydney bardzo mnie niepokoiła. Sądziłem, że z tego wyrośnie, więc nie wspominałem nikomu o swoich obawach. Teraz to widzę, źle postąpiłem. Już wcześniej uważałem, że to Zoe powinna reprezentować rodzinę w organizacji. Bez urazy, Jared. — Posłał mojemu ojcu uśmiech, który w jego mniemaniu był zapewne czarujący.

Coraz trudniej było mi udawać spokój.

— Zoe miała wówczas jedenaście lat — wtrąciłam. — Jakim cudem doszedłeś do takich wniosków?

Ani przez chwilę nie wierzyłam w jego „obawy”. No, niezupełnie. Musiał się przestraszyć ostatniego dnia pobytu w naszym domu, kiedy oświadczyłam, że znam jego brudny sekret. Zapewne do dzisiaj mi tego nie darował. Chciał zamknąć mi usta. Moja przygoda z Rose stanowiła dla niego idealny pretekst.

— Zoe zawsze była dojrzała na swój wiek — odparował.

— Nigdy nie widziała strzygi, a co dopiero moroja! Zamarłaby ze strachu na ich widok. Podobnie jak większość alchemików — zauważyłam. — Ten, kogo wyślecie z misją, musi sobie radzić między wampirami. Cokolwiek o mnie myślicie, zdążyłam się do nich przyzwyczaić. Nie lubię ich, ale nauczyłam się tolerować ich towarzystwo. Zoe przeszła zaledwie podstawowy trening, i to w naszym domu. Wciąż powtarzacie, że to ważna misja. Naprawdę chcecie ryzykować powierzenie jej komuś bez doświadczenia i umiejętności, kierując się nieuzasadnionymi obawami? — skończyłam dumna, że udało mi się zachować spokój i przytoczyć tak racjonalne argumenty.

Barnes przestąpił z nogi na nogę.

— Jednak skoro Keith miał wątpliwości przed laty...

— Trening Zoe powinien wystarczyć — dorzucił mój ojciec.

Jeszcze pięć minut temu chciał wysłać mnie! Czy ktoś mnie tu w ogóle słuchał? Odkąd pojawił się Keith, stałam się niewidzialna. Horowitz krzątał się przy swoich narzędziach, ale posłał Barnesowi gromiące spojrzenie.

— Sam wypowiedziałeś magiczne słowa „przed laty”. Keith nie mógł być wówczas dużo starszy niż dziewczęta obecnie. — Horowitz zamknął neseser i oparł się o ścianę, krzyżując ręce na piersi. — Nie podważam twoich słów, Keith. Ale nie mam pewności, czy powinieneś budować swoją opinię na wspomnieniach z czasu, gdy byliście dziećmi.

Logika Horowitza zakładała, że wciąż jestem dzieckiem, lecz nie przejąłam się tym. Wypowiedział swój komentarz swobodnie i niezobowiązująco, a mimo to Keith wyszedł na idiotę. Zorientował się w sytuacji i poczerwieniał po nasadę włosów.

— Zgadza się. — Stanton wyraźnie okazywała zniecierpliwienie. — Sydney zależy na udziale w tej misji, a niewiele osób by na nią przystało, jeśli weźmie się pod uwagę, że wymaga zamieszkania z wampirem.

Zależy mi? Niezupełnie. Chciałam jednak za wszelką cenę chronić Zoe i jednocześnie odzyskać wiarygodność. A jeśli wiązało się to z pokrzyżowaniem szyków Keithowi, tym lepiej...

— Chwileczkę — weszłam w słowo Stanton. — Powiedziałaś „zamieszkania z wampirem”?

— Tak — potwierdziła. — Jill będzie zmuszona się ukrywać, lecz powinna mieć choćby pozory normalnego życia. Uznaliśmy, że upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu i zapiszemy ją do szkoły z internatem. W ten sposób zapewnimy dziewczynie edukację oraz mieszkanie. Urządziliśmy to tak, że zamieszkacie w jednym pokoju.

— Czy to nie oznacza... że pójdę do szkoły? — spytałam zaskoczona.
— Zakończyłam już naukę.

W każdym razie liceum. Wiele razy powtarzałam ojcu, że marzę o college'u. Odpowiadał mi dobitnie, że jego zdaniem nie ma takiej potrzeby.

— Widzicie? — Keith zwietrzył dla siebie szansę. — Jest za stara. Zoe jest w odpowiednim wieku.

— Sydney może się zapisać do najstarszej klasy. - Stanton posłała mi przelotne spojrzenie. — Poza tym zdaje się, że uczyłaś się w domu? Zyskasz nowe doświadczenie. Przekonasz się, co straciłaś.

— Na pewno nie będziesz miała trudności — wtrącił niechętnie ojciec. — Odebrałaś lepsze wykształcenie niż to, które oni mogą zaoferować.

„Miły zawołany komplement, tato”.

Nie chciałam pokazywać, jak nieswojo się poczułam. Pragnęłam troszczyć się o Zoe, o siebie, lecz pojawiały się coraz to nowe komplikacje. Konieczność powtarzania szkoły. Życie pod jednym dachem z wampirem. Chronienie go. Powtarzałam, że nie obawiam się towarzystwa morojów, ale perspektywa dzielenia wspólnego pokoju nawet z tak niewinną dziewczyną jak Jill napawała mnie niepokojem. Uświadomiłam sobie coś jeszcze.

— Też będziesz udawał licealistę? — zwróciłam się do Kei-tha. Poczulałam mdłości na myśl o pożyczaniu mu notatek.

— Oczywiście, że nie — zachnął się z urazą. — Dawno z tego wyrosłem. Zostanę Lokalnym Protektorem Misji. -Mogłam się założyć, że wymyślił ten tytuł na poczekaniu. -- Moim zadaniem będzie koordynacja wszelkich działań i wysyłanie raportów do zwierzchników. Ale nie zamierzam się tego podejmować, jeśli to ona pojedzie. — Wypowiadając ostatnie słowa, patrzył na wszystkich, lecz nie było wątpliwości, kogo ma na myśli. Mnie.

— Ma pan prawo do rezygnacji — ucięła Stanton. — Pojedzie Sydney. Taka jest moja decyzja i będę jej bronić przed władzami, do których może się pan odwołać. Jeśli sprzeciwia się pan powierzeniu misji Sydney, panie Darnell, osobiście dopilnuję, by został pan przeniesiony z Palm Springs i nie musiał się z nią kontaktować.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na Keitha, który wyraźnie się zawahał. Uświadomiłam sobie, że Stanton zastawiła na niego pułapkę. W upalnym Palm Springs zapewne nie widywano wampirów. Keith musiał mieć lekko, nie to co ja. Kiedy pracowałam w Sankt Petersburgu, bezustannie musiałam po nich sprzątać. To miejsce było siedliskiem wampirów, podobnie jak inne miasta Europy i Azji, do których zabierał mnie ojciec. Nie każcie mi nawet zaczynać opowieści o Pradze. Przeniesienie oznaczało dla Keitha poszerzenie zakresu obowiązków i gorsze lokum. Palm Springs, tak uciążliwe dla wampirów, było rajem dla ludzi.

Mina Keitha potwierdziła moje przypuszczenia. Nie chciał opuszczać ciepłego gniazdka.

— A jeśli będę miał powody podejrzewać ją o kolejną zdradę?

— Napiszesz raport — skwitował Horowitz, tłumiąc ziewnięcie. Wyraźnie nie lubił Keitha. — Tak samo postąpiłbyś w każdym innym wypadku.

— Tymczasem zajmę się dalszą edukacją Zoe — zapewnił ojciec, jakby próbował przeprosić Keitha. Było oczywiste, po czyjej stoi stronie. Nie mojej. Nie chronił też Zoe. — Jeśli odkryjesz niesubordynację Sydney, odwołamy ją.

Zjeżyłam się na myśl, iż to Keith ma orzekać o moich przewinieniach, jednak bardziej niepokoiło mnie, że Zoe nie jest jeszcze bezpieczna. Ojciec najwyraźniej zamierzał trzymać ją w rezerwie. W każdej chwili może trafić w szpony alchemików... oraz Keitha. Przysięgłam sobie w duchu,

że nawet jeśli będę musiała karmić tego drania z ręki, nie dam mu powodów do podważania mojej lojalności.

— W porządku — uległ niechętnie. — Sydney może pojechać... warunkowo. Ale będę cię miał na oku. — Utkwił we mnie lodowate spojrzenie. — Nie licz jednak na to, że będę cię osłaniał. Cała odpowiedzialność za utrzymywanie tej dziewczyny w ryzach i jej karmienie spoczywa na tobie.

— Karmienie? — spytałam bezdźwięcznie. No tak. Jill będzie potrzebowała krwi. To odkrycie zachwiało moją pewnością siebie. Łatwo mówić o wampirach, kiedy nie ma ich w pobliżu. Jeszcze łatwiej, kiedy się nie myśli, c o czyni z nich wampiry. Krew. Ta potworna zwyrodniała potrzeba podtrzymująca ich egzystencję. Naszła mnie straszna myśl, która równie szybko się rozviała. „Czy mam ją karmić własną krwią?”. Nie. To absurd. Tej granicy nie przekraczają alchemicy. Przełknęłam ślinę, starając się ukryć przestach. — Jak planujecie ją karmić?

Stanton skinęła głową Keithowi.

— Może pan to wyjaśnić? — Chyba dała mu okazję, żeby poczuł się ważny, starając się wynagrodzić mu porażkę.

Połknął haczyk.

— O ile nam wiadomo, w Palm Springs mieszka tylko jeden moroj — zaczął.

Spojrzałam na Keitha. Jego włosy pokrywała gruba warstwa żelu, który nadawał im śliski połyskujący wygląd. Było w tym coś obleśnego. Nie miałam zaufania do facetów używających więcej produktów do stylizacji niż ja.

— Jeśli chcecie znać moje zdanie — uważam, że jest szalony, choć niegroźny, to znaczy na tyle, na ile mogą być niegroźni moroje. Żyje jak odludek za miastem. Ma pretensje do rządu moroj ów i nie zadaje się z nimi, więc na pewno nie powiadomi nikogo o waszym przyjeździe. Najważniej-

sze jest jednak, że ma karmiciela, którym jest gotów się podzielić.
Zmarszczyłam brwi.

— Czy aby na pewno chcemy, by Jill zadawała się z jakimś zbuntowanym morojem? Zależy nam przecież na utrzymaniu równowagi. Jeśli przedstawimy ją rewolucjoniście, może spróbować wykorzystać Jill do swoich celów.

— Doskonała uwaga — zauważył Michaelson, chyba zaskoczony, że przyznał mi rację.

Nie zamierzałam podważać decyzji Keitha. Skojarzyłam fakty i zauważyłam potencjalny problem. On jednak posłał mi spojrzenie, jakbym celowo próbowała go zdyskredytować w oczach zwierzchników.

— Naturalnie nie poinformujemy go, kim jest Jill — rzucił z błyskiem gniewu w zdrowym oku. — To byłoby głupie. Poza tym to żaden rewolucjonista, nie należy do wywrotowych organizacji. Jest przekonany, że moroje i strażnicy zostawili go na pastwę losu, i nie chce mieć z nimi nic wspólnego. Opowiedziałem mu, że rodzina Jill ma podobne antyspołeczne poglądy, i nastawiłem moroja przyjaźnie.

— Miałaś prawo go podejrzewać, Sydney — wtrąciła Stanton. W oczach alchemiczki dostrzegłam aprobatę, jakby ucieszyła się, że stanęła w mojej obronie. To dla mnie wiele znaczyło, jeśli wziąć pod uwagę jej nieugiętą postawę w innych sprawach. — Nie możemy przyjmować za dobrą monetę niczego, co ich dotyczy. Sprawdziliśmy tego moroja. Abe Mazur potwierdził, że jest całkowicie nieszkodliwy.

— Abe Mazur? — prychnął Michaelson. Podrapał się po siwiejącej brodzie. — Tak. On na pewno jest ekspertem w kwestii oceny szkodliwości cudzych działań.

Serce skurczyło mi się na dźwięk tego imienia, jednak starałam się tego nie okazać. Odetchnęłam głęboko i spytałam ostrożnie:

— Czy Abe Mazur jest tym morojem, który będzie towarzyszył Jill? Poznałam go... aie zdaje się, że wspominaliście o kimś z rodziny Iwaszkowów. — Obecność Abe'a w Palm Springs zdecydowanie zmieniała sytuację.

Michaelson się zachnął.

— Nigdy nie wysłalibyśmy was z Mazurem. Pomagał nam jedynie w sprawach logistycznych.

— Co to za jeden i dlaczego stanowi problem? — zainteresował się Keith. — Nie znam go.

Przyjrzałam mu się uważnie, podejrzewając, że kłamie. Jednak chyba pytał szczerze. Jego twarz wyrażała czystą ciekawość. Spoglądał jedynym okiem zdezorientowany, co było odmianą od typowego aroganckiego spojrzenia Keitha. Nazwisko Abe'a nic mu nie mówiło. Wypuściłam powietrze, które nieświadomie wstrzymywałam.

— To łajdak — wyjaśniła obojętnie Stanton. — Posiada zbyt szeroką wiedzę o rzeczach, które powinny być dla niego tajemnicą. Bywa użyteczny, ale nie ufam mu.

Łajdak? Alchemiczka stanowczo go nie doceniła. Abe Mazur był morojem, którego przezwisko w Rosji — Żmij — mówiło samo za siebie. Kilka razy wyświadczył mi przysługi, za które musiałam zapłacić, nadstawiając głowę. Zażądał między innymi, bym pomogła Rose w ucieczce. Nazwał to spłatą długu, ja — szantażem. Nie miałam najmniejszej ochoty znów go widzieć, jeszcze oczekiwałby kolejnych poświęceń. Najbardziej frustrujące było to, że nie miałam do kogo zwrócić się o pomoc. Moi zwierzchnicy nie zareagowaliby dobrze na nowinę o moich konszachtach z Abe'em.

— Żaden z nich nie zasługuje na zaufanie — wtrącił mój ojciec. Uczynił znak alchemików chroniący przed złem, rysując prawą ręką krzyż na lewym ramieniu.

— Cóż, Mazur to prawdziwa kanalia wśród swoich — podsumował Michaelson. Stłumił ziewnięcie, co przypo-

niało nam, że jest środek nocy. — W takim razie wszystko ustalone?

Rozległy się twierdzące pomruki. Chmurna mina Keitha sugerowała, jak bardzo jest niezadowolony, że sprawy potoczyły się nie po jego myśli.

— Możemy wyruszyć w każdej chwili — oznajmił.

Po sekundzie dotarło do mnie, że ma na myśli siebie i mnie.

— Tak od razu? — spytałam z niedowierzaniem. Wzruszył ramionami.

— Wampiry już się szykują do drogi. Musimy wszystko przygotować. Jeśli będziemy się zmieniać za kierownicą, dojedziemy na miejsce jutro po południu.

— Świetnie — odburknęłam chłodno.

Czekała mnie wyprawa z Keithem. Okropność. Cóż jednak mogłam powiedzieć. Nie miałam wyboru, a jeśli nawet, to nie mogłam przecież odmówić prośbie alchemików. Tego wieczoru wszystko dobrze rozegrałam, teraz musiałam przekonać siebie, że wyjazd z Keithem jest lepszy niż pobyt w ośrodku reedukacji. Poza tym włożyłam wiele wysiłku, by pokazać się im w dobrym świetle i zarazem obronić Zoe.

Ojciec odesłał mnie, każąc się spakować równie szybko, jak wcześniej doprowadzić do porządku. Zostawiłam alchemików pogrążonych w rozmowie i wróciłam do pokoju, pamiętając o śpiącej matce. Za sprawą rozmaitych niespodziewanych wypadów z ojcem od dzieciństwa byłam specjalistką w bezszelestnym, szybkim przemieszczaniu. Zawsze mam pod ręką kosmetyczkę i niezbędne drobiazgi. Teraz musiałam przede wszystkim odpowiednio się spakować. Nie powiedziano, jak długo ma potrwać moja misja, i miałam niejasne przeczucie, że nie wiedział tego nikt. Rozmawialiśmy o kilku tygodniach czy o całym roku szkolnym? Ktoś wspomniał, że moroje chcą zmienić prawo

zagrożające Jill, ale proces ustawodawczy trwa chyba długo. Co gorsza, nie miałam pojęcia, co się teraz nosi w szkole średniej. Pewne były jedynie upały. Ostatecznie zdecydowałam się na dziesięć lekkich zestawów ubrań w nadziei, że znajdzie się tam jakaś pralnia.

Właśnie pakowałam laptopa, kiedy usłyszałam ciche:

— Sydney?

W drzwiach stała Zoe. Zaplotła warkocze, żeby wyglądać schludniej. Zastanawiałam się, czy chciała w ten sposób przypodobać się ojcu.

— Hej. — Uśmiechnęłam się do niej.

Wśliznęła się do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Ucieszyłam się, że zajrzała, aby się ze mną pożegnać. Wiedziałam, że będzie mi jej brakowało, i chciałam jej powiedzieć...

— Dlaczego mi to zrobiłaś! — wypaliła, zanim zdążyłam otworzyć usta. — Wiesz, jak mnie upokorzyłaś?

Zaniemówiłam.

— Ja... co ty wygadujesz? Próbowałam tylko...

— Przez ciebie wyszłam na nieuka! — Zoe z trudem powstrzymywała łzy. — Rozwodziłaś się nad moim brakiem doświadczenia. Przekonywałaś, że nie dorównuję tobie i tacie! Zrobiłaś ze mnie idiotkę przed tymi wszystkimi alchemikami. I przed Keithem.

— Keith Darnell nie jest wart twojej uwagi — wtrąciłam szybko, starając się panować nad sobą. Widząc jej zrozpaczoną minę, westchnęłam i postarałam się odtworzyć w myślach przebieg rozmowy w gabinecie. Nie próbowałam ośmieszyć Zoe, skupiłam się przede wszystkim na tym, by to mnie powierzono misję. Nie sądziłam, że zrozumie to opacznie. — Posłuchaj, nie chciałam cię zawstydić. Próbowałam cię chronić.

Zaśmiała się nerwowo. Gniew nie pasował do delikatnej osoby, jaką była Zoe.

— Więc tak to nazywasz? Przecież przyznałaś, że zależało ci na awansie!

Skrzywiłam się. Rzeczywiście tak powiedziałam. I teraz nie mogłam wyjawić jej prawdy. Żaden człowiek nie wiedział, dlaczego naprawdę pomogłam Rose. Fakt, że okłamywałam bliskich — szczególnie siostrę — sprawiał mi ból, lecz nic nie mogłam na to poradzić. Po raz kolejny znalazłam się w pułapce. Postanowiłam nie odpowiadać.

— Nigdy nie miałaś zostać alchemiczką — zauważyłam zamiast tego.
— Czeka cię znacznie lepszy los.

— Bo nie jestem tak mądra jak ty? — prychnęła. — I nie mówię w pięciu językach?

— To nie ma z ty m nic wspólnego — warknęłam. — Jesteś wspaniała, Zoe, i pewnie byłaby z ciebie doskonała alchemiczką! Ale uwierz, to nie jest życie dla ciebie. Nie chciałyś tego. — Miałam ochotę jej powiedzieć, że znienawidziłaby swój los. Że nie mogłaby kierować własnym życiem, podejmować samodzielnych decyzji. Powstrzymałam się jednak.

— Zrobiłabym to — oznajmiła. — Chroniłabym nas przed wampirami... gdyby tata tego chciał. — Głos jej zadrżał i nagle zrozumiałam, skąd naprawdę wzięło się jej pragnienie objęcia tej funkcji.

— Jeśli chcesz się zbliżyć do ojca, znajdź inny sposób. Alchemicy robią dużo dobrego, lecz kiedy do nich przystaniesz, traktują cię jak własność. — Żałowałam, że nie mogę tego lepiej wyjaśnić. — Nie spodobałoby ci się takie życie.

— Bo ty chcesz je mieć wyłącznie dla siebie?! — wybuchnęła. Jej furia wypełniła cały pokój.

— Nie! Ja... nic nie rozumiesz — poddałam się w końcu. Miałam ochotę wyrzucić ręce w górę w geście rozpacz, lecz jak zwykle się opanowałam.

Spojrzenie, jakie mi posłała, mogło zmrozić.

— Och, sądzę, że rozumiem doskonale. — Obróciła się gwałtownie i wyszła, nie robiąc hałasu. Strach przed ojcem okazał się silniejszy od złości.

Czułam się okropnie. Jak mogła pomyśleć, że chcę zagarnąć całą chwałę, ją zaś ośmieszyć? „A jednak to zrobiłaś” — odezwał się głos w mojej głowie. Może tak było, ale nie sądziłam, że Zoe poczuje się urażona. Nie miałam pojęcia, że chce zostać alchemiczką. Nawet w tej chwili nie byłam pewna, czy bardziej kieruje się chęcią zadowolenia ojca, czy naprawdę pragnie tej misji.

Niezależnie od powodów, nie było sensu dłużej roztrząsać tej kwestii. Często nie zgadzałam się z decyzjami alchemików, ale gorąco wierzyłam w sprawę ochrony ludzi przed wampirami. Wierzyłam również w potrzebę opieki nad Jill, jeśli mogło to zapobiec wybuchowi wojny domowej u morojów. Mogłam podjąć się zadania i dobrze z niego wywiązać. A Zoe — robi, co jej się żywnie spodoba.

— Co tak długo? — spytał ojciec, kiedy weszłam do gabinetu.

Rozmowa z siostrą zatrzymała mnie kilka minut, co potraktował jako spóźnienie. Nawet nie próbowałam się tłumaczyć.

— Jestem gotów do wyjazdu, kiedy tylko powiesz — oznajmił Keith. Nastrój najwyraźniej zdążył mu się poprawić podczas mojej nieobecności. Okazywał teraz przyjaźń tak ostentacyjnie, że zdziwiłam się, iż nikt tego nie zauważył. Zapewne postanowił zmienić nastawienie wobec mnie, chcąc zrobić wrażenie na innych. A może próbował mnie udobruchać, abym nie ujawniła tego, co o nim wiedziałam. Uśmiech Keitha był żałośnie sztuczny. Kiedy skrzyżował ręce na piersi, zrozumiałam, że jest równie niezadowolony ze wspólnego wyjazdu co ja. — Mogę nawet prowadzić przez większą część drogi.

— Nie trzeba, będziemy się zmieniać — odparłam, unikając patrzenia w szklane oko.

Nie czułam się bezpiecznie, myśląc, że powierzam swój los kierowcy ze słabym wzrokiem.

— Jeśli pozwolicie, chciałbym porozmawiać z Sydney na osobności, zanim wyjedzie — poprosił ojciec.

Nikt się nie sprzeciwił, więc zaprowadził mnie do kuchni i zamknął drzwi. Przez chwilę staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy na siebie, trzymając ręce skrzyżowane na piersiach. Poczulałam przypływ nadziei. Czekałam, aż powie, jak bardzo jest mu przykro z powodu nieporozumień między nami w ostatnim miesiącu, że wybacza mi i że mnie kocha. Szczerze mówiąc, byłabym szczęśliwa, gdyby po prostu pożegnał się ze mną na osobności — jak ojciec. Teraz wpatrywał się we mnie badawczo. Odziedziczyłam po nim kolor oczu, lecz miałam nadzieję, że moje nigdy nie staną się tak zimne.

— Nie muszę ci mówić, jakie to dla ciebie ważne. Dla nas wszystkich zresztą.

Tyle o ojcowskich uczuciach.

— Nie — odparłam. — Nie musisz.

— Nie wiem, czy zdołasz zmasać hańbę, jaką ściągnęłaś na nas, uciekając z nimi, ale robisz krok w dobrym kierunku. Nie popsuj tego. Poddaj cię próbie. Wykonuj rozkazy. Trzymaj tę morojkę z dala od kłopotów. — Westchnął i przesunął ręką po ciemnobłond włosach, które również po nim odziedziczyłam.

„Dziwne — pomyślałam — że mamy tak wiele wspólnego... a jednak tak bardzo się różnimy”.

— Dzięki Bogu, Keith jedzie z tobą. Słuchaj go. On wie, co robi.

Zesztywniałam. W jego głosie znów zabrzmiała duma, jakby Keith był najwspanialszą istotą, jaka chodziła po tej

ziemi. Ojciec dopilnował, żebym odbyła solidny trening, lecz kiedy Keith u nas zamieszkał, zabierał go na wyprawy i nauki, o jakich ja mogłam jedynie pomarzyć. Byłyśmy z siostrą wściekle. Zawsze podejrzewałyśmy, iż ojciec żałuje, że ma tylko córki i wtedy to się potwierdziło, jednak to nie z powodu zazdrości zaciskałam zęby.

Przez chwilę zadawałam sobie pytanie: „Co by się stało, gdybym mu to wyjawiała? Co by pomyślał o tym złotym chłopcu?”. Patrząc jednak w zimne oczy ojca, już znałam odpowiedź. Nigdy by mi nie uwierzył. W mojej głowie pojawił się też natychmiast obraz przerażonej dziewczyny, która patrząc na mnie wielkimi brązowymi oczami, prosiła: „Nie mów nikomu, Sydney. Cokolwiek się stanie, nie mów, co zrobił Keith”. Nie mogłam jej zdradzić.

Ojciec czekał na odpowiedź. Przełknęłam ślinę i skinęłam głową.

— Tak, ojciec.

Uniósł brwi wyraźnie zadowolony i poklepał mnie po ramieniu. To był najbardziej wylewny przejaw jego uczuć do mnie od długiego czasu. Zwiesiłam głowę, zaskoczona i totalnie sfrustrowana.

— To dobrze. — Ruszył w kierunku drzwi, ale zatrzymał się i spojrzał na mnie przez ramię. — Może jeszcze jest dla ciebie nadzieja.

ROZDZIAŁ TRZECI

PODRÓŻ DO PALM SPRINGS okazała się udawką.

Byłam wykończona. Wyrwano mnie ze snu w środku nocy i nie mogłam się nawet zdrzemnąć, kiedy to Keith siadał za kierownicą. Wciąż rozmyślałam o Zoe, mojej reputacji, nowej misji... Za dużo się wydarzyło, a ja bardzo chciałam rozwiązać swoje problemy.

Byłam też przygnębiona, bo ojciec nie pozwolił mi pożegnać się z mamą. Ciągłe powtarzał, że powinniśmy pozwolić jej się wyspać, ale wiedziałam, o co tak naprawdę chodziło. Obawiał się, że gdyby usłyszała o moim wyjeździe, próbowałyby nas powstrzymać. Wściekła się z powodu ostatniej misji: alchemicy wysłali mnie samą na drugi koniec świata, a kiedy wróciłam, nikt nawet nie wspomniał, co ze mną będzie. Według mamy zostałam wykorzystana, oświadczyła więc tacie, że mają mi teraz dać spokój. Nie wiem, czy byłaby w stanie pomieszać ojcu szyki tej nocy, nie chciałam jednak ryzykować, by zamiast mnie nie wysłano Zoe. Rzecz jasna, nie oczekiwałam serdecznego pożegnania, lecz czułam się nieswojo, opuszczając dom po kłótni z siostrą i bez pożegnania z matką.

Nastał świt i pustynny krajobraz Nevady na krótko przemienił się w lśniące morze czerwieni i miedzi. Zrezygnowałam z drzemki. Kupiłam na stacji benzynowej kubek mocnej kawy i zapewniłam Keitha, że mogę prowadzić do końca podróży. Ochoczo oddał mi kierownicę, lecz zamiast zasnąć, także kupił kawę i próbował podjąć rozmowę. Konsekwentnie prezentował przyjacielską pozę, a ja zateęskniłam za poprzednią wrogą, za to klarowną atmosferą między nami. Postanowiłam, że nie dam mu powodu do podejrzeń, toteż starałam się uśmiechać i potakiwać w odpowiednich momentach. Nie było to łatwe zadanie.

Rozmowa chwilami stawała się interesująca. Mieliśmy sporo do omówienia, więc zajęliśmy się ustalaniem szczegółów misji. Keith zrelacjonował mi wszystko, co wiedział o nowej szkole, i opisał warunki, w jakich będziemy mieszkać. Amberwood było prywatnym liceum cieszącym się dużym prestiżem, uznałam zatem, że można je uznać za namiastkę college'u. Alchemicy zadbali o moje wykształcenie, jednak wciąż łaknęłam nowej wiedzy. Do tej pory byłam zdana na siebie w wyszukiwaniu lektur. Od dawna marzyłam o studiach lub choćby o towarzystwie ludzi, którzy wiedzą więcej niż ja i mogą mnie czegoś nauczyć.

Jako uczennica najstarszej klasy mogłam korzystać z przywileju opuszczania kampusu, toteż w pierwszej kolejności — poza zorganizowaniem fałszywych dokumentów — mieliśmy się zająć kupnem samochodu. Świadomość, że nie zostanę uwięziona w internacie, poprawiła mi nastrój. Wiedziałam jednak, iż Keith oferuje mi pomoc w znalezieniu auta jedynie dlatego, że wówczas wezmę na siebie większość obowiązków.

Oświecił mnie również w innej kwestii.

— Ty i ta Jill będziecie się przedstawiały jako siostry — powiedział.

— Co takiego? — Jedyne żelazna samodyscyplina nie pozwoliła mi zjechać na pobocze. Życie z wampirem pod jednym dachem to jedno, ale przyjęcie go do rodziny? -A niby dlaczego? — nie mogłam ukryć oburzenia.

Kątem oka dostrzegłam, że wzruszył ramionami.

— A czemu nie? Nie wzbudzisz podejrzeń, kręcąc się przy niej, no i wszyscy zrozumieją, dlaczego dzielicie pokój. Szkoła zazwyczaj nie łączy uczniów w różnym wieku, lecz... cóż... wasi rodzice obiecali solidną dotację w zamian za odstępstwo od reguł.

Byłam tak wstrząśnięta, że nawet nie zareagowałam, gdy zachichotał z satysfakcją. Pogodziłam się już z myślą, że zamieszkać z Jill... ale traktować ją jak siostrę? To było... nienaturalne. Nie, to za mało powiedziane — barbarzyńskie!

— To absurd — rzuciłam krótko.

— Tak będzie tylko na papierze — skwitował Keith.

Po cichu przyznałam mu rację. Jednak rola krewnej wampira przewróciła mój świat do góry nogami. Umiałam radzić sobie w towarzystwie morojów, lecz zawsze trzymałam dystans, traktowałam ich jako partnerów w interesach

— nic więcej. Odgrywanie roli siostry Jill zburzy ten porządek. Wprowadzi zażyłość, na którą nie byłam gotowa.

— Życie z jedną z nich nie powinno ci sprawiać kłopotu

- zauważył Keith, bębniąc palcami o szybę, czym doprowadzał mnie do szaleństwa. Jego podejrzanie swobodny ton sugerował, że zastawia pułapkę. - Jesteś przyzwyczajona.

— Niezupełnie — sprzeciwiłam się ostrożnie. — Spędziłam z nimi najwyżej tydzień. Poza tym przebywałam głównie w towarzystwie dampirów.

— Na jedno wychodzi - skwitował. - Dampiry są jeszcze gorsze. Dziwaczny wybryk natury. Ani ludzie, ani wampiry.

Nie odpowiedziałam od razu, udając, że koncentruję się na drodze. Keith mówił prawdę, tak nas uczono. Wpajano, że wszystkie wampiry, moroje i strzygi są mroczne i złe. Potrzebują krwi, by przeżyć. Któż byłby w stanie pić krew innej istoty? Wydawało się to obrzydliwe i na samą myśl, że wkrótce będę organizowała karmienie morojce, robiło mi się niedobrze.

Ale dampiry... z nimi sprawa była bardziej skomplikowana. W każdym razie dla mnie, po tym co się stało. Dampiry były w połowie ludźmi, a w połowie wampirami, rodzajem powstałym w czasach, gdy moroje i ludzie łączyli się w pary. Jednak w ciągu wieków wampiry coraz bardziej odsuwały się od ludzi i ostatecznie postanowiono, że podobne związki powinny być zabronione. Mimo to dampiry przetrwały, chociaż mogą mieć potomstwo jedynie z ludźmi lub morojami, a moroje chętnie na to przystają.

- Mam rację? - dopytywał Keith.

Uświadomiłam sobie, że mnie obserwuje, oczekując, iż się z nim zgodzę i nazwę dampiry wybrykiem natury. A może miał nadzieję usłyszeć zaprzeczenie. Tak czy owak, milczałam za długo.

- ^{Ta:k} - przyznałam. Zdobyłam się na standardową odpowiedź w stylu alchemików. - Pod pewnymi względami są gorsze od morojów. Nie powinni istnieć.

- A już się przestraszyłem - mruknął Keith. Patrzyłam na drogę, lecz podejrzewałam, że do mnie mrugnął. - Sądziłem, że zaczniesz ich bronić. Powinienem mieć do ciebie więcej zaufania i nie wierzyć w to, co mówią. Rozumiem, dlaczego tak ci zależy na karierze, ale musiało ci być bardzo trudno znieść współpracę z jedną z nich.

Nie potrafiłabym mu wyjaśnić, że krótki czas spędzony z Rose Hathaway wystarczył, by zapomnieć, że jest dampi-

rem. Nawet pod względem fizycznym dąbiry i ludzie byli praktycznie nie do rozróżnienia. Rose zaś była tak pełna życia i pasji, że chwilami wydawała się bardziej ludzka ode mnie. Ona na pewno nie podjęłaby się misji, bąkając pokornie: „Tak, ojczę”, jest ulepiona z innej gliny niż ja.

Rose nie pogodziła się nawet z uwięzieniem, gdy cały rząd morojów zwrócił się przeciwko niej. Pomagałam tej dziewczynie, bo zaszantażował mnie Abe Mazur, ale też nie wierzyłam, że dopuściła się morderstwa, o które została oskarżona. Ta pewność oraz nasza wąła przyjaźń popchnęły mnie do sprzeniewierzenia się regułom alchemików. Pomagałam Rose i jej chłopakowi dąbiry, wspaniałemu Dymitrowi Bielikowowi, oszukać władze. Przez cały czas obserwowałam z podziwem, jak ta dziewczyna walczy z całym światem. Nie powinnam zazdrościć komuś, kto nie jest człowiekiem, ale z pewnością brakowało mi jej siły i determinacji.

Nie mogłam powiedzieć tego Keithowi. Poza tym wciąż nie wierzyłam, że pogodził się z moim towarzystwem mimo pozorów życzliwości.

Wzruszyłam lekko ramionami.

— Uznałam, że warto zaryzykować.

— Coż — bąknął, widząc, że więcej ze mnie nie wyciśnie. —

Następnym razem, kiedy przyjdzie ci ochota zabawić się z wampirami i dąbiry, zadbaj o wsparcie, żeby nie napytać sobie biedy.

Zachnęłam się.

— Nie zamierzam się z nimi bawić. — Tym razem mówiłam prawdę.

Dotarliśmy do Palm Springs późnym popołudniem i od razu zabraliśmy się do pracy. Byłam nieprzytomna z niewyspania i nawet Keith — choć nie zamykały mu się usta

— wyglądał na zmęczonego. Otrzymaliśmy jednak wiadomość, iż Jill i jej świta przyjadą nazajutrz, co oznaczało, że mamy niewiele czasu na dopracowanie szczegółów.

Wizyta w Amberwood ujawniła, że moja „rodzina” się rozrosła. Dampir, który miał przybyć razem z Jill, także zapisał się do szkoły i podał za naszego brata. Podobnie jak Keith. Zdziwiło mnie to, ale wyjaśnił, że będziemy potrzebowali prawnego opiekuna na wypadek, gdyby Jill musiała się wydostać ze szkoły lub gdyby zaszły nieprzewidziane okoliczności. Ponieważ nasi fikcyjni rodzice mieszkali w innym stanie, szkole będzie poręczniej załatwiać wszystkie sprawy z Keithem. Nie mogłam zaprzeczyć. Jednak fakt, że mieliśmy udawać rodzeństwo, doprowadzał mnie do szału bardziej niż rzekome pokrewieństwo z dampirami czy wampirami.

Według fałszywego prawa jazdy od tej pory nazywam się Sydney Katherine Melrose i pochodzę z Dakoty Południowej. Wybraliśmy Dakotę, zakładając, że tutejsza policja nie ogląda często dokumentów z tego stanu i nie wzbudzimy podejrzeń. Nie spodziewałam się kłopotów, alchemicy zawsze dbali, by papiery załatwiali im najlepsi fachowcy. Podobał mi się rysunek góry Rushmore na okładce dokumentu. Było to jedno z nielicznych miejsc w Stanach, których nie odwiedziłam.

Nareszcie też nadeszła najbardziej upragniona chwila: wizyta u dilerów samochodowych. W tej kwestii spierałam się z Keithem prawie tak zapalczywie jak ze sprzedawcą. Wpajano mi praktyczne podejście i nauczono panować nad emocjami, ale kocham samochody. To jedna z niewielu cech, jakie odziedziczyłam po matce. Była mechanikiem i moje najlepsze wspomnienia z dzieciństwa wiążą się z pomaganiem jej w warsztacie.

Mam szczególną słabość do sportowych wozów oraz starych modeli z wielkimi silnikami, o których wiem, że szkodzą środowisku. Żadne z tych aut nie pasowało do obecnego zadania. Keith upierał się, że potrzebuję samochodu, który będę mogła pozostawić w dowolnym miejscu, nie zwracając niczyjej uwagi. Także tym razem podporządkowałam się jego rozumowaniu jak grzeczna mała alchemiczka.

— Nie rozumiem jednak, po co mi wagon kolejowy — próbowałam się sprzeciwić.

Ostatecznie stanęło na nowym Subaru Outback, który spełniał większość naszych wymagań. Mój instynkt motoryzacyjny wskazał na tę markę. Dobrze się ją prowadzi, ma przyzwoity silnik jak na tę klasę. A jednak...

— Czuję się jak mamuśka drużyny piłki nożnej — naburmuszyłam się. — Jestem na to za młoda.

— Mamuśki prowadzą rodzinne landary — wyjaśnił Keith. — A piłka nożna jest w porządku.

Nachmurzyłam się jeszcze bardziej.

— Ale czy musi być brązowy?

Musiał, chyba że zdecydowalibyśmy się na wóz używany. Wolałabym niebieski lub czerwony, ale zgodziłam się na brąz, bo auto było nowe. Moja wybredna natura nie miała ochoty jeździć maszyną „po kimś”. Chciałam mieć swój samochód — lśniący, nowy i czysty. Dobiliśmy targu i ja, Sydney Melrose, stałam się dumną właścicielką brązowego wagonu kolejowego. Nazwałam go Latte z nadzieją, że miłość do kawy przeniesie się na samochód.

Po koniecznych zakupach Keith pożegnał się i pojechał do swojego mieszkania w śródmieściu. Zaoferował mi lokum u siebie, lecz grzecznie odmówiłam i zameldowałam się w hotelu, wdzięczna za grube portfele alchemików. Szczerze mówiąc, zapłaciłabym nawet z własnej kieszeni, by nie spać pod jednym dachem z Keithem Damellem.

Zamówiłam lekki obiad do pokoju, ciesząc się samotnością po wielu godzinach spędzonych ze „starszym bratem”. Przebrałam się w piżamę i postanowiłam zadzwonić do mamy. Cieszyłam się, że na jakiś czas odetchnę od krytycznych uwag ojca, chociaż wiedziałam też, że będę za nim tęskniła.

— To solidne auta - zapewniła, kiedy zaczęłam rozmowę od wieści o kupnie nowego wozu.

Mama zawsze była wolnym duchem, wydawała się tak inna od taty. Podczas gdy on objaśniał mi równania chemiczne, ona demonstrowała, jak wymienić olej w samochodzie. Alchemicy nie muszą zawierać związków między sobą, jednak zawsze mnie zdumiewało, co za siła połączyła moich rodziców. Może ojciec nie był w młodości takim sztywniakiem, jakim stał się teraz?

— Chyba tak — bąknęłam, czując, że zabrzmiało to ponuro.

Matka należała do nielicznej grupy ludzi, przy których pozwalałam sobie na okazywanie słabości i niezadowolenia. Powtarzała, że człowiek musi filtrować emocje.

— Jestem wkurzona, że nie mogłam wybrać sama.

— Wkurzona? Ja jestem wściekła, że nawet ze mną o tym nie porozmawiał! — prychnęła. — Nie mogę uwierzyć, że cię potajemnie wywieźli! Jesteś moją córką, nie przedmiotem., który może sobie dowolnie przestawiać.

Przez chwilę matka przypominała Rose — obie miały niepohamowaną skłonność do mówienia wszystkiego, co myślą. Była to cecha całkowicie mi obca, wręcz egzotyczna. Czasem jednak, gdy zastanawiałam się nad swoją obsesją ciągłego kontrolowania, podejrzewałam, że to ja jestem dzi-wadłem.

— Jemu także nie powiedziano wszystkiego — bezwiednie stanęłam w obronie ojca. Był porywczy i gdyby rodzice

zaczęli się kłócić o mój udział w najnowszej misji, atmosfera w domu stałaby się nieznośna dla Zoo oraz mamy. Nauczyłam się stać na straży rodzinnego spokoju. — Nie znał szczegółów.

— Czasami ich nienawidzę — warknęła mama. — Jego również.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Również czułam do niego niechęć, to oczywiste, ale był moim ojcem. Wiele jego surowych decyzji wynikało z rozkazów alchemików. Rozumiałam, że mimo iż często czułam się tłamszona, praca dla nich była ważna. Gdyby ludzie dowiedzieli się o istnieniu wampirów, na świecie wybuchłaby panika. Gorzej, część ludzi o słabej woli, zaprzedałaby się w służbę strzygom w zamian za nieśmiertelność. Zdarzało się to znacznie częściej, niż chcielibyśmy przyznać.

— Nic się nie stało, mamó — rzuciłam pojednawczo. — Jestem zadowolona. Uwolniłam się od problemów i nawet pozwolono mi zostać w Stanach. — Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy te „problemy” mam już za sobą, ale uznałam, że to ją uspokoi.

Stanton nakazała mi zachować miejsce naszego pobytu w tajemnicy, lecz mogłam wyjawiać informację, że nie opuściliśmy kraju, a mama zapewne uznała, że tym razem otrzymałam łatwiejsze zadanie. Gawędziłyśmy jeszcze o tym i owym. Mama dostała wiadomość od mojej siostry Carly. Podobno dobrze sobie radziła w college'u, co przyjąłam z ulgą. Bardzo chciałam wiedzieć, jak się ma Zoe, jednak siłą woli powstrzymałam się od pytań. Bałam się usłyszeć jej głos w słuchawce, bo mogła nadal być na mnie wściekła albo co gorsza odmówić rozmowy.

Położyłam się w nastroju melancholii, żalując, że nie mogę zdradzić mamie wszystkich lęków i wątpliwości. Czynie tak powinna wyglądać normalna relacja matki i córki?

Mama na pewno by mnie wysłuchała. To ja miałam problem ze zwierzaniem. Poznałam zbyt dużo sekretów alchemików, by zachowywać się jak zwyczajna nastolatka.

Spałam długo i gdy poranne promienie słońca wpadły przez moje okno, obudziłam się w lepszym nastroju. Zadanie do wykonania i cel przed sobą nie pozwoliły użalać się nad własnym losem. Przypomniałam sobie, że robię to dla Zoe oraz dla innych. Ta myśl pomogła mi wziąć się w garść i zapomnieć o wątpliwościach — chociaż na jakiś czas.

Pojechałam po Keitha koło południa, a potem ruszyliśmy za miasto na spotkanie z Jill oraz morojem samotnikiem, który obiecał nam pomoc. Keith miał o nim wiele do powiedzenia. Clarence Donahue mieszkał w Palm Springs od trzech lat. Przeprowadził się tu po śmierci siostrzenicy, która zginęła w Los Angeles. Moroj bardzo przeżył tę stratę. Keith spotkał się z nim kilka razy przy okazji realizacji poprzednich zadań, a teraz żartował na temat jego braku równowagi psychicznej.

— Facet boleśnie odczuwa niedobory w banku krwi — zachichotał. Mogłam się założyć, że z niecierpliwością czeka na kolejne spotkanie.

Ciągle dowcipkował w równie kiepskim guście. Jednak w miarę jak zbliżaliśmy się do domu Clarence'a, zauważyłam, że ucichł i stał się nerwowy. W głowie zaświtało mi pewne podejrzenie.

— Ilu znasz morojów? — spytałam, kiedy skręciliśmy z głównej drogi na podjazd.

Dom przypominał jak żywo budowlę z gotyckiej powieści grozy — przysadzisty budynek z szarych cegieł mocno kontrastował z architekturą typową dla Palm Springs. Jedynym elementem kojarzącym się ze stylem zabudowań w Kalifornii były rosnące wokół palmy. Ale w tym ponurym miejscu wyraźnie nie pasowały.

— Wystarczająco wielu — odparł wymijająco. — Potrafię sobie z nimi radzić.

Pewność siebie w jego głosie wydała mi się wymuszona. Zrozumiałam, że mimo pozorów zuchwałości i drwiących komentarzy na temat morojów i wampirów Keith czuł się niepewnie na myśl o towarzystwie nie ludzi. Mogłam to zrozumieć. Podobnie reagowała większość alchemików. Nasza praca rzadko wymaga bezpośrednich kontaktów ze światem wampirów — zajmujemy się przede wszystkim ochroną ludzi. Tuszujemy ślady, przekupujemy świadków. To, co wiemy o wampirach, pochodzi głównie z opowieści i nauk przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Keith mówił, że spotykał się z Clarence'em, ale nie wspominał

o kontaktach z innymi morojami czy dampirami. A już na pewno nie w grupie, co właśnie miało nastąpić.

Mnie także nie cieszyła perspektywa przebywania z wampirami, lecz uświadomiłam sobie, że nie przeraża mnie już tak jak kiedyś.

Zmężniałam, przebywając z Rose

i jej przyjaciółmi. Odwiedziłam nawet królewski dwór morojów, na którym bywało niewielu alchemików. Skoro powróciłam z ich świata bez szwanku, z pewnością poradzę sobie i z tym zadaniem. Z drugiej strony poczułabym się pewniej, gdyby ten budynek nie wyglądał jak z horroru.

Stanęliśmy pod drzwiami. Wyglądaliśmy jak para typowych alchemików. Keith miał wiele wad, ale zawsze prezentował się schludnie. Miał na sobie spodnie koloru khaki, białą koszulę i granatowy jedwabny krawat. Koszula miała krótkie rękawy, wąpiłam jednak, by dzięki temu Keithowi było mniej gorąco. Zbliżał się wrzesień, temperatura przekraczała trzydzieści stopni. Ja też się pociłam w brązowej spódnicy, rajstopach i bluzce z krótkimi koronkowymi rękawami.

Keith podniósł rękę, chcąc zapukać do drzwi. Otworzyły się, zanim zdążył to zrobić. Nieco zachwiało to moją pewnością siebie.

Mężczyzna, który stanął w progu, wydawał się równie zaskoczony naszym widokiem. Trzymał w ręku paczkę papierosów, zdaje się, że właśnie wychodził przed dom, żeby zapalić. Otaksował nas wzrokiem.

— No? Przyszlście mnie nawracać czy sprzedajecie wykładowiny?

To rozbijające powitanie wystarczyło, by mnie uspokoić. Miałam przed sobą moroja, nieco starszego ode mnie, o ciemnobrązowych włosach, którym bez wątpienia poświęcił wiele uwagi, bo wyglądały na artystycznie potargane. W przeciwieństwie do prób Keitha, nieudolnie nadużywającego żelu, ten chłopak wyglądał naprawdę dobrze. Jak wszyscy moroje był blady, wysoki i smukły. Spojrzenie jadesitowych oczu nadawało twarzy wygląd postaci wyrzeźbionej przez kóregoś z tak podziwianych przeze mnie klasyków. Postarałam się jak najszybciej odpędzić tę myśl. Ostatecznie był to wampir. Nie mogłam przecież ot, tak sobie, podziwiać jego urody.

— Witam, panie Iwaszkow — odezwałam się. — Miło pana znowu widzieć.

Zmarszczył brwi.

— Znam cię. Jak to możliwe?

— My... — zamierzałam powiedzieć „poznaliśmy się”, ale zreflektowałam się, że nie przedstawiono nas sobie, kiedy widziałam go po raz ostatni. Chłopak był obecny, gdy Stan-ton i ja zostałyśmy przywiezione na dwór w celu przesłuchania. — Wpadliśmy na siebie w ubiegłym miesiącu. Na waszym dworze.

W oczach moroja pojawił się błysk.

— Rzeczywiście. Alchemiczka. — Zaskoczył mnie, bo po chwili przypomniał sobie, jak się nazywam. Nie spodziewałam się, że ktoś mnie tam zauważył, na dworze panowało straszne zamieszanie. — Sydney Sage.

Kiwnęłam głową, starając się nie zarumienić. I wtedy uświadomiłam sobie, że Keith przysłuchiwał się powitaniu struchlały. Przechwalał się, jak to potrafi sobie radzić z morojami, co w jego przypadku najwyraźniej oznaczało gapienie się z rozdziawioną buzią. Przedstawiłam sobie mężczyzn z uprzejmym uśmiechem.

— Keith, to jest Adrian Iwaszkow. Adrian, to mój kolega, Keith Darnell.

Adrian wyciągnął rękę, lecz Keith jej nie uścisnął. Nie umiałam ocenić, czy to z powodu szoku, czy raczej niechęci wobec wampirów. Adrian jednak się tym nie przejął. Opuścił rękę, sięgnął do kieszeni po zapalniczkę i przeszedł obok nas. Skinął głową w kierunku drzwi.

— Czekają na was. Wejdźcie. — Nachylił się do ucha Keitha i dorzucił złowieszczym tonem: — Jeśli się ośmielisz. — Szturchnął go w ramię i zaśmiał się demonicznie niczym potwór z baśni.

Keith omal nie podskoczył z przerażenia. Adrian zachichotał i ruszył przed siebie ogrodową ścieżką, zapalając po drodze papierosa. Zgromiłam go wzrokiem, chociaż mnie rozbawił, i popchnęłam Keitha w stronę drzwi.

— Idziemy — poleciłam.

Poczułam na skórze powiew klimatyzowanego powietrza. Keith nagle odzyskał rezon.

— Co to miało znaczyć?! — krzyknął z irytacją, kiedy weszliśmy do pomieszczenia. — Prawie mnie pobił!

Zamknęłam za nami drzwi.

— Daj spokój, wyszedłeś na idiotę. Przecież nic ci nie zrobił. Nie mogłeś choć trochę ukryć przerażenia? Wiedzą,

że za nimi nie przepadamy, ale ty sprawiałeś wrażenie, jakbyś miał zamiar uciec.

Przyznaję, podobał mi się widok Keitha wytrąconego z równowagi, lecz ludzka solidarność nie pozostawiała wątpliwości, po czyjej powinnam być stronie.

— Nieprawda — bronił się wyraźnie zażenowany. Szliśmy długim korytarzem o podłodze wyłożonej ciemnym drewnem. Panował w nim półmrok. — Boże, co jest z nimi nie tak? Już wiem. Nie są ludźmi.

— Ciszej — upomniałam go, zdumiona gwałtownością jego tonu. — Są tuż obok. Nie słyszysz?

Na końcu korytarza czekały na nas ciężkie przeszklone drzwi. Szkło było kolorowe i nieprzejryste. Zza szyby dobiegły przyciszone głosy. Zapukałam, czekając, aż ktoś nas poprosi. Złość znikła z twarzy Keitha, kiedy wymieniliśmy krótkie znaczące spojrzenia. Zaczęło się.

Weszliśmy do pokoju.

Wtedy zobaczyłam, kto jest w środku. Byłam przerażona równie mocno jak Keith.

Poczułam, że brakuje mi oddechu. Strach mojego towarzysza przed wampirami i dampirami wydawał mi się żalony, lecz teraz, gdy stanęłam twarzą w twarz z całą ich grupą, chciałam uciekać. Miałam wrażenie, jakby ściany pokoju zaciskały się wokół mnie, i myślałam tylko o ich kłach i o krwi. Świat zawirował mi przed oczami nie tylko z powodu liczby przybyłych.

Zauważyłam między nimi Abe'a Mazura.

„Oddychaj, Sydney. Oddychaj” — powtarzałam sobie. Nie było to łatwe. Abe symbolizował dla mnie tysiąc zagrożeń i bagno, w jakim się pogrążyłam.

Powoli odzyskiwałam ostrość widzenia i panowanie nad sobą. Abe nie był sam, postarałam się skupić na pozostałych, jego zaś ignorować.

W pokoju siedziały jeszcze trzy osoby, z których rozpoznałam dwie. Trzecim, nieznanym mi morojem - w starszym wieku, o przerzedzonych włosach i sumiastych białych wąsach - musiał być nasz gospodarz Clarence.

- Sydney! - wykrzyknęła Jill Mastrano z błyskiem radości w oczach.

Polubiłam ją, nie sądziłam jednak, że zrobiłam na niej wystarczające wrażenie, by zasłużyć sobie na takie powitanie. Jill wyglądała, jakby miała ochotę podbiec i mnie uściskać. Modliłam się w duchu, aby się powstrzymała. Keith nie powinien tego widzieć. Ani o tym pisać w raporcie.

Obok Jill siedział dampir, którego znałam w równym stopniu co Adriana, to znaczy widziałam go, ale nas sobie nie przedstawiono. Eddie Castile był również obecny podczas naszego przesłuchania na królewskim dworze i, o ile pamięć mnie nie myliła, wpakował się w poważne kłopoty. Swoją atletyczną sylwetką i opaloną twarzą do złudzenia przypominał człowieka. Miał włosy koloru piasku i orzechowe oczy, które spoglądały na mnie i na Keitha przyjaźnie, choć czujnie. Tak się zachowują strażnicy. Zawsze są gotowi, bezustannie wypatrują zagrożenia. W pewnym sensie to mnie uspokoiło.

Rozejrzałam się po pokoju, mój wzrok spoczął na Mazurze. Był wyraźnie rozbawiony tym, że go ignoruję. Na jego twarzy pojawił się chytry uśmieszek.

- Panno Sage - wycedził powoli. - Nie przywita się pani ze mną?

ROZDZIAŁ CZWARTY

WIDOK ABEA mógł odebrać mowę wielu ludziom, nawet gdyby nie wiedzieli, kim jest Mazur.

Obojętny na panujący na zewnątrz upał paradował w garniturze i pod krawatem. Ubranie włożył wprawdzie białe, lecz mimo to musiało mu być gorąco. Stroju dopełniały purpurowa koszula i róża w butonierce, także w kolorze purpury. W uszach i na szyi Abe'a lśniło złoto. Ponieważ pochodził z Turcji, jego skóra miała ciemniejszy odcień niż u większości morojów, choć i tak odznaczał się bladością nietypową dla ludzi.

Wyglądał jak opalony rekonwalescent po długiej chorobie.

- Witam — powiedziała sztywno. Uśmiezek przekształcił się w szeroki grymas.

- Jakże miło cię znowu widzieć.

- To dla mnie zawsze przyjemność - skłamałam gładko z nadzieją, że lepsze łgarstwo niż okazanie strachu.

- O, nie - sprzeciwił się. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- Skoro tak pan twierdzi... - bąknęłam, co rozbawiło go jeszcze bardziej.

Keith stał zeszywniały, więc podeszłam do starszego moroja i podałam mu rękę. Niech przynajmniej jedno z nas sprawia wrażenie dobrze wychowanego.

— Czy pan Donahue? Jestem Sydney Sage.

Clarence uśmiechnął się i ujął moją rękę w swoją pomarszczoną dłoń. Opanowałam się, choć wyraźnie wyczułam jego pragnienie. W przeciwieństwie do większości znanych mi morojów, nie ukrywał kłów. Ten widok nieomal stał mi uprzejmy uśmiech z twarzy. Uświadomił, że choć moroje przypominali czasem ludzi, pozostawali wampirami.

— Tak się cieszę — powiedział Clarence. — Słyszałem o tobie wiele wspaniałych rzeczy.

— Tak? — Uniosłam brwi, zastanawiając się, kto mógł o mnie opowiadać.

Clarence gorliwie przytaknął ruchem głowy.

— Witaj w moim domu. Jestem zachwycony tak licznym towarzystwem.

Nadszedł czas na formalne powitania. Eddie i Jill zachowywali się przyjaźnie, choć z lekką rezerwą. Keith nie uścisnął nikomu ręki, lecz przynajmniej zapanował nad miną obślinionego idioty. Usiadł na podsunięte mu krzesło z aroganckim wyrazem twarzy, który miał zapewne wyrażać pewność siebie. Obawiałam się, by nie przyniósł mi wstydu.

— Przepraszam. — Abe pochylił się w jego stronę. W ciemnych oczach wampira pojawił się błysk. — Powiedziałaś, że nazywałeś się Keith Darnell?

— Tak — potwierdził Keith. Przyglądał się Abe'owi z ciekawością, bez wątpienia wspominając rozmowę alchemików w Salt Lake City. Chłopak starał się okazać obojętność, lecz widziałam, że poczuł się nieswojo. Abe tak działał na ludzi. — Dlaczego pytasz?

- Bez powodu - uciął moroj. Przeniósł wzrok na mnie i znów spojrzał na Keitha. - Twoje nazwisko brzmi znajomo.

- Mój ojciec jest ważną postacią wśród alchemików -dorzucił Keith wyniośle. Odprężył się nieco, uznawszy, że opowieści o Mazurze musiały być przesadzone. Głupiec. -Bez wątpienia słyszałeś o nim.

- Bez wątpienia - powtórzył Abe. - Na pewno mi się skojarzyło.

Mówił od niechcienia i nikomu nie przyszłoby do głowy, że łuże. Tylko ja wiedziałam, skąd moroj zna Keitha, ale za nic nie chciałabym tego ujawniać. Nie sądziłam, by Abe zdradził coś więcej, podejrzewałam, że ciągnie tę pogawędkę, aby mnie rozdrażnić.

Postanowiłam zmienić temat i dowiedzieć się czegoś więcej.

- Nie sądziłam, że pan do nas dołączy, panie Mazur. - Słodycz w moim głosie dorównywała jego udawanej uprzejmości.

- Proszę cię... - wtrącił. - Wiesz, że możesz się do mnie zwracać po imieniu. Niestety, nie zostanę długo. Dopilnowałem jedynie, by ta grupka dotarła bezpiecznie na miejsce, i chciałem przywitać się z Clarence'em.

- To bardzo miło z twojej strony - rzuciłam sucho. Wątpiłam, że to były rzeczywiste motywy działania

Abe a. Nauczyłam się już, że ten moroj uwielbia komplikacje. Był mistrzem manipulacji. Nie poprzestawał na obserwacji zdarzeń, musiał wszystko kontrolować. Posłał mi tryumfujący uśmiech.

- Cóż, zawrze chętnie pomagam innym w potrzebie.

- Tak - odezwał się nowy głos. - Właśnie to przychodzi mi do głowy, kiedy o tobie myślę, staruszk.

Nie spodziewałam się, że czyjaś obecność może zadziwić mnie bardziej niż widok Abe'a. Jednak się myliłam.

— Rose? — To imię zabrzmiało w moich ustach jak pytanie, a przecież nie miałam wątpliwości, kim jest nowo przybyła. Istniała tylko jedna Rose Hathaway.

— Cześć, Sydney — przywitała mnie z krzywym uśmiechem. Jej błyszczące ciemne oczy patrzyły przyjaźnie, lecz jednocześnie błyskawicznie oceniły sytuację w pokoju, podobnie jak oczy Eddiego. Rose również zachowywała się jak urodzona strażniczka.

Była mniej więcej mojego wzrostu, ubrana zwyczajnie, w dzinsy i czerwony podkoszulek. Odznaczała się jednak egzotyczną, przez to niebezpieczną, urodą, która wyróżniała ją w tłumie. Wyglądała jak tropikalny kwiat w tym ciemnym zagraconym wnętrzu. Kwiat trujący. Nie poznałam jej matki, ale łatwo mogłam się dopatrzeć u Rose cech wskazujących na jej pokrewieństwo z Abe'em. Długie ciemnobrązowe włosy dziewczyny sprawiały wrażenie czarnych w słabym świetle. Jej wzrok padł na Keitha, któremu skinęła uprzejmie głową.

— Cześć, drugi alchemiku.

Keith wytrzeszczył oczy. Nie wiedziałam, czy zmieszał się z powodu obecności jeszcze jednej dampirzycy, czy może jej niezwykłego wyglądu i obcesowego zachowania.

— J... jestem Keith — wyjąkał nareszcie.

— Rose Hathaway — przedstawiła się, świdrując go wzrokiem, bo zorientowała się, kim jest. Zaraz potem ruszyła w stronę Clarence'a. Zauważyłam, że jej urok w dużej mierze tkwił w sposobie, w jaki kontrolowała otoczenie. Rysy Rose złagodniały, kiedy zwróciła się do starszego moroja. — Sprawdziłam dom zgodnie z twoją prośbą. Jest całkowicie bezpieczny, powinieneś tylko wymienić zamek w tylnych drzwiach.

— Jesteś pewna? — spytał z niedowierzaniem. — To nowy zamek.

— Był nowy w czasach, kiedy zbudowano ten dom — odezwał się kolejny głos. Zerknęłam w kierunku drzwi, uświadamiając sobie, że Rose nie przyszła sama. Nie zauważyłam tego, przejęta jej obecnością. Kolejna cecha Rose. Zawsze skupiała na sobie uwagę. — A zardzewiały, gdy się tu wprowadziliśmy.

Nowy przybysz okazał się morojem, co ponownie wytrąciło mnie z równowagi. Teraz przebywaliśmy w towarzystwie czworga wampirów i dwojga strażników. Staralam się nie zachowywać jak Keith — szczególnie że część obecnych znałam — jednak niełatwo było zapomnieć o stereotypowym podziale na Nas i na Nich. Moroje starzeją się jak ludzie. Zgadywałam, że nowy jest moim rówieśnikiem, choć może bardziej Keitha. Miał ładną twarz, czarne kręcone włosy i szare oczy. Jego uśmiech wydawał się szczery, chociaż dostrzegłam w nim niepewność. Chłopak utkwiał zaintrygowane spojrzenie we mnie i w Keicie. Pomyślałam, że nie spotyka często ludzi. Moroje rzadko kontaktują się z naszym światem, choć nie lękają się nas. Z drugiej strony ludzie nie stanowią dla nich zagrożenia.

— Jestem Lee Donahue. — Chłopak wyciągnął rękę na powitanie.

Keith nie podał mu swojej, ale ja uścisnęłam mu dłoń i przedstawiłam nas oboje.

Lee zerkał to na mnie, to na Keitha z widocznym zainteresowaniem.

— Jesteście alchemikami, prawda? Nie poznałem do tej pory żadnego z was. Macie piękne tatuaże — dodał, wpatrując się w znak złotej lilii na moim policzku. — Słyszałem, jak wiele mogą one zdziałać.

— Donahue? — odezwał się Keith. Przeniósł wzrok z chłopca na Clarence'a. — Jesteście spokrewnieni?

Lee posłał Clarence'owi pobłażliwe spojrzenie.

- To mój ojciec. Keith zmarszczył brwi.

- Ale nie mieszkasz tutaj? - zdziwiłam się, że akurat ten fakt go ośmielił. Może zaniepokoił się, że ma niepełne informacje. Ostatecznie był alchemikiem rewiru Palm Springs, a sądził, że Clarence jest jedynym morojem mieszkającym w tym rejonie.

- Nie na stałe - zgodził się Lee. - Studiuję w Los Angeles, lecz w tym semestrze mam dużo mniej zajęć. Postanowiłem więc spędzić więcej czasu z tatą.

Abe zerknął na Rose.

- Widzisz? - rzucił. - To się nazywa miłość do rodzica.

Przewróciła oczami w odpowiedzi.

Keith sprawiał wrażenie, jakby chciał zadać więcej pytań, lecz Clarence wciąż był pochłonięty kwestią zamku.

- Mógłbym przysiąc, że kazałem go wymienić.

- Mogę się tym zająć - obiecał Lee. - To nie powinno być trudne.

- Jestem pewien, że zamek jest dobry. - Clarence podniósł się chwiejnie. - Obejrzę go.

Lee podbiegł do ojca, zerkając na nas przepaszająco.

- Musisz to robić teraz? - Okazało się, że tak, więc dodał pospiesznie. - Pójdę z tobą. - Odniosłam wrażenie, że Clarence często działa pod wpływem impulsu, a Lee najwyraźniej do tego przywykł.

Skorzystałam z nieobecności gospodarzy, żeby uzyskać kilka niezbędnych wyjaśnień. Zwróciłam się do Jill.

- Nie napotkaliście żadnych przeszkód po drodze? Nie wydarzyło się nic nietypowego?

- Natknęliśmy się na paru dysydentów, zanim opuściliśmy dwór - wtrąciła Rose z lekkim niepokojem w głosie.

— Ale poradziłam sobie. Poza tym podróż przebiegła bez problemów.

— I tak pozostanie — stwierdził stanowczo Eddie, krzyżując ręce na piersi. — W każdym razie o ile ja mam tu coś do powiedzenia.

Popatrzyłam na nich zaintrygowana.

— Poinformowano mnie o przyjeździe jednego dampi-ra... Czyżby postanowiono wysłać dwoje?

— Rose sama się wprosiła — wyjaśnił Abe. — Chciała się upewnić, że o niczym nie zapomnimy. Eddie zostanie z wami w Amberwood.

Rose się zachnęła.

— To ja powinnam zostać z Jill i zamieszkać z nią w internacie. Bez urazy, Sydney. Jesteś nam potrzebna do załatwiania wszystkich formalności, ale sama skuteczniej skopałabym tyłek każdemu, kto wejdzie jej w drogę.

Nie zamierzałam się z nią spierać w tej kwestii.

— Nie — zaprotestowała Jill zadziwiająco skwapliwie. Kiedy widziałam ją po raz ostatni, była cicha i niepewna. Teraz zauważyłam w jej oczach błysk, wyraźnie nie chciała stać się ciężarem dla Rose. — Powinnaś wracać do Lissy i dbać o jej bezpieczeństwo. Mam Eddiego, a poza tym nikt nie wie, gdzie jestem. Mnie nic złego się nie stanie.

Rose miała sceptyczną minę. Najwyraźniej jej zdaniem nikt nie będzie chronił Wasylisty i Jill tak dobrze jak ona. To wiele mówiło o tym, jak niepewne i zdradliwe było otoczenie młodej królowej, którą chroniło przecież wielu strażników. Rose jednak nie mogła przebywać w dwóch miejscach jednocześnie. Musiała wybierać. Jej słowa ponownie zwróciły moją uwagę na Jill.

— To znaczy, że coś się wydarzyło? — spytałam. — Zostałaś ranna? Podobno padłaś ofiarą napaści. Czy to prawda?

W pokoju zaległa ciężka cisza. Moroje byli wyraźnie zbici z pantałyku. My też czuliśmy się nieswojo, lecz z innych powodów.

- Nic mi się nie stało — odpowiedziała w końcu Jill, po tym jak Rose posłała jej ostre spojrzenie. - Doszło do napaści, to prawda, lecz nikt z nas nie ucierpiał. To znaczy nie poważnie. Jedliśmy obiad, kiedy zaatakowali nas moroje, płatni mordercy. Ich celem najwyraźniej miała być Lissa, ale rzucili się na mnie. - Jill zawahała się i opuściła głowę, pozwalając, by długie brązowe loki opadły jej na twarz.

- Uratowano mnie jednak, a strażnicy pojмали sprawców — zakończyła szybko.

Pomyślałam, że ta nerwowość dodaje jej uroku. Jill zachowywała się jak zwykła nieśmiała nastolatka.

- Podejrzewamy, że część grupy zamachowców pozostaje na wolności, dlatego postanowiliśmy opuścić dwór -dorzucił Eddie.

Przyjrzałam mu się. Każdy gest strażnika dowodził światu, że jest gotów chronić Jill za wszelką cenę.

-Pozostaniemy tutaj, dopóki nie poznamy nazwisk zdrajców.

- Mam nadzieję, że nie potrwa to długo - zauważył Keith. Posłałam mu ostrzegawcze spojrzenie i zorientował się, że palnął gafę. - Chciałem powiedzieć, że to nie będzie dla was rozrywkowy pobyt. Taki tu upał i w ogóle.

- Tutaj jesteśmy bezpieczni - skwitował Eddie. - Tylko to się liczy.

W tej właśnie chwili wrócili Clarence i Lee, więc nikt nie wspomniał już o pochodzeniu Jill ani o napaści. Ojciec i syn wiedzieli jedynie, że Jill, Eddie i Adrian popadli w niełaskę wpływowych kręgów na królewskim dworze i musieli go opuścić. Sądzieli, że alchemicy pomagają Jill na po-

lecenie Abe'a. Zatailiśmy przed nimi jej tożsamość w imię wyższej sprawy. Nawet jeśli Clarence dobrowolnie zerwał wszelkie kontakty ze światem morojów, nie mogliśmy ryzykować, żeby on (albo Lee) zdradził komuś przypadkiem, że goszczą u siebie siostrę królowej. Eddie zerknął na starego moroja.

— Mówiłeś, że strzygi się tu nie zapuszczają, tak? Clarence popatrzył na niego lekko nieobecny wzrokiem, najwyraźniej pogrążony w rozmyślaniach.

— Tak... ale są gorsze rzeczy niż strzygi... Lee głośno jęknął.

— Tato, proszę. Tylko nie to.

Rose i Eddie zerwali się na równe nogi. Zdziwiłam się, że od razu nie sięgnęli po broń.

— O czym mówisz? — spytała ostro Rose.

— Są tu inne zagrożenia? — Głos Eddiego zabrzmiał niczym stal.

Lee się zarumienił.

— Nie ma... Naprawdę. Ojciec ma urojenia.

— Czyżby? — Clarence zmrużył oczy, spoglądając na syna. — Śmierć swojej kuzynki nazywasz urojeniem? I fakt, że moroje nie pomścili Tamary także?

Przypomniałam sobie rozmowę z Keithem w samochodzie.

Próbowałam uspokoić Clarence'a.

-- Tamara była pańską siostrzenicą, czy tak? Co się z nią stało?

— Została zamordowana — odparł i zrobił dramatyczną pauzę. —

Przez łowców wampirów.

— Przepraszam, kogo? — spytałam, sądząc, że się przesłyszałam.

— Łowców wampirów — powtórzył Clarence. Wszyscy obecni byli zdumieni równie mocno jak ja, co przyjął

z pewną ulgą. Nawet czujność Rose i Eddiego nieco osłabła.

— Och, nie przeczytasz o nich nigdzie, nawet w waszych raportach. Mieszkaliśmy w Los Angeles, kiedy ją dopadli. Zgłosiłem to strażnikom, zażądałem pościgu za zbrodniarzami. Wiesz, co mi odpowiedzieli? — Rozejrzył się po twarzach zebranych. — Wiecie?

— Nie — odparła łagodnie Jill. — Co powiedzieli? Lee westchnął, robiąc nieszczęśliwą minę. Clarence prychnął gniewnie.

— Powiedzieli, że tacy nie istnieją. Ze nie ma dowodów na poparcie mojego odkrycia. Jej śmiercią obarczyli strzygi i uznali, że nie mają już nic do zrobienia, a ja powinienem być wdzięczny, że jej nie przemienili.

Zerknęłam na Keitha. Był wyraźnie poruszony tą opowieścią. Jednak nie znał Clarence'a tak dobrze, jak twierdził. Wiedział, że starzec jest przygnębiony śmiercią siostrzenicy, lecz nie znał rozmiarów jego rozpacz. Teraz lekko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem? To wariat”.

— Strażnicy są bardzo skrupulatni — wtrącił Eddie, starannie dobierając słowa, żeby nie urazić moroja. Usiadł z powrotem obok Jill. — Na pewno wszystko sprawdzili.

— Nie sądzę — zachnął się Clarence. — Zaprzeczają oczywistym faktom. Wolą myśleć, że łowcy wampirów nie istnieją. Sam powiedz, jeśli moja Tamara została zabita przez strzygi, dlaczego podcięły jej gardło, i to nożem? — Clarence podkreślił swoje słowa gestem i Jill skuliła się na krześle. Rose, Eddie oraz Abe także wyglądali na poruszonych, co mnie zaskoczyło, spodziewałam się po nich większego opanowania. — Dlaczego po prostu nie wyssały z niej krwi? Podsunąłem tę myśl strażnikom. Odpowiedzieli, że ktoś

— ich zdaniem strzyga — wypił tylko połowę krwi Tamary.

Jestem pewien, że zrobił to łowca wampirów i postarał się, aby podejrzenie padło na strzygi. One nie miałyby powodu używać noża.

Widać było, że Rose się wahała. Chciała coś powiedzieć.

— To rzeczywiście dziwne — zaczęła spokojnie. Pomyślałam, że spróbuje ośmieszyć tę teorię spisku, lecz ugryzła się w język. — Jestem jednak pewna, że istnieje inne wytłumaczenie, panie Donahue.

Zastanawiałam się, czy nie podać informacji, że alchemicy nie słyszeli o łowcach wampirów od stuleci. Ubiegł mnie Keith. Skierował rozmowę na nieoczekiwane tory. Utkwił twardy wzrok w moroju.

— Takie postępowanie jedynie pozornie nie pasuje do strzygi. Jednak często robią one dziwne rzeczy bez przyczyny. Sam jestem tego dowodem.

Poczułam skurcz żołądka. „O, nie”. Wszystkie pary oczu zwróciły się na Keitha.

— Taak? — Abe pogładził czarną brodę. — A co się stało? Keith wskazał na szklane oko.

— W tym roku padłem ofiarą strzyg. Pobiły mnie i wykłuły oko, ale pozostawiły przy życiu.

Eddie zmarszczył brwi.

— Nie wypijając krwi? To rzeczywiście dziwne. Strzygi normalnie tak nie postępują.

— Nie sądzę, by w ich wypadku można było mówić o „normalności” — zauważył Abe. Zacisnęłam zęby, prosząc w duchu, by nie wciągał Keitha w tę rozmowę. „Błagam, nie pytaj o jego oko. Opuść”.

Oczekiwałam zbyt wiele. — Wykłuły ci tylko jedno? — ciągnął Abe. — Dlaczego nie obydwu?

— Wybaczcie. — Wstałam, zanim Keith zdążył odpowiedzieć. Nie mogłam spokojnie się przysłuchiwać, jak Abe

podpuszcza chłopaka dla samej przyjemności dręczenia mnie. Musiałam wyjść. — Ja... nie czuję się dobrze. Zaczepnę świeżego powietrza.

— Ależ oczywiście. — Clarence wyglądał tak, jakby również chciał się podnieść. — Poprosić gospodynię o szklankę wody? Mogę po nią zadzwonić...

— Nie, nie — rzuciłam, kierując się do drzwi. — Ja tylko... muszę na chwilę wyjść.

Wymknęłam się pospiesznie, słysząc za plecami słowa Abe'a.

— Cóż za delikatne stworzenie. Można by pomyśleć, że zdążyła już zmeźnić w tym zawodzie. Za to ty, młody człowieku, na pewno swobodnie rozmawiasz o krwi...

Abe mile polechtał Keitha, który nie zwlekając, przystąpił do opowieści. Zdecydowanie nie miałam ochoty tego słuchać. Przemierzyłam ciemny korytarz i znalazłam się na zewnątrz. Świeże powietrze mnie orzeźwiło, chociaż było znacznie goręcej niż w moim rodzinnym mieście. Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. „Wszystko będzie dobrze — przekonywałam się w duchu. — Abe wyjedzie, a Keith wróci do swojego mieszkania. Pojadę do Amber-wood razem z Jill i Eddiem, których towarzystwo będzie całkiem znośne”.

Nie zastanawiając się, dokąd idę, ruszyłam przed siebie ścieżką wokół domu, który przypominał prawdziwą rezydencję. Podziwiałam wyrafinowane ornamenty na murach. Nawet jeśli ten styl nie pasował do krajobrazu południowej Kalifornii, robił wrażenie. Architektura fascynowała mnie od zawsze. W przeciwieństwie do ojca zawsze zwracam uwagę na otoczenie. Zauważyłam, że posiadłość Clarence'a kontrastuje z terenami, które mijaliśmy po drodze. W tym regionie roślinność latem wysycha. Gospodarz

musiał wydawać fortunę na pielęgnowanie zieleni. Rosły tu egzotyczne drzewa obsypane kwiatami, które nadawały alejkom urokliwy wygląd.

Widok ogrodu mnie uspokoił. Po kilku minutach uznałam, że pora wracać do domu. Przystanąłam jednak, słysząc czyjś głos.

— Gdzie jesteś? — To był Abe. Wspaniale. Szuka mnie.

— Tutaj — usłyszałam cichą odpowiedź Adriana.

Musiał znajdować się w odległej części ogrodu po drugiej stronie domu. Rozległo się szuranie na żwirowej ścieżce, które ucichło w miejscu, gdzie, jak przypuszczałam, znajdowały się tylne drzwi.

Przygryzłam wargę i postanowiłam nie wychylać się zza węgła. Bałam się oddychać. Moroje odznaczają się niezwykłym słuchem, mogli mnie wykryć bez trudu.

— Zamierzałeś w ogóle wrócić"? — Abe był wyraźnie rozbawiony.

— Nie widziałem powodu — odparł lakonicznie Adrian.

— Choćby ze zwykłej uprzejmości. Powinieneś przynajmniej przywitać się z alchemikami.

— Oni nie mieli ochoty witać się ze mną. Szczególnie ten chłopak. — W głosie Adriana brzmiało rozbawienie. — Szkoda, że nie widziałeś jego miny, kiedy wpadliśmy na siebie w drzwiach. Żałowałem, że nie mam czarnej peleryny. Dziewczyna ma mocniejsze nerwy.

— Ich pomoc w Palm Springs jest dla nas bardzo cenna. Wiesz, jak ważne jest bezpieczeństwo Jill.

— Tak. Wiem, dlaczego ją tu wysłaliście. Nie rozumiem tylko, do czego ja jestem potrzebny.

— Czyżby? — zdziwił się Abe. — Sądziłem, że to oczywiste dla was obojga. Musisz się trzymać blisko niej.

Zapadło milczenie.

— Tak mówią wszyscy... — bąknął w końcu Adrian. — Ale nie jestem pewien, czy to naprawdę konieczne. Niezależnie od zdania Lissy i Rose, nie wydaje mi się, by Jill potrzebowała mojego towarzystwa.

— Masz coś lepszego do roboty?

— Nie w tym rzecz. — Teraz Adrian się zirytował. Ucieszyłam się, że nie jestem jedyną osobą, na którą Abe działa jak płachta na byka.

— Otóż to — skwitował. — Zbijasz bąki na dworze i użalasz się nad sobą. Tutaj będziesz mógł się na coś przydać.

— Tobie.

— Sobie również. Masz okazję zrobić w życiu coś wartościowego.

— Nie będziesz mi mówił, co mam robić! — Adrian nie zdołał się opanować. — Jakież to wielkie zadanie wyznaczyłeś mi poza opieką nad Jill?

— Słuchaj. Słuchaj i obserwuj. — Mogłam sobie wyobrazić, że Abe gładzi się w tej chwili po brodzie wypracowanym gestem. — Obserwuj wszystkich: Clarence'a, Lee, alchemików, Jill i Eddiego. Rejestruj każde słowo, każdy szczegół i zdawaj mi raporty. Wszystko może okazać się ważne.

— Nie sądzę, bym cokolwiek tu odkrył.

— Masz spory potencjał, Adrianie. Nie powinieneś go marnować. Bardzo mi przykro z powodu ciebie i Rose, ale musisz się z tym uporać. Może straciłeś poczucie celu, lecz to się zmieni. Zaufaj mi.

Prawie współczułam Adrianowi. Mnie również Abe kiedyś prosił o zaufanie i źle się to skończyło.

Poczekaliśmy, aż moroje wejdą do domu, i ruszyłam za nimi. Keith wciąż zgrywał chojraka, lecz przywitał mój powrót z ulgą. Omówiliśmy szczegóły i opracowaliśmy pory

karmienia. To ja miałam wozic Jill (oraz Eddiego, który nie chciał spuszczać jej z oczu) do domu Clarence'a.

— A jak ty zamierzasz spotykać się z karmicielem? — spytałam Adriana. Po tym, jak podsłuchałam jego rozmowę z Abe'em, jeszcze bardziej ciekawiła mnie jego rola.

Adrian stał pod ścianą po drugiej stronie pokoju. Skrzyżował ręce w obronnym geście, stał sztywno, co kontrastowało z niefrasobliwym uśmiezkiem. Wydawało mi się, że unika Rose.

— Przechodząc przez korytarz — rzucił lekko. Widząc moją zaskoczoną minę, Clarence pospieszył z wyjaśnieniami.

— Adrian zostanie u mnie. Miło będzie mieć towarzystwo w tych starych murach.

— Och. Prawdziwy *Tajemniczy ogród* — mruknęłam pod nosem.

— Hmm? — Adrian przechylił głowę w moją stronę. Zmieszałam się. Mieli naprawdę doskonały słuch.

— Nic. Przypomniała mi się pewna książka.

— Ach tak. — Adrian odwrócił wzrok, tracąc zainteresowanie.

Sposób, w jaki to powiedział, wyrażał całkowite lekceważenie literatury.

— Nie zapominaj o mnie. — Lee uśmiechnął się do ojca. — Mówiłem ci, że trochę tu pomieszka.

— Liczę zatem, że młody Adrian potrafi utrzymać cię z dala od kłopotów — oświadczył Clarence.

Wątek został zamknięty, zauważyłam jednak, że przyjaciele Adriana wymienili rozbawione spojrzenia.

Keithowi udało się nareszcie zapanować nad strachem, niemniej wyczuwałam w nim zniecierpliwienie i irytację, których powodu nie umiałam odgadnąć.

— Cóż. — Odchrząknął. — Powinienem już wracać, interesy czekają. A skoro mnie tu przywiozłaś, Sydney...

Utkwił we mnie znaczące spojrzenie. Zdążyłam już nabrać przekonania, że w Palm Springs nie było innych wampirów, więc zdziwiłam się, jakie to „interesy” Keith ma na myśli. Tak czy owak, musieliśmy wyjść. Eddie i Jill poszli po bagaż, Rose zaś skorzystała ze sposobności, żeby odciągnąć mnie na bok.

— Co słyhać? - spytała cicho i uśmiechnęła się do mnie szczerze. — Martwiłam się o ciebie, od kiedy... no wiesz. Nikt nie chciał mi powiedzieć, co się z tobą dzieje.

Gdy widziałyśmy się po raz ostatni, byłam uwięziona w hotelu przez strażników, podczas gdy moroje usiłowali dociec, na czym polegał mój udział w ucieczce Rose.

— Miałam trochę kłopotów - przyznałam. - Ale to już przeszłość. - Czym jest drobne kłamstewko między przyjaciółkami? Rose była tak twarda, że za nic nie chciałam okazać przed nią słabości. Nie przyznałabym, że nadal żyję w lęku przed alchemikami, zmuszona robić wszystko, czego zażądają, by powrócić do łask.

— Cieszę się — odparła. — Mówiono mi, że to twoja siostra ma się zająć Jill.

Przypomniała mi, że w każdej chwili może do tego dojść.

— To była pomyłka. Rose skinęła głową.

— Ulżyło mi, że ty tu zostaniesz, chociaż wolałabym... Cóż, uważam, że powinnam osobiście chronić Jill, ale nie mogę opuścić Lissy. Podobno Jill jest łatwiejszym celem, lecz Lissa też nie jest bezpieczna. - Zobaczyłam w jej oczach udrekę, zrobiło mi się żal Rose. Właśnie tego nie potrafiłam wytłumaczyć alchemikom, że dampiry i moroje wydawali się chwilami tak bardzo ludzcy. — Na dworze panuje kompletny obłęd, wiesz? Kłopoty zaczęły się, gdy Lissa objęła tron. Sądziłam, że teraz zyskamy z Dymitrem

więcej czasu dla siebie. - Uśmiechnęła się szerzej - Powinam była przewidzieć, że nigdy nie będziemy mieli łatwego życia. Cały czas nie spuszczałyśmy z oczu Lissy i Jill

- Jill będzie tu bezpieczna. Dopóki dysydenci nie dowiedzą się, dokąd ją wywieźliście, nie spodziewam się problemów. Zobaczysz, wynudzimy się tutaj.

Rose nadal się uśmiechała, choć nieco blado

- Mam nadzieję. Gdybyś wiedziała, co tam się działo Posmutniała. Chciałam, by mi opowiedziała o tych wydarzeniach, lecz szybko zmieniła temat.

-Pracujemy nad zmianą ustawy, zgodnie z którą Lissa potrzebuje przynajmniej jednego członka rodziny by zachować koronę. Kiedy to osiągniemy, Jill nie będzie już zagrożona. Na razie jednak zamachowcy będą się starali za wszelką cenę ją odnaleźć.

-Jak długo to potrwa? - spytałam. - Ile czasu potrzeba, by zmienić prawo?

- Nie wiem. Może kilka miesięcy. Nie znam się na tym - Skrzywiła się, lecz zaraz przybrała wojowniczą minę Odrzuciła włosy na bok. - Uwierz mi, że potrafię poradzić sobie ze zgrają obłąkańców zagrażających moim przyjacio-

-Pamiętam - przyznałam. Zrobiło mi się nieswojo Rose była najsilniejszą osobą, jaką znałam, a teraz odnosiłam wrażenie, że potrzebuje mojego wsparcia. - Posłuchaj, zajmij się tym, co do ciebie należy, a ja zrobię swoje Dopilnuję, by Jill nie została rozpoznana. Wywieźliście ją z pułapki. Tutaj jest bezpieczna.

-Mam nadzieję - powtórzyła ponuro. - Bo jeśli nie waszamała grupka nie będzie miała szans z tą bandą szalencow.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ROSE ZOSTAWIŁA MNIE i poszła się pożegnać z przyjaciółmi. Jej słowa wywołały dreszcze na moich plecach. W pierwszej chwili chciałam zażądać ponownego przeanalizowania naszej misji. Nalegać, by Jill dostała asystę dziesięciu strażników na wypadek napaści. Szybko jednak zrezygnowałam z tego pomysłu. Całe przedsięwzięcie opierało się na tym, by nas nie rozpoznano. Jill była bezpieczna dopóty, dopóki nikt nie wiedział, gdzie przebywa. Grupa strażników natychmiast wzbudziłaby uwagę morojów. Postępowaliśmy słusznie. Wszystko się ułoży.

Jeśli będę to sobie powtarzała wystarczająco często, tak właśnie się stanie.

Skąd więc ten złowieszczy ton w głosie Rose? Po co przyjechał Eddie? Czyżby ta misja zmieniła się z „uciażliwej” na „zagrożającą życiu”?

Jill podczas spotkania była milcząca, obserwowała nas z ciekawością, acz niespokojnie. Najchętniej rozmawiała, gdy zagadywał ją Lee.

Wiedząc, jak blisko Jill jest związana z Rose, spodziewałam się ich łzawego pożegnania. Tymczasem mojej nowej podopiecznej najtrudniej było się rozstać z Adrianem.

Rzuciła mu się na szyję i zacisnęła palce na jego koszuli. To gorące pożegnanie zaskoczyło również samego Adriana. Złagodniał i niezręcznie poklepał ją po plecach.

— Już dobrze, Ślicznotko. Niedługo się zobaczymy.

— Chciałabym, żebyś pojechał z nami — pisnęła Jill. Uśmiechnął się do niej.

— To nie jest dobry pomysł. Inni mogą się bawić w powrót do szkolnej ławy, ale mnie wyrzucono by już pierwszego dnia. Tutaj przynajmniej nie będę nikogo deprawował... Z wyjątkiem Clarence'a a i jego zapasów w barku.

— Będę do ciebie dzwoniła — obiecała.

Adrian spojrzał na nią z rozbawieniem i smutkiem jednocześnie.

— Ja też będę dzwonił do ciebie.

Zaskoczyła mnie ta krótka rozmowa. Arogancja i nonszalancja Adriana nie pasowała do uroczej nieśmiałości Jill. Tych dwoje stanowiło doprawdy dziwną parę przyjaciół. Nie byli w sobie zakochani, lecz łączyła ich bliska więź, czego nie potrafiłam zrozumieć. Przypomniałam sobie, co powiedział Abe, że zadaniem Adriana jest trzymać się blisko Jill. Coś podpowiadało mi, że istnieje jakiś związek między jego słowami a sceną, której byłam teraz świadkiem. Rozwikłanie tej zagadki odłożyłam jednak na później.

Zrobiło mi się smutno na myśl o rozstaniu z Rose, chociaż cieszyłam się, że pożegnam Abe'a i Keitha. Abe rzucił mi na odchodnym kilka typowych dla siebie zawołanych docinków i posłał znaczące spojrzenie. Wysadziłam Keitha przed domem. Przypomniał, byśmy pozostawali w kontakcie. Ciekawe, co takiego mógłby mi przekazać, skoro większość obowiązków należała do mnie. Nie miał nic do roboty poza wylegiwaniem się w śródmiejskim apartamencie. Przynajmniej nie musiałam go często widywać.

Nigdy nie przypuszczałam, że będę tak zadowolona, wioząc w aucie wampira i dampira.

Jill denerwowała się podczas jazdy. Eddie wyczuł to i próbował ją uspokoić.

— Niedługo znowu spotkamy się z Adrianem - pocieszał, zerkając dyskretnie do tyłu.

— Wiem — odparła z westchnieniem.

— Jesteś bezpieczna. Nie znajdą cię tutaj.

— To także wiem — powiedziała.

— Czy to było coś poważnego? - spytałam. - Mam na myśli napaść na ciebie. Nie opowiedziano mi szczegółów.

Kątem oka dostrzegłam, że Eddie zerknął na Jill.

-Raczej tak - odparł ponuro. - Najważniejsze, że wszyscy już doszli do siebie.

Koniec tematu. Zorientowałam się, że ta informacja powinna mnie zadowolić. Zachowywali się tak, jakby chcieli o tym zapomnieć. Zaniepokoiła mnie jednak ich rezerwa. Wydarzyło się coś, o czym alchemicy nie mieli pojęcia. Moroje wyraźnie postanowili utrzymać to w tajemnicy. Zgadywałam, że miał z tym związek Adrian. Bąknął coś

O „oczywistych powodach” swojego przyjazdu do Palm Springs, a wtedy Abe zasugerował ukryty motyw, z którego Iwaszkow nie zdawał sobie sprawy. Irytowała mnie ta tajemniczość, ostatecznie ryzykowałam własne życie. Spodziewali się, że dobrze wykonam swoje zadanie, a odmawiali mi wszystkich potrzebnych informacji.

Alchemicy bezustannie mają do czynienia z sekretami

i jako jedna z nich, mimo swoich „potknięć”, zmuszona byłam drażnić temat. Skoro nikt nie chciał udzielić mi wyjaśnień, postanowiłam znaleźć je sama.

Przed wszystkim powinnam się postarać, by Eddie i Jill czuli się przy mnie swobodnie. Nie uważali wprawdzie lu-

dzi za mroczne stwory, lecz nie zdobyłam w pełni ich zaufania. To mnie nie dziwiło. Sama również im nie ufałam.

Zapadł późny wieczór, gdy dojechaliśmy do Amberwood. Obejrzelśmy z Keithem szkołę wcześniej, teraz Eddie i Ji 11 chłonęli otoczenie szeroko otwartymi oczami. Dom Clarence'a hołdował tradycji, tutaj zaś niepodzielnie panowała nowoczesność charakterystyczna dla Kalifornii i architektury Południa. Wzdłuż wypielegnowanych zielonych trawników rosły palmy. Słońce już zaszło, lecz uczniowie spacerowali jeszcze alejkami wijącymi się na terenie kampusu.

Po drodze wstąpiliśmy jeszcze na szybką przekąskę, a teraz musiałyśmy rozstać się z Eddiem. Jako osiemnastolatka posiadająca samochód i „pozwolenie rodziców” mogłam swobodnie opuszczać szkołę, pod warunkiem że będę stawiać się z powrotem przed porą ciszy nocnej.

Eddie był niespokojny, żegnając się z Jill, zwłaszcza gdy dowiedział się, jak daleko od niej zamieszka. Rozległy teren prywatnej szkoły z internatem podzielono na trzy kampusy: wschodni, zachodni i środkowy. W kampusie wschodnim znajdowały się bursy dla dziewcząt, a zachodni zajmowali chłopcy. Kampus środkowy, największy, mieścił budynki administracji szkolnej oraz sale wykładowe i tereny rekreacyjne. Pomiędzy oddalonymi o półtora kilometra kampusami w ciągu dnia jeździł autobus, choć ci, którzy dobrze znosili upały, chodzili piechotą.

Eddie dowiedział się, że nie wolno mu przebywać w bursie dziewcząt. Podejrzywałam, że gdyby znalazł sposób, sypiałby na podłodze przy łóżku Jill jak wierny pies. Z zainteresowaniem obserwowałam tę dwójkę. Nigdy dotąd nie widziałam moroja i dampira razem. Dopiero teraz miałam okazję przekonać się, na czym polega służba strażników, i zrozumiałam, jak wyczerpujący i gruntowny trening prze-

chodzą. Eddie był niezwykle czujny. Wciąż pilnie obserwował otoczenie. Nic nie umknęłoby jego uwadze.

- Jak skuteczny jest tutejszy system bezpieczeństwa? - spytał od razu, gdy weszliśmy do internatu.

Chciał wszystkiemu się przyjrzeć, zanim wróci do siebie. O tej porze w holu panował spokój, tylko kilkoro spóźnionych uczniów minęło nas z kartonami i walizkami. Zerkali na nas z zainteresowaniem, co przyprawiło mnie o dreszcz niepokoju. Spróbowałam się uspokoić. Biorąc pod uwagę ostatnie burzliwe wydarzenia, perspektywa szkolnego życia nie powinna napawać mnie lękiem, a jednak było inaczej. Alchemicy nie przekazali mi szczegółowych wytycznych, jak się odnaleźć w sytuacji.

- Na pewno będziemy bezpieczne - stwierdziłam przyciszonym głosem. - Wprawdzie nikt tu nie jest przygotowany na atak łowców wampirów, lecz administracji zależy na bezpieczeństwie uczniów. Wiem, że nocą teren kampusów patroluje ochrona.

Eddie zmierzył wzrokiem opiekunkę, tęgą siwowłosą kobietę obserwującą zza biurka hol. - Sądzisz, że została wyszkolona do walki? Dałaby radę powstrzymać intruza?

- Jestem pewna, że znokautowałyby chłopaka próbującego zakraść się do pokoju dziewczyny - zażartowała Jill. Położyła mu rękę na ramieniu, a Eddie podskoczył. - Wy-luzuj. To bezpieczne miejsce.

Troska Eddiego podziałała na mnie kojąco, choć z drugiej strony zastanawiałam się, czemu aż tak bardzo się przejmował. Był świadkiem napaści, o której nie chcieli mi opowiedzieć. Znał zagrożenie, ponieważ widział je na własne oczy. Czy jego niepokój nie oznaczał przypadkiem, że wciąż coś nam groziło? Alchemicy przekonywali mnie, że po przyjeździe do Amberwood będziemy całkowicie bezpieczni. Po rozmowie z Rose utwierdziłam się w takim sa-

mym stanowisku. Postawa Eddiego sugerowała jednak, że sytuacja nie została opanowana.

Pokój, który miałam dzielić z Jill, okazał się ciasny jak na moje wymagania. Przywykłam do posiadania własnego kąta i do tej pory nie musiałam się martwić koniecznością dzielenia się z kimś miejscem w szafie. Na szczęście okno wychodziło na piękny dziedziniec z tyłu budynku, spodobał mi się też lekki, jasny wystrój wnętrza z meblami wykończonymi klonowym drewnem. Wszystko wyglądało na nowe: łóżka, biurka i szafki. Nie mieszkałam nigdy w bursie, ale zorientowałam się po reakcji Jill, że dobrze trafiłyśmy. Oznajmiła, że pokój jest większy od tego, który zajmowała w morojskiej Akademii Świętego Władimira, i była uszczęśliwiona.

Wydawało jej się, że mamy dużo przestrzeni, gdyż nie przywiozłyśmy ze sobą zbyt wielu rzeczy. Obie opuszczałyśmy domy w pośpiechu i nie miałyśmy czasu na spakowanie. Dzięki meblom wnętrze wydawało się przytulne i ciepłe, ale pokój pozbawiony osobistych drobiazgów wyglądał na ascetyczny. Opiekunkę internatu, panią Weathers, zdziwił nasz skromny bagaż. Dziewczyny przyjeżdżały samochodami wypchanymi do granic możliwości. Miałam nadzieję, że nie wzbudziłyśmy tym podejrzeń.

Powoli szykowałyśmy się do snu. Jill przystanąła przed oknem.

— Tak tu sucho — mruknęła bardziej do siebie niż do mnie. — Pielęgnują zieleń na trawnikach, ale dziwnie jest nie oddychać wilgotnym powietrzem. — Zerknęła na mnie nieśmiało. — Władam żywiołem wody.

— Wiem — odparłam, nie mając pojęcia, co mogłabym jeszcze dodać.

Jill nawiązała do magicznych zdolności, jakie posiadali wszyscy moroje. Każdy specjalizował się w panowaniu

nad ziemią, powietrzem, wodą, ogniem lub nieokreślonym nadnaturalnym żywiołem ducha. Moc tego ostatniego posiadali jednak nieliczni, słyszałam, że zalicza się do nich Adrian. Nie żałowałam, że Jill będzie miała ograniczony dostęp do swojej magii. Czary, podobnie jak żywienie się krwią, dobitnie przypominały, że moi towarzysze nie należeli do świata ludzi.

Gdybym nie czuła się wyczerpana jazdą z Keithem, miałabym zapewne problemy z zaśnięciem, wiedząc, że na sąsiednim łóżku leży wampirzyca. Kiedy poznałam Rose, nie byłam w stanie wytrzymać z nią w jednym pomieszczeniu nawet przez krótki czas. Wspólna szalona ucieczka nieco zmieniła moje nastawienie. Teraz w ciemności dawny lęk powrócił. „To jest jednak wampir”- słyszałam w myślach. Próbowałam powtarzać sobie, że nie mam się czego bać.

Ostatecznie zmęczenie wzięło górę i zasnęłam.

Rankiem zerknęłam w lustro, żeby sprawdzić, czy nie noszę na szyi śladów ukąszeń. Poczułam się jak idiotka. Przekonawszy się, jak trudno dobudzić Jill, nie mogłam sobie wyobrazić, że zakrada się w nocy i pije moją krew. Musiałam się nieźle nagimnastykować, by wyciągnąć ją z pokoju na czas. Była nieprzytomna, miała przekrwione oczy i skarżyła się na ból głowy. Uznałam, że nie mam powodu obawiać się nocnych napaści ze strony współlokatorki.

Wyszliśmy z internatu i odszukałyśmy Eddiego, który wraz z innymi uczniami czekał przy fontannie w środkowym kampusie. Większość przybyłych stanowili nowicjusze, jak Jill. Dostrzegłam niewielu rówieśników moich i Eddiego. Byłam zaskoczona, widząc, jak swobodnie z nimi gawędzi. Po wczorajszej demonstracji niezwyklej czujności sądziłam, że będzie zachowywał się sztywno i trzymał na

uboczu. Tymczasem on błyskawicznie wmieszał się w tłum. Jednak to były pozory. Eddie nadal pozostawał uważny. Mógł sobie odgrywać uczniaka, ale pozostał strażnikiem.

Właśnie opowiadał, że jeszcze nie poznał współlokatora, gdy podszedł do nas uśmiechnięty chłopak o jasnoniebieskich oczach i rudawej czuprynie.

— Cześć — przywitał się. Z bliska zobaczyłam, że jest lekko piegowaty. — Eddie Melrose?

— Zgadza się. — Eddie wykonał błyskawiczny półobrót, gotów odeprzeć niespodziewany atak. Na widok chłopaka znieruchomiał. Wybałuszył oczy i zamilkł.

— Jestem Micah Vallence. Twój współlokator. Poza tym pomagam uczniom odnaleźć się w pierwszych dniach szkoły. — Chłopak skinął głową w kierunku rozgadanej grupki i się uśmiechnął. — Dopiero przyjechałem i chciałem się najpierw przywitać. Moja mama postanowiła wykorzystać okres wakacji do ostatniego dnia.

Eddie wciąż gapił się na Micaha, jakby zobaczył ducha. Przyjrzałam się wnikliwie przybyłemu, zachodząc w głowę, co takiego dostrzegł w nim Eddie. Micah wyglądał na zwyczajnego chłopaka. Jill jednak nie była świadoma reakcji swojego pobratymca, bo patrzyła na nowego bez lęku czy zdziwienia.

— Miło mi — wybąkał nareszcie Eddie. — To moje, uhm, siostry... Jill i Sydney.

Micah uśmiechnął się do każdej z nas z osobna. Czułam się przy nim bardzo swobodnie. Rozumiałam, dlaczego został wybrany do pomocy nowicjusom. Nadal mnie jednak intrygowało, dlaczego Eddie tak dziwnie zareagował na jego widok.

— W których jesteście klasach? — spytał.

— W ostatniej — odparłam. — Jesteśmy z Eddiem rodzeństwem.

— A ja dopiero zaczynam naukę — wtrąciła Jill.

Ja i Eddie spokojnie mogliśmy uchodzić za rodzeństwo. Mieliśmy podobną karnację i kolor włosów, a poza tym wyglądaliśmy jak ludzie. Wprawdzie żaden człowiek na widok Jill nie wykrzyknąłby:

„Wampirzyca!”, lecz pod pewnymi względami wyglądała niezwykle. Smukła sylwetka i bladość skóry wyraźnie kontrastowały z naszymi.

Jeśli Micah dostrzegł brak rodzinnego podobieństwa, nie okazał tego.

— Masz tremę w pierwszym dniu? — zagadnął Jill. Potrząsnęła głową, odwzajemniając uśmiech.

— Jestem gotowa podjąć wyzwanie.

— Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała — zaproponował. — Teraz muszę oficjalnie rozpocząć imprezę. Porozmawiamy później.

Sądząc po spojrzeniu, jakie Micah posłał Jill, był gotów pomagać jej we wszystkim. Ona zauważyła to również i się zarumieniła. Zawstydzona odwróciła wzrok. Uznałabym tę scenę za uroczą, gdyby nie potencjalne kłopoty, jakie się z nią wiązały. Jill trafiła do szkoły pełnej ludzi. W żadnym wypadku nie wolno jej było z kimkolwiek się spotykać, nie powinna więc zachęcać Micaha. Eddie, zdaje się, nie dostrzegł problemu, najwyraźniej ciągle przeżywał spotkanie ze współlokatorem.

Micah poprosił wszystkich o uwagę, po czym podał ogólne wskazówki dotyczące funkcjonowania kampusu i oprowadził nas po jego terenie. Podążaliśmy za nim i wchodziliśmy do kolejnych klimatyzowanych budynków. Po drodze wyjaśnił, jak korzystać ze szkolnego transportu, a potem pojechaliśmy do zachodniego kampusu, który wyglądał niemal identycznie jak wschodni. Chłopcy i dziewczęta mogli odwiedzać się w pokojach pod warunkiem, że będą trzymali się zasad, które Micah skwapliwie nam

wyłożył. Wywołało to pomruki niezadowolenia. Przypomniałam sobie dostojną panią Weathers i ogarnęło mnie współczucie dla chłopców, którzy próbowaliby złamać reguły panujące w jej internacie.

We wszystkich bursach znajdowały się bufety dla uczniów całej szkoły. Nasza grupka zjadła więc wspólny lunch na terenie zachodniego kampusu. Micah przysiadł się do mojej „rodziny” i starał się zamienić parę słów z każdym z nas. Eddie odpowiadał uprzejmie, kiwał głową i zadawał pytania, ale wciąż patrzył na chłopaka przerażony. Jill z początku okazywała onieśmienie, lecz rozluźniła się pod wpływem żartów Micaha.

Ze zdumieniem zauważyłam, że Eddie i Jill szybciej przystosowali się do nowej sytuacji niż ja. Znaleźli się w nieznanym otoczeniu, z przedstawicielami obcego gatunku, ale jakoś dawali sobie radę w szkolnym środowisku. Od razu weszli w swoje role. Tymczasem ja, mimo że podróżowałam po całym świecie i mieszkałam w różnych miejscach, czułam się tutaj obco.

Na szczęście szybko się zorientowałam w tutejszych zwyczajach i procedurach. Alchemicy są szkoleni w sztuce obserwacji i przystosowywania, toteż jeśli nawet nie poczułam się w tej szkole jak u siebie, wiedziałam, co powinnam robić. Nie bałam się też kontaktów z innymi uczniami — przywykłam do zawierania znajomości, a w razie potrzeby do zachowywania dystansu. Jednego musiałam się jednak nauczyć. Kontrolowania tego, co mówię.

Jedliśmy lunch. Przy sąsiednim stoliku dwie dziewczyny rozmawiały o koleżance, która jeszcze nie dojechała.

— Słyszałam, że jej rodzina przenosi się do Anchorage. Druga uniosła brwi.

— Poważnie? Umarłabym, gdybym musiała tam zamieszkać.

— Czy ja wiem — mruknęłam, bawiąc się jedzeniem. — Biorąc pod uwagę tutejszy upał, przeprowadzka do Anchorage może przedłużyć komuś życie. Tam nie trzeba używać tyłu kremów z filtrem, więc w dodatku żyje się taniej.

Sądziłam, że mój komentarz okaże się pomocny, lecz kiedy zerknęłam w stronę przyjaciółek, odkryłam, że gapią się na mnie bezmyślnym wzrokiem. Nie miały pojęcia, o czym mówię.

— Chyba nie powinnam wypowiadać każdej uwagi, jaka przychodzi mi na myśl — mruknęłam do Eddiego.

Przywykłam do bezpośrednich rozmów z ludźmi, w tej sytuacji jednak powinnam była raczej rzucić coś w rodzaju: „Tak, to masakra”. Cóż, miałam niewielu znajomych w swoim wieku i wypadłam z obiegu.

Eddie uśmiechnął się do mnie.

— Nie wiem, siostrzyczko. Ale twoje uwagi są zabawne. Nie powstrzymuj się.

Po lunchu wróciliśmy do środkowego kampusu, tam rozeszliśmy się, żeby porozmawiać z doradcami i ustalić program zajęć. Usiadłam w towarzystwie pogodnej młodej kobiety o imieniu Molly i wcale się nie zdziwiłam informacją, że alchemicy przysłali już moje „dyplomy” z fikcyjnej szkoły w Dakocie Południowej. Program rzekomych zajęć pokrywał się z przebiegiem domowej edukacji.

— Masz wystarczająco dobre oceny i wyniki testów, by podjąć naukę w grupach najbardziej zaawansowanych z matematyki i angielskiego — oznajmiła Molly. — Jeśli będziesz sobie dobrze radziła, może dostaniesz list polecający do college'u.

„Szkoda, że nie mam nadziei na studia” — pomyślałam z żalem.

Tymczasem Molly przerzuciła kilka kartek w mojej teczce.

— Nie widzę, byś uczyła się jakiegoś obcego języka. W Araberwood wymagamy przynajmniej jednego.

Ups. Alchemicy jednak namieszcili mi w papierach. W rzeczywistości uczyłam się kilku języków. Ojciec dopilnował, bym rozpoczęła edukację od najmłodszych lat, szczególnie że jako alchemiczka nie mogłam być pewna, dokąd zostanę wysłana. Przeglądając listę kursów językowych Amberwood, zawahałam się, czy powinnam kłamać. Ostatecznie uznałam, że nie mam ochoty powtarzać koniugacji i czasów.

— Znam te wszystkie języki — poinformowałam Molly. Obrzuciła mnie sceptycznym spojrzeniem.

— Wszystkie? Jest ich pięć. Potwierdziłam ruchem głowy i dodałam:

— Ale japońskiego uczyłam się tylko przez dwa lata. Mogę to pociągnąć.

Molly wciąż mi nie wierzyła.

— Zgodzisz się na krótki egzamin?

W ten sposób reszta popołudnia upłynęła mi na pisaniu testów językowych. Nie tak to sobie wyobrażałam, ale uznałam, że warto się postarać, aby później mieć to z głowy. Pytania okazały się łatwe.

Po trzech godzinach wypełniłam testy z pięciu języków i Molly zabrała mnie, aby dopasować szkolny mundurek. Większość nowych uczniów miała tę procedurę za sobą i Molly bała się, że nie zastaniemy już krawcowej. Staralam się iść jak najszybciej i o mało nie wpadłam na dwie dziewczyny wychodzące zza rogu.

— Och! — wykrzyknęłam, czując się idiotycznie. — Przepraszam, muszę zdażyć na przymiarke.

Jedna z dziewczyn roześmiała się dobrodusznie. Miała ciemną skórę i atletyczną sylwetkę oraz falujące czarne włosy.

— Spokojnie — powiedziała. — Przechodziłyśmy obok pracowni. Krawcowa jeszcze nie wyszła.

Jej koleżanka swoje blond włosy, nieco jaśniejsze od moich, związała w koński ogon. Obie zachowywały się swobodnie i pewnie, jak ludzie, którzy poruszają się w dobrze znanym świecie. Nie były tu nowe.

— Pani Delaney zawsze pracuje dłużej, niż pierwotnie zakłada — dodała blondynka. — Każdego roku... — Z jakiegoś powodu słowa utknęły jej w gardle. — Skąd... skąd to masz?

Nie miałam pojęcia, o co pyta, ale brunetka też to zauważyła i nachyliła się do mnie bliżej.

— Niesamowity! To najnowszy trend tego roku?

— Twój tatuaż — wyjaśniła blondynka, bo najwyraźniej miałam głupią minę. — Gdzie go zrobiłaś?

— Ach, to. — Bezwiednie dotknęłam palcami policzka. — W... Dakocie Południowej. Pochodzę stamtąd.

Obie dziewczyny miały rozczarowane miny.

— To dlatego pierwszy raz widzę coś takiego — mruknęła ciemnowłosa. — Sądziłam, że w Nigdy Nigdy wymyślono nowy projekt.

— Nigdy Nigdy? — nie zrozumiałam. Dziewczyny wymieniły znaczące spojrzenia.

— Jesteś nowa, prawda? Jak masz na imię? — spytała blondynka. — Ja jestem Julia, a to jest Kristin.

— Sydney — przedstawiłam się, wciąż zakłopotana. Julia uśmiechnęła się do mnie.

— Zjedźmy razem lunch jutro we wschodnim. Wszystko ci wyjaśnimy.

— W jakiej sprawie? — chciałam wiedzieć.

— To długa historia. Tymczasem pędź do Delaney — dodała Kristin, zbierając się do odejścia. — Zostaje po godzinach, ale w końcu sobie pójdzie.

Odeszły, a ja powlokłam się w swoją stronę, analizując przebieg spotkania. Czyżbym właśnie poznała nowe koleżanki? Nie wiedziałam, jak zawiera się przyjaźnie w takich szkołach, i czułam się niepewnie.

Pani Delaney pakowała się, gdy weszłam.

— Jaki nosisz rozmiar, złotko? — spytała.

— Zerówkę.

Zaprezentowała kilkanaście ubrań: spódniczki, spodnie, bluzki i sweterki. Nie chciało mi się wierzyć, że kiedykolwiek włożę tu sweter. Chyba że Palm Springs nawiedzi nagle apokaliptyczna zamieć. Amberwood nie stawiała ograniczeń w kwestii doboru garderoby, pod warunkiem że pasowała do tutejszego stylu. Aprobowanymi kolorami były burgund, ciemnoszary i biały, co uznałam za gustowne zestawienie.

Pani Delaney przyglądała się, jak zapinam białą bluzkę.

— Sądzę, że powinnaś nosić dwójkę — zasugerowała.

Znieruchomiałam w połowie gestu.

— Noszę zerówkę.

— O, tak, mieścisz się w tym rozmiarze, ale spójrz na ramiona i długość spódniczki. Wygodniej byłoby ci w dwójce. Przymierz to.

Podąła mi nowy zestaw i się roześmiała.

— Nie miej tak oburzonej miny, dziewczyno! Dwójka to nic straszego. Jesteś chuda jak patyczek. — Poklepała się po okrągłym brzuchu. — W moich ubraniach zmieściłyby się trzy takie jak ty!

Mimo protestów zostałam więc odesłana z zestawem ubrań w rozmiarze dwa. Zniechęcona wróciłam do internatu autobusem i zobaczyłam w pokoju Jill leżącą na łóżku z książką. Gdy weszłam, współlokatorka się podniosła.

— Cześć! Zastanawiałam się, gdzie przepadłaś.

— Coś mnie zatrzymało — wyjaśniłam z westchnieniem. — Lepiej się czujesz?

— Tak. Znacznie lepiej. — Jill przyglądała się, jak układam nowe ciuchy. — Są okropne, prawda? U Świętego Władimira nie musieliśmy nosić mundurków. Co za nuda, wkładać codziennie te same ubrania.

Nie było potrzeby wspominać, że jako alchemiczka niemal bez przerwy paradowałam w oficjalnych strojach.

— Jaki rozmiar ci dała? — spytałam, aby zmienić temat. Chciałam się ukarać.

— Zerówkę.

Poczułam ukłucie zazdrości, wieszając swoje rzeczy w szafie obok mundurków Jill. Nagle zrobiła się ze mnie grubaska. Jakim cudem te morojki były tak chude? Czy to kwestia genów? Małej ilości węglowodanów we krwi? A może to skutek wysokiego wzrostu. W ich towarzystwie zawsze wydawało mi się, że ubieram się bez gustu, i zaczynałam planować przejście na dietę.

Kiedy skończyłam, porównaliśmy z Jill program zajęć. Byłyśmy w różnych klasach, więc nie zdziwiłam się, że prawie nie miałyśmy wspólnych lekcji. Wyjątek stanowiło wychowanie fizyczne. Były to zajęcia obowiązkowe dla wszystkich, bo w Amberwood podkreślano znaczenie sprawności fizycznej. Uznałam, że warto stracić parę kilo i wrócić do normalnego rozmiaru.

Jill uśmiechnęła się, oddając mój plan.

— Eddie zażądał, by zapisano go z nami na wuef, bo to jedyna lekcja, którą możemy mieć razem. W tym czasie wypada mu jednak hiszpański, więc nie dostał zgody. Nie sądzę, by wytrzymał cały dzień w szkole, nie sprawdzając, czy żyję. Micah też będzie z nami ćwiczył.

Podeszłam do łóżka, wciąż rozdrażniona rozmiarem mundurka. Nagle dotarło do mnie, co powiedziała Jill.

-Nie wiesz, dlaczego Eddie tak dziwnie się zachowuje przy Micahu?
Jill potrząsnęła głową.

— Nie. Nie było okazji go zapytać, ale też to zauważyłam, szczególnie przy pierwszym spotkaniu. Później, gdy pisałaś testy, a my czekaliśmy na wydanie mundurków, Eddie trochę się rozluźnił. Widziałam jednak, że co rusz dziwnie na niego zerka.

— Czyżby go o coś podejrzewał? Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Nie sędzę, by był niebezpieczny, ale nie jestem strażniczką. Gdyby Eddie uznał, że Micah stanowi jakiegokolwiek zagrożenie, inaczej by reagował. Bardziej agresywnie. A on robi się niespokojny w jego obecności. Jakby się czegoś obawiał. I to jest właśnie najdziwniejsze, bo strażnicy nigdy nie okazują lęku. Oczywiście Eddie oficjalnie nie jest strażnikiem, ale wiesz, co mam na myśli.

-Tak, wiem — przyznałam z uśmiechem mimo ponurego nastroju. Ta urocza gadatliwa dziewczyna rozbawiła mnie. - Co to znaczy, że Eddie oficjalnie nie jest strażnikiem? Przecież opiekuje się tobą.

— Niby tak... — Jill bawiła się kosmykiem jasnobrązowych włosów.

— Ale... to niejasna sprawa. Miał kłopoty ze strażnikami, bo pomagał Rose i, hmm, zabił kogoś.

— Zabił tego moroja, który zaatakował Wasylisę, prawda? — Ta informacja wypłynęła podczas mojego przesłuchania.

-Tak — przyznała Jill, pogrążając się we wspomnieniach. — Działał w obronie własnej oraz Lissy, mimo to wszyscy byli zszokowani, że zabił moroja. To tabu wśród strażników, choć z drugiej strony moroje też nigdy nie napadają na swoich. Tak czy owak, Eddie został zawieszony w służbie. Nikt nie wiedział, co z nim począć. Potem, kiedy

zostałam napadnięta, Eddie rzucił mi się na pomoc. Lissa uznała, że to idiotyzm, aby go zawieszać, skoro może wiele zdziałać. Biorąc pod uwagę, że napaść była zaplanowana przez morojów, stwierdziła, że powinniśmy przywyknąć do myśli, iż moroje także zaliczają się do naszych wrogów. Hans — strażnik dowodzący na dworze — ostatecznie zgodził się wysłać Eddiego ze mną, ale oficjalnie nie przywrócono go do czynnej służby. Nie wiem, co o tym myśleć. — Jill dopiero teraz urwała, żeby zrobić wdech.

— Jestem pewna, że wszystko się ułoży. — Staralam się, żeby zabrzmiało to kojąco. — Eddie zbiera parę punktów za ochronę księżniczki.

Jill skarciła mnie wzrokiem.

— Nie jestem księżniczką.

Zmarszczyłam czoło, starając się przypomnieć sobie skomplikowane prawo morojów.

— Książęta i księżniczki to najstarsi członkowie rodziny. Skoro Wasylissa została królową, ten tytuł przypada tobie, nieprawda?

— Tylko na papierze. — Jill odwróciła wzrok. Niewiele wywnioskowałam z tonu jej głosu, wychwyciłam jednak gorycz i żal. — Nie, nie jestem księżniczką. Jestem tylko krewniaczką królowej.

Matka Jill przeżyła krótki romans z Erickiem Dragomi-rem, ojcem Wasylissy, i przez lata utrzymywała sprawę w tajemnicy. Dopiero niedawno świat dowiedział się o Jill, a ja miałam w tym spory udział. Pomogłam Rose odkryć prawdę i z tego powodu narobiłam sobie kłopotów wśród swoich. Teraz byłam zmuszona dbać przede wszystkim o bezpieczeństwo morojki, nie zastanawiałam się więc, jak sobie radzi w nowej sytuacji. To musiała być dla niej wielka zmiana.

— Jesteś kimś znacznie więcej — odparłam łagodnie, zastanawiając się, czy będę również musiała odgrywać rolę

terapeutki w tej relacji. Perspektywa pocieszania wampira wydawała mi się co najmniej dziwna. - Jesteś ważna. Wszyscy zadają sobie wiele trudu, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

- Czy aby na pewno chodzi im o mnie? - spytała z powątpiewaniem. - Może pomagają tylko Lissie utrzymać się na tronie. Prawie nie rozmawialiśmy ze sobą od czasu, gdy została królową.

Rozmowa zaczynała zbaczać na niebezpieczne tory, w sferę prywatną, w której czułam się bezradna. Trudno mi było wyobrazić siebie na miejscu Wasylissy lub Jill. Wiedziałam tylko, że żadnej nie było łatwo.

- Jestem pewna, że zależy jej na tobie - rzuciłam bez przekonania. - Dla niej to również nowa sytuacja, w jej życiu ostatnio wiele się zmieniło. Daj jej trochę czasu. Tymczasem skup się na ważnych rzeczach, na pobytku tutaj i przetrwaniu.

- Masz rację - przyznała Jill. Leżała na łóżku i wpatrywała się w sufit. - Denerwuję się przed jutrzejszym dniem, spotkaniem z ludźmi i lekcjami. Co będzie, jeśli ktoś zauważy? Jeśli zostanę rozpoznana?

- Dobrze sobie radziłaś podczas zwiedzania kampusu -zapewniłam. - Wystarczy, że będziesz ukrywała kły. Poza tym potrafię przekonywać ludzi, że nie widzą tego, co jest naprawdę.

Wdzięczność na twarzy Jill przywiodła mi na myśl Zoe. Były do siebie podobne pod wieloma względami: obie nieśmiałe i niepewne siebie, a zarazem zapalczywe i desperackie w próbach wykazania się. Chciałam chronić Zoe - nie udało mi się to tylko w jej oczach. Fakt, że pomagałam teraz Jill, budził we mnie mieszane uczucia. Z jednej strony miałam szansę zrobić dla niej to, czego nie zdołałam zapewnić siostrze. Z drugiej zaś jakiś wewnętrzny głos szeptał: „Jill

nie jest twoją siostrą. To wampirzyca. Wykonujesz jedynie swoją pracę".

— Dziękuję, Sydney. Cieszę się, że jesteś tu ze mną. — Uśmiechnęła się, a mną targnęło poczucie winy. — Wiesz, zazdroszczę Adrianowi. Twierdzi, że nudzi się w domu Clarence'a, ale nie musi się obawiać spotkań z ludźmi ani przyzwyczajając do nowej szkoły. Leniuchuje, ogląda telewizję, grywa w bilard z Lee... To zadziwiające. — Jill westchnęła.

— Chyba tak — bąknęłam nieco zaskoczona tak szczegółowym opisem. — Skąd o tym wszystkim wiesz? Czy wy... rozmawialiście ze sobą od czasu naszego wyjazdu? — Już kiedy wypowiedziałam to pytanie, wydało mi się to niemożliwe. Większość czasu spędziłyśmy przecież razem.

Małej zrzęda mina.

— Och, nie. Tak to sobie wyobrażam. Adrian przebąkiwał coś, kiedy się widzieliśmy. Przepraszam cię. Zachowuję się histerycznie. Dzięki, że mnie słuchasz. Już czuję się lepiej.

Uśmiechnęłam się i nic nie powiedziałam. Wciąż trudno było mi zaakceptować fakt, że żywię ciepłe uczucia dla wampira. Najpierw Rose, a teraz Jill? Nieważne, że ta dziewczyna wzbudzała sympatię. Powinnam traktować ją profesjonalnie, aby żaden alchemik nie oskarżył mnie o nawiązywanie prywatnych relacji. Gdzieś z tyłu głowy usłyszałam echo słów Keitha: „Miłośniczka wampirów”...

„To śmieszne” — pomyślałam. Przecież nie ma nic złego w okazywaniu uprzejmości osobom znajdującym się pod moją opieką. Zachowuję się normalnie, nie ma mowy o „zbytnim zbliżaniu się”. Czy aby na pewno? Odsunęłam na bok obawy i skupiłam się na rozpakowaniu rzeczy i planowaniu. Miałam szczerą nadzieję, że jutrzejszy dzień minie bez problemów, jak zapewniałam Jill.

Niestety, tak nie było.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

MUSZĘ PRYZNACĆ ŻE ZACZAŁ SIĘ WSPANIAŁE.

Słońce zalało pokój, gdy się obudziłam, i mimo wczesnej pory poczułam, że będzie upał. Wybrałam najłżejsze ciuchy z zestawu szkolnego: popielatą spódniczkę i białą bluzkę z krótkimi rękawami. Szkoła zezwalała na „skromne ozdoby”, więc nie zdjęłam złotego krzyżyka. Moje włosy przeżywały ostatnio trudne dni, do czego przyczyniła się zmiana klimatu. Najchętniej związałabym je w koński ogon wzorem Jill, ale były mocno pocienione i nie dawały się uładczyć. Przyglądając się w lustrze, jak nierówne kosmyki opadają mi na ramiona, pomyślałam, że może warto je przystrzyc.

Po śniadaniu, które obie ledwie skubnęłyśmy, pojechałyśmy autobusem do środkowego kampusu, w którym nagle zaroilo się od uczniów. Za ledwie jedną trzecią mieszkała w internacie. Reszta to miejscowi. Wszyscy zjawili się rankiem w szkole. Jill była milcząca przez całą drogę. Wyglądała źle. Wydawało mi się, że jeszcze bardziej pobladła, znów miała przekrwione i podkrążone oczy. Obudziłam się tej nocy i widziałam, że śpi głęboko, więc nie miałam pojęcia, skąd ten problem. Cienie pod oczami odznaczały się

na nieskazitelnej skórze morojów, która zwykle wyglądała idealnie, jak z porcelany. Nic dziwnego, że Jill mogła kłaść się późno. Nie musiała tuszować niewyspania pudrem i korektorami jak ja.

Przez cały ranek przygryzała wargi i rozglądała się wokół niepewnie. Może czuła się nieswojo w tłumie ludzi. Zauważyłam, że doskonale orientuje się w otoczeniu i bezbłędnie trafia do właściwych sal. To był z kolei mój problem. „Musisz tylko przejść z jednej klasy do drugiej — powtarzałam sobie. — Tylko tyle”.

Na pierwszej lekcji miałam historię starożytną. Eddie zapisał się na ten sam kurs i gdy tylko mnie zobaczył, zaczął wypytywać:

— Wszystko z nią w porządku? Widziałyście się?

— Mieszkamy w jednym pokoju. — Usiedliśmy w sąsiednich ławkach. Uśmiechnęłam się do niego. — Spokojnie. Jill ma się doskonale. Jest lekko zdenerwowana, ale pierwszego dnia to normalka.

Skinął głową, chociaż bez przekonania. Utkwił spojrzenie w podium, które zajęła nauczycielka. Widziałam, że nie może usiedzieć na miejscu, jakby powstrzymywał się, by nie wybiec i sprawdzić, co robi Jill.

— Witajcie, witajcie. — Nauczycielka była czterdziestoparoletnią kobietą o siwiejących czarnych włosach. Wydawała się równie nerwowa, co Eddie pobudzony. Może to przez kawę — wniosła ogromną filiżankę. Pozazdrościłam jej i żałowałam w duchu, że nie możemy zabierać napojów na lekcje, zwłaszcza że w tutejszej stołówce nie serwowano kawy. Nie miałam pojęcia, jak przetrwam tych kilka miesięcy bez kofeiny. Zauważyłam też, że ulubionym deseniem naszej nauczycielki są romby.

— Nazywam się Terwiliger i będę waszą prześwietną przewodniczką we wspaniałej podróży po świecie starożyt-

ności. — Przemawiała, przeciągając z afektacją słowa, co rozśmieszyło niektórych uczniów. Wskazała na chłopaka siedzącego za nią obok pulpitu. Do tej pory obserwował nas ze znudzoną miną, lecz ożywił się, gdy nauczycielka zwróciła się do niego. — A oto mój asystent, Trey, którego część z was zapewne zna. Trey będzie mi pomagał w tym semestrze, co oznacza przesiadywanie w kącie i wypełnianie formularzy. Bądźcie jednak dla niego mili, bowiem prawdopodobnie to on będzie wpisywał wasze oceny do komputera.

Trey skinął nam ręką i uśmiechnął się do znajomych. Był mocno opalony, a jego ciemne włosy miały chyba długość przekraczającą tę dozwoloną. Schludny mundurek nadawał chłopakowi ładząco oficjalny wygląd, lecz podejrzany błysk w oczach podsunął mi myśl, że Trey nie traktuje asystentury zbyt poważnie.

— Tak więc — ciągnęła panna Terwiliger — historia jest ważnym przedmiotem, ponieważ zapoznaje nas z przeszłością. Poznając przeszłość, uczymy się rozumieć terażniejszość i podejmować mądre decyzje na przyszłość.

Zrobiła efektowną pauzę, by jej słowa odpowiednio wybrzmiały. Utwierdziwszy się w przekonaniu, że zaparło nam dech w piersiach, podeszła do laptopa, do którego był podłączony rzutnik. Nacisnęła kilka przycisków i na ekranie zawieszonym na ścianie pojawił się obraz budowli o białych kolumnach.

— Czy ktoś może mi powiedzieć, co to jest?

— Świątynia? — odezwał się czyjś głos.

— Bardzo dobrze, panie...?

— Robinson — podsunął chłopak.

Panna Terwiliger sięgnęła po listę nazwisk.

— A, jest pan tutaj. Robinson. Stephanie.

— Stephan — poprawił chłopak, rumieniąc się, bo jego koledzy parsknęli śmiechem.

Panna Terwiliger poprawiła okulary i zmrużyła oczy.

- Rzeczywiście. Chwała Bogu. Pomyślałam, że ma pan ciężkie życie z takim imieniem. Proszę o wybaczenie. Akurat w weekend połamałam nowe okulary podczas meczu krykieta i musiałam dziś włożyć stare. Zatem, Stephanie -nie Stephanio - nie pomyliłeś się. Czy mógłbyś doprecyzować odpowiedź?

Stephan potrząsnął głową.

— Może ktoś inny podpowie?

Ponieważ pannie Terwiliger odpowiedziała cisza, zaczerpnęłam głęboki oddech i podniosłam rękę. Pora przekonać się, jak to jest być uczennicą. Nauczycielka skinęła mi głową.

— To jest Partenon, pani profesor.

— W istocie — odparła. - Jak ci na imię?

— Sydney.

- Sydney... - Zajrzała do listy i podniosła brwi w zdumieniu. - Sydney Melbourne? Wielkie nieba. Nie masz australijskiego akcentu.

- Eee, nazywam się Sydney Melrose, pani profesor -poprawiłam.

Panna Terwiliger zmarszczyła brwi i podała listę Treyowi, który uznał, że mam najśmieszniejsze nazwisko świata.

- Proszę się tym zająć, panie Juarez. Pańskie młode oczy są bystrzejsze niż moje. Jeśli nadal będę próbowała odczytywać listę, zamienię wszystkich chłopców w dziewczynki i najmilsze młode damy w potomkinie kryminalistów. Tak. — Nauczycielka znów utkwiała wzrok we mnie. — To Partenon. Wiesz coś jeszcze o tym przybytku?

Inni uczniowie spoglądali na mnie z życzliwym zainteresowaniem, lecz poczułam się nieswojo, znalazłszy się w centrum uwagi. Patrzyłam prosto na pannę Terwiliger.

— Należy do Akropolu, pani profesor. Leży w Atenach. Został wzniesiony w piątym wieku przed naszą erą.

— Nie musisz mnie tytułować — oznajmiła. — Chociaż miło zyskać odrobinę szacunku dla odmiany. Doskonała odpowiedź.

Popatrzyła na resztę uczniów.

— Powiedzcie, dlaczego mielibyśmy interesować się Atenami lub zdarzeniami sprzed dwóch tysięcy pięciuset lat? Jakże to może mieć dla nas znaczenie?

Ponownie cisza i rozbiegane spojrzenia. Kiedy milczenie stało się nieznośne i ciągnęło się w nieskończoność, jak mi się wydawało, znów podniosłam rękę. Jednak panna Terwiliger nie zauważyła tego, za to zerknęła na Treya, który oparł stopy na jej biurku. Natychmiast opuścił nogi i się wyprostował.

— Panie Juarez — odezwała się nauczycielka. — Pora zasłużyć na wyróżnienie. Przerabiał pan ten kurs w ubiegłym roku. Czy może pan wyjaśnić uczniom, dlaczego wydarzenia w starożytnych Atenach są dla nas znaczące? Jeśli pan tego nie zrobi, będę musiała znowu poprosić pannę Melbourne. Wygląda na to, że ona zna odpowiedź i proszę tylko pomyśleć, jak zawstydzająca może okazać się ta scena dla pana.

Wzrok Treya padł na krótko na mnie i powrócił do nauczycielki.

— Ona nazywa się Melrose, nie Melbourne. A demokracja została wprowadzona w Atenach w szóstym wieku. Wiele praw, które wówczas uchwalono, obowiązuje po dziś dzień w naszym rządzie.

Panna Terwiliger położyła rękę na sercu dramatycznym gestem.

— Więc uważał pan na lekcjach! Cóż, niezupełnie. Pomylił pan daty. — Spojrzała na mnie. — Założę się, że pani wie, kiedy wprowadzono demokrację w Atenach.

— W piątym wieku — odpowiedziałam bez wahania.

Zasłużyłam sobie na uśmiech nauczycielki i wrogie spojrzenie Treya. Dalej lekcja przebiegała w podobnym duchu. Panna Terwiliger perorowała w swoim afektowanym stylu, wtrącając raz po raz ważne informacje o datach i miejscach, o których mieliśmy się uczyć w tym semestrze. Zorientowałam się, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania. Coś mi mówiło, że nie powinnam się wyrywać, lecz nie mogłam się powstrzymać. Jeśli nikt nie znał odpowiedzi, czułam się zmuszona ją podsunąć. Za każdym razem panna Terwiliger pytała:

— Wiedziałeś to, Trey?

Naprawdę nie chciałam sobie robić wrogów na początku roku. Zdawałam sobie sprawę, że koledzy przyglądają mi się z zaciekawieniem. Dostrzegłam też, że wymieniali między sobą porozumiewawcze spojrzenia, gdy tylko otwierałam usta. Zachowywali się tak, jakby znali jakiś sekret, z którego poznania zostałam wykluczona. To niepokoiło mnie bardziej niż wkurzona mina Treya. Czyżbym się popisywała? Stanowczo zbyt mało wiedziałam o zwyczajach rówieśników w szkole, by rozumieć, co jest normalne, a co nie. Zapisano mnie do prestiżowego liceum, w którym wszyscy ze sobą rywalizowali. Chyba w porządku było wykazywać się wiedzą?

Panna Terwiliger poleciła nam przeczytać dwa rozdziały z podręcznika. Usłyszałam pomruki niezadowolenia, lecz sama byłam tym podekscytowana. Kocham historię, szczególnie historię sztuki i architektury. Ojciec był wymagającym nauczycielem, lecz nie cenił tej dziedziny. Uczyłam się więc na własną rękę i fakt, że historia stała się moim obowiązkowym przedmiotem, potraktowałam jak luksus. W dodatku moja wiedza mogła okazać się cenna — przynajmniej w oczach nauczycielki.

Po lekcji rozstałam się z Eddiem i poszłam na zajęcia z chemii. Czekałam na dzwonek, kiedy Trey usiadł obok mnie w ławce.

— Zatem, panno Melbourne — odezwał się, naśladowując głos panny Terwiliger. — Kiedy zaczynasz wykłady z historii?

Było mi przykro, że nauczycielka uwzięła się na niego, ale nie spodobał mi się jego ton.

— Tym razem występujesz w roli ucznia, czy zamierzasz nadal się obijać, udając asystenta?

Trey się uśmiechnął.

— Niestety, jestem tylko uczniem. W zeszłym roku byłem najlepszy w klasie panny Terwiliger. Jeśli masz tak samo dobrą wiedzę z chemii, będę cię namawiał na współpracę w laboratorium. Dzięki tobie przebibam cały semestr.

Chemia stanowiła kluczową dziedzinę wiedzy alchemików. Wątpiłam, czy w tej szkole mogę nauczyć się czegoś więcej. Alchemicy pojawili się w średniowieczu jako „naukowcy czarodzieje” usiłujący przemienić ołów w złoto. Od tamtej pory przyswoili wiele na temat szczególnych właściwości krwi wampirów oraz jej reakcji na inne substancje. Właśnie te odkrycia postawiły przed nami konieczność podjęcia misji, której celem było zapobieganie mieszaniu się gatunków ludzi i wampirów. Pierwszą lekcję chemii odebrałam w wieku sześciu lat. Podczas gdy inne dzieci ćwiczyły alfabet, ojciec nauczał mnie o właściwościach kwasów oraz prezentował tabelę pierwiastków.

Nie chcąc wtajemniczać Treya w swoją historię, odwróciłam wzrok i odgarnęłam włosy z twarzy.

— Radzę sobie.

Wzrok chłopaka padł na mój policzek, jednak jego oczy wyrażały zrozumienie.

— Ach. Więc tak to jest.

— To znaczy jak? — nie zrozumiałam. Wskazał na moją twarz.

— Nosisz tatuaż. To jego zasługa, prawda? Odgarnęłam włosy, odsłaniając złotą lilię.

— O co ci chodzi? — spytałam.

— Nie zgrywaj się. — Trey przewrócił oczami. — Wiem, co to jest. Uważam, że to oszustwo, ale nie każdy ceni sobie uczciwość. Mimo wszystko ryzykowałam, umieszczając go na policzku. Szkoła nie toleruje takich ozdób. Co oczywiście jeszcze nikogo nie powstrzymało.

Pozwoliłam włosom opaść na policzek.

— Wiem. Zamierzałam przykryć go pudrem, ale zapomniałam o tym. Dlaczego nazywasz to oszustwem?

Trey tylko pokręcił głową na znak, że nie ma ochoty rozwijać tematu. Poczułam się bezradnie, bo znów nie wiedziałam, co nie tak dostrzegł w moim zachowaniu. Zrobiło się jeszcze dziwniej, gdy nauczyciel opisał nam wyposażenie klasy. Mój domowy zestaw chemiczny był znacznie zasobniejszy niż ten szkolny. Cóż, mała powtórka z podstaw nigdy nie zaszkodzi.

Kolejne lekcje przebiegały w podobny sposób. Byłam najlepsza w każdej dziedzinie, znałam wszystkie odpowiedzi. Zyskałam aprobatę nauczycieli, ale nie potrafiłam ocenić reakcji kolegów. Widziałam tylko, jak kręcą głowami i robią miny, jednak do tej pory jedynie Trey skrytykował mnie wprost. Nie wiedziałam, czy powinnam przycichnąć na dobre.

Kilka razy natknęłam się na Kristin i Julię, które przypominały o wspólnym lunchu. Odnalazłam je w stołówce w kącie sali. Pomachały do mnie, więc zaczęłam przepychać się między stolikami, rozglądając w nadziei, że spotkam Jill. Nie widziałam jej przez cały dzień. Ostatecznie nie było w tym nic dziwnego, skoro miałyśmy różne pla-

ny zajęć. Uznałam, że poszła coś zjeść gdzie indziej, może w towarzystwie Eddiego lub Micaha.

Kristin i Julia zachowywały się bardzo przyjaźnie, wypytywały o mój pierwszy dzień w szkole i dzieliły się informacjami na temat nauczycieli, których znały. One również były w ostatniej klasie i dowiedziałam się, że kilka kursów mamy razem. Większa część lunchu upłynęła nam więc na wymianie podstawowych informacji: skąd przyjechałyśmy i tak dalej. Pod koniec rozmowy udało mi się wreszcie uzyskać kilka odpowiedzi na pytania, które dręczyły mnie przez cały poranek. Przedtem jednak to ja musiałam udzielić im pewnych wyjaśnień.

— Powiedz — Kristin nachyliła się do mnie nad stołem — daje ci nadludzką pamięć? A może wpływa na mózg i sprawia, że jesteś bystrzejsza?

Julia przewróciła oczami.

— To niemożliwe. Na pewno chodzi o pamięć. Ale chciałabym wiedzieć, jak długo działa.

Patrzyłam na nie z rosnącym zdumieniem.

— To, o czym mówicie, nie dodaje mi bystrości, bo kompletnie was nie rozumiem.

Kristin parsknęła śmiechem.

— Pytamy o właściwości twojego tatuażu. Słyszałam, jak na matmie odpowiadałaś na najtrudniejsze pytania. A koleżanka, która chodzi z tobą na historię, twierdziła, że i tam się popisałaś. Chcemy się dowiedzieć, czy to zasługa tatuażu.

— Zasługa? Ze niby podsuwa mi odpowiedzi? — spytałam, lecz ich miny mówiły same za siebie. — Nic z tych rzeczy. To wszystko... po prostu wiem.

— Nikt nie jest tak mądry — sprzeciwiła się Julia.

— Nie przesadzajmy. Nie jestem geniuszem. Myślę, że uczyłam się więcej niż inni. Część edukacji odbyłam

w domu, a mój tata jest naprawdę... wymagający — dodałam z nadzieją, że tym się wytłumaczę.

— Och... — Kristin bawiła się długim warkoczem. Zauważyłam, że czesała się bardzo praktycznie, podczas gdy Julia miała na głowie artystyczny nieład. — To chyba możliwe... ale w takim razie, jak działa twój tatuaż?

— Nijak — odparłam i w tej samej chwili poczułam lekkie łaskotanie. Tatuaż był nasączony magią, która nie pozwalała mi mówić o alchemikach ludziom spoza wewnętrznego kręgu. Teraz powstrzymał mnie również przed ujawnieniem informacji, chociaż wcale nie zamierzałam tego robić. — Po prostu mi się spodobał.

— O... — bąknęła Julia.

Dziewczyny wyglądały na rozczarowane.

— Dlaczego w ogóle przyszło wam do głowy, że tatuaż dodaje mi inteligencji? — spytałam.

Dzwonek zapowiadający początek lekcji przerwał nam rozmowę. Powinnyśmy już rozejść się do klas. Zapadła cisza. Kristin i Julia wyraźnie coś rozważały. Kristin wydawała się liderką, ponieważ to ona podjęła decyzję i skinęła głową. Zrozumiałam, że zostałam zaakceptowana.

— Dobra — rzuciła na koniec, uśmiechając się do mnie szeroko. — Wprowadzimy cię w temat.

Umówiliśmy się na spotkanie i wspólną naukę, i się rozstałyśmy. Uznałam, że powinnam oczekiwać raczej spotkania niż nauki, co mi bardzo odpowiadało. Upomniałam się w duchu, by jednak najpierw odrobić lekcje. Reszta dnia upłynęła szybko. Na którejś lekcji otrzymałam liścik od Molly, doradcy. Tak jak się spodziewałam, zdałam wszystkie testy językowe. Molly prosiła, abym wpadła do niej na ostatniej lekcji w celu omówienia planu zajęć. Tak więc mój pierwszy dzień w szkole miał się zakończyć wuefem.

Przebrałam się w szkolny strój gimnastyczny — szorty i koszulkę z nadrukiem Amberwood — i powlokłam na spalone słońcem boisko. Odczuwałam upał, gdy przechodziłam przez dziedziniec, spiesząc się na lekcje, ale dopiero teraz, zmuszona przebywać na słońcu przez dłuższy czas, naprawdę zrozumiałam, co znaczy mieszkać na pustyni. Zerkając na kolegów z różnych klas, zauważyłam, że nie tylko ja wylewam litry potu. Rzadko zdarzało mi się spiec na słońcu, lecz zanotowałam w myślach, by kupić krem z filtrem. Jill także będzie go potrzebowała.

Jill!

Zaczęłam się pilnie rozglądać. Prawie zapomniałam, że to miała być nasza wspólna lekcja. Jill jednak nie było. Nie pojawiła się. Nauczycielka, panna Carson, zaczęła odczytywać listę obecności i nie wymieniła jej nazwiska. Może w ostatniej chwili wpisano ją gdzie indziej.

Panna Carson uznała, że najlepiej wziąć nas od razu do galopu. Podzieliła grupę na dwie drużyny siatkarskie i znalazłam się w jednym zespole z Micahem. Jego jasna, upstrzona piegami skóra mocno się już zaróżowiła. Omal nie zaproponowałam mu kremu. Uśmiechnął się do mnie swoim zwyczajem.

— Cześć — przywitałam się. — Nie widziałeś dziś mojej siostry? Jill?

— Nie — zaprzeczył, lekko marszcząc czoło. — Eddie szukał jej w porze lunchu. Uznał, że jadłyście razem posiłek w dormitorium.

Potrząsnęłam głową, czując ściskanie w żołądku. Co się stało? Przez głowę przemknął mi scenariusz z koszmarnego snu. Sądziłam, że Eddie przesadza z czujnością, ale teraz przestraszyłam się nie na żarty. Czy to możliwe, by mimo naszych zabiegów wrogowie Jill wkradli się do szkoły i porwali ją nam sprzed nosa? Czy będę musiała zawiadomić

alchemików — oraz ojca — że straciliśmy naszą podopieczną już pierwszego dnia? Wpadłam w panikę. Uniknęłam zesłania do ośrodka reedukacji, lecz teraz już nic mi nie pomoże.

— Dobrze się czujesz? — Micah obserwował mnie z niepokojem. — Czy Jill coś się stało?

— Nie wiem — przyznałam. — Przepraszam. — Wyszłam z szeregu i pobiegłam do panny Carson.

— Słucham? — spytała.

— Przepraszam, że zawracam pani głowę, ale martwię się o siostrę. Nazywa się Jill Melrose. Ja jestem Sydney. Miała być na tej lekcji. Nie słyszała pani, czy zmieniła godzinę?

— A, tak. Melrose. Dostałam wiadomość z sekretariatu tuż przed lekcją, że dzisiaj będzie nieobecna.

— Powiedzieli dlaczego?

Panna Carson ze współczuciem pokręciła głową i zaraz warknęła na chłopaka, który się obijał. Wróciłam na boisko, lecz w głowie miałam galop myśli. Cóż, przynajmniej ktoś dzisiaj widział Jill. Tylko dlaczego nie przyszła na lekcję?

— Nic jej nie jest? — spytał Micah.

— Chyba nie. Panna Carson została powiadomiona, że Jill nie przyjdzie, ale nie wie dlaczego.

— Mógłbym coś zrobić? — zaoferował. — Pomóc jej? To znaczy wam.

— Nie, dziękuję. Miło, że pytasz. - Żałowałam, że nie ma tu zegara. - Poszukam jej po lekcji. - Nagle coś mi przyszło do głowy. -- Micah? Nie mów nic Eddiemu.

Zerknął na mnie z zaciekawieniem.

— Dlaczego?

-Jest nadopiekuriczny. Będzie się zamartwiał, a to na pewno nic poważnego.

„Jest gotów zburzyć szkołę, by ją odnaleźć”.

Po lekcji wzięłam szybki prysznic i przebrałam się, a potem pobiegłam do budynku administracji szkolnej. Chciałam wracać do internatu i sprawdzić, czy Jill jest w pokoju, ale nie mogłam się spóźnić na spotkanie z Molly. Idąc korytarzem do jej gabinetu, minęłam sekretariat i coś mnie tknęło. Postanowiłam porozmawiać z sekretarką.

- Jill Melrose. - Kobieta kiwnęła głową. - Została odesłana do bursy.

- Odesłana?! - wykrzyknęłam. - Co to znaczy?

- Nie wolno mi o tym mówić.

Czy to nie zabrzmiało melodramatycznie?

Weszłam do gabinetu Molly zdenerwowana i przestraszona, pocieszając się jednak, że tajemnicze zniknięcie Jill było usankcjonowane przez szkołę. Molly poinformowała mnie, że mogę zdecydować się na przedmiot fakultatywny albo rozpocząć dowolny kurs zamiast nauki języka, pod warunkiem że znajdę nauczyciela, który zgodzi się mnie prowadzić. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Czy mogę odpowiedzieć jutro? - spytałam. - Muszę najpierw z kimś porozmawiać.

- Jasne - zgodziła się Molly. - Tylko z tym nie zwlekaj. Możesz już wrócić do internatu, nie powinnaś przebywać teraz na terenie szkoły.

Zapewniłam, że niebawem podam jej odpowiedź, i wyszłam. Autobus nie kursował często w czasie lekcji, więc postanowiłam wrócić piechotą. Zajęło mi to ledwie kwadrans, lecz w tym upale wydawało mi się, że szłam znacznie dłużej. Kiedy nareszcie dotarłam do internatu, odetchnęłam z ulgą. Jill leżała na łóżku w naszym pokoju jakby nigdy nic.

- Jesteś, cała i zdrowa! Podniosła głowę znad książki.

- Tak. W pewnym sensie.

Usiadłam na swoim łóżku i zrzuciłam buty.

— Co się stało? Spanikowałam, kiedy nie pojawiłaś się na wuefie. Gdyby Eddie się dowiedział...

Jill w jednej chwili usiadła.

— Proszę, nie mów mu. Będzie przerażony.

— Dobrze, dobrze. Teraz opowiadaj. Powiedziano mi, że zostałam odesłana do pokoju.

— Bo tak było. — Jill się skrzywiła. — Wyrzucono mnie z pierwszej lekcji.

Zaniemówiłam. Nie mogłam sobie wyobrazić, co mogła zrobić nieśmiała Jill, by zasłużyć na taką karę. „O, Boże. Mam nadzieję, że nikogo nie ukąsiła”. To po mnie spodziewano się nieprzystosowania do nowej szkoły. Jill powinna się zachować jak profesjonalistka.

— Za co cię wyrzucono? Westchnęła.

— Za kaca.

Znów odebrało mi mowę.

— Za co?!

— Miałam mdłości. Panna Chang — nauczycielka — obrzuciła mnie jednym spojrzeniem i stwierdziła, że potrafi wyczuć kaca na kilometr. Kazała mi zameldować w sekretariacie, że złamałam reguły. Było mi niedobrze i to jej mówiłam, ale ona powtarzała, że zna takie jak ja. Dyrektor stwierdził na koniec, że nie można ocenić, czy źle się czuję z powodu kaca, więc nie zostałam ukarana, ale nie pozwolono mi wrócić na lekcje. Musiałam przyjść do pokoju.

— Przecież to... idiotyczne! — Zerwałam się z łóżka i zaczęłam chodzić po pokoju. Teraz, kiedy doszłam do siebie po tej szokującej wiadomości, wpadłam we wściekłość. — Byłam z tobą zeszłej nocy. Spałaś tutaj. Przecież wiem. Raz się obudziłam i widziałam, że śpisz jak kamień. Jakim cudem panna Chang doszła do tego wniosku? Nie ma do-

wodów! Szkoła też ich nie ma. Nie mieli prawa zabraniać ci udziału w lekcjach. Powinnam tam natychmiast pójść! Nie, porozmawiam z Keithem i alchemikami. Nasi „rodzice” złożą skargę.

- Zaczekaj, Sydney. - Jill wstała z łóżka i złapała mnie za ramię, jakby się bała, że wybiegnę. - Proszę, nie rób tego. Opuść'. Nie chcę sprawiać kłopotów. Nie dostałam żadnej złej oceny. Nie ukarano mnie.

-Straciłaś lekcje - mruknęłam. - To wystarczająca kara.

Jill energicznie potrząsnęła głową. Uświadomiłam sobie, że się boi, jednak nie rozumiałam, dlaczego nie chce, bym powiadomiła kogoś o tym incydencie. Padła ofiarą pomówienia.

- Nic się nie stało. Nadrobię to. Nie będzie długoterminowych konsekwencji. Proszę, nie rób awantury. Pozostali nauczyciele na pewno uznali, że jestem chora. Nawet nie słyszeli tych zarzutów.

- To jednak nie w porządku - warknęłam. - Mogę coś z tym zrobić. Po to tu jestem, żeby ci pomagać.

- Nie — powtórzyła stanowczo. — Proszę, daruj sobie. Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc... - Odwróciła wzrok.

- O co chodzi? - spytałam, próbując zdusić gniew. -Powiedz tylko, czego potrzebujesz.

Jill podniosła głowę.

- Potrzebuję... Proszę, zawieź mnie do Adriana.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Do ADRIANA? - ZDZIWIŁAM SIĘ. - A co on ma z tym wspólnego? Jill potrząsnęła głową, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem.

— Proszę. Tylko mnie do niego zawieź.

— Za parę dni pojedziemy na twoje karmienie.

— Wiem — powiedziała. — Ale muszę go zobaczyć już teraz. Tylko on zrozumie.

Trudno było mi w to uwierzyć.

— Sądysz, że ja nie zrozumiem? Albo Eddie? Jęknęła.

— Nie. Nie możesz powiedzieć Eddiemu. Będzie wściek-

Staralam się nie okazać poirytowania. Dlaczego Jill nalegała na spotkanie z Adrianem? Przecież on nie mógł zrobić więcej niż ja. Jako alchemiczka byłam w stanie wiele zdziałać. Czyżby Jill potrzebowała duchowego wsparcia? Przypomniam sobie, jak gorąco uściskała Adriana na pożegnanie. Czyżby się w nim zadurzyła? No bo gdyby potrzebowała ochrony, powinna raczej zwrócić się do Ed-

diego. A może jednak nie? Rozwścieczony dampir mógł zdemolować sekretariat. Może rzeczywiście nie należało go informować.

- Dobrze - uległam. - Pojedziemy. Wypełniłam formularz zezwolenia na opuszczenie kampusu, co zabrało nam trochę czasu. Pani Weathers natychmiast zaprotestowała, że Jill miała pozostać w internacie do końca zajęć. Odparowałam, że niedługo będzie już po lekcjach, co praktycznie oznacza koniec zakazu. Pani Weathers nie mogła tego zakwestionować, ale kazała nam czekać dziesięć minut do ostatniego dzwonka. Jill siedziała na krześle, stukając nerwowo nogą o mebel.

Podróż do rezydencji Clarence'a zabrała nam pół godziny. Milczałyśmy. Nie miałam pojęcia, od czego zacząć rozmowę. „Jak minął pierwszy dzień w szkole?” nie wydawało się sensownym początkiem. Poza tym, im dłużej o tym rozmyślałam, tym bardziej odczuwałam złość. Nie mogłam uwierzyć, że nauczycielka ośmieliła się oskarżyć Jill o pijaństwo i kaca. Czegoś takiego nie można było udowodnić, a w dodatku wystarczyło pięć minut w towarzystwie mojej podopiecznej, by zrozumieć, że to absurdalny pomysł.

W drzwiach przywitała nas kobieta w średnim wieku. Miała na imię Dorothy i była gospodynią oraz karmicielką Clarence'a. Zachowywała się uprzejmie, choć wydawała się lekko nieobecna. Miała na sobie sztywną szarą suknię z wysokim kołnierzem zakrywającym ślady ukąszeń na szyi. Odwzajemniłam jej uśmiech nieco oficjalnie, gdyż na samą myśl o tym, czym się zajmuje, zrobiło mi się niedobrze. Nie umiałam sobie tego wyobrazić. Jak można było dobrowolnie oddawać krew? Poczułam ściskanie w żołądku i zorientowałam się, że instynktownie odsunęłam się od tej kobiety. Idąc, starałam się nawet nie musnąć jej rękawem.

Dorothy zaprowadziła nas do pokoju, w którym wszyscy spotkaliśmy się poprzedniego dnia. Nie dostrzegłam Clarence'a. Adrian leżał na zielonej pluszowej sofie, wpatrzony w telewizor sprytnie ukryty ostatnio w zdobionej drewnianej szafce. Na nasz widok wyłączył aparat pilotem i usiadł. Dorothy przeprosiła i zamknęła za sobą przeszklone drzwi.

— Co za miła niespodzianka. — Adrian zmierzył nas wzrokiem. Jill przebrała się w normalne ciuchy, gdy czekała na mnie w internacie, ale ja wciąż miałam na sobie firmową spódniczkę i bluzkę z Amberwood. — Sage, czy wy tam nie musicie paradować w mundurkach? Jesteście w normalnych ciuchach.

— Urocze — wycedziłam.

Adrian uklonił mi się z drwiącą miną.

— No proszę! Omal się nie uśmiechnęłaś. — Sięgnął po butelkę brandy stojącą na stoliku obok kilku małych szklaneczek. Nalał sobie solidną porcję alkoholu. — Napijecie się?

— Jest środek dnia — zauważyłam z niedowierzaniem, chociaż pora nie miała dla mnie najmniejszego znaczenia.

— Mam potworną migrenę — wyjaśnił, wznosząc niemy toast. — Traktuję to jako lekarstwo.

— Muszę z tobą porozmawiać — Jill od razu przystąpiła do rzeczy. Podniósł na nią wzrok i grymas znikł mu z twarzy.

— Co jest, Ślicznotko?

Dziewczynka zerknęła na mnie z zażenowaniem.

— Miałabyś coś przeciwko...

Zrozumiałam sugestię. Staralam się nie okazywać poirytowania tymi ich wiecznymi tajemnicami.

— Proszę bardzo. Wyjdę na zewnątrz. — Nie lubię wyczekiwać pod drzwiami i za nic w świecie nie chciałam błą-

kac się sarna po korytarzach tego starego domu. Wolałam już upaść.

W połowie długiego holu nagle zobaczyłam postać. Krzyknęłam cicho, omal nie podskakując ze strachu. Sekundę później uświadomiłam sobie, że to Lee, ale nie poczułam się dzięki temu pewniej. Nieważne, jak przyjazną postawę prezentowałam w tym gronie, na widok wampira włączał mi się mechanizm obronny. Ponieważ Lee pojawił się zniemacka, mój mózg już zdążył ocenić sytuację jako atak!

Moroj przystanął i gapił się na mnie. Sądząc po jego minie, był również zaskoczony moją obecnością, choć zapewne nie odczuwał przy tym lęku.

- Sydney? - spytał. - Co ty tu robisz?

Poczułam się zakłopotana, jakby przyłapał mnie na kradzieży.

- Och... przywiozłam Jill. Miała ciężki dzień i potrzebowała rozmowy z Adrianem. Chciałam im zostawić trochę prywatności i postanowiłam, uhm, wyjść przed dom.

Lee się uśmiechnął.

- Nie musisz nigdzie wychodzić. Chodź ze mną, wybierałem się do kuchni coś przekąsić. - Musiałam mieć przerażoną minę, bo wybuchnął śmiechem. - Nie miałem na myśli człowieka.

Zarumieniłam się i ruszyłam za nim.

- Przepraszam - bąknęłam. - To była instynktowna reakcja.

- Nie ma problemu. Wy, alchemicy, jesteście trochę drażliwi.

- Fakt.

Zaśmiałam się nerwowo. Miał rację.

- Zawsze chciałem poznać kogoś z was, ale przyznam, że spodziewałem się czegoś innego. - Otworzył drzwi przestronnej kuchni. Resztę domu urządzone tradycyjnie i ra-

czej ponuro, lecz tutaj wszystko było jasne i nowoczesne.

— Jeśli to poprawi ci humor, nie jesteś tak beznadziejna jak Keith. Wpadł do nas dzisiaj i był tak spięty, że bez przerwy zerkał za siebie. — Lee urwał i się zamyślił. — Może to z powodu Adriana, który nie przestawał się śmiać jak szalony naukowiec ze starych filmów grozy.

Zatrzymałam się raptownie.

— Keith był tu dzisiaj? Po co?

— Musiałabyś spytać tatę. To z nim głównie rozmawiał.

— Chłopak otworzył lodówkę i wyjął z niej puszkę coli. — Chcesz jedną?

— Ja, uhm, nie. Za dużo cukru. Lee wyjął drugą puszkę.

— Odchudzasz się? Zawahałam się przez sekundę.

— No dobrze, chętnie się napiję. Dzięki.

Wolałam niczego nie jeść ani pić w tym domu, ale puszka wydawała się niegroźna. Ostatecznie była szczelnie zamknięta i wyglądała, jakby przywieziono ją ze zwykłego spożywczaka, a nie z jakiejś wampirzej fabryki. Otworzyłam ją i upiłam łyk, próbując pozbierać myśli.

— Nie wiesz, czego chciał?

— Hm? — Lee wziął z lodówki jabłko i przysiadł na kuchennym blacie. — A, Keith? Nie. Ale zdaje się, że chodziło o mnie. Próbował wywęszyć, czy tu mieszkuję. — Ugryzł potężny kęs jabłka, a ja zaciekawiałam się, czy kły utrudniają mu jedzenie.

— Lubi wiedzieć, co jest na rzeczy — odparłam lekko.

Nie znoszę Keitha, lecz postanowiłam zachować się solidarnie. Zresztą, pewnie się nie pomyliłam. Keith poczuł się zaniepokojony obecnością kolejnego moroja na „swoim terytorium” i chciał wiedzieć o nim jak najwięcej. Postępo-

wał jak na wzorowego alchemika przystało, sądziłam jednak, że kieruje nim także urażona duma.

Lee chyba się nad tym nie zastanawiał. Pogryzał jabłko, ale zauważyłam, że mi się przygląda.

— Wspomniałaś, że Jill miała ciężki dzień. Wszystko w porządku?

— Chyba tak. Właściwie to nie wiem. Nie jestem nawet pewna, co się stało. Poprosiła tylko, żebym przywiozła ją do Adriana.

— Jest morojem — stwierdził rzeczowo Lee. — Uznała pewnie, że tylko on będzie w stanie ją zrozumieć. Ty i Eddie pewnych spraw nie pojmiecie. Bez urazy.

— Nie uraziłeś mnie — zapewniłam. Uważałam za naturalne, że Jill i ja różnimy się od siebie pod wieloma względami. Ostatecznie jestem człowiekiem, a ona wampirzycą. Szczerze mówiąc, nie mogłybyśmy różnić się bardziej, i to mi odpowiadało. — Studiujesz w... Los Angeles? Na normalnej uczelni? — Nie byłoby to takie dziwne dla moroja. Niektórzy zamykali się we własnym kręgu, ale zdarzali się i tacy, którzy ukrywali się w dużych aglomeracjach miejskich.

Lee przytaknął ruchem głowy.

— Tak. Na początku mnie również nie było łatwo. Nawet jeśli inni nie wiedzą, że jesteś wampirem... wyczuwają obcość. Ale potem przywykłem... Wiem, co przeżywa Jill.

— Biedactwo — westchnęłam, bo nagle zrozumiałam, że źle oceniłam całą sytuację. Skupiłam się przede wszystkim na tym, że Jill niesłusznie ukarano. Tymczasem ona czuła się źle. Powinnam była się zainteresować, dlaczego miała mdłości. Napięcie związane z nową sytuacją sprawiło, że nie myślałam dość jasno. Zmagalam się z własnymi lękami, obawiałam nowych znajomości i konieczności przyswojenia obcych zwyczajów, lecz przynajmniej obracałam się wśród swoich. — Nie pomyślałam, co musi przeżywać.

— Chciałabyś, żebym z nią pogadał? — spytał Lee, odkładając ogryzek. — Chociaż nie uważam się za eksperta, jeśli chodzi o przebywanie wśród ludzi.

— Przyda się każda rada — odparłam szczerze.

Umilkliśmy i naraz poczułam się nieswojo. Lee zachowywał się przyjaźnie, we mnie jednak odezwały się stare lęki. Pomyślałam, że w rzeczywistości wcale nie chce mnie bliżej poznać, tylko próbuje wy badać grunt. Nie wiedział wiele o alchemikach.

— Czy mógłbym cię spytać... o tatuaż? Daje ci szczególną moc, prawda?

Zapowiadała się powtórka dzisiejszej rozmowy przy lunchu, tyle że Lee znał prawdę. Dotknęłam bezwiednie policzka.

— Nie nazwałabym tego mocą. Jest nasycony czarem wpływu, żebym nie mogła opowiedzieć nikomu o tym, co robimy. Poza tym wzmacnia moją odporność. To chyba wszystko.

— Fascynujące — mruknął.

Odwróciłam wzrok, usiłując nieporadnie zasłonić policzek włosami.

W tej chwili Adrian wetknął głowę do kuchni. Jego nastrój zmienił się całkowicie.

— A, tu jesteś. Czy mógłbym zamienić z tobą słowo w cztery oczy?

Pytanie było skierowane do mnie, więc Lee błyskawicznie zeskoczył na podłogę.

— Zrozumiałem. Jill jeszcze w gnieździe? — Adrian pokiwał głową i Lee popatrzył na mnie pytająco. — Czy chcesz, żebym...?

— Byłoby wspaniale. Dziękuję — potwierdziłam.

Lee wyszedł, a Adrian zerknął na mnie z zaciekawieniem.

— O co chodzi?

— Pomyśleliśmy, że Lee mógłby coś doradzić Jill — wyjaśniłam. — Przeszedł przez to samo.

— To samo?

— Tak, no wiesz. Musiał przywyknąć do życia z ludźmi.

— Ach — bąknął Adrian. Wyjął paczkę papierosów i, ku memu absolutnemu zdumieniu, zapalił przy mnie. — Tak, to może być dobry pomysł. Ale nie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Chciałbym, żebyś mnie stąd zabrała.

Przestraszyłam się. Więc nie chodziło o Jill?

— Z Palm Springs? — wyjąkałam.

— Nie! Z tego domu. — Zatoczył ręką koło. — Trafiłem do domu starców! Clarence właśnie uciął sobie drzemkę. Wstanie o piątej na podwieczorek. Straszne nudy.

— Jesteś tu dopiero od dwóch dni.

— I wystarczy aż nadto. Utrzymuję się przy życiu tylko dzięki bogato wyposażonemu barkowi. Jeśli jednak dalej będę popijał w tym tempie, do weekendu wyczerpię cały zapas. Jezu Chryste, chodzę po ścianach. — Jego wzrok padł na krzyżyk na mojej szyi. — Och, przepraszam. Nie chciałem obrazić Jezusa.

Nie ochłonęłam jeszcze po jego nieoczekiwanym wyznaniu, więc pominęłam ostatnią uwagę.

— A co z Lee? On też tutaj mieszka.

— Tak — zgodził się Adrian. — Od czasu do czasu. Ale jest zajęty... do diabła, nie mam pojęcia czym. Chyba szkołą. Jutro wraca do Los Angeles, co oznacza kolejny nudny wieczór. Poza tym... — Rozejrzał się konspiracyjnie. — Lee jest wprawdzie miły, ale nie... Cóż, nie jest zbyt rozrywkowy. W przeciwieństwie do mnie.

— To akurat zaleta — zauważyłam.

— Tylko bez morałów, Sage. Powiedziałem, że go lubię, lecz za rzadko tu przebywa. A kiedy przyjeżdża, zamyka

się u siebie. Bez przerwy zerka w lustro, nawet częściej niż ja. Słyszałem, jak głośno martwił się siwiejącymi włosami. Nie interesowały mnie dziwactwa Lee.

— A dokąd chciałbyś się przenieść? Chyba nie... — Naszła mnie nieprzyjemna myśl. — Nie zapiszesz się do Amberwood, prawda?

— Miałbym udawać, że gram w serialu dla nastolatków, jak wy wszyscy? Nie, dziękuję.

— W serialu...?

— Nieważne. Posłuchaj. — Adrian zgasił papierosa na blacie, choć nie wypalił go nawet do połowy. — Potrzebne mi niezależne lokum. Możecie wiele zdziałać. Załatwcie mi jakąś atrakcyjną garsonierę w rodzaju tej, którą ma Keith, żebym mógł swobodnie imprezować z bogatymi urlopowiczami. Upijanie się w samotności jest smutne i żałosne. Potrzebuję towarzystwa. Może być nawet ludzkie.

— Nic z tego — odparłam. — Nie mam takich uprawnień. Poza tym... nie jestem za ciebie odpowiedzialna. Opiekuję się Jill wraz z Eddiem jako jej strażnikiem.

Adrian posłał mi gniewne spojrzenie.

— To może chociaż samochód? Potrafisz to załatwić? Potrząsnęłam głową.

— A pożyczylabyś mi auto? Podrzucę was z powrotem do szkoły.

— Nie — powtórzyłam kategorycznie.

To najbardziej szalony pomysł, jaki od niego słyszałam. Latte była moim maleństwem. Nie zamierzałam jej pożyczać pijakowi, który w dodatku był wampirem. Do tego obdarzonym takim brakiem odpowiedzialności, jak Adrian Iwaszkow.

— Dobijasz mnie, Sage!

— Nic nie robię.

— Otóż to.

— Posłuchaj... — Zaczynał mnie wkurzać. — Mówiłam ci już, że nie odpowiadam za ciebie. Pogadaj z Abe'em, jeśli chcesz coś ugrać. Czy nie przyjechałeś tu za jego namową?

W jednej chwili z rozgoryczonego koleśka stał się czujnym obserwatorem.

— Co o tym wiesz?

Racja. Nie miał pojęcia, że podsłuchiłam ich rozmowę.

— Abe przywiózł was tutaj i załatwił wszystko z Clarence'em, prawda? — Liczyłam, że to zabrzmiało przekonująco i może ułatwi mi wydobycie od Adriana więcej informacji na temat knowań Mazura.

— Prawda — przyznał po chwili pełnego napięcia milczenia. — Ale on chciałby, abym pozostał w tym rodzinnym grobowcu. Nie mogę mu powiedzieć, że się przeprowadzam.

Żachnęłam się.

— W takim razie na pewno nie wezmę w tym udziału, nawet gdybym mogła. Nie dam się też przekupić, by oszukać Abe'a.

Widząc, że Adrian ma w zanadru jakąś błyskotliwą ripostę, postanowiłam wyjść. Odwróciłam się do niego plecami i nie słuchając protestów, wymaszerowałam z kuchni. W salonie Jill rozmawiała z Lee i zobaczyłam, że uśmiecha się szczerze po raz pierwszy od dłuższego czasu.

— O, Sydney, jesteś.

— Tak. Możemy już jechać?

— Tak szybko? — spytała z żalem. Oboje z Lee wyglądali na rozczarowanych, lecz zaraz sama odpowiedziała sobie na pytanie: — Chyba tak. Na pewno musisz odrobić lekcje i Eddie się o nas martwi.

Adrian wszedł do pokoju i stanął za mną z kwaśną miną. Jill spojrzała na niego i przez chwilę jej oczy zaszły mgłą, jakby błędziła gdzieś myślami. Potem zwróciła się do mnie.

— Tak — zdecydowała. — Powinnyśmy wracać. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś porozmawiamy, Lee.

— Ja też — odparł, wstając. — Będę tu często zaglądał.

Jill uściskała Adriana na pożegnanie. Było widać, że niechętnie się z nim rozstaje. Obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby się obawiała, że sobie bez niego nie poradzi. Pora karmienia przypadała za dwa dni i Adrian zapewnił ją, że jest wystarczająco dzielna, by przetrwać kolejny dzień w szkole. Niezależnie od tego, jak bardzo mnie wkurzał, byłam pod wrażeniem jego empatii dla tej dziewczyny. Każdy, kto okazywał Jill odrobinę dobroci, nie mógł być do końca zepsuty. Adrian zaczynał mnie zaskakiwać.

— Lepiej wyglądasz — powiedziałam jej, kiedy jechałyśmy w stronę Vista Azul.

— Rozmowa z Adrianem... z Lee zresztą też... bardzo mi pomogła.

— Poradzisz sobie jutro?

— Tak. — Jill westchnęła i oparła się wygodnie. — To tylko nerwy plus brak śniadania.

— Jill... — Przygryzłam wargę niepewna, czy mogę drażnić temat. Nie jestem dobra w rozmowach na delikatne tematy. — Ty i Adrian...

Spojrzała na mnie czujnie. -Tak?

— Czy coś... czy wy?

— Nie! — Kątem oka dostrzegłam, że Jill gwałtownie się zaróżowiła. To był najintensywniejszy kolor, jaki kiedykolwiek widziałam na twarzy wampira. — Skąd ci to przyszło do głowy?

— Miałaś mdłości dziś rano, a potem nalegałaś na spotkanie z Adrianem. Zawsze jesteś smutna po rozstaniu z nim...

Szeroko otworzyła oczy.

— Sądysz, że jestem w ciąży?

— Niezupełnie — odparłam, uświadamiając sobie, że musiało to zabrzmieć absurdalnie. — Sama nie wiem. Rozważam różne wyjaśnienia...

— To akurat możesz odrzucić! Nic nas nie łączy. Nic. Jesteśmy przyjaciółmi. Adrian nigdy by się mną nie zainteresował — powiedziała bardzo stanowczo, może z odrobiną żalu.

— Nieprawda — wtrąciłam pospiesznie, starając się zatrzeć niemile wrażenie. — Jesteś od niego młodsza, to fakt, ale śliczna... — Tak, to była beznadziejna rozmowa. Plotłam trzy po trzy.

— Daj spokój — przerwała. — Nie mów, że jestem miła, ładna i że mam wiele do zaoferowania. Nic nie mów. To wszystko się nie liczy. On myśli tylko o niej.

— O niej? Och. O Rose.

Prawie zapomniałam. Po raz pierwszy widziałam Adriana podczas wizyty na królewskim dworze, lecz wcześniej obejrzałam nagranie z kasyna, gdzie byli razem z Rose. Wiedziałam, że się spotykali, ale nie przypuszczałam, by łączyło ich coś poważnego. Potem, gdy pomagałam w ucieczce Rose i Dymitrowi, od razu zauważyłam, że są w sobie szalenie zakochani, chociaż oboje temu zaprzeczali. Nawet ja zorientowałam się w sytuacji, a nie mam doświadczenia w tej materii. Rose i Dymitr byli teraz oficjalnie parą, uznałam więc, że sprawy między nią i Adrianem nie skończyły się dobrze.

— Tak, Rose. — Jill westchnęła i zapatrzyła się w przestrzeń. — Tylko ją widzi, gdy zamyka oczy. Próbuje o niej zapomnieć, upija się na umór... ale to nie pomaga. Nie może przed nią uciec.

Zdumiała mnie gorycz w głosie podopiecznej. Mogłam przypisać ją zazdrości, lecz zachowywała się tak, jakby ona również została oszukana przez Rose.

— Jill? Dobrze się czujesz?

— Co? — Potrząsnęła głową, jakby otrząsała się z pajęczyny snu. — Tak, w porządku. Przepraszam. To był dziwny dzień. Nie jestem sobą. Wspominałaś, że możemy wpaść na szybkie zakupy? — Przy znaku zjazdu z autostrady widniała reklama centrum sklepowego.

Z ulgą powitałam zmianę tematu, chociaż czułam się zmieszana.

— Tak. Musimy zaopatrzyć się w kremy z filtrem i może mały telewizor do pokoju.

— Byłoby świetnie — przyznała Jill.

Nie odezwałam się i zjechałam z głównej drogi. Tego dnia nie rozmawialiśmy już o Adrianie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

ZAMIERZASZ TO ZJEŚĆ? - spytał Eddie.

Eddie nie usłyszał o absurdalnym zarzucie wobec Jill, ale fakt, że długo jej nie widział, wyprowadzał go z równowagi. Kiedy zeszliśmy na dół następnego dnia, czekał w holu, gotów pójść z nami na śniadanie.

Podsunęłam mu swój talerz i połowę bajgla. Zdążył już pochłonąć swoją porcję co do okruszka, do tego naleśniki i bekon. Teraz chętnie przyjął moją ofertę. Eddie mógł sobie być wybrykiem natury, lecz jeśli chodzi o apetyt, przypominał normalnego nastolatka.

- Jak się czujesz? - spytał Jill, kiedy przełknął potężny kęs pieczywa.

Wiedział już, że dziewczyna nie była na lekcjach, więc wytłumaczyliśmy mu, że rozchorowała się ze zdenerwowania.

Posądzenie Jill o kaca wciąż budziło we mnie oburzenie, ale nalegała, abym nie poruszała tej kwestii.

- Dobrze - odparła. - Znacznie lepiej.

Nie skomentowałam tego, lecz nie pozbyłam się wątpliwości. Jill naprawdę wyglądała lepiej następnego ranka, chociaż na pewno się nie wyspała.

Obudziła się w środku nocy z głośnym krzykiem.

Zerwałam się z łóżka, pewna, że do pokoju wtargnęła setka strzyg lub morderczych morojów. Dopiero po chwili zorientowałam się, że oprócz Jill nie ma tu nikogo. Podbiegłam do niej i z trudem ją dobudziłam. Usiadła na łóżku zrana potem, ciężko oddychała, ściskając się za pierś. Kiedy się uspokoiła, powiedziała, że to tylko zły sen, lecz było coś w jej oczach... strach przed czymś bardzo realnym. Sama również budziłam się wiele razy w przekonaniu, że alchemicy przyjechali, by zabrać mnie do ośrodka reedukacji.

Jill upierała się, że nic jej nie jest, a rankiem nalegała, bym nie wspominała o tym Eddiemu.

— Tylko niepotrzebnie się zdenerwuje — tłumaczyła. — Przecież nic się nie stało.

Zgadzałam się z tym, lecz kiedy próbowałam wypytać, co jej się śniło, zbyła mnie.

Przy śniadaniu była zdenerwowana, lecz przypisałam to obawom przed drugim dniem w ludzkiej szkole.

— Wciąż nie mogę się otrząsnąć z wrażenia, że tak bardzo się od nich różnię — przyznała cicho. — Choćby wzrostem, jestem najwyższa z dziewcząt! — Miała rację. Moroj-ki często przekraczały sto osiemdziesiąt centymetrów. Jill nieco brakowało do tej granicy, lecz jej smukła sylwetka sprawiała, że wydawała się wyższa. — Poza tym jestem za chuda.

— Wcale nie — zaprzeczyłam.

— Jestem koścista w porównaniu z nimi — upierała się Jill.

— Każdy czymś się wyróżnia — wtrącił Eddie. — Na przykład tamta dziewczyna ma milion piegów, a ten gość ogolił sobie głowę. Nie ma czegoś takiego jak norma.

Jill wyglądała na nieprzekonaną, ale po dzwonku posłusznie ruszyła do klasy.

Obiecała, że spotka się z Eddiem na lunchu, a ze mną na wuefie.

Wparowałam do klasy kilka minut przed lekcją historii. Panna Terwiliger stała przy biurku, wertując jakieś papiery. Podeszłam do niej z wahaniem.

— Proszę pani?

Podniosła na mnie wzrok, poprawiając okulary.

— Hmm? Och, pamiętam. Panna Melbourne.

— Melrose — poprawiłam.

— Na pewno? Mogłabym przysiąc, że nosisz australijskie nazwisko.

— Mam na imię Sydney — podsunęłam niepewnie, bo może nie powinnam jej zachęcać.

— Ach. W takim razie nie zwariowałam. W każdym razie jeszcze nie. Co mogę dla pani zrobić, panno Melrose?

— Chciałam prosić... Widzi pani, brakuje mi jednego przedmiotu, bo zaliczyłam wszystkie testy językowe. Zastanawiałam się, czy nie potrzebuje pani jeszcze jednej pomocnicy... kogoś takiego jak Trey. — Wspomniany chłopak był już na miejscu. Siedział w ławce i segregował papiery. Na dźwięk swojego imienia podniósł wzrok i przyjrzał mi się czujnie. — To ostatni semestr. Jeśli więc potrzebuje pani kogoś do pracy...

Nauczycielka przyglądała mi się przez chwilę. Tego dnia starannie przypudrowałam tatuaż, ale czułam, że patrzy na niego.

— Nie potrzebuję drugiej pomocnicy - odparła szczerze, a na wargi Treya wypełził uśmiezek. — Pan Juarez, mimo swoich licznych ograniczeń, jest bardziej kompetentny w sortowaniu stosów notatek. — Uśmiezek zgasł.

Kiwnęłam głową i zamierzałam odejść. Byłam rozczarowana.

— W porządku. Rozumiem.

— Nie, nie rozumie pani. Piszę książkę o heretykach i magach w świecie greckokatolickim. Prowadziłam wykłady na ten fascynujący temat w college'u Carlton.

Trey stłumił kaszel.

— Przydałby mi się sprawny pomocnik do przeszukiwania źródeł. Potrzebuję też kogoś, kto pozałatwiałby za mnie kilka spraw. Czy jest pani zainteresowana?

Rozdziawiłam buzię.

— Tak, proszę pani. Jestem.

— Skoro zależy pani na indywidualnym toku nauki, powinna pani prowadzić jakiś projekt... zająć się samodzielnymi badaniami. Oczywiście znacznie mniej obszernymi niż te potrzebne do mojej książki. Czy jakieś zagadnienie z tamtego okresu interesuje panią szczególnie?

— Hmm... tak. — Nie wierzyłam własnym uszom. — Klasyczna sztuka i architektura. Chętnie zagłębię się w ten temat.

Teraz to ona była pod wrażeniem.

— Naprawdę? Wygląda na to, że odnalazłyśmy się w korcu maku. Cóż, prawie. Szkoda, że nie zna pani łaciny.

— Właściwie... — Spuściłam wzrok. — Ja... czytam po łacinie. - Odważyłam się na nią zerknąć. Już nie była pod wrażeniem. Wstrząsnęłam nią.

-Doskonale. A może... - Potrzęsnęła głową ze smutkiem. — Boję się zapytać o grekę. — W tej chwili odezwał się dzwonek. — Proszę zająć miejsce i zajrzeć do mnie pod koniec dnia. Ostatnią godzinę przeznaczam na planowanie, będziemy więc miały mnóstwo czasu na rozmowę i wypełnienie stosownych dokumentów.

Usiadłam w swojej ławce i otrzymałam pełnego uznania szturcharica od Eddiego.

- Dobra robota. Nie będziesz musiała chodzić na lekcje. Z drugiej strony jeśli każe ci czytać po łacinie, może być gorzej.

- Lubię łacinę — odparłam z całkowitą powagą. - Jest fajna.

Eddie pokręcił głową i szepnął:

- Nie mogę uwierzyć, że to nas uważasz za dziwaków. Komentarze Treya pod moim adresem nie były tak przyjacielskie.

- No, widzę, że owinęłaś sobie Terwiliger wokół małego palca. — Kiwnął głową w stronę nauczycielki chemii. — Teraz powiesz, że w wolnym czasie potrafisz rozszczepiać atomy? Masz w pokoju mały reaktor?

- Nie ma nic złego w... - ugryzłam się w język, niepewna tego, co chciałam powiedzieć. Zamierzałam dodać „w byciu mądrzejszym”, ale to by zabrzmiało jak przechwałka. — Nie ma nic złego w tym, że ktoś chce wiedzieć więcej — mruknęłam na koniec.

- Jasne — przyznał. — Pod warunkiem że uczciwie zdobywa wiedzę.

Przypomniałam sobie absurdalną rozmowę z Kristin i Julią. Musiałam zawieźć Jill do Adriana, więc nie mogłam się z nimi spotkać i nie dowiedziałam się więcej o tajemniczych tatuażach. W każdym razie rozumiałam już, do czego pije Trey, chociaż bardzo się mylił. Nikt więcej nie sugerował, że posiadam szczególny tatuaż, choć kilka osób podchodziło do mnie na przerwach, pytając, gdzie go zrobiłam. Byli rozczarowani, gdy odpowiadałam, że w Dakocie Południowej.

- Słuchaj, nie mam pojęcia, dlaczego myślisz, że to tatuaż daje mi większą wiedzę, ale bardzo się mylisz. To zwykły tatuaż.

— Jest złoty — nie ustępował.

— I co z tego? — spytałam. — Wykonano go specjalnym atramentem. Dlaczego wszyscy uważają, że ma jakieś mistyczne właściwości? Kto wierzy w takie rzeczy?

— Połowa tej szkoły — prychnął Trey. — A ty skąd jesteś taka mądra?

Czyżbym naprawdę aż tak odstawała od reszty, że szukano nadnaturalnych przyczyn? Miałam na podorędziu gotową odpowiedź.

— Uczyłam się w domu.

— Och — rzucił domyślnie. — To wiele wyjaśnia. Westchnęłam.

— Ale założę się, że nie miałaś w domu wuefu — ciągnął.

— Jak sobie poradzisz z wymaganiami szkoły w tej kwestii?

— Nie wiem, jeszcze o tym nie myślałam — przyznałam, lecz poczułam się niepewnie.

Poziom wykładanej tu wiedzy miałam w małym palcu, ale w dziedzinie sportu mogłam mieć kłopoty.

— Musisz wybrać jakąś dyscyplinę i to szybko. Nie miej takiej zmartwionej miny — dodał. — Może pozwolą ci założyć kółko łaćńskie.

— Wypraszam sobie! — Nie spodobał mi się jego ton.

— Grałam w to i owo.

Trey wzruszył ramionami.

— Skoro tak twierdzisz. Nie wyglądasz na atletkę. Jesteś zbyt... uporządkowana.

Nie byłam pewna, czy potraktować to jako komplement.

— A ty co trenujesz?

Trey podniósł dumnie głowę.

— Futbol. Sport dla prawdziwych mężczyzn.

Chłopak siedzący obok usłyszał go i zerknął na nas.

— Szkoda tylko, że nie zostaniesz rozgrywającym, Juarez. W zeszłym roku miałeś spore szanse. Tymczasem wygląda na to, że skończysz szkołę, nie spełniając kolejnego marzenia.

Sądziłam, że Trey mnie nie lubi. Kiedy jednak zwrócił się do tamtego, temperatura w pomieszczeniu spadła o dziesięć stopni. Zrozumiałam, że po prostu lubi mnie dręczyć. A chłopakiem, który się włączył do rozmowy, zwyczajnie gardził.

— Nie pamiętam, byś wszedł do drużyny, Slade — odparował twardo. — Masz jakiś powód, by myśleć, że w tym roku będzie inaczej?

Slade -- nie wiedziałam, czy to imię, czy nazwisko — wymienił porozumiewawcze spojrzenia z kolegami z sąsiednich ławek.

— Mam przeczucie.

Chłopak w końcu się odwrócił, lecz Trey miał teraz ponurą minę.

— Świetnie — mruknął. — Slade nareszcie zdobył kasę. Chcesz się dowiedzieć, co to za tatuaże? Pogadaj z nim.

Wystarczyło pół minuty, by stwierdzić, że nie mam ochoty rozmawiać ze Slade'em. Zaraz potem zaczęła się lekcja i choć próbowałam się skupić, wciąż wracałam myślami do obsesji miejscowych uczniów na punkcie tatuaży. Co tu jest grane, do licha?

Przed wuefem odnotowałam z ulgą, że Jill pojawiła się w szatni. Uśmiechnęła się do mnie słabo, kiedy wychodziłyśmy na boisko.

— Jak ci mija dzień? — zagadnęłam.

— W porządku — odparła. — Ani dobrze, ani źle. Nie poznałam wielu osób. — Nie powiedziała tego, ale jej ton mówił sam za siebie. „Widzisz? Odstaję od reszty”.

W czasie lekcji uświadomiłam sobie jednak, że problem leży gdzie indziej. Jill unikała kontaktu z rówieśnikami. Była spięta, więc inni nawet nie próbowali zaczynać z nią rozmowy. Z pewnością nie zaliczałam się do najbardziej towarzyskich osób na świecie, lecz przynajmniej uśmiechałam się i gawędziłam z kolegami z klasy, kiedy ćwiczyliśmy siatkówkę. To wystarczyło, by zaskarbić sobie sympatię.

Wkrótce dostrzegłam kolejny problem. Podzielono nas na cztery drużyny rozgrywające konkurencyjne mecze. Jill znalazła się w innym zespole. Zerkiałam na nią od czasu do czasu. Wyglądała na nieszczęśliwą, po dziesięciu minutach była wyczerpana, choć nie angażowała się w grę. Miała spóźnione reakcje. Przepuściła kilka piłek, a te, które zauważała w porę, odbijała nieporadnie. Kilkoro członków zespołu Jill wymieniało za jej plecami nieprzyjazne spojrzenia.

Skoncentrowałam się na grze, kiedy drużyna przeciwna zaserwowała piłkę w miejsce nieobstawione przez naszych. Nie mam refleksu dampira, jednak zorientowałam się, że zdążę odbić. Natura podpowiadała: „Nie rób nic, co może cię zranić albo sprawić, że się pobrudzisz”. Zawsze długo rozważałam każde działanie, nigdy nie poddawałam się impulsom. Tym razem zdecydowałam inaczej. Postanowiłam odbić tę piłkę. Skoczyłam do niej i podałam zawodnikowi stojącemu na pozycji najkorzystniejszej, by przerzucić piłkę na drugą połowę boiska. I zaraz wyrznęłam kolanami o ziemię. Przygryzłam wargi z bólu, ale przynajmniej zablokowałam przeciwnikom punkt. Moja drużyna wiwatowała, a ja się śmiałam. Zawsze uczono mnie, że wszystko, co robię, musi mieć praktyczny cel. Sport uprawia się dla zabawy, więc nie pasuje do stylu życia alchemików. Teraz uznałam, że czasem można sobie pozwolić na odrobinę luzu.

— Ładnie, Melrose! — rzuciła panna Carson, przechodząc obok. — Gdybyś chciała odłożyć wychowanie fizyczne do zimy i grać w siatkówkę, przyjdź do mnie po lekcji.

— Brawo! — Micah wyciągnął do mnie rękę. Podziękowałam i podniosłam się bez pomocy. Pomimo zadrapania na kolanie nie przestałam się uśmiechać. Gdyby dwa tygodnie temu ktoś mi powiedział, że będę uszczęśliwiona tarzaniem po ziemi, nie uwierzyłabym. — Rzadko kogoś chwali.

Mówił prawdę. Panna Carson już kilka razy zganiła Jill, a teraz wstrzymała grę, by skorygować technikę jednego z naszych zawodników. Skorzystałam z krótkiej przerwy i zerknęłam na drugie boisko. Micah podążył za moim wzrokiem.

— Chyba nie macie tego w genach — mruknął współczująco.

— Niestety — przyznałam cicho.

Przestałam się uśmiechać. Poczulałam wyrzuty sumienia, że pławię się w triumfie, podczas gdy Jill zмага się z własną słabością. To było nie w porządku.

Jill wyglądała na wyczerpaną, loki miała zlepione od potu. Na policzkach wykwitły różowe plamy, nadając jej twarzy niezdrowy wygląd. Wkładała całą energię, by utrzymać się na nogach. Zdziwiłam się, że Jill ma takie trudności. Podśluchałam jej krótką rozmowę z Eddiem na temat trenowania samoobrony, więc założyłam, że jest bardzo sprawna. Umawiali się nawet na jakiś sparring...

— Słońce! — jęknęłam.

— Hm? — nie zrozumiał Micah.

Wspominałam Stanton, że mam obawy, jeśli chodzi o przebywanie morojów na słońcu, ale mnie zlekceważyła. Poradziła, aby Jill nie wychodziła na zewnątrz, toteż dziew-

czyna stosowała się do jej zaleceń. Poza lekcjami, które tego od niej wymagały.

Zmuszanie jej do udziału w meczu rozgrywającym się w południowym słońcu Palm Springs było okrucieństwem. Dziwne, że wciąż się trzymała na nogach.

Westchnęłam, notując w myślach, że muszę zgłosić ten problem alchemikom.

— Będziemy musieli załatwić jej zwolnienie lekarskie.

— O czym ty mówisz? — zdziwił się Micah. Mecz wznowiono, więc zajął pozycję obok mnie.

— Och. O Jill. Jest wrażliwa na słońce. To coś w rodzaju alergii.

Jak na zawołanie usłyszeliśmy krzyk panny Carson dobiegający z drugiego boiska.

— Młodsza Melrose! Oślepiłaś? Nie widziałaś, że piłka leci do ciebie?

Jill zachwiała się, ale potulnie przyjęła nagane.

Micah przyglądał się tej scenie, marszcząc czoło, a kiedy tylko panna Carson znalazła inną ofiarę, opuścił boisko i pobiegł prosto do mojej „siostry”. Próbowałam bronić obu pozycji, żeby go osłaniać. Micah przystanął przy sąsiedzie Jill i szepnął mu coś do ucha, pokazując na mnie. W chwilę później chłopak znalazł się w naszym zespole, a Micah zajął jego miejsce obok Jill.

Musiało minąć kilka minut, zanim zorientowałam się, co zrobił Micah. Był świetnym graczem, tak dobrym, że bronił teraz obu pozycji. Nie dostrzegając wyraźnych błędów, panna Carson skierowała uwagę gdzie indziej, a drużyna zapomniała o swoim najsłabszym ogniwie. Po skończonym meczu Micah złapał Jill za ramię i szybko odprowadził w zacienione miejsce. Widziałam, jak mała powłóczy nogami, chłopak prawie ją niósł.

Zamierzałam już podejść do nich, gdy usłyszałam podniesione głosy.

— Będę go miał jeszcze dzisiaj. Gość, z którym rozmawiałem, przysięga, że to mocna rzecz. — To mówił Slade, chłopak, który wcześniej starł się z Treyem. Nie zorientowałam się podczas meczu, że to właśnie z nim Micah zamienił się miejscami. — Oby się nie mylił — ciągnął — bo słono mnie to kosztowało.

Slade szedł do szatni w towarzystwie dwóch kumpli. — Kiedy zaczynają się próbne rozgrywki, Slade? — spytał jeden z nich.

Na chemii dowiedziałam się, że koleś ma na imię Greg, ale wszyscy zwracali się do niego po nazwisku, nawet nauczyciele.

— W piątek — odparł. — Czuję żądzę krwi. Zniszczę ich. Wyrwę Juarezowi kręgosłup i każę mu go zjeść.

„Urocze” — pomyślałam, patrząc za nimi. Słusznie oceniłam Slade’a. Zwróciłam się w stronę Jill i Micaha, zobaczyłam, że przyniósł jej butelkę wody. Dziewczyna była bezpieczna, więc zagadnęłam przechodzącą pannę Carson.

— Moja siostra źle reaguje na słońce — wyjaśniłam. — Przeżywała dzisiaj ciężkie chwile.

— Wielu uczniów początkowo z trudem znosi upał — odparła wyrozumiale. — Muszą się jednak uodpornić. Ty sobie poradziłaś.

— Cóż, bardzo się z siostrą różnimy — powiedziałam oschle. „Gdyby tylko wiedziała”. — Nie sądzę, że się uodporni.

— Nic na to nie poradzę — wyjaśniła. — Jeśli pozwolę jej siedzieć na ławce, natychmiast znajdą się tacy, którzy „poczują się zmęczeni upałem”. Musi ćwiczyć, chyba że dostanie zwolnienie lekarskie.

Podziękowałam nauczycielce i ruszyłam do Jill i Micaha. Zbliżając się, usłyszałam słowa „anioła stróża” Jill.

— Weź prysznic, a potem odprowadzę cię do klasy. Nie pozwolę, abyś zemdląła gdzieś na korytarzu. Oczywiście będę wniebowzięty, mogąc cię wziąć na ręce, gdy zasłabniesz.

Jill była skołowana tymi słowami, co uznałam za zrozumiałe, ale podziękowała koledze. Obiecała, że zaraz wróci i odeszłyśmy razem do szatni. Zauważyłam, że Micah się uśmiecha, i znów się zaniepokoiłam. Miałam coraz większe obawy.

Micah odprowadził Jill na lekcję zgodnie z obietnicą. Zapowiedział, że jeśli tylko zechce, wieczorem pouczy ją gry w siatkówkę.

Staliśmy przed salą, kiedy minęła nas dziewczyna o długich rudych włosach i wyniosłej postawie. Szła w otoczeniu świty złożonej z kilku koleżanek. Na widok Micaha przystanęła i odrzucając grzywkę, posłała mu olśniewający uśmiech.

— Cześć, Micah.

Chłopak był zajęty Jill i ledwo zerknął w jej stronę.

— O, witaj, Laurel.

Odszedł, a rudowłosa popatrzyła za nim z chmurną miną. Spojrzała wrogo na Jill, jeszcze raz odrzuciła loki i pospiesznie odeszła.

„Oho — pomyślałam, widząc, jak maszeruje korytarzem. — Czy toto wróci i będzie nas prześladować?”. W takich chwilach brakowało mi obycia i wiedzy o zwyczajach nastolatków.

Poszłam na spotkanie z panią Terwiliger. Ustalałyśmy szczegóły naszej współpracy. Okazało się, że czeka mnie mnóstwo czytania i tłumaczeń, co mi bardzo odpowiadało. Poza tym głównym zajęciem miało być organizowanie pracy nauczycielce — byłam w tym niezrównana. Czas minął

szybko i niebawem pospieszyłam na poszukiwanie Eddie-go. Stał na przystanku w grupie chłopców wracających do internatu.

Na powitanie usłyszałam standardowe pytanie:

— Jak się czuje Jill?

— Dobrze... w pewnym sensie. Możemy pogadać?

Twarz dampira pociemniała. Na pewno uznał, że zmierza tutaj legion strzyg, by zapolować na jego podopieczną. Weszliśmy do jednego z budynków akademickich i usiedliśmy w kącie, który zapewniał odrobinę prywatności i klimatyzację. Pokrótce opowiedziałam Eddiemu o problemach Jill na wuefie.

— Nie sądziłem, że tak źle to zniesie — mruknął ponuro. — Dzięki Bogu, że Micah był przy niej. Możesz znaleźć jakieś rozwiązanie?

— Tak, załatwimy zwolnienie od naszych „rodziców” albo od lekarza — zapewniłam i dodałam niechętnie: — Keith powinien to zorganizować.

— Oby — rzucił zapalczywie Eddie. — Nie możemy jej narażać na upał. Jeśli będzie trzeba, sam przekonam nauczycielkę.

Z trudem skryłam uśmiech.

— Cóż, mam nadzieję, że nie będziesz musiał. Ale jest coś jeszcze... Nie mówię o zagrożeniu — dodałam szybko, widząc, że znów się nasrożył. — To... — Nie chciałam używać słów, które same cisnęły się na usta. „Przerażające? Złe?”. — Trochę niepokojące. Myślę... Myślę, że Micah bardzo lubi Jill.

Rysy twarzy Eddiego się wygładziły.

— Oczywiście, że ją lubi. Jill jest miła. On także. Lubi wszystkich.

— Nie o to chodzi. I dobrze o tym wiesz. Ona mu się podoba — nie jako koleżanka. Co z tym zrobimy?

Dampir zapatrzył się przed siebie, po czym spojrział na mnie.

— A dlaczego mielibyśmy cokolwiek robić?

— Jak możesz o to pytać?! — wykrzyknęłam zezłoszczona jego obojętnością. — Wiesz, czemu ludzie i wampiry nie mogą żyć razem! To obrzydliwe i złe. — Nie zdołałam się opanować. — Nawet dampir taki jak ty powinien to rozumieć.

Uśmiechnął się smutno.

— Nawet dampir taki jak ja?

Zdaje się, że przeholowałam, jednak nie mogłam nic na to poradzić. Alchemicy — i ja również — nie wierzyli, że dampiry i moroje przejmują się sprawami, które nam spędzają sen z powiek. Uznawali zakaz, lecz lata praktyki pokazały, że tylko my traktowaliśmy go poważnie. Dlatego nasza praca ma tak wielkie znaczenie.

— Mówię serio — oznajmiłam. — W tej sprawie wszyscy jesteśmy zgodni.

Eddie spoważniał.

— Rozumiem.

Nawet Rose i Dymitr, wykazujący sporą tolerancję dla największych szaleństw, przeżyli wstrząs na widok stróżów, odłamu morojów, żyjących swobodnie z dampirami i ludźmi. Dla tych dwojga związki ludzi i wampirów również były tabu. Musieliśmy bardzo się starać, żeby nie okazywać stróżom mieszkającym wysoko w Appalachach, jak bardzo nas szokują ich zwyczaje. To u nich Rose znalazła bezpieczne schronienie podczas ucieczki. Tolerowanie ich barbarzyństwa było ceną, którą zgodziliśmy się zapłacić za jej bezpieczeństwo.

— Mógłbyś z nim porozmawiać? — spytałam. — Nie wydaje mi się, by Jill była zainteresowana tym chłopakiem. Zbyt wiele ma na głowie. Poza tym nie sądzę, by poszła na

coś takiego... ale musimy go zniechęcić, zanim się zaangażuje.

— A co niby miałbym mu powiedzieć? — zdziwił się Eddie.

Zabrzmiało to bezradnie, co mnie rozbawiło, gdyż przed chwilą był gotów stawiać żądania pannie Carson.

— Czy ja wiem? Odegrasz rolę starszego brata, opiekuna. Powiesz, że jest za młoda.

Spodziewałam się, że na to pójdzie, ale znów odwrócił wzrok.

— Nie wiem, czy powinniśmy się wtrącać.

— Jak to? Oszalałeś? Pochwalasz...

— Nie, nie. — Westchnął. — Nie pochwalam tego. Ale spójrz na to inaczej. Jill znalazła się w szkole pełnej ludzi. To niesprawiedliwe, że nie wolno jej się z nikim zaprzyjaźnić.

— Nie sądzę, by Micahowi chodziło wyłącznie o przyjaźń.

— Dlaczego Jill nie miałyby się z nim spotykać od czasu do czasu? Pójść na dyskotekę. Powinna zachowywać się normalnie, jak dziewczyna w jej wieku. Życie Jill zostało wywrócone do góry nogami. Nie utrudniamy jej tego bardziej.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem, nie mogąc zrozumieć, dlaczego tak się upiera. To fakt, że nie musiał ponosić konsekwencji podobnych decyzji. Gdyby alchemicy dowiedzieli się, że „popieram” związek wampira z człowiekiem, zyskaliby dodatkowy powód, by mnie ukarać. Gdzieś w zakamarkach mojego umysłu czaił się lęk, że prędzej czy później wyląduję w ośrodku reedukacji. A przecież wiedziałam, że Eddie nie popiera takiego obrotu sprawy. O co mu chodziło? I wtedy przyszła mi do głowy dziwaczna odpowiedź.

— Wydaje mi się, że nie chcesz się pokłócić z Micahem. Spojrzał mi w oczy.

— To skomplikowane — przyznał. Coś w wyrazie twarzy Eddiego utwierdziło mnie w przekonaniu, że trafiłam w sedno. — Dlaczego sama nie porozmawiasz z Jill? Zna zasady. Zrozumie, że nie może się z nim bezkarnie umawiać.

— To kiepski pomysł — stwierdziłam, wciąż nie mogąc uwierzyć, że Eddie zajmuje takie stanowisko. — Stąpamy po grząskim gruncie, naprawdę będziemy mieli kłopoty. Powinniśmy sztywno trzymać się reguł i nie pozwalać Jill na umawianie się z kimkolwiek.

Eddie uśmiechnął się cierpko.

— Dla was, alchemików, liczą się tylko sztywne reguły, prawda? Sądzisz, że naprawdę możecie jej czegokolwiek zakazać? Powinnaś wiedzieć, że to niemożliwe. Nawet twoje dzieciństwo nie mogło być tak nienormalne.

Odebrałam to jak policzek. Tymczasem Eddie odszedł, zostawiając mnie z moim oburzeniem. O co tutaj chodziło? Jak to możliwe, że Eddie — tak zapalczywie pragnący chronić Jill — zgadzał się, by spotykała się z Micahem? Działo się coś dziwnego, co miało związek z Micahem, ale nie potrafiłam rozgryźć co. Postanowiłam, że nie odpuszczę. To było zbyt niebezpieczne. Porozmawiam z Jill i wyjaśnię, co jest dobre, a co złe. Jeśli będzie trzeba, porozmawiam również z Micahem — choć nadal uważałam, że powinien to zrobić Eddie.

Zastanawiałam się, skąd zdobyć zwolnienie dla Jill, i przyszło mi do głowy kolejne rozwiązanie. Ktoś inny miał duży wpływ na tę dziewczynę.

Adrian.

Czekała mnie jeszcze jedna rozmowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

MIAŁAM ODWIEDZAĆ dom Clarence'a tylko dwa razy w tygodniu, tymczasem bywałam tam codziennie. Co więcej, po raz pierwszy pojechałam sama. Wcześniej przyjeżdżałam z Keithem lub Jill w konkretnym celu. Teraz byłam zdana wyłącznie na siebie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem przestraszona, dopóki nie stanęłam przed rezydencją. Wydała mi się bardziej ponura i mroczna niż zwykle.

„Nie ma się czego bać - powiedziałam sobie. - Spędziłaś cały tydzień w towarzystwie wampira i dampira. Powinnaś już do nich przywyknąć". Poza tym jedyną naprawdę przerażającą rzeczą w tym miejscu stanowił mój lęk. Clarence i Lee zachowywali się normalnie, a Adrian... Cóż, Adrian był najmniej groźnym wampirem, jakiego spotkałam. Zachowywał się jak dzieciak i... choć nie chciałam tego przyznać, cieszyłam się, że go zobaczę. Nie wiedziałam dlaczego, ale coś w jego irytującej naturze pozwalało mi zapomnieć o innych zmartwieniach. W towarzystwie Adriana się odprężałam.

Dorothy prowadziła mnie korytarzem do, jak sądziłam, znajomego saloniku. W ciemnościach minęłyśmy jednak kilka zakrętów i stanęłyśmy przed salą bilardową, która

wyglądała jak żywcem wyjęta z filmu *Clue*. Ściany wyłożono ciemnym drewnem, a witrażowe okna przepuszczały rozproszone światło słoneczne. Główne oświetlenie stanowiła lampa zawieszona nad kosztownym stołem bilardowym. Adrian właśnie przymierzał się do uderzenia, kiedy zamknęłam za sobą drzwi.

— O — powiedział, wrzucając czerwoną kulę do dołka. — To ty.

— Spodziewałeś się kogoś innego? — spytałam. — Nie jestem wpisana do twojego kalendarzyka? — Rozejrzałam się wymownie po pustym wnętrzu. — Nie chciałabym przeszkadzać w spotkaniu z tłumem fanów dobijających się do drzwi.

— Hej, każdy może mieć nadzieję. Niewykluczone, że samochód pełen skapo odzianych dziewcząt z jakiegoś uczelnianego stowarzyszenia popytuje się przed domem i przyjdą tu, szukając mojej pomocy.

— To prawda — przyznałam. — Może umieszczę na drzwiach tabliczkę z napisem: „Uwaga, Dziewczyny: Darmowa Pomoc”.

— „Uwaga, Gorące Dziewczyny” — poprawił Adrian i się wyprostował.

— Racja — starałam się nie okazać poirytowania. — To ważny szczegół.

Pokazał na mnie kijem bilardowym.

— Skoro mowa o gorących szczegółach — podoba mi się twój mundurek.

Tym razem przewróciłam oczami. Ostatnio sugerował, że nasz szkolny strój przypomina normalne ubranie, więc przed wyjazdem się przebrałam. Miałam na sobie ciemne dzinsy i czarno-białą bluzkę z nadrukiem i postrzępionym kołnierzykiem. Powinnam była przewidzieć, że Adrian mi tego nie przepuści.

- Nie masz partnera do gry? — spytałam.

- Clarence jest zajęty... nie wiem czym. Sprawami starszego pana. A Lee postanowił przed wyjazdem naprawie ten zamek. Zabawnie się do tego zabierał. Denerwował się, że potrzebne są do tego narzędzia. Chyba sądził, że powinna wystarczyć siła rąk.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Zakładam, że nie zaoferowałeś się z pomocą?

- Sage - zachnął się Adrian. - Te ręce nie skalały się pracą fizyczną. - Wrzucił kolejną kulę do dołka. - Zagrasz?

- Co takiego? Z tobą?

- Nie, z Clarence'em. - Westchnął. - Jasne, że ze mną.

- Nie. Musimy porozmawiać o Jill. Podjął grę, jakby mnie nie słyszał.

- Dzisiaj nie czuła się najgorzej - rzucił po chwili z pewnością siebie, w jego tonie głosu wychwyciłam jednak gorycz.

- Rzeczywiście. W każdym razie lepiej niż wczoraj. Zasłabła na słońcu podczas lekcji wuefu. Pojadę z tym zaraz do Keitha i załatwimy jej zwolnienie lekarskie. — Dzwoniłam już do niego, lecz nie odbierał. - Ale nie dlatego tu jestem. Pewien chłopak jest zauroczony Jill. To człowiek.

- Niech Castile go przegoni. Oparłam się o ścianę i westchnęłam.

- W tym problem. To współlokator Eddiego. Chciałam, by Eddie wymyślił jakiś powód, który odstraszyłby tego chłopaka, na przykład, że Jill jest za młoda. - Obawiając się, by Adrian także nie zlekceważył tej sytuacji, spytałam: - Rozumiesz, dlaczego to takie ważne, prawda? Mam na myśli związki morojów z ludźmi.

Patrzył na stół, nie na mnie.

- Tak, zgadzam się z tobą, Sage. Jednak wciąż nie widzę problemu.

— Eddie odmówił. Uważa, że Jill powinna umawiać się z chłopcami i chodzić na tańce. Ze dopóki to nie jest nic poważnego, może bezpiecznie spotykać się z Micahem.

Adrian potrafił ukrywać uczucia, ale w tej chwili jego mina zdradzała zaskoczenie. Wyprostował się i zamyślił, wierząc w podłódze czubkiem kija.

— To dziwne. W sumie się z nim zgadzam. Jill nie powinna być skazana na izolację. Dziwi mnie tylko, że Castile tak uważa.

— W praktyce wyglądałoby to o wiele trudniej. Bo gdzie niby przebiega granica „niezobowiązujących” spotkań? Serio, mam wrażenie, że Eddie chciał uniknąć konfrontacji ze współlokatorem. To czysty obłęd, bo nie podejrzewam go o strach. Co takiego jest w Micahu, że Eddie czuje się przy nim nieswojo?

— Czy to typ mięśniaka?

— Skądże — odparłam. — Jest dobrze zbudowany. Wysportowany. Bardzo przyjacielski i otwarty. Nie należy do tych, którzy przyłożą ci w nos, jeśli powiesz, by nie zbliżali się do twojej siostry.

— W takim razie sama z nim pogadaj. Albo weź na bok Ślicznotkę i wyjaśnij jej wszystko. — Adrian uznał sprawę za zakończoną i wbił ostatnią kulę do dołka.

— Zamierzałam tak postąpić. Chciałabym tylko, żebyś mnie poparł. Jill ciebie słucha, byłoby łatwiej, gdyby wiedziała, że się ze mną zgadzasz. Nawet nie mam pojęcia, co ona czuje. Nie chcę przesadzić.

— Bądź dla niej delikatna — poradził Adrian i odwrócił wzrok w zamyśleniu. — Powiem jej, co o tym sędzę.

— Dziękuję — bąknęłam zaskoczona, że tak łatwo dał się namówić. Zielone oczy mrugnęły do mnie szelmowsko.

— To co, zagrasz wreszcie?

— Ale ja...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Lee ubrany zwyczajnie w dżinsy i podkoszulek. Niósł w ręku śrubokręt.

— Cześć, Sydney. Wydawało mi się, że widziałem twój samochód. — Rozejrzał się. — Czy, hmm, Jill jest z tobą?

— Nie dzisiaj — zaprzeczyłam. Nagle przypomniałam sobie, że Lee studiuje w Los Angeles. — Lee, czy umawiałeś się z koleżankami z roku? Adrian uniósł brew.

— Próbujesz go poderwać, Sage? Oburzyłam się.

— Skądże znowu!

— Nie, raczej nie — odpowiedział Lee. — Mam kilkoro przyjaciół wśród ludzi i wychodzimy czasem całą paczką... ale nigdy nie posunąłem się dalej. Los Angeles to wielkie miasto. Jeśli wiesz, gdzie szukać, możesz poznać wiele mo-rojek.

Adrian się ożywił. -O?

Miałam nadzieję, że Lee powie Jill, iż sam także musiał unikać randek. Niestety.

— W takim razie masz łatwiejszą sytuację niż Jill.

— Nie rozumiem — zdziwił się Lee.

Streściłam mu historię Micaha i Eddiego. Lee przez cały czas potakiwał.

— Trudna sprawa — przyznał na koniec.

— Możemy wrócić do fragmentu o morojkach w Los Angeles? — wtrącił z nadzieją Adrian. — Dasz mi namiary na te... hmm, powiedzmy, bardziej otwarte?

Ale Lee nie zwrócił na niego uwagi. Uśmiechnął się niepewnie i wbił wzrok w stopy.

— Chyba zabrzmiało to dziwnie, ale... mógłbym umówić się z Jill. Adrian zareagował, zanim zdołałam zebrać słowa.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Ty sukinsynu! Ona ma dopiero piętnaście lat.

Nikt by nie podejrzewał, że jeszcze przed sekundą marzył o chętnych morojkach.

— Adrian! — upomniałam go. — Myślę, że Lee miał na myśli niewinne spotkanie.

— Przykro mi, Sage. To mi powinnaś zaufać w tych sprawach. O ile pamiętam, nie jesteś ekspertką. Kiedy ostatnio byłaś na randce?

To miał być żart, lecz zrobiło mi się przykro. Czyżby mój brak towarzyskiego obycia aż tak rzucał się w oczy?

— Przecież — ciągnęłam, ignorując komentarz Adriana — dzieli was różnica wieku. — Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, ile lat ma Lee. Fakt, że był w college'u, dawał jakąś wskazówkę, ale Clarence wyglądał na starca. Z drugiej strony — wielu morojów i ludzi decydowało się na dzieci w późnym wieku.

— Rzeczywiście — zgodził się Lee. — Skończyłem dziewiętnaście lat. To nie tak dużo, ale różnica między mną a Jill jest spora. Nie powinienem był proponować.

Wyglądał na zawstydzonego i zaraz zrobiło mi się go żal. Zmieszałam się. Alchemicy nie specjalizują się w swatach.

— Dlaczego chciałbyś się z nią umówić? — spytałam. — Jill jest fantastyczną dziewczyną, ale muszę wiedzieć, czy próbujesz ją odciągnąć od Micaha i proponujesz bezpieczne rozwiązanie, czy naprawdę ci się podoba?

— Oczywiście, że mu się podoba — wtrącił Adrian, zawsze gotów bronić honoru Jill.

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi. Jeśli Lee przyzna, że interesuje go Jill, Adrian będzie się starał go

odstraszyć. Jeśli powie, że Jill mu się nie podoba, Adrian zażąda odpowiedzi, dlaczego Lee jeszcze się nie oświadczył. Adrian był skomplikowany, choć — na swój sposób — fascynujący i dziwaczny jednocześnie.

— Podoba mi się — odpowiedział wprost Lee. — Rozmawiałem z nią tylko raz czy dwa, ale... Naprawdę chciałbym ją lepiej poznać.

Adrian prychnął, a ja posłałam mu karcące spojrzenie.

— Znowu to samo — mruknęłam. — Inaczej rozumiecie pewne pojęcia.

— Nieprawda — sprzeciwił się Adrian. — Każdy facet ma na myśli jedno, kiedy twierdzi, że chce „lepiej poznać” dziewczynę. Jesteś dobrze wychowaną młodą damą, więc nie możesz wiedzieć, co mam na myśli. Chętnie ci to wytłumaczę.

Zwróciłam się do Lee, zbywając komentarz Adriana.

— Chyba nic się nie stanie, jeśli się umówicie.

— Pod warunkiem że Jill zechce — odparł niepewnie.

Przypomniałam sobie jej uśmiech, kiedy gawędziła

z Lee. Wyglądało to obiecująco. Z drugiej strony tak samo reagowała na Micaha.

— Na pewno zechce.

— Pozwolisz jej wyjść bez opieki? - Adrian popatrzył na mnie surowo.

Tym razem przyznałam mu rację. Miałam podobne obawy. Jill przyjechała do Palm Springs, żeby znaleźć bezpieczną kryjówkę. Z tego samego powodu zapisano ją do Amber-wood. Alchemicy, czy też strażnicy, na pewno nie zgodziliby się na randkę z chłopakiem, którego ledwo znaliśmy.

— Beze mnie nie wolno jej nawet opuszczać kampusu — myślałam głośno.

— Otóż to — wtrącił Adrian. — Skoro zamierzasz pełnić rolę przyzwoitki, to i ja do was dołączę.

— W tej sytuacji Eddie też powinien z nami pojechać — zauważyłam.

— I bardzo dobrze. — Wyraz troski i powagi natychmiast ulotnił się z twarzy Adriana. Dostrzegł szansę na rozrywkę. Jak to możliwe, że tak błyskawicznie zmieniał nastroje?

— Potraktujmy to nie jako randkę, ale spotkanie w rodzinnym gronie. Ślicznotka się rozchmurzy, a jednocześnie będę bronił jej cnoty.

Ujęłam się pod boki, co go jeszcze bardziej rozbawiło.

— Adrian, rozmawiamy o Jill. Nie szukamy dla ciebie rozrywek.

— Niesłusznie. — W zielonych oczach pojawił się błysk.

— To bardzo ważna sprawa. Świat jest moją sceną. Trzymaj się blisko mnie, a dostaniesz gwiazdorską rolę w tym przedstawieniu.

Lee patrzył na nas z komicznie bezradną miną.

— Zostawić was samych? Zaczerwieniłam się.

— Przepraszam.

Adrian oczywiście nie miał zamiaru się tłumaczyć.

— Posłuchajcie... — Lee zaczynał już chyba żałować swojej propozycji. — Lubię Jill. Jeżeli mogę się z nią spotkać tylko w waszym towarzystwie, to się zgadzam.

— Może tak będzie lepiej — przyznałam. — Jeśli będziemy częściej się spotykać w większym gronie poza porami karmienia, Jill nie będzie tak samotna i przestanie myśleć o chłopcach.

Nie wiedzieliśmy nawet, czy dziewczyna w ogóle interesowała się Micahem. Ani czy podobał jej się Lee. Uświadomiłam sobie, że pakujemy się z butami w jej sferę uczuciową.

— I o tym właśnie mówiłem — Adrian zwrócił się do mnie.

— Wszyscy potrzebujemy trochę życia towarzyskiego.

Wróciłam myślami do wczorajszej rozmowy, gdy Adrian zażądał, abym znalazła mu garsonierę.

— Chyba jednak nie o tym mówiłeś.

— Jeśli chcesz się rozerwać — wtrącił Lee — jedź dziś ze mną do Los Angeles. Wracam tu jutro po zajęciach, więc to będzie krótka wycieczka.

Adrian rozpromienił się tak bardzo, że zaczęłam się zastanawiać, czy Lee nie zaproponował mi wyjazdu tylko po to, by rozładować nieco napięcie wywołane jego zainteresowaniem dla Jill.

— Poznasz mnie z tymi dziewczynami? — spytał z nadzieją.

— Niewiarygodne — mruknęłam, bo Adrian wydał mi się żaloszny.

Nie zauważyłam, że drzwi się otwierają i że do pokoju wszedł Keith. Nigdy nie cieszył mnie jego widok, tym razem jednak przybył w samą porę. Chciałam z nim porozmawiać o Jill i o jej problemach z wuefem. Zamierzałam pojechać do jego mieszkania w nadziei, że go tam zastanę. Oszczędził mi fatygi.

Keith patrzył na nas troje, nie odwzajemniając naszych uśmiechów. Tego dnia nie było mowy o porozumiewawczych mrugnięciach ani chłopięcym uroku.

— Zobaczyłem twój samochód, Sydney — zaczął surowo, przenosząc wzrok na mnie. — Co ty tutaj robisz?

— Musiałam porozmawiać z Adrianem — wyjaśniłam. — Odebrałeś moją wiadomość? Dzwoniłam do ciebie.

— Byłem zajęty — rzucił krótko. Miał zaciętą twarz i głos, od którego robiło się zimno. Adrian i Lee przestali się uśmiechać. Obaj wyglądali na zdziwionych nastrojem Kei-tha. Podzielałam ich uczucia. — Porozmawiajmy na osobności.

Poczułam się jak dziecko, które coś przeskrobało.

— Jasne — zgodziłam się. — I tak miałam już wychodzić. —
Dołączyłam do Keitha przy drzwiach.

— Zaczekaj — poprosił Lee. — A co z...? — W tej chwili Adrian szturchnął go i pokręcił głową, mrużąc coś, czego nie dosłyszałam. Lee umilkł.

— Do zobaczenia — rzucił lekko Adrian. — I nie martw się. Będę pamiętał o naszej rozmowie.

— Dzięki — odparłam. — To na razie.

Keith wyszedł bez słowa, a ja podążyłam za nim prosto w popołudniowy upał. Temperatura nieco spadła od czasu feralnej lekcji wuefu, ale nadal było gorąco. Keith szedł zwirowym podjazdem i zatrzymał się obok Latte. Jego samochód stał opodal.

— Zachowałeś się niegrzecznie — powiedziałam. — Nawet się z nimi nie pożegnałeś.

— Przykro mi, że nie okazuję należnych manier zgrai wampirów — warknął. — Nie jestem z nimi tak spoufalony jak ty.

— Co to ma znaczyć? — Założyłam ręce na piersi. Mierząc go wzrokiem, poczułam, jak ogarnia mnie złość.

Trudno było uwierzyć, że jeszcze przed chwilą szczerze się śmiałam. Keith wykrzywił się, drwiąc.

— Wygląda na to, że jesteście zaprzyjaźnieni. Spotykacie się, gawędzicie sobie w najlepsze. Nie wiedziałem, że tak spędzasz wolny czas po lekcjach.

— Jak śmiesz! Przyjechałam tu w interesach! — ryknęłam.

— Akurat.

— Właśnie że tak. Musiałam porozmawiać z Adrianem o Jill.

— Nie wydaje mi się, aby był jej opiekunem.

— Troszczy się o nią — sprzeciwiłam się. -- Tak jak każdy z nas troszczyłby się o przyjaciela.

— Przyjaciela? Oni nie są tacy jak my — odparł. — Nie znają pojęcia dobra. To popaprańcy, a ty nie powinnaś się z nimi bratać.

Miałam ochotę krzyknąć, że Lee zachowuje się przyzwoicie — w przeciwieństwie do niego. Nawet Adrian bywa bardziej ludzki. W ostatniej chwili zadziałała jednak samokontrola. „Nie rób awantur. Nie sprzeciwiaj się zwierzchnikom”. Nie chciałam się z tym pogodzić, ale to Keith tutaj rządził. Wzięłam głęboki oddech.

— Nie można tego nazwać brataniem. Przyjechałam tylko na rozmowę z Adrianem, a Lee do nas dołączył. Nie umawiamy się na imprezy. — Lepiej było nie wspominać o planowanej randce.

— Nie mogłaś po prostu zadzwonić do Adriana? Do mnie dzwoniłaś. „Bo rozmowa z nim twarzą w twarz nie przyprawia mnie o mdłości tak jak twoja obecność”.

— To ważna sprawa. Poza tym nie dodzwoniłam się do ciebie i miałam zamiar cię dziś odwiedzić.

Spróbowałam zatrzeć złe wrażenie i opowiedziałam mu o ostatnich wydarzeniach, o problemach Jill na słońcu i zainteresowaniu Micaha.

— Oczywiście, że nie może się z nim umawiać! — wykrzyknął. — Musisz jej zabronić.

— Próbuję. Adrian i Lee obiecali mi w tym pomóc.

— Ależ mi teraz ulżyło. — Keith z sarkazmem pokręcił głową. — Nie bądź naiwna, Sydney. Mówiłem ci. Im nie zależy tak bardzo jak nam.

— Mylisz się — oponowałam. — Adrian pojął, w czym rzecz, a poza tym ma duży wpływ na Jill.

— Cóż, to nie jego alchemicy odeślą do ośrodka reedukacji za flirtowanie z wampirami. Powinnaś ich trzymać w ryzach.

Zaniemówiłam. Nie wiedziałam, co mnie bardziej obraża: kolejna insynuacja, że jestem „miłośniczką wampirów”, czy sugestia, że mogłabym ich trzymać w ryzach.

Powinłam była przewidzieć, że Keith długo nie wytrwa w udawaniu uprzejmości.

— Wykonuję swoją pracę — wycodziłam cicho. — Staram się bardziej niż ty, bo to ja muszę zażegnawać wszystkie konflikty.

— Mam mnóstwo roboty. Nie próbuj mnie krytykować. — Utkwił we mnie lodowate spojrzenie.

— A właściwie co ty tutaj robisz? — spytałam, uświadamiając sobie, że jego obecność w tym domu jest dziwna. Oskarżył mnie o „bratanie się”, a sam nie wytłumaczył powodu swojego przyjazdu.

— Musiałem pogadać z Clarence'em, nie twoja sprawa. Chciałam dowiedzieć się czegoś więcej, wołałam jednak

nie okazywać ciekawości. Lee wspominał, że Keith odwiedził ich także poprzedniego dnia.

— Zadzwoń jutro do szkoły i załatwisz Jill zwolnienie z gimnastyki?

Posłał mi długie, ciężkie spojrzenie. -Nie.

— Nie? A dlaczego?

— Bo przebywanie na słońcu jej nie zabije.

Jeszcze raz przełknęłam gniew i uciekłam się do dyplomacji.

— Nie widziałeś jej, Keith. Może promienie słoneczne nie zabiły Jill, lecz dosłownie ślaniała się na nogach. To dla niej udręka.

— Nie obchodzi mnie, co przeżywają — uciął. — Ciebie też nie powinno. Naszym zadaniem jest utrzymać ich przy życiu. Nikt nie wspominał, że mamy dbać o ich dobre samopoczucie i wygodę.

— Nie musieli o tym wspominać — odparłam z oburzeniem. Co go tak wytrąciło z równowagi? — Sądziłam, że jesteśmy wrażliwymi ludźmi i pomożemy jej.

— Więc się tym zajmij. Poproś któregoś z naszych zwierzchników, by wysłał do szkoły list, albo okładaj ją lodem po lekcji. Nie obchodzi mnie, co zrobisz, może to cię nieco powstrzyma przed potajemnymi wizytami w tym miejscu. Nie chcę o tym więcej słyszeć.

— Jesteś niemożliwy — mruknęłam. Byłam zbyt przygnębiona, żeby zdobyć się na elokwencję.

— Troszczę się o twoją duszę — rzucił z patosem. — Tyle mogę zrobić dla twojego taty. Szkoda, że nie jesteś podobna do swoich sióstr.

Keith odwrócił się do mnie plecami i otworzył samochód. Potem wsiadł bez słowa i odjechał. Osłupiałam. Poczułam, że zaraz się rozpłaczę, więc szybko przełknęłam łzy. Czułam się jak idiotka, lecz nie z powodu jego oskarżeń. Ani przez chwilę nie pomyślałam, że postąpiłam źle, przyjeżdżając tutaj. Byłam wściekła — na siebie — ponieważ pozwoliłam mu być górą. Posłusznie milczałam.

Kopnęłam ze złością żwir, posyłając fontannę kamyków w powietrze. Kilka uderzyło w karoserię mojego wozu.

— Przepraszam... — Skrzywiłam się.

— Oskarżyłby cię o czary, gdyby słyszał, że gadasz z martwym przedmiotem.

Obróciłam się gwałtownie z bijącym sercem. Adrian opierał się o ścianę. Palił papierosa.

— Skąd się tu wzięłeś?! — krzyknęłam.

Wiem wszystko o wampirach, lecz ogarnął mnie zabobonny lęk, że zmaterializował się z powietrza.

— Wszedłem tymi drzwiami — wyjaśnił. — Miałem ochotę zapalić i usłyszałem hałasy.

— Nieładnie podsłuchiwać — skarciłam go niezręcznie.

— Nieładnie być takim dupkiem. — Adrian wskazał głową w kierunku, w którym odjechał Keith. — Załatwisz to zwolnienie dla Jill? Westchnęłam, bo nagle dopadło mnie zmęczenie.

— Tak, powinno się udać, tylko zajmie to nieco więcej czasu, zanim któryś z alchemików wystąpi w roli naszego rodzica. Keith zrobiłby to szybciej.

— Dzięki za troskę o nią, Sage. Jesteś w porządku. Jak na człowieka. Omal nie wybuchnęłam śmiechem.

— Dzięki.

— Mogłabyś powiedzieć to samo. Podeszłam do Latte i zatrzymałam się.

— To znaczy co?

— Że jestem w porządku... jak na wampira — wyjaśnił. Pokręciłam głową z uśmiechem.

— Żaden alchemik nie przyznałby tego tak łatwo. Mogę jednak powiedzieć, że jesteś w porządku jak na nieodpowiedzialnego chłopaka ze skłonnością do balowania, któremu zdarzają się przebłycki geniuszu.

— Geniuszu? Uważasz, że jestem genialny? — Adrian wyrzucił ręce do nieba. — Słyszysz to, świecie? Sage twierdzi, że jestem geniuszem.

— Hej! Nie powiedziałam tego!

Upuścił papierosa i przydeptał go, obdarzając mnie zniewalającym uśmiechem.

— Połechtalaś moje ego. Zaraz opowiem o tym Clarence'owi i Lee.

— Ja wcale...

I już go nie było. Odjeżdżając, uznałam, że alchemicy potrzebują osobnego wydziału do spraw Adriana Iwaszkowa.

Po powrocie do internatu zobaczyłam Jill leżącą w łóżku, obłożoną podręcznikami i notatkami. Bez wątpienia usiłowała nadrobić zaległości z poprzedniego dnia.

— No, no — mruknełam, myśląc o pracy domowej, która i mnie czekała. — Urządziłaś tu sobie prawdziwą pracownię naukową.

Zamiast odpowiedzieć uśmiechem na mój żart, zmroziła mnie wzrokiem.

— Czy nie uważasz — zaczęła — że gdy następnym razem postanowisz organizować mi życie uczuciowe, powinnaś porozmawiać o tym najpierw ze mną?

Zaniemówiłam. Adrian obiecał, że pogada z Jill. Nie sądziłam jednak, że zrobi to tak szybko.

— Nie musisz knuć za moimi plecami, by zniechęcić mnie do Michała — dodała. — Nie jestem głupia. Wiem, że nie powinnam spotykać się z człowiekiem.

Adrian widać nie owijał w bawełnę.

— Poza tym — ciągnęła Jill lodowato — nie musisz mnie wrabiać w randkę z jedynym odpowiednim morojem w promieniu stu kilometrów, żeby trzymać mnie z dala od kłopotów.

Więc to tak... Iwaszkow powiedział jej wszystko. Spodziewałam się po nim dyskrecji, szczególnie w sprawie Lee.

— Nikt cię nie wrabia — sprzeciwiłam się nieudolnie. — Lee i tak chciał się z tobą umówić.

— Tyle że zamiast porozmawiać ze mną, poprosił was o pozwolenie. Nie macie prawa rządzić moim życiem!

- Wiem - zgodziłam się. - Nawet nie próbowaliśmy! - Dlaczego wszystko obróciło się przeciwko mnie? - Lee działał wyłącznie w swoim imieniu.

- Tak jak ty, kiedy pojechałaś do Adriana bez mojej wiedzy. — W oczach Jill zaślniły łzy.

Dopiero w tej chwili rozumiałam, jak fatalnie się zachowałam. Od czasu gdy Jill dowiedziała się o swoim arystokratycznym pochodzeniu, każdy próbował urządzać jej życie. Może miałam dobre intencje, lecz nie umiałam ich odpowiednio wyrazić.

- Masz rację — przyznałam. — Przepraszam, że...

- Daj spokój - ucieła, zakładając słuchawki. - Nie chcę o tym rozmawiać. Ośmieszyłaś mnie w oczach Adriana i Lee. Chociaż... Dzisiejszej nocy w Los Angeles na pewno o mnie zapomną. — Machnęła ręką i utkwiała wzrok w podręczniku. — Nie ma o czym gadać.

Nie wiedziałam, czy zagłuszyła mnie muzyka, czy po prostu zignorowała moje słowa. Przyłapałam się na tym, że porównuję ją w myślach do Zoe. Chciałam wyświadczyć Jill przysługę, tak jak przedtem próbowałam chronić siostrę — i znów nic z tego nie wyszło. Ostatecznie zraniłam

i upokorzyłam obie.

„Przykro mi, Sage, ale nie jesteś ekspertem w sprawach towarzyskich”.

„Najsmutniejsze jest to, że Adrian miał rację” - pomyślałam z goryczą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W TEJ CHWILI ODEZWAŁ SIĘ DZWONEK TELEFONU i wybawił mnie z kłopotu. Nie miałam pojęcia, jak zareagować. Odebrałam, nie sprawdzając kto to.

— Panna Melbourne? Potrzebuję pilnie pani pomocy.

— Pani profesor? — upewniłam się, zaskoczona. Nie spodziewałam się usłyszeć rozgorączkowanego głosu panny Terwiliger. — Co się stało?

— Proszę mi przynieść cappuccino z karmelem od Spencera. W żaden sposób nie skończę tego tłumaczenia, jeśli pani odmówi.

Mogłam odpowiedzieć na to żądanie na miliony sposobów i żaden nie był uprzejmy, więc posłużyłam się oczywistym argumentem.

— Sądzę, że to niemożliwe.

— Przecież ma pani pozwolenie na opuszczanie kampusu, prawda?

— Tak, proszę pani, jednak zbliża się pora ciszy nocnej. Nie wiem, gdzie jest Spencer, ale z pewnością nie zdążyłabym na czas.

— Nonsens. Kto jest opiekunem bursy? Ta kobieta, Weathers? Zaraz do niej zadzwonię i wydam stosowne pole-

cenie. Pracuję w jednym z gabinetów w bibliotece. Tam się spotkamy.

Uwielbiam kawę, ale „stosowne polecenie” wydało mi się grubą przesadą. Nie lubię łamać reguł. Z drugiej strony - zostałam asystentką panny Terwiliger. Czyż moja rola nie polegała na pomaganiu jej? W tym momencie włączyło mi się zaszczepione przez alchemików poczucie obowiązku.

— Cóż, tak, proszę pani, sądzę, że...

Przerwała połączenie, a ja wpatrywałam się w słuchawkę.

- Muszę wyjść - oznajmiłam Jill. - Mam nadzieję, że na krótko. Może zresztą zaraz wrócę, bo zdziwiłabym się, gdyby pamiętała o telefonie do pani Weathers.

Jill nie zareagowała. Wzruszyłam więc ramionami i zabrałam się do pakowania laptopa oraz podręczników na wypadek, gdyby panna Terwiliger kazała mi zostać dłużej.

Pragnienie jednak wyostrzyło pamięć mojej nauczycielki. Opuściłam internat bez przeszkód. Pani Weathers wytłumaczyła mi nawet, jak trafić do Spencera, kawiarni oddalonej o kilka kilometrów od kampusu. Kupiłam cappuccino, zastanawiając się, czy panna Terwiliger zwróci mi pieniądze, i zamówiłam też coś dla siebie. Pracownicy biblioteki niechętnie patrzyli na kawę, gdy jednak wyjaśniłam, dla kogo ją przyniosłam, natychmiast wskazali mi jej gabinet. Najwyraźniej uzależnienie nauczycielki od kofeiny nie było tu tajemnicą.

W bibliotece zastałam zaskakująco dużo ludzi i szybko zorientowałam się dlaczego. Pary mogły spotykać się w bursach tylko w określonych porach, a ponieważ biblioteka była otwarta najdłużej, umawiali się tutaj. Sporo osób po prostu się też uczyło, na przykład Julia i Kristin.

- Sydney! Tutaj! - Kristin przywołała mnie scenicznym szeptem.

— Urwij się spod nadzoru Terwiliger — poradziła Julia. —
Wymyślisz coś.

Pokazałam im kubek z kawą.

— Żartujesz sobie. Jeśli zaraz nie dostanie dawki kofeiny, nie ujędę z życiem. Postaram się szybko wyjść.

Idąc korytarzem, zobaczyłam grupkę uczniów i usłyszałam irytujący głos Grega Slade'a.

Zaciekawiona, wbrew sobie, podeszłam bliżej. Slade prezentował coś na ramieniu: tatuaż.

Wzór był nieciekawym. Przedstawiał orła w locie, typowy obrazek oferowany we wszystkich salonach tatuaży i kopiowany na potęgę. Moją uwagę zwrócił jednak kolor — metaliczne srebro. Trudno uzyskać tak intensywną barwę i połysk. Znałam skład atramentu, którego użyto do wykonania mojego złotego tatuażu. Formuła była skomplikowana i wymagała użycia kilkunastu rzadkich składników.

Slade niechętnie zniżał głos — ostatecznie w szkole zakazano noszenia tatuaży — ale wszyscy widzieli, że cieszy go ogólne zainteresowanie. Nie odzywałam się, zadowolona, że to inni zadają pytania, chociaż odpowiedzi niewiele mi wyjaśniały.

— Jest jaśniejszy niż inne — zauważył jakiś chłopak. Slade przechylił ramię tak, że padało na nie światło.

— To nowość. Podobno ulepszyli metodę z zeszłego roku. Nie wiem, czy to prawda, ale zdradzę wam, że nie był tani.

Kumpel, który odezwał się wcześniej, uśmiechnął się krzywo.

— Przekonasz się podczas rozgrywek.

Laurel, rudowłosa dziewczyna, która interesowała się Micahem, wysunęła nogę, prezentując smukłą kostkę ozdobioną bladym tatuażem w kształcie motyla. Nie miał metalicznego blasku. — Mogłabym powlec swój srebrem na bal,

jeśli dostanę kasę od rodziców. Nie wiesz, czy ulepszyli też niebiańskie tatuaże? - Mówiąc, potrząsała grzywką.

Zdażyłam zauważyć, że rudowłosa poprawiała ułożenie swoich loków średnio co dziesięć minut.

Slade wzruszył ramionami.

- Nie pytałem.

Laurel zauważyła, że im się przyglądam.

- Cześć. Czy to nie ty jesteś siostrą wampirzycy? Serce we mnie zamarło.

- Wampirzycy?

- Wampirzycy? — powtórzył Slade jak echo.

Jak się dowiedziała? Co teraz robić? Zaczęłam układać w myślach listę alchemików, których muszę powiadomić, kiedy jedna z jej koleżanek parsknęła śmiechem.

Laurel odwróciła się do przyjaciółek ze złowieszczym śmiechem.

- Tak ją nazywamy - wyjaśniła, zwracając się do mnie. - Człowiek nie może być tak błądy.

Omam nie westchnęłam z ulgą. Żartowała - była niepokojąco bliska prawdy, lecz żartowała. Tak czy owak, uznałam, że lepiej tej dziewczynie nie wchodzić w drogę. Musiałam tylko zadbać, by jak najszybciej zapomniano o jej docinkach. Wskoczyłam z pierwszą ripostą, jaka przyszła mi na myśl.

-Tu się dzieją jeszcze dziwniejsze rzeczy. Kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, pomyślałam, że nikt nie może mieć włosów tak długich i rudych jak ty. Ale nie rozpowiadam o możliwych metodach przedłużania i farbowania.

Slade omam nie pękł ze śmiechu.

- Wiedziałem! Wiedziałem, że są farbowane!

Twarz Laurel przybrała barwę identyczną jak jej włosy.

- Nieprawda! Są naturalne!

- Panno Melbourne?

Podskoczyłam na dźwięk tego głosu za plecami. Panna Terwiliger przyglądała mi się z dezaprobatą.

— Nie zyska pani mojego uznania, tracąc czas na pogawędki, zwłaszcza że czekam na kawę. Chodźmy.

Wycofałam się ukradkiem, ale oni tego nie zauważyli. Przyjaciółki Laurel skwapliwie skorzystały z okazji, by jej dopiec. Miałam nadzieję, że położyłam kres uwagom

O wampirach. Wciąż jednak nie mogłam pozbyć się wrażenia, jakie zrobił na mnie tatuaż Grega. Po drodze próbowałam sobie przypomnieć, jakie składniki pozwalają uzyskać srebrzystą barwę. Prawie do tego doszłam — w każdym razie wymyśliłam jeden zestaw — i pożałowałam, że nie mam dostępu do alchemicznych magazynów, by trochę poeksperymentować. Weszliśmy do małego gabinetu i panna Terwiliger z wdzięcznością przejęła kubek.

— Dzięki Bogu — mruknęła, upiwszy spory łyk. Skinęła głową, patrząc na moją kawę. — Druga porcja? Doskonały pomysł.

— Nie, proszę pani — zaprzeczyłam. — To moja kawa. Czy chciałaby pani, żebym zaczęła?

Na stole dostrzegłam stos książek, które widziałam wcześniej w klasie. Stanowiły podstawę pracy nauczycielki. Wiedziałam, że będę musiała sporządzić dokumentację

1 notatki. Sięgnęłam po tom leżący na górze, ale mnie powstrzymała.

— Nie, nie — powiedziała, podchodząc do dużego neseseru. Przerzuciła kilka kartek i wyjęła starą księgę oprawioną w skórę. — Proszę zająć się tym.

Wzięłam tomiszczę do ręki.

— Mogę pracować w bibliotece? — Miałam nadzieję, że zyskam okazję do pogawędki z Kristin i Julią.

Panna Terwiliger się zastanowiła.

- Nie pozwolą pani wnieść kawy. Musiałaby ją pani zostawić.

Zawahałam się. Czy pogaduszki z dziewczynami były warte takiego ryzyka? Czułam, że mogę stracić cenny napój. Z żalem więc rozstałam się z kubkiem. Pozbierałam swoje rzeczy i poczłapałam do biblioteki.

Julia ogarnęła moje materiały niechętnym okiem.

- Czy tego wszystkiego nie można znaleźć w internecie?

- Chyba nie. Nie sądzę, by ktoś do nich zaglądał od czasu, gdy wynaleziono internet. - Otworzyłam okładkę, wzbijając w powietrze kurz. - Długo nikt ich nie czytał.

Kristin rozłożyła przed sobą pracę domową z matematyki, ale nie okazywała zainteresowania zadaniami. Stuknęła ołówkiem w zeszyt.

- Widziałaś tatuaż Slade'a?

- Trudno go nie zauważyć - przyznałam, sięgając po laptop. - Strasznie się nim chełpi.

- Zawsze chciał się wytatuować, ale nie miał pieniędzy

- wyjaśniła Julia. - W zeszłym roku wszyscy sportowcy mieli tatuaże.

Może z wyjątkiem Treya Juareza.

- Trey właściwie go nie potrzebuje - zauważyła Kristin.

— Jest bardzo dobry.

- Teraz będzie potrzebował, jeśli zechce dorównać Sla-de'owi — zauważyła Julia.

Kristin potrząsnęła głową.

- Nie wytatuuje się. Jest temu przeciwny. W zeszłym roku próbował zgłosić sprawę panu Greenowi, ale nikt mu nie uwierzył.

Patrzyłam na nie, nic nie rozumiejąc.

- O co chodzi z tymi tatuażami?

- Jeszcze się nie zorientowałaś? — zdziwiła się Julia.

— To mój drugi dzień w szkole — przypominałam sfrustrowana. Ściszyłam głos, przypominając sobie, że jesteśmy w bibliotece. — Do tej pory słyszałam cokolwiek na ten temat tylko od Treya i od was, a wiele mi nie wyjaśniłyście.

Zyskałam przynajmniej ich lekkie zakłopotanie. Kristin otworzyła usta, znieruchomiała i odniosłam wrażenie, że powiedziała coś innego, niż zamierzała.

— Jesteś pewna, że twój tatuaż nie działa?

— Absolutnie — skłamałam. — Jak niby miałby działać? Julia rozejrzała się ukradkiem i obróciła tyłem do mnie.

Podciągnęła nieznacznie bluzkę i pokazała mi blady tatuaż na dole pleców, jaskółkę w locie. Zadowolona, obróciła się z powrotem.

— Zrobiłam go zeszłej wiosny, to były moje najlepsze ferie.

— Z powodu tatuażu? — spytałam sceptycznie.

— Nie wyglądał tak jak teraz. Był metaliczny... Ale nie taki jak twój czy Slade'a. Bardziej przypominał...

— Miedź — podsunęła Kristin.

Julia zastanowiła się i przytaknęła ruchem głowy.

— Tak, był czerwonozłoty. Ten kolor utrzymał się ledwie tydzień, ale wyglądał wtedy niesamowicie. Nigdy nie czułam się tak dobrze. Nieludzko dobrze. Byłam na haju.

— Słowo daję, do tych niebiańskich dodają chyba jakichś dragów •- wtrąciła Kristin. Starła się wyrazić dezaprobatę, lecz wyczułam nutę tęsknoty w jej głosie.

— Zrozumiałabyś, gdybyś miała coś takiego — odparowała Julia.

— Niebiańskie... Słyszałam, jak mówiła o nich jedna dziewczyna — przyznałam.

— Laurel? — spytała Julia. — Tak nazywają tatuaże z domieszką miedzi. Sprawiają, że czujesz się jak nie z tego

świata. - Nagle wydała się zażenowana swoim entuzjazmem. —
Głupia nazwa, co?

- I właśnie taki ma Slade? - spytałam, oszołomiona nowymi informacjami.

- Nie, jego jest stalowy - wyjaśniła Kristin. - Takie tatuaże robią sobie sportowcy. Są dzięki nim silniejsi i szybsi. Te tatuaże działają dłużej, jakieś dwa tygodnie, czasami trzy. Potem słabną. Nazywamy je stalowymi, bo są bardzo odporne. Może w salonie dodają do nich stali?

„Nie stali - pomyślałam. - Srebra”. Sztuka stosowania metali, aby wywołać określone skutki w organizmie, została udoskonalona przez alchemików dawno temu. Wiemy już, że najlepsze jest złoto i od dawna używamy tylko szlachetnego kruszcu. Inne metale poddane obróbce dają podobne rezultaty, ale srebro i miedź nie wiążą się tak dobrze jak złoto. Rozumiałam teraz, jak działa miedziany tatuaż. W połączeniu z substancjami poprawiającymi nastrój powoduje krótkoterminowe efekty. Nie miałam jednak pojęcia, dlaczego stosują również srebro, a raczej jakie są tego rezultaty. Z relacji dziewczyn można było wywnioskować, że tatuaż działa podobnie jak środki dopingujące. Czyżby to było możliwe? Postanowiłam sprawdzić.

- Ile osób ma te tatuaże? - spytałam z ciekawością. Nie mogłam uwierzyć, że coś takiego było popularne.

Zaczynało do mnie docierać, że uczniowie tej szkoły pochodzą z najbogatszych rodzin. Same materiały musiały kosztować fortunę, a co dopiero wzbogacone odpowiednimi substancjami.

— Wszyscy — odparła Julia. Kristin zmarszczyła brwi.

- Nie wszyscy. Chociaż już prawie uzbierałam całą sumę.

— Na mój gust co najmniej połowa uczniów spróbowała niebiańskich.
— Julia posłała przyjaciółce współczujące spojrzenie. — Potem można je odnawiać, ale to także kosztuje.

— Połowa uczniów? — powtórzyłam z niedowierzaniem. Spojrzałam wokół, zastanawiając się, jak wiele koszulek i spodni skrywa tatuaże. — To obłąd. Nie wierzę w ich moc. — Miałam nadzieję, że dobrze się maskuję.

— Zrób sobie niebiański — zaproponowała Julia z uśmiechem. — Wtedy uwierzysz.

— A gdzie je robią?

— W miejscu nazywanym Nigdy Nigdy — odparła Kristin. — Ale niełatwo się tam dostać. — Pomyślałam, że to nie może być takie trudne, skoro połowa uczniów tam dotarła. — Zrobili się ostrożniejsi po tym, jak Trey próbował ich wydać.

Po raz kolejny padło imię Treya. Teraz zrozumiałam, dlaczego z taką niechęcią oglądał mój tatuaż. Zastanowiło mnie jednak, czemu tak gwałtownie reaguje — ostatecznie chciał doprowadzić do zamknięcia salonu.

— Może uważa, że to nieuczciwe? — podsunęłam dyplomatycznie.

— Raczej zazdrości innym, bo nie stać go na taki wydatek — odparła Julia. — Trey ma tatuaż. Słońce na plecach. Ale jego jest czarny, nie złoty jak twój. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

— To dlatego myślałyście, że dodaje mi inteligencji — mruknęłam.

— Bardzo by mi się przydał na testach semestralnych — ciągnęła z żalem Julia. — Na pewno to nie dzięki niemu jesteś taka mądra?

Uśmiechnęłam się, mimo że te rewelacje mocno mnie wystraszyły.

— Chciałabym, żeby tak było. Łatwiej przebrnęłabym przez tę książkę. A właśnie — dodałam, zerkając na zegarek. — Muszę się brać do roboty.

Opracowanie traktowało o greckokatolickich kapłanach i magach, to coś w rodzaju księgi czarnej magii zawierającej szczegółowe opisy zaklęć i rytuałów. Lektura nie powinna okazać się trudna, była jednak długa. Sądziłam, że badania panny Terwiliger dotyczą głównych nurtów religijnych w tamtym okresie, toteż zdziwiłam się tym wyborem. Może nauczycielka zamierzała dodać rozdział o praktykach magicznych? Zresztą kimże byłam, by kwestionować jej decyzje? Dostałam zadanie — i tyle.

Kristin i Julia dawno poszły do siebie, a ja musiałam zostać w bibliotece tak długo, jak panna Terwiliger, czyli do zamknięcia. Wyglądała na zadowoloną z moich notatek i zapowiedziała, że powinnam skończyć z tą książką w trzy dni.

— Tak, proszę pani — odparłam automatycznie, jakbym nie miała innych obowiązków w szkole. Dlaczego zawsze zgadzam się bez namysłu?

Wróciłam do wschodniego kampusu zmęczona i udęczona na myśl o czekającej mnie jeszcze pracy domowej. Jill już spała, co uznałam za błogosławieństwo. Przynajmniej nie musiałam znosić jej oskarżycielskiego spojrzenia i szukać sposobów na przełamywanie niezręcznej ciszy. Przebrałam się szybko i zasnęłam w chwili, jak tylko przyłożyłam głowę do poduszki.

Obudził mnie płacz o trzeciej nad ranem. Otrząsając się z resztek snu, dostrzegłam Jill siedzącą na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach. Jej ciałem wstrząsał spazmatyczny płacz.

— Jill? — zaczęłam niepewnie. — Co się stało?

W słabym świetle dochodzącym z zewnątrz zobaczyłam, że patrzy na mnie. Nie mogąc wydobyć z siebie słowa, potrząsnęła tylko głową i rozplakała się jeszcze głośniej. Usiadłam na krawędzi jej łóżka. Nie potrafiłam przytulić Jill ani nawet dotknąć, ale zrobiło mi się naprawdę głupio. Czułam, że płacze przeze mnie.

— Jill, tak mi przykro. Popełniłam błąd, idąc do Adriana. Powinnam była powiedzieć Lee, żeby sam z tobą porozmawiał. Ja również powinnam porozmawiać najpierw z tobą... — paplałam bez ładu i składu.

Patrząc na Jill, widziałam Zoe, i w głowie rozbrzmiewały mi jej ciężkie oskarżenia.

Jak zwykle trafiłam kulą w płot.

Mała pociągnęła nosem i zdołała wyjąkać kilka słów, zanim znów zanosła się szlochem.

— To nie to... Nie dlatego płaczę...

Wpatrywałam się w nią bezradnie, nie wiedząc, co powiedzieć. Kristin i Julia uważały, że jestem nieludzko mądra. Tymczasem one potrafiłyby pocieszyć Jill sto razy lepiej niż ja. Wyciągnęłam rękę, by poklepać ją po ramieniu, ale zaraz się cofnęłam. Nie, nie powinnam. Głos alchemików, ten, który zawsze ostrzegał mnie przed zbliżaniem się do wampirów, nie pozwolił na tak osobisty gest.

— W takim razie dlaczego? — spytałam na koniec. Jill potrząsnęła głową.

— To nie to... Nie mogę powiedzieć... Nie zrozumiałabyś.

Ta dziewczyna miała wiele powodów do smutku. Jej pozycja na królewskim dworze pozostawała niepewna. Grożono jej. Wysłano samą daleko od rodziny i przyjaciół i uwięziono między ludźmi w miejscu spalonym słońcem. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Ubiegłej nocy widziałam

w jej oczach żal i strach. Teraz było inaczej. Jill była rozpaczliwie smutna. Smutek przepełniał jej serce.

— Jak mogę ci pomóc? — spytałam po prostu. Pozbierała się dopiero po chwili.

-1 tak dużo dla mnie robisz - wydukała. - Wszyscy to doceniamy... naprawdę. Zwłaszcza po tym, co nagadał ci Keith. - Czy Adrian informował ją o wszystkim? -Przepraszam cię. Przepraszam, że tak podle cię potraktowałam. Nie zasłużyłaś na to. Próbowalaś mi tylko pomóc.

— Nie... nie przepraszaj. Sporo namieszałam.

— Nie musisz się martwić — dodała. - Mówię o Micahu. Rozumiem sytuację. Chcę się z nim tylko przyjaźnić.

Wiedziałam, że nie poprawiam jej samopoczucia. Zauważyłam jednak, że ta rozmowa oderwała ją od ponurych rozmyślań. Czułam, że powinnam zrobić dla niej więcej, ale wróciłam do łóżka. Kiedy obudziłam się kilka godzin później, przyjrzałam się Jill uważnie. Rysy twarzy dziewczyny były słabo widoczne w bladym świetle świtu. Leżała z otwartymi oczami i ze smutkiem wpatrywała się w pustkę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

RANO PRZED LEKCJAMI wysłałam wiadomość do biura alchemików z prośbą o usprawiedliwienie dla Jill podpisane przez „panią i pana Melrose”. Mieli jej załatwić zwolnienie z zajęć wuefu prowadzonych na zewnątrz i zależało mi, by zrobili to jak najszybciej. Alchemicy działają sprawnie, kiedy chcą, ale czasem mają dziwne priorytety. Oby tylko nie potraktowali Jill równie obojętnie jak Keith.

Tego dnia nie mogliśmy się spodziewać ich odpowiedzi, więc moją podopieczną czekała jeszcze jedna lekcja wuefu. Wiedziałam, że będę cierpiała, patrząc, jak się męczy. Najgorsze jednak było to, że ona wcale się nie skarżyła, nie próbowała się nawet wymigiwać. Po nocnym załamaniu nie było śladu. Pojawiła się na lekcji z determinacją i optymizmem, jakby oczekiwała, że tym razem słońce jej nie zaszkodzi. Minęło zaledwie kilka minut, kiedy zauważyłam, jak słabnie. Znowu wyglądała na chorą i zmęczoną. Nie mogłam oderwać od niej wzroku i tego dnia grałam gorzej, bojąc się, że Jill lada chwila zemdleje.

Micah okazał się zrzędzeniem losu. Tym razem także odważył się zamienić drużynami z chłopakiem z zespołu Jill już na początku meczu. Osłaniał ją przed nauczycielką i kolegami. Tylko Laurel to zauważyła i wyraźnie się wku-

rzyła. Raz po raz zerkała to na niego, to na Jill, bezustannie potrząsając włosami i próbując zwrócić na siebie uwagę chłopaka. Obserwowałam tę scenę z lekkim rozbawieniem. Micah był bowiem całkowicie pochłonięty grą na dwóch pozycjach.

Po lekcji od razu podbiegł do Jill z butelką wody, którą przyjęła z wdzięcznością. Mnie również podbudowało jego wsparcie. Jednak troska chłopaka o małą znów wzbudziła we mnie niepokój. Na szczęście Jill dotrzymywała słowa. Traktowała go przyjaźnie, ale nie flirtowała z nim. Mimo to uznałam, że najbezpieczniej będzie ograniczyć ich kontakt, bo Micah nie ukrywał swoich intencji. Ufałam Jill, lecz postanowiłam interweniować i przygotowałam się w duchu na rozmowę.

Obawiając się tego, co musiałam zrobić, złapałam Micaha przed szatnią. Oboje czekaliśmy na Jill, więc nadarzyła się dobra sposobność.

— Słuchaj, Micah — zaczęłam. — Muszę z tobą porozmawiać...

— Jasne — odparł wesoło. Jego niebieskie oczy błyszczały z przejęcia. — Mam pewien pomysł. Jeśli nie zdołacie załatwić jej zwolnienia z wufu, może dobrym rozwiązaniem byłyby wcześniejsze zajęcia? Nie będzie tak gorąco i łatwiej to zniesie. Odnoszę wrażenie, że chętnie by coś poćwiczyła.

— To prawda — potwierdziłam. — Dzięki.

— Znam kilka osób z administracji. Poproszę, żeby sprawdzili grafik.

— Wyraźnie się zasmucił. — Oczywiście żałuję, że nie będziemy mieli razem zajęć, ale przynajmniej nie będzie tak cierpiała.

— Tak — przyznałam słabo, czując się zagubiona. Micah wpadł na świetny pomysł i był gotów zrezygnować z okazji do przebywania z Jill, żeby ona poczuła się

lepiej. Jak mogłabym teraz przeprowadzić z nim rozmowę? Powiedzieć: „Zostaw moją siostrę w spokoju”, skoro tak bardzo się o nią troszczył? Nie zachowywałam się lepiej od Eddiego, który unikał konfrontacji. Cóż, Micah był zdecydowanie zbyt miły.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, skierował pogawędkę na niespodziewane tory.

— Powinnaś zaprowadzić ją do lekarza. Nie sądzę, by była uczulona na słońce.

— Tak? — bąknęłam zaskoczona. — A nie widziałeś, jak bardzo się męczy?

— Ależ tak, jestem pewien, że źle znosi upał — zapewnił pospiesznie. - Ale możliwe, że postawiono błędną diagnozę. Czytałem trochę o alergiach i wiem, że ludzie uczuleni na promienie słoneczne mają wysypkę. Jill po prostu słabnie... Sam nie wiem. Może jednak jest inna przyczyna.

Tylko nie to.

— Na przykład jaka?

— Nie wiem — zamyślił się. — Poszperam jeszcze i dam ci znać.

Wspaniale.

Lekcja wuefu pozwoliła mi się przekonać, jak działa metaliczny tatuaż. Greg Slade zwracał uwagę wszystkich. Tak jak zapowiadały Kristin i Julia, biegał znacznie szybciej i miał lepszą kondycję. Reagował błyskawicznie, a kiedy kopał piłkę, spodziewałam się huku jak od bomby. Popisy Grega początkowo wzbudzały ogólny podziw, lecz zauważyłam, że grał nonszalancko. Jego możliwości zdecydowanie wzrosły, cóż z tego, skoro zabrakło mu koncentracji. Czasem wykopywał piłkę poza boisko. W biegu nie zwracał uwagi na innych zawodników. A kiedy potrącił chłopaka, z którym chodziłam na angielski, tak, że ten upadł na plecy, panna Carson przerwała mecz i głośno skarciła go

za agresywne zachowanie. Przyjął reprimendę z naburmuszoną miną.
— Szkoda, że Eddie z nimi nie gra — zauważyła Jill. — Byłby
godnym przeciwnikiem dla Slade'a.

— Może lepiej, żeby nikt tego nie zauważył — bąknęłam. Słyszałam,
że Eddie błyszczał na lekcjach wuefu. Jako
dampir odznaczał się niezwykłą sprawnością i wiedziałam, że bardzo
się stara nie być zbyt dobry.

Po lekcji zjrzałam do panny Terwiliger i stwierdziłam z
zadowoleniem, że tym razem zaopatrzyła się w kawę. Poświęciłam
większą część przerwy na sporządzanie notatek w laptopie. W pewnym
momencie nauczycielka podeszła, żeby sprawdzić, jak sobie radzę.

— Jesteś bardzo skrupulatna — pochwaliła, zaglądając mi przez
ramię. — Zamieszczasz tytuły, podtytuły i śródtytuły.

— Dziękuję — odparłam.

Jared Sage pilnował, by jego dzieci doskonale opanowały sztukę
gromadzenia informacji.

Nauczycielka upiła łyk kawy i czytała dalej.

— Nie opisałaś rytuałów i słów zaklęć — zauważyła po chwili. —
Zamieściłaś tylko streszczenie w dwóch liniijkach.

Cóż, na tym polega robienie notatek.

— Wszędzie podaję odnośniki do stron — wyjaśniłam. — Łatwo
wszystko odnaleźć w razie potrzeby.

— Nie... Wróć i je przepisz. Chcę mieć wszystko w jednym miejscu.

„Przecież jest w jednym miejscu — chciałam powiedzieć. — W
książce”. Notatki sporządza się w celu streszczenia materiału, nie cytuje
się w nich całego tekstu. Ale panna Terwiliger już odeszła i wpatrywała
się w szafkę z dokumentami, mrużąc coś pod nosem o folderze
przełożonym w niewłaściwe miejsce. Westchnęłam i zaczęłam od po-

czątku, starając się nie myśleć, jak bardzo wydłuży mi to pracę. Przynajmniej robiłam to dla listu polecającego, a nie na ocenę.

Zostałam do ostatniego dzwonka, usiłując nadrobić stracony czas. Wróciłam do pokoju i obudziłam Jill, która spała głęboko po wyczerpującym dniu.

- Mam dobrą wiadomość - oznajmiłam, kiedy budziła się, mrugając sennie. - Dzisiaj dzieri karmienia.

Nigdy nie sądziłam, że wypowiem takie słowa.

Nie spodziewałam się również, że ucieszy mnie taka perspektywa. Oczywiście nie zamierzałam przyglądać się z zachwytem, jak Jill wbija zęby w szyję Dorothy. Zrobiło mi się jednak żal tej dziewczyny, bo wiedziałam, że potrzebuje pożywienia. Ograniczone dostawy krwi musiały ją dodatkowo osłabiać.

O wyznaczonej porze spotkałyśmy się z Eddiem na dole. Przyjrzał się Jill z troską.

— Dobrze się czujesz? — zapytał.

— Tak — zapewniła z uśmiechem.

Wyglądała znacznie lepiej. Wzdrygnęłam się na myśl, co mógłby zrobić Eddie, widząc ją na lekcji wuefu.

- Dlaczego to tak długo trwa? - spytał mnie. - Nie rozmawiałaś z Keithem?

— Mamy małe opóźnienie — odparłam ostrożnie, prowadząc ich na parking, gdzie stała Latte. - Ale załatwimy to. - Gdyby alchemicy nie spełnili mojej prośby, zamierzałam posłuchać rady Micaha i przenieść Jill na poranne zajęcia.

- Nie wątpimy w to - wtrąciła Jill. Wychwyciłam nutę współczucia w jej głosie i przypomniałam sobie, że wiedziała o mojej kłótni z Keithem. Miałam nadzieję, że nie wspomni o tym przy Eddiem, toteż odetchnęłam, gdy zmieniła temat. Zaskoczyła mnie swoją prośbą. — Czy moglibyśmy kupić po drodze pizzę? Adrian nie znosi kuchni Dorothy.

— Biedaczek — podsumował z sarkazmem Eddie, sadowiąc się z tyłu, żeby Jill mogła wygodnie rozsiąść się na miejscu pasażera. — Ma do dyspozycji osobistego kucharza, który przyrzadzi mu wszystko wedle życzenia. Nie wiem, jak on to znosi.

Roześmiałam się, za to Jill była oburzona.

— Nie o to chodzi! Nie wiesz, jak ona gotuje.

— Wciąż nie widzę problemu — odparł Eddie.

— Dorothy ma bzika na punkcie zdrowego żywienia. Twierdzi, że to służy Clarence'owi. Nie używa więc soli, pieprzu ani masła. — Jezu, jak często Jill rozmawiała z Adrianem? — To jedzenie jest bez smaku.

Doprowadza go do rozpacz.

— Wszystko doprowadza go do rozpacz — zauważyłam, przypominając sobie prośbę Adriana, bym znalazła mu nowe lokum. — A przecież nie ma tak źle. Czyż nie pojechał wczoraj do Los Angeles? — Jill tylko zmarszczyła brwi.

Uświadomiłam sobie jednak, że spędzimy trochę czasu w domu Clarencea, a sama również nie miałam najmniejszej ochoty niczego tam jeść. Ostatecznie zgodziłam się zatrzymać przy barze, gdzie kupiliśmy pizzę dla wszystkich. Adrian rozpromienił się, kiedy weszliśmy do salonu, który — poza salą bilardową — był jego ulubionym miejscem w rezydencji Clarencea.

— Ślicznotko — zerwał się na widok Jill. — Jesteś aniołem. Boginią.

— Hej - zachnęłam się. - To ja płaciłam za pizzę. Adrian od razu zasiadł na kanapie ze swoją porcją, ku

wyraźnemu niezadowoleniu Dorothy. Mruczała coś o talerzach i serwetkach. Tymczasem Iwaszkow skinął mi łaskawie głową.

— Ty też jesteś w porządku, Sage — powiedział.

- Proszę, proszę, co tu się dzieje? - Do pokoju przykuśtykał Clarence. Nie zauważyłam wcześniej, że wspierał się na lasce zakończonej kryształową główką węża. Laska wyglądała równie imponująco, co upiornie. Właśnie tak można sobie wyobrazić starego wampira. — Urządzacie przyjęcie.

Razem z ojcem wszedł Lee, witając nas uśmiechem i kiwnięciem głowy. Jego wzrok spoczął krótko na Jill, obok której zaraz usiadł. Mała sprawiała wrażenie bardzo ożywionej. Zabieraliśmy się do pałaszowania pizzy, kiedy w drzwiach stanęła Dorothy z nowym gościem. Uniosłam brwi ze zdumienia. To był Keith.

- Co ty tutaj robisz? — spytałam możliwie obojętnym tonem.

Mrugnął do mnie.

- Przyjechałem sprawdzić, jak sobie radzicie. To moja praca: opiekuję się wami.

Alchemik świergotał przyjaźnie, częstując się pizzą. Nikt nie odgadłby, że poprzedniego dnia się pokłóciliśmy. Uśmiechał się i rozmawiał ze wszystkimi, jakbyśmy byli najlepszymi przyjaciółmi. Kompletnie mnie tym zaskoczył. Oczywiście nikomu nie przyszło do głowy, że Keith zachowuje się nienaturalnie, ale oni niewiele o nim wiedzieli.

No, niezupełnie. Adrian pogrążony w rozmowie z Ed-diem w pewnej chwili zawiesił na mnie pytające spojrzenie. Wiedziałałam, że jest ciekawy zakończenia wczorajszej kłótni. Zerknął na Keitha i znowu na mnie. Wzruszyłam bezradnie ramionami na znak, że wiem tyle co on. Może Keith żałował swojego wczorajszego zachowania. Zapewne łatwiej byłoby mi to zaakceptować, gdyby przeprosił.

Skubałam pizzę z serem, obserwując wszystkich. Jill zdawała Adrianowi ożywioną relację ze swoich pierwszych dni w szkole, starannie pomijając nieprzyjemne zdarzenia.

Słuchał jej z uwagą, kiwając głową i wtrącając błyskotliwe komentarze. Zauważyłam, że Jill opowiada o najważniejszych rzeczach i zdziwiłam się, że nie zrobiła tego wcześniej, kiedy rozmawiali przez telefon. Może Adrian miał wówczas tyle do powiedzenia, że nie dopuścił dziewczyny do głosu. Tak czy owak, teraz nie wspominał o nudzie ani o innych niewygodach.

Clarence gawędził z Eddiem i Lee, ale jego wzrok raz po raz wędrował w stronę Jill. Zauważyłam, że patrzy na nią z lekkim smutkiem — jego siostrzenica była tylko nieco starsza od Jill. Przyszło mi na myśl, że może właśnie z tego powodu tak chętnie zgodził się nas gościć, by zyskać choć namiastkę rodzinnego życia.

Keith usiadł blisko mnie. Poczulałam się z tym niezręcznie, ale uznałam, że mam okazję zapytać go o kilka spraw. Widząc, że pozostali są zajęci rozmową, zapytałam go ostrożnie:

— Czy obito ci się o uszy, że tatuaże alchemików trafiły do ludzi?

Spojrzał na mnie z przestrawieniem.

— Nie rozumiem, co masz na myśli?

— W Amberwood panuje nowa moda. Podobno gdzieś w mieście robią metaliczne tatuaże o szczególnych właściwościach, zbliżonych do tych, jakie mają nasze lilie. Jedne sprawiają, że ludzie czują się na haju, a jeszcze inne dają efekty podobne do sterydów.

Keith zmarszczył brwi.

— Ale niezwiązane złotem?

— Nie. Używają do tego srebra i miedzi, więc dają krótkotrwały efekt. Zakładam, że to podwaja zarobki tych, którzy je wykonują.

— W takim razie tatuaże nie są alchemiczne — ocenił. — Nie używamy tych metali od wieków.

- Tak, ale ktoś inny może korzystać ze zgromadzonej przez nas wiedzy.

- Tylko po to, żeby ludzie mogli czasem zaszaleć? - spytał. - Nawet nie wiem, jak tworzą dane efekty.

- Mam kilka pomysłów — stwierdziłam.

- Niech zgadnę. Dodają narkotyków. - Kiedy potwierdziłam ruchem głowy, westchnął i popatrzył na mnie z politowaniem. - Sydney, najprawdopodobniej ktoś wymyślił tę metodę niezależnie. Jeśli tak się stało, nie możemy nic na to poradzić. Narkotyki istnieją na świecie, podobnie jak inne złe rzeczy. Skoro alchemicy nie mają z tym nic wspólnego, nie jest to nasza sprawa.

- A jeśli jednak mają? - drażylałam. Keith jęknął.

-Widzisz? Właśnie dlatego obawiałem się twojego udziału w tym zadaniu. Zawsze wymyślasz niestworzone rzeczy.

- Wcale...

- Proszę, nie przynoś mi wstydu - syknął, zerkając na pozostałych. - Nie przy nich i nie wobec naszych zwierzchników.

Umilkłam, głównie z zaskoczenia. O jakich „niestworzonych rzeczach" mówił? Sugestia, że przynoszę wstyd jemu, była absurdalna... ale jednak zaczęłam mieć wątpliwości, czy moje podejrzenia są słuszne. Może rzeczywiście te tatuaże w Amberwood były tylko przelotną modą i nie miały nic wspólnego z naszymi.

- Jak sobie radzisz na wuefie? - Pytanie Adriana oderwało mnie od rozmyślań. Nadal słuchał szkolnych opowieści Jill, która teraz się skrzywiła.

- Nie najlepiej - przyznała i zrelacjonowała pokrótce najgorsze chwile. Eddie znów posłał mi znaczące spojrzenie.

— Nie wytrzymasz tego długo! — wykrzyknął Lee. — Tutejsze słońce jest okrutne.

— Zgadza się — mruknął ku mojemu zdumieniu Keith. — Sydney, dlaczego nie powiedziałaś mi, że jest aż tak źle?

Dosłownie mnie замуrowało.

— Przecież powiedziałam! Prosiłam, żebyś skontaktował się w tej sprawie ze szkołą.

— Nie znałem wszystkich faktów. — Uśmiechnął się słodko do Jill.

— Nie przejmuj się. Załatwię to. Zadzwońię do sekretariatu i do alchemików.

— Już z nimi rozmawiałam — oznajmiłam.

Równie dobrze mogłam nic nie powiedzieć. Keith zmienił temat i zaczął gawędzić z Clarence'em. Zastanawiałam się, co on knuje. Jeszcze wczoraj twierdził, że niewygodny Jill nie są jego zmartwieniem. Dziś odgrywał rolę rycerza w lśniącej zbroi. Jakby tego było mało, sugerował, że to ja nawaliłam. Więc taki jest jego plan, uświadomiłam sobie. Próbuje się mnie pozbyć. Nie chce mnie tutaj. I zrozumiałam coś jeszcze.

Wykorzysta tę sytuację, by postawić mnie w złym świetle.

Napotkałam wzrok Adriana siedzącego w drugim końcu pokoju. On wiedział. Podśluchał moją rozmowę z Keithem na podjeździe.

Zobaczyłam, że otwiera usta, bez wątpienia zamierzając wytknąć Keithowi kłamstwo. To był ładny gest z jego strony, ale nie tego chciałam. Postanowiłam poradzić sobie sama.

— Jak było w Los Angeles? — spytałam szybko, nie pozwalając Adrianowi dojść do głosu. Popatrzył na mnie z ciekawością, na pewno zastanawiając się, dlaczego nie pozwalałam sobie pomóc. — Pojechaliście tam wczoraj z Lee, prawda?

Adrian rozpogodził się w jednej chwili.

- Tak - przyznał. - Było fantastycznie. Lee pokazał mi, jak wygląda życie w college'u.

Lee parsknął śmiechem.

- To lekka przesada. Nie mam pojęcia, gdzie spędziłeś połowę wieczoru.

Wyraz twarzy Adriana był czarujący, choć jednocześnie zapragnęłam wymierzyć mu policzek.

- Rozdzieliliśmy się. Chciałem poznać innych morojów w okolicy. Nawet Eddie nie mógł tego przemilczeć.

- Och, więc teraz to się tak nazywa? Jill gwałtownie wstała.

- Idę po krew. Czy mogę?

Zapadła niezręczna cisza, głównie dlatego, że nikt nie wiedział, kogo właściwie prosi o pozwolenie.

- Oczywiście, moja droga — Clarence wszedł w rolę gospodarza. — Dorothy powinna być w kuchni.

Jill podziękowała mu skinieniem głowy i pospiesznie opuściła pokój. Pozostali wymienili między sobą zaintrygowane spojrzenia.

- Czy coś się stało? - spytał wyraźnie zmartwiony Lee. — Powinienem... Powinienem z nią porozmawiać?

- Nadal jest zestresowana - odezwałam się, nie próbując wspominać o krzykach i płaczu.

- Myślałem o tym, jak mogłaby się rozerwać... i przy okazji również my — zaczął niepewnie. Popatrzył na wszystkich i zatrzymał wzrok na mnie. Zdaje się, że przypisali mi rolę matki. - Jeśli się zgodzisz. To... trochę głupie, ale pomyślałem, że moglibyśmy zagrać wieczorem w minigol-fa. Mają tam fontanny i baseny. Jill włada żywiołem wody, prawda? Na pewno za nią tęskni.

- Fakt - przyznał Eddie, marszcząc czoło. - Wspominała o tym wczoraj.

Zadrzałam. Keith, który właśnie pisał esemesa, zamarł w bezruchu. Różniliśmy się bardzo, ale oboje przeszliśmy to samo szkolenie i nie czuliśmy się pewnie na wzmiankę o magii morojów.

— Myślę, że Jill byłaby zachwycona — wtrącił Adrian. Odniosłam wrażenie, że przyznał to jednak niechętnie.

Wciąż jeszcze nie oswoił się z faktem, że Lee jest zainteresowany dziewczyną, choć na pozór obaj traktowali się przyjaźnie. Propozycja młodego gospodarza domu wydawała się sensowna i żal było ją odrzucić. Lee przechylił głowę w zamyśleniu.

— W weekendy pozwalają wam chyba wychodzić na dłużej, prawda? Może wybierzemy się tam dzisiaj?

Był piątek, co oznaczało, że musimy się zameldować w internacie godzinę później.

— Wchodzę w to — oświadczył Adrian. — Dosłownie i w przenośni.

— Jeśli Jill jedzie, to ja też — rzucił krótko Eddie. Patrzyli na mnie. Znalazłam się w potrzasku. Chciałam

wrócić wcześniej i odrobić lekcje. Nie odważyłam się jednak tego powiedzieć. Poza tym oficjalnie miałam pełnić rolę przyzwoitki Jill. Tu nie chodziło o mnie ani o moją naukę, choć bardzo chciałam, by tak było. Przyjechałam tu dla niej.

— Mogę pojechać — powiedziałam z namysłem. Pomyślałam, że zabrzmiało to jak bratanie się z wampirami i zerknęłam z niepokojem na Keitha. Skoro temat magii został zarzucony, powrócił do pisania esemesów. — Keith? — zwróciłam się do niego.

Podniósł głowę.

— Hm? Och, ja nie mogę. Muszę coś załatwić.

Staralam się powstrzymać grymas. Błędnie odczytał moją intencję i uznał, że go zapraszam. Z drugiej strony — nie miał nic przeciwko naszej wycieczce.

— Ach, jak miło — zachwycił się Clarence. — Młodzi ludzie wychodzą sobie wieczorkiem. A może przedtem napijecie się ze mną wina? - W tej chwili do pokoju weszła Dorothy z butelką czerwonego trunku. Za nią dreptała Jill. Clarence uśmiechnął się do Adriana. — Na pewno nie odmówisz.

Wyraz twarzy Adriana mówił sam za siebie. Mimo to wampir wziął głęboki oddech i potrząsnął głową.

— Nie powinienem.

— Przeciwnie - odezwała się łagodnie Jill. Nie wypila dużo krwi, ale wyraźnie nabrała wigoru.

— Nie mogę — wyjaśnił.

— Przecież jest weekend. To nic takiego. Szczególnie jeśli będziesz ostrożny.

Popatrzyli sobie w oczy i Adrian uległ.

— Dobrze. Nalej mi kieliszek.

— Ja też poproszę — odezwał się Keith.

— Naprawdę? - zdziwiłam się. — Nie wiedziałam, że pijesz.

— Mam dwadzieścia jeden lat — uciał. Adrian przyjął kieliszek od Dorothy.

— To chyba nie jest problem, Sage. Choć sądziłem, że alchemicy stronią od alkoholu tak jak od podstawowych kolorów.

Spojrzałam po sobie. Byłam ubrana na szaro. Keith paradował w brązach.

— Jeden kieliszek nie zaszkodzi — mruknął.

Nie spierałam się z nim. Niańczenie kolegi po fachu nie należało do moich obowiązków. Poza tym alchemicy nie zakazują wprost picia alkoholu. Nasze surowe zasady ja-

sno określają, na czym polega życie w czystości i służba dobru, toteż alkohol jest postrzegany jako coś naganego. Nikt nie zabraniał mi pić, ale uważałam, że nie powinnam tego robić. Skoro Keith sądził inaczej, był to wyłącznie jego wybór.

Właśnie unosił kieliszek do ust, kiedy Adrian mruknął.

— Mmm. Grupa plus, moja ulubiona.

Keith wypluł wino i zaczął się krztusić. Odnotowałam z ulgą, że mnie nie oblał. Jill chichotała, a Clarence przyjrzał się swojemu kieliszкови z uwagą.

— Naprawdę? Sądziłem, że to cabernet sauvignon.

— Rzeczywiście — przyznał Adrian z kamienną twarzą. —
Pomyliłem się.

Keith posłał mu sztuczny uśmiech, jakby i on uważał, że to świetny żart, ale nie dałam się zwieść. Keith nie znosił, kiedy ktoś z niego kpił. Starał się zachowywać przyjacielsko, ale nie zmienił zdania na temat wampirów. Nienawidził ich. Zachowanie Adriana rzecz jasna nie ułatwiało sytuacji. Mnie żart rozbawił, lecz postarałam się ukryć uśmiech, żeby nie rozwścieczyć Keitha. Tymczasem Adrian posłał mi ukradkowe znaczące spojrzenie, które zdawało się mówić: „Wyrównałem z nim rachunki”.

Eddie zerknął na Jill.

— Cieszę się, że dostałaś dziś krew. Pamiętam, że chciałaś potrenować techniki obronne, ale zwlekałem z tym, aż nabierzesz siły.

Jill się rozpromieniła.

— Możemy poćwiczyć jutro?

— Oczywiście — zgodził się prawie tak samo uradowany jak ona.

Keith zmarszczył czoło.

— Po co ma uczyć się walczyć, skoro jesteś przy niej?

Eddie wzruszył ramionami.

— Sama tego chce, a poza tym powinna umieć sobie radzić w trudnych sytuacjach. - Nie wspomniał o zamachu na życie Jill — w pokoju znajdowali się przecież Clarence i Lee — ale pozostali go zrozumieli.

- Sądziłem, że moroje kiepsko walczą — ciągnął alchemik.

- Głównie dlatego, że nikt ich nie szkoli. To oczywiste, że brakuje im naszej siły, ale mają lepszy refleks niż wy — wyjaśnił Eddie. - To kwestia umiejętności i dobrego instruktora.

— Takiego jak ty? — drażniłam się z nim.

- Nie jestem najgorszy - odparł skromnie. - Potrafię wyszkolić kogoś, kto tego chce. - Szturchnął łokciem Adriana, który znów sięgał po wino. - Nawet tego gościa.

- Nie, dziękuję - odparł Iwaszkow. - Te ręce nie splamiły się walką.

— Ani uczciwą pracą — zauważyłam, przypominając sobie jego wcześniejsze słowa.

- Otóż to - zgodził się. - Ale może ty poprosisz Castile, żeby nauczył cię techniki nokautu, Sage. Może ci się przydać. To umiejętność, którą tak rezolutna młoda kobieta jak ty powinna posiadać.

— Dzięki za wiarę w moje możliwości, ale nie sądzę, by mi się to przydało — odparłam.

— Oczywiście, że powinna trenować!

Okrzyk Clarence'a zdumiał nas wszystkich. Właściwie podejrzewałam, że przysnął, bo zamknął oczy. Teraz pochylił się do przodu z zaferowaną miną. Niemal skurczyłam się pod ciężarem jego świdrującego wzroku.

-Musisz nauczyć się bronić! - Wskazał palcem na mnie, a potem zwrócił się do Jill. - Ty również. Obiecuj, że będziesz się szkoliła. Obiecuj.

Jasnozielone oczy Jill rozszerzyły się w przestraszu. Próbowła posłać staremu kojący uśmiech, ale wyczuwaliśmy w niej napięcie.

— Oczywiście, panie Donahue. Staram się. Tymczasem Eddie będzie mnie bronił przed strzygami.

— Nie chodzi o strzygi! — Clarence zniżył głos do szeptu. — Tylko o łowców wampirów.

Nikt z nas się nie odezwał. Lee miał zmartwiałą minę. Clarence zacisnął palce na kieliszku i przestraszyłam się, że go zmiażdży.

— Nikt nam nie powiedział, że powinniśmy się bronić sami. Może gdyby Tamara przeszła trening walki, nie zginęłaby. Dla was jeszcze nie jest za późno.

— Tato, już to przerabialiśmy — wtrącił Lee. Clarence go zignorował. Patrzył to na mnie, to na Jill.

Zastanawiałam się, czy wie, że jestem człowiekiem. A może nie miało to dla niego znaczenia. Pewnie pragnął troszczyć się o wszystkie rówieśniczki Tamary. Obawiałam się, że Keithowi zbraknie taktu i będzie przekonywał, iż nie istnieją żadni łowcy wampirów. Jednak nietypowo dla siebie milczał. Na koniec Eddie przemówił delikatnie i łagodnie. Tak często sprawiał wrażenie nieustraszonego wojownika, że zaskoczył mnie swoją empatią.

— Proszę się nie martwić — powiedział po prostu. — Będę je chronił. Są bezpieczne, przy mnie nie stanie im się nic złego.

Clarence nadal miał niespokojną minę, ale utkwiał pełen nadziei wzrok w Eddiem.

— Przyrzekasz? Nie pozwolisz im znów zamordować Tamary?

— Przyrzekam. — Eddie nie okazał, że ta prośba wydała się co najmniej dziwna.

Clarence przyglądał mu się uważnie jeszcze przez kilka sekund, a potem skinął głową.

— Dobry z ciebie chłopiec. — Potem sięgnął po butelkę i nalał sobie.

— Napijesz się jeszcze? — spytał Adriana, jakby nic się nie wydarzyło.

— Poproszę. — Ten wyciągnął rękę po butelkę.

Potem rozmawialiśmy o tym i owym, lecz czułam, że zawisł nad nami cień słów Clarence'a.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

POJECHALIŚMY na naszą grupową randkę — czy raczej spotkanie w gronie rodzinnym — i Lee bez przerwy przeproszał za zachowanie ojca.

— Tak mi głupio — mówił, pakując się na tylne siedzenie Latte. — Nic do niego nie dociera. Tłumaczyliśmy mu, że Tamara została zabita przez strzygę, ale on w to nie wierzy. Nie chce wierzyć. Na strzygach nie mógłby się zemścić. Są nieśmiertelne. Niezwyciężone. Za to człowiek, łowca wampirów? Wymyślił sobie, że z kimś takim może walczyć. Albo oskarżać strażników, że odmawiają pościgu za nieistniejącym wrogiem.

Ledwo usłyszałam mruknięcie Eddiego.

— Strzygi nie są znów takie niezwyciężone. Zerknęłam w lusterko i zobaczyłam pełną współczucia

minę Jill. Usiadła między Lee i Eddiem.

— Fantazjuje, bo może mu to pomaga — podsunęła. — Jest spokojniejszy. W pewnym sensie fakt, że może kogoś obwiniać, pozwala mu żyć. W przeciwnym razie pograżyłby się w rozpacz. Nikomu nie robi krzywdy tymi swoimi teoriami. Uważam, że jest uroczy. — Zachłysnęła się, jak zwykle, kiedy wyrzucała z siebie potok słów.

Patrzyłam na drogę, ale mogłabym przysiąc, że Lee się uśmiecha.

— To miłe z twojej strony — zwrócił się do Jill. — Ojciec cię polubił. Skręć w prawo.

Ostatnie zdanie skierował do mnie. Lee pilotował od czasu, gdy wyjechaliśmy z domu Clarence'a. Dotarliśmy na roгатki Palm Springs, skąd rozciągał się imponujący widok na klub golfowy Bogowie Pustyni. Krążyłam w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania i słyszałam okrzyki zachwyty Jill, która zobaczyła fantastyczne pole golfowe. Pośrodku terenu wznosiła się sztuczna góra. Ze szczytu spadał wodospad.

— Wodospad! — wykrzyknęła. — Niesamowite.

— No nie wiem — mruknął Lee. — Ta woda jest nieustannie przepompowywana i Bóg raczy wiedzieć, co się w niej znajduje. Nie napiłbym się jej ani nawet nie odważył się tam zanurzyć rąk.

Nie zdążyłam zaparkować, gdy Adrian już wysiadł i zapalił papierosa. Po drodze pokłóciliśmy się o to trzy razy: musiałam mu powtarzać, że Latte jest wyłącznie dla niepalących. Zaraz potem wysiedliśmy wszyscy i ruszyliśmy do wejścia. Zastanawiałam się, w co się znowu wpakowałam.

— Nigdy nie grałam w minigolfa — zauważyłam głośno. Lee przystanął i spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Naprawdę nigdy?

— Nigdy.

— Jak to możliwe? — spytał Adrian.

— Miałam dość nietypowe dzieciństwo — bąknęłam. Nawet Eddie patrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Ty? Wychowałem się w położonej na odludziu szkole otoczonej górami Montany i nawet ja grałem w minigolfa.

Tym razem nie mogłam się usprawiedliwić edukacją w domu, więc darowałam sobie wyjaśnienia. W dziecin-

stwie rozwiązywałam równania chemiczne, zamiast poświęcać czas na zabawę.

Szybko zorientowałam się w zasadach gry. Pierwsze próby poszły mi kiepsko, nim nauczyłam się wyczuwać ciężar kija oraz manewrować nim pod odpowiednim kątem. Potem już łatwo było obliczyć odległości i wymierzać strzały.

— Niewiarygodne. Gdybyś zaczęła grać w dzieciństwie, dzisiaj byłabyś profesjonalistką — zauważył Eddie, kiedy wstrzeliłam piłkę prosto w paszczę smoka. Piłka wypadła z drugiej strony i potoczyła się kanalikiem, odbijając się

o ścianę i wpadając do dołka. — Jak to zrobiłaś?

Wzruszyłam ramionami.

— Kieruję się zasadami geometrii. Tobie też nieźle idzie — pochwaliłam, widząc, jak składa się do uderzenia. — Jak ty to robisz?

— Odpowiednio ustawiam ciało i odbijam piłkę po ziemi.

— Cóż za naukowe podejście.

— A ja polegam na naturalnym instynkcie — wtrącił Adrian, podchodząc do punktu startowego Smoczego Gniazda. — Kiedy ktoś jest uzdolniony tak jak ja, niebezpieczeństwo polega na nadmiarze strategii.

— To nie ma sensu — zauważył Eddie.

Adrian przystanął i wyjął srebrną piersiówkę z wewnętrznej kieszeni płaszcza. Otworzył ją i upił szybki łyk, zanim przyłożył się do strzału.

— Co to ma znaczyć?! — wrzasnęłam. — Tu obowiązuje zakaz picia alkoholu.

— Słyszałaś, co mówiła Ślicznotka — odparł Adrian. — Mamy weekend.

Strzelił. Piłka trafiła prosto w oko smoka, odbiła się i wróciła do niego. Zatrzymała się pod nogami niemal w punkcie startu.

— Naturalny talent, co? — mruknął Eddie.

Nachyliłam się bliżej.

— Zdaje się, że rozbiłeś oko smokowi.

— To samo spotkało Keitha — zauważył Adrian. — Pomyślałem, że to docenisz, Sage.

Spojrzałam na niego chłodno, zastanawiając się, co się kryje za tym komentarzem. Adrian zachwycił się swoim dowcipem, za to Eddie błędnie odczytał moje spojrzenie.

— To było niegrzeczne — zwrócił uwagę Adrianowi.

— Przepraszam, tato. — Strzelił ponownie i tym razem udało mu się niczego nie zniszczyć. Po kilku kolejkach nareszcie trafił. — No, proszę. Za trzecim razem.

— Czwartym — poprawiliśmy go z Eddiem równocześnie.

Adrian zerknął na nas z niedowierzaniem.

— Za trzecim.

— Zapomniałeś o pierwszym uderzeniu — wyjaśniłam. — Tym, którym oślepiłeś smoka.

— To była tylko rozgrzewka — upierał się Adrian, posyłając mi czarujący uśmiech. — Daj spokój, Sage. Wiesz, jak funkcjonuje mój umysł. Sama przyznałaś, że jestem genialny, pamiętasz?

Eddie spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Naprawdę tak powiedziałaś?

— Nie! — Uśmiech Adriana budził we mnie irytację. — Przestań wygadywać takie bzdury.

Ponieważ to ja spisywałam wyniki, odnotowałam u niego czwarty strzał mimo gorących protestów. Już chciałam przejść dalej, ale Eddie powstrzymał mnie gestem. Jego orzechowe oczy wpatrywały się w punkt ponad moim ramieniem.

— Chwilę — poprosił. — Musimy poczekać na Jill i Lee.

Powędrowałam wzrokiem za jego spojrzeniem. Tych dwoje od początku trzymało się na uboczu. Rozmawiali i przez

cały czas wlekli się za nami. Wdając się w spór ze mną i Adrianem, Eddie nie spuszczał wzroku z Jill i otoczenia. Byłam pod wrażeniem jego podzielnej uwagi. Do tej pory Lee i Jill zostawali jeden dołek za nami. Teraz doszedł drugi i Eddie nie chciał bardziej się oddalać. Czekaliśmy więc, aż beztroska para dotarła w końcu do Gniazda Smoka.

Adrian zdążył upić następny łyk ze swojej piersiówki i pokręcił głową.

— Niepotrzebnie się martwiłaś, Sage. Jest nim wyraźnie zainteresowana.

— Nie dzięki tobie — warknęłam. — Nie mogłam uwierzyć, że streściłaś jej szczegółowo naszą rozmowę. Wściekła się, że knuję za jej plecami z tobą, Lee i Micahem.

— Prawie nic jej nie powiedziałem — zaprotestował Adrian. — Prosiłem tylko, żeby trzymała się z dala od tego człowieka.

Eddie popatrzył na nas czujnie.

— Od Micaha?

Przestąpiłam z nogi na nogę. Eddie nie miał pojęcia o mojej interwencji.

— Pamiętasz, kiedy prosiłam cię, byś z nim pogadał? Odmówiłeś. — Wyjaśniłam, że zwróciłam się do Adriana

i usłyszałam, że Jill wpadła w oko Lee. Eddie był wstrząśnięty.

— Dlaczego nic o tym nie powiedziałaś? — spytał surowo.

— Cóż — zastanawiałam się, czy każde moje działanie budzi gniew morojów i dampirów — nie miałaś z tym nic wspólnego.

— Chodzi o bezpieczeństwo Jill! Powinienem był wiedzieć, że ktoś się nią interesuje.

Adrian parsknął śmiechem.

— I Sage miała ci przesłać tę wiadomość na lekcji?

— Lee jest w porządku — stwierdziłam. — Wyraźnie adoruje Jill, poza tym nigdy nie zostaną sam na sam.

— Nie wiemy, czy jest w porządku — upierał się Eddie.

— Za to Micaha jesteś pewny? Sprawdziłeś go? — spytałam.

— Nie — Eddie był wyraźnie zawstydzony. — Po prostu wiem. Mam co do niego przecucie. Nie widzę przeszkód, by spotykał się z Jill.

— Poza tym, że jest człowiekiem.

— Nie łączy ich nic poważnego.

— Tego nie wiesz.

— Uspokójcie się! — przerwał nam Adrian. Jill i Lee dotarli już do startu przed Smoczym Gniazdem, co oznaczało, że możemy pójść dalej. Adrian zniżył głos. — Wasz spór jest bezcelowy. Spójrzcie na nich. Tamten człowiek jest bez szans.

Popatrzyłam w ich stronę. Adrian miał rację. Jill i Lee nie widzieli poza sobą świata. Poczułam wyrzuty sumienia: może powinnam lepiej pilnować Jill. Ogarnęła mnie jednak tak wielka ulga, że zainteresowała się morojem, iż nie zastanowiłam się nawet, czy powinna się spotykać z kimkolwiek. Czy piętnastolatce można na to pozwolić? Ja mając tyle lat, nie umawiałam się na randki. Choć z drugiej strony, cóż, nigdy nie umawiałam się na randki.

— Dzieli ich różnica wieku — mruknęłam bardziej do siebie.

Adrian prychnął.

— Możesz mi wierzyć, widziałem pary, w przypadku których ta różnica była naprawdę znaczna.

Odszedł i za chwilę podążyliśmy za nim z Eddiem. Dam-pir nadal czujnie obserwował Jill, ale zorientowałam się, że przede wszystkim ocenia jej towarzysza. Nagle usłyszałam wybuch śmiechu Adriana.

- Sage! — zawołał. — Musisz to zobaczyć. Podeszliśmy do kolejnego pasa golfowego i przystanęliśmy jak wryci. Dostałam ataku śmiechu. Stailiśmy przed zamkiem Drakuli.

Wielkie czarne zamczysko o wielu wieżach strzegło kolejnego dołka. Przez środek przebiegał tunel, a nad nim wąski most, którym powinna potoczyć się piłka. Gdyby spadła przed dotarciem do zamku, wróciłaby na miejsce startu. W górze sterczała zdalnie sterowana figura hrabiego Drakuli. Miała bladą twarz, czerwone oczy, spiczaste uszy i przylizane czarne włosy. Raz po raz wyrzucała w górę ramiona, rozpościerając pelerynę, która nadawała jej wygląd nietoperza. Ustawiony w pobliżu głośnik drażnił uszy przerażającą muzyką organową.

Nie mogłam się uspokoić. Adrian i Eddie przyglądali mi się tak, jakby widzieli mnie po raz pierwszy.

- Nigdy nie słyszałem, żebyś się śmiała - zauważył dampir.

- A ja spodziewałem się innej reakcji — zdziwił się Adrian. - Oczekiwałem wrzasków przerażenia, sądząc po zachowaniu drugiego alchemika. Nie wiedziałem, że lubisz wampiry.

Patrzyłam, jak marionetka podnosi i opuszcza poły płaszcza.

- Przecież to nie wampir. Nie jest prawdziwy - i przez to wygląda śmiesznie. Produkt rodem z Hollywood. Prawdziwe wampiry są przerażające i nienaturalne. A to? Można pęknać ze śmiechu.

Wyczytałam z ich min, że żaden nie rozumie, co mnie tak rozbawiło. Adrian zaproponował, że zrobi mi zdjęcie moją komórką. Stałam przy Drakuli z szerokim uśmiechem.

Uchwycił moment, kiedy marionetka uniosła pelerynę. Obejrzałam zdjęcie i stwierdziłam z zadowoleniem, że wy-

szło fantastycznie. Nawet moja fryzura dobrze się prezentowała. Adrian skinął głową z aprobatą i oddał mi telefon.

— Dobrze, nawet ja mogę przyznać, że wypadło uroczo.

Zorientowałam się, że analizuję jego komentarz w myślach. Co to znaczy, że nawet on mógł to przyznać? I czy wypadłam uroczo jak na człowieka? A może uznał, że spełniam kryteria gorącej laski? Zmusiłam się, by o tym nie myśleć. „Odpuść sobie, Sydney. To był komplement. Przyjmij go”.

Obeszliśmy całą trasę i zakończyliśmy grę tuż przy wodospadzie. Ten dołek stanowił największe wyzwanie, więc nie spieszyłam się ze strzałem. Właściwie nie musiałam się starać. W tabeli wyników bez trudu zostawiłam ich w tyle. Tylko Eddie deptał mi po piętach. Było jasne, że Lee i Jill w ogóle nie interesują się grą, a co do Adriana i jego naturalnego talentu... Cóż, plasował się na ostatniej pozycji.

Eddie, Adrian i ja znów wyprzedziliśmy pozostałych, więc czekaliśmy na nich przy wodospadzie. Jill praktycznie wbiegła do wody i wpatrywała się w kaskadę roziskrzonym wzrokiem.

— Och — westchnęła. — Jest wspaniały. Tak długo nie widziałam wody.

— Pamiętaj, co mówiłem o zanieczyszczeniach — zażartował Lee.

Wszyscy widzieliśmy jednak, że patrzy na nią z zachwytem. Zerknęłam na obu chłopaków i odkryłam, że dzielają jego uczucia. Nie, może niezupełnie. Adrian uśmiechał się jak starszy brat. A Eddie? Trudno było mi to ocenić, chyba dostrzegłam przywiązanie strażnika.

Jill wyciągnęła rękę do wodospadu i nagle kaskada rozpadła się na dwa strumienie. Jeden przyjął kształt warkocza, a potem zawirował w powietrzu i rozprysnął się na

miliony kropli, które spadły nam na głowy. Do tej chwili biernie przyglądałam się zabawie z wodą, ale prysznic podziałał na mnie otrzeźwiająco.

— Jill — ledwo rozpoznawałam swój głos. — Nie rób tego.

Ledwo na mnie spojrzała. Z roziskrzonym wzrokiem uniosła roztańczony strumień.

— Nikt nie zobaczy, Sydney.

Nie tym jednak się zdenerwowałam. Panika chwyciła mnie za gardło. Cały świat nagle zawirował mi przed oczami i przestraszyłam się, że zemdleję. Przebiegł mnie ostry lodowaty dreszcz, lęk przed nieznanym. Czymś sprzecznym z naturą. Prawa rządzące moim światem zostały złamane. To była magia wampira, obca i niedostępna ludziom — niedostępna, ponieważ zakazana, żaden śmiertelnik nie powinien jej oglądać. Tylko raz widziałam pokaz takich sztuczek, kiedy dwoje morojów władających mocą ducha stanęło przeciw sobie. Nie chciałam tego oglądać po raz drugi. Kobieta rozkazywała ziemskiej roślinności, a mężczyzna siłą woli unosił przedmioty i ciskał nimi w przeciwniczkę. To było przerażające i chociaż nie zwrócili się przeciwko mnie, czułam się jak w potrzasku, obezwładniona mocą pochodzącą nie z tego świata. Przypomniałam sobie, że nie mam do czynienia z miłymi ludźmi. Zadawałam się z istotami całkowicie odmiennymi ode mnie.

— Przestań! — powtórzyłam, czując, że narasta we mnie panika. Bałam się ich czarów. Obawiałam się, że mogą mnie dotknąć, wyrządzić krzywdę. — Nie rób tego więcej!

Jill nawet mnie nie usłyszała. Uśmiechnęła się do Lee.

— Jesteś powietrzem, prawda? Możesz wywołać mgłę nad wodą? Wampir schował ręce w kieszeniach i odwrócił wzrok.

- Cóż, to chyba nie jest dobry pomysł. Jesteśmy w miejscu publicznym...

- Proszę - zwróciła się do niego. - Przecież to nic takiego. Lee lekko się speszył.

- Nie, nie teraz.

- No, nie. Ty również? - Roześmiała się. Wszędzie wokół niej wirowały strumienie wody...

- Jill. - Nie słyszałam, by Adrian zwrócił się do kogoś tak ostro. Właściwie do tej pory nie wymawiał nawet jej imienia. — Przestań.

Nie dodał nic więcej, lecz widziałam, że ciało dziewczyny zadrżało pod działaniem magii. Zwiesiła głowę i czarodziejskie wiry spadły na ziemię w postaci deszczu.

- No dobrze — bąknęła zmieszana.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwał Eddie.

- Powinniśmy się pospieszyć, bo nie zdążymy przed ciszą nocną.

Lee i Jill ustawili się na ostatnim punkcie trasy. Śmiali się i flirtowali jak przedtem. Eddie nadal obserwował ich z zatroskaną miną. Tylko Adrian zwrócił uwagę na mnie. On jeden zrozumiał, co się wydarzyło. Zielone oczy przyglądały mi się bacznie bez śladu drwiny. Jednak nie pozwoliłam się im zwieść. Spodziewałam się kolejnego kąśliwego komentarza.

- Dobrze się czujesz? - spytał niespodziewanie.

- Tak — odparłam i odwróciłam się od niego.

Nie chciałam, by dostrzegł wyraz mojej twarzy. I tak już za wiele widział - mój lęk. Żadne z nich nie powinno się zorientować, że się ich boję. Usłyszałam, że się zbliża.

- Sage...

- Zostaw mnie! — warknęłam i pospiesznie ruszyłam do wyjścia pewna, że za mną nie pójdzie. Miałam rację.

Czekałam, aż skończą grę, próbując ochłonać. Kiedy do mnie dołączyli, byłam już opanowana. Adrian nadal zerkał na mnie z troską, co mi się nie spodobało, ale przynajmniej nie próbował pytać o moje uczucia.

Nikt nie okazał zdziwienia, gdy podsumowaliśmy wyniki i okazało się, że zdobyłam najwięcej punktów, a Adrian uplasował się na ostatnim miejscu. Lee zajął trzecią pozycję, co wyraźnie go zmartwiło.

— Kiedyś byłem dużo lepszy — mruknął, marszcząc czoło. — Nie miałem sobie równych. — Biorąc pod uwagę, że przez cały czas zajmował się Jill, trzecie miejsce stanowiło osiągnięcie.

Odwiozłam najpierw jego i Adriana, a potem ledwie zdążyliśmy na czas do Amberwood. Zdążyłam już dojść do siebie. Eddie i Jill i tak nie zwracali na mnie uwagi.

Dziewczyna miała rozmarzony wzrok i bez przerwy opowiadała o Lee.

— Nie miałam pojęcia, że tak wiele podróżował! Chyba nawet odwiedził więcej miejsc niż ty, Sydney! Mówi, że spędzimy resztę życia na podróżach i przyjemnościach. W college'u zdecydował się na kilka różnych kursów, bo jeszcze nie wie, w czym będzie się specjalizował. Chociaż w tym semestrze ma trochę mniej zajęć, by spędzać więcej czasu z ojcem. Dla mnie to lepiej. To znaczy dla nas.

Stłumiłam ziewnięcie i kiwnęłam głową.

— To wspaniale.

Jill szukała właśnie pizamy w szafce, kiedy coś się jej przypomniało.

— Chciałam cię przeprosić.

Zamarłam. Wolałam, by nie przeproszała mnie za używanie magii, pragnęłam jak najszybciej o tym zapomnieć.

— Za to, że nakrzyczałam na ciebie tamtego wieczoru — ciągnęła. — Nie wrobiłaś mnie w randkę z Lee. Nie powin-

nam była robić ci o to wyrzutów. On naprawdę mnie lubi i... jest fantastyczny.

Wypuściłam powietrze i zdobyłam się na słaby uśmiech.

— Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

Jill wróciła wesoło do przerwanej zajęcia — znów traj-kotała o Lee. Zostawiłam ją i poszłam do łazienki. Przed umyciem zębów wyszorowałam ręce i ramiona, jakbym chciała usunąć z nich magiczne krople wody, które — mogłabym przysiąc — wciąż czułam na skórze.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Mój TELEFON ZADZWONIŁ bladym świtem następnego ranka. Już wstałam — budzę się wcześniej — za to Jill przewróciła się na łóżku i nakryła głowę poduszką.

— Ucisz to — jęknęła.

W słuchawce usłyszałam głos Eddiego.

— Jestem na dole — oznajmił. — Możemy zacząć trening samoobrony, zanim zrobi się za gorąco.

— Będziecie musieli obyć się bez mojego towarzystwa — odparłam. Wyglądało na to, że Eddie poważnie potraktował obietnicę złożoną Clarence'owi. Co do mnie, nie czułam się zobowiązana. — Mam mnóstwo zaległości. Poza tym panna Terwiliger na pewno zaraz każe mi jechać po kawę.

— W takim razie przyślij do mnie Jill — poprosił dampir.

Zerknęłam na stertę pościeli na jej łóżku.

— Łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Jill zaskoczyła mnie jednak. Wstała, umyła zęby, wzięła aspirynę na ból głowy i wciągnęła na siebie dres. Pożegnała się ze mną, a ja obiecałam, że zajrzę do nich później. Wkrótce potem panna Terwiliger rzeczywiście zamówiła

telefonicznie kawę, więc przygotowałam się na kolejny dzień zmagania z nowymi obowiązkami.

Pojechałam do Spencera i nawet nie zauważyłam Treya, dopóki nie stanęłam z nim oko w oko.

— Zamówienie dla panny Terwiliger? — spytał, pokazując cappuccino z karmelem.

— Hm? — Podniosłam głowę. Siedział przy kasie. - Pracujesz tutaj? Kiwnął głową.

— Muszę jakoś dorobić.

Podałam mu pieniądze i zauważyłam, że policzył mi połowę.

— Nie obraż się, ale nie wyglądasz najlepiej — powiedziałam.

Chłopak był wyraźnie zmęczony. Bliższe oględziny ukazały siniaki i rany na jego skórze.

— Rzeczywiście, miałem wczoraj ciężki dzień. Zawahałam się. Wyglądało na to, że ma ochotę na pogawędkę, ale nie wiedziałam, jak zareagować.

— Coś się stało? — spytałam wreszcie. Trey się nachmurzył.

— Ten palant, Greg Slade, rozpętał wczoraj piekło podczas eliminacji futbolowych. Nie ogłoszono jeszcze wyników, ale jest oczywiste, że zakwalifikuje się jako rozgrywający. Parł naprzód jak maszyna, roztrącając wszystkich na boki. — Wyciągnął lewą rękę, pokazując palce owinięte bandażem. — Stał mi na dłoni.

Skrzywiłam się na wspomnienie atletycznych popisów Slade'a. Niespecjalnie interesowała mnie polityka szkolnej drużyny futbolowej. Współczułam Treyowi, ale przede wszystkim interesowało mnie, gdzie Slade zrobił swój wzór. W myślach już słyszałam ostrzeżenie Keitha, bym trzymała się z daleka od kłopotów.

— Wiem o tatuażach — wypaliłam. — Julia i Kristin mi powiedziały. Teraz rozumiem, dlaczego potraktowałeś mnie tak podejrzliwie, ale się pomyliłeś. Mój jest zwyczajny.

— Słyszałem co innego. Ludzie myślą, że tak tylko mówisz, żeby nie ujawniać źródła.

Trochę mnie tym zaskoczył. Byłam pewna, że Julia i Kristin mi uwierzyły. Czyżby rozsiewały o mnie plotki?

— Nie wiedziałam.

Wzruszył ramionami, a na jego ustach pojawił się uśmiezek.

— Nie przejmuj się. Wierzę ci. Jest w tobie coś naiwnego i uroczonego. Nie wyglądasz na oszustkę.

— Hej — zachnęłam się. — Nie jestem naiwna.

— To był komplement.

— Od jak dawna noszą te tatuaże? — spytałam, uznawszy, że lepiej puścić tę uwagę mimo uszu.

— Podobno od zeszłego roku. — Podał mi kawę. — Ale pojawiły się dopiero pod koniec roku szkolnego — dodał po chwili namysłu.

— A salon naprawdę nazywa się Nigdy Nigdy?

— O ile wiem, tak. — Zerknął na mnie badawczo. — Czemu pytasz?

— Z ciekawości — odparłam słodko.

Dwoje uczniów w drogich ciuchach stanęło za mną w kolejce, przyglądając się nam ze zniecierpliwieniem.

— Możemy zostać obsłużeni?

Trey posłał im służbowy uśmiech i przewrócił oczami, widząc, że zamierzam odejść.

— Do zobaczenia, Melbourne.

Wróciłam do Amberwood i zaniiosłam kawę pannie Terwiliger. Nie miałam ochoty dotrzymywać jej towarzystwa, więc zapytałam, czy mogę sobie pójść, jeśli będę pod telefonem. Zgodziła się. W bibliotece panował spory ruch i — jak

na ironię - było dla mnie za głośno. Wybrałam samotność w swoim pokoju.

Przecinałam trawnik w drodze na przystanek autobusowy, kiedy dostrzegłam znajome sylwetki za drzewami. Skrzyżowałam w tę stronę i znalazłam Jill i Eddiego na niewielkiej polanie. Micah siedział po turecku na trawie i obserwował ich z ożywieniem. Pomachał do mnie.

— Nie wiedziałem, że twój brat jest mistrzem kung-fu — zauważył.

— To nie jest kung-fu! - prychnął Eddie, nie spuszczać oczu z Jill.

— Wszystko jedno - odparł Micah. - I tak robi wrażenie.

Eddie przechylił się, jakby zamierzał wymierzyć Jill cios w bok. Odpowiedziała blokadą, ale nie na tyle szybko, by go unieruchomić. Gdyby naprawdę z nią walczył, trafiłby. Mimo wszystko był zadowolony z jej refleksu.

— Dobrze. W ten sposób złagodziłabyś uderzenie, chociaż i tak byś je odczuła. Powinnaś zrobić unik. Musisz jeszcze poćwiczyć tę technikę.

Jill przytaknęła posłusznie.

— A kiedy możemy to przećwiczyć'?

Eddie spojrzał na nią z dumą, chociaż na jego twarzy pojawił się też wyraz troski.

— Nie dzisiaj. Słońce za mocno grzeje.

Jill chciała zaprotestować, lecz ugryzła się w język. Zauważyłam, że jest zmęczona oraz intensywnie się poci. Spojrzała w niebo, jakby prosiła je, by zaciągnęło się chmurami. Nie zareagowało, więc skinęła głową Eddiemu.

— Dobrze. Ale spotkamy się jutro o tej samej porze? Albo wcześniej. Najlepiej dziś wieczorem! A potem jeszcze rano. Będziemy ćwiczyć po zachodzie i o wschodzie słońca? Zgadzasz się?

Eddie uśmiechnął się, rozbawiony jej entuzjazmem.

— Jak sobie życzysz.

Jill odwzajemniła uśmiech strażnika i usiadła obok mnie, starając się schować w cieniu. Eddie patrzył na mnie wyczekująco.

— O co chodzi? — spytałam.

— Nie miałaś się uczyć zadawania ciosów? Przewróciłam oczami.

— Nie. Po co mi to?

Jill szturchnęła mnie w bok.

— Do roboty, Sydney!

Niechętnie zgodziłam się na szybką lekcję boksu. Nie przykładałam się, czując, że mam im tylko dostarczyć rozrywki. Kiedy Eddie skończył ze mną, przyszła kolej na Micaha.

— Hej, mógłbyś i mnie pokazać kilka chwytów ninja? — spytał chłopak.

— Nie mam nic wspólnego z ninja — zaprotestował dam-pir z uśmiechem. — Wstawaj.

Micah ochoczo zerwał się z miejsca i Eddie pokazał mu kilka podstawowych tricków. Odniosłam wrażenie, że robi to, by ocenić możliwości kolegi. Po pewnym czasie odprężył się i pozwolił mu poćwiczyć techniki obrony.

— Hej! — oburzyła się Jill, kiedy dampir kopnął Micaha. Chłopak zlekceważył ten ruch. — To nie fair. Ze mną tak nie walczyłeś.

Eddie odwrócił się na moment i Micah wykorzystał to, by go trafić. Zyskał tym szacunek przeciwnika. Eddie zwrócił się do Jill.

— To co innego.

— Bo jestem dziewczyną? — nalegała. — Z Rose nigdy się nie hamowałeś.

— Kim jest Rose? — zaciekał się Micah.

— Koleżanką — wyjaśnił Eddie i spojrzał na Jill. — Ona ma wieloletnie doświadczenie.

— Na pewno jest lepsza od Micaha. Po prostu nie traktujesz mnie poważnie.

Eddie splonął rumieńcem i zerknął na kolegę.

— Nieprawda — zaprzeczył.

— Prawda — mruknęła Jill. Kiedy chłopcy podjęli walkę, nachyliła się do mnie. — Jak mam się nauczyć bronić, skoro on boi się zrobić mi krzywdę? — szepnęła.

Obserwowałam obu chłopaków, analizując w myślach, co wiem o Eddie.

— To skomplikowane. Eddie uważa, że nie powinnaś ryzykować, i jeśli dobrze się spisze, nigdy nie będziesz musiała bronić się sama.

— Spisuje się doskonale. Szkoda, że go nie widziałas podczas napaści. — Znow przybrała ten udęcony wyraz twarzy, jak zawsze, gdy wspominała incydent, który zmusił ją do opuszczenia dworu. — Mimo to chcę trenować. — Jeszcze bardziej ściszyła głos. — Naprawdę chciałabym nauczyć się używać magii w walce, chociaż na pustyni raczej nie będę miała okazji.

Wzdrygnęłam się, przypominając sobie jej popisy poprzedniego dnia.

— Masz czas — rzuciłam oschle.

Wstałam, usprawiedliwiając się pracą domową. Micah spytał, czy Eddie i Jill mają ochotę na wspólny lunch. Eddie zgodził się bez wahania. Jill zerknęła na mnie bezradnie.

— To tylko lunch — rzucił znacząco Eddie.

Według niego Micah nie stanowił zagrożenia. Nie miałam co do tego pewności, ale Jill była zauroczona Lee i Micah musiałby bardzo się starać, żeby zrobić na niej wrażenie.

— Oczywiście — zgodziłam się.

Jill wyraźnie odetchnęła z ulgą i zaraz odeszli. Dzień upłynął mi na sporządzaniu nieszczęsnych notatek dla panny Terwiliger. Nadal uważałam, że przepisywanie archaicznych zaklęć i rytuałów jest stratą czasu. Jedyнным argumentem przemawiającym za była troska o starą książkę, którą łatwo można by uszkodzić.

Zapadł wieczór, kiedy nareszcie skończyłam. Jill jeszcze nie wróciła, więc postanowiłam skorzystać z okazji i sprawdzić coś, co nie dawało mi spokoju. Tego dnia Jill wspomniała, że Eddie obronił ją przed napaścią. Od początku czułam, że nie mówili mi wszystkiego. Zalogowałam się w sieci alchemików i ściągnęłam dostępne informacje o buntach wśród morojów.

Naturalnie dysponowaliśmy pełną dokumentacją. Musieliśmy śledzić wszystkie ważne wydarzenia w ich świecie, a to należało do priorytetowych. Alchemicy zdobyli jakoś zdjęcia królewskiego dworu z protestującymi przed budynkami administracji. Obecni tam strażnicy rzucali się w oczy. Usiłowali zaprowadzić porządek. Ku memu zaskoczeniu rozpoznałam w tłumie Dymitra Bielikowa — chłopaka Rose. Przewyższał wszystkich wzrostem. Dampiry do złudzenia przypominają ludzi i musiałam przyznać, że Dymitr jest bardzo przystojny. Nawet na fotografii widziałam żarliwość i zapał, z jakimi obserwował zgromadzonych.

Inne zdjęcia potwierdzały to, czego już byłam świadoma. Większość poddanych popierała młodą królową. Jej przeciwnicy stanowili nieliczną grupę, ale głośną i niebezpieczną. Nagranie wideo pokazywane w telewizji Denver przedstawiało dwóch morojów, którzy wszczęli bójkę w jakimś barze. Wykrzykiwali coś o królowych i sprawiedliwości, co obserwującym ich ludziom musiało wydawać się kompletnie pozbawione sensu. Nagranie było jednak szczególne, ponieważ pochodziło z telefonu komórkowego

mężczyzny, który twierdził, że sfilmował bójkę wampirów. Podobno widział ich kły. Na szczęście nikt nie potraktował tego poważnie. Uznałam jednak, że nie wolno nam lekceważyć takich incydentów. Kto wie, co by się stało, gdyby sytuacja w świecie morojów wymknęła się spod kontroli.

Dowiedziałam się też, że królowa Wasylissa naprawdę dąży do ustanowienia nowego prawa, które uwolni władców od konieczności posiadania choćby jednego członka rodziny. Zdaniem naszych ekspertów procedura powinna zająć jakieś trzy miesiące, co słyszałam już od Rose. Ta liczba wyświetliła mi się w głowie w postaci tykającej bomby zegarowej. Musimy dbać o bezpieczeństwo Jill przez trzy miesiące. W tym czasie wrogowie Wasylissy będą usiłowali dopaść ją za wszelką cenę. W razie śmierci Jill rządy Wasylissy się skończą, a wraz z nimi próby uzdrowienia systemu władzy morojów.

Ale nie tych informacji szukałam w pierwszej kolejności. Chciałam się dowiedzieć czegoś o napaści na moją podopieczną. Nikt nie zamierzał zdradzać mi szczegółów, a i w sieci nie przeczytałam dużo. Żaden z alchemików nie przebywał wówczas na dworze, toteż nasze informacje pochodziły wyłącznie z raportów morojów. Wiedzieliśmy jedynie, że „siostra władczyni padła ofiarą okrutnego i brutalnego ataku, lecz wróciła do zdrowia”. Wiedziałam, że tak jest w istocie. Jill nie nosiła śladów obrażeń, a napaść miała miejsce tydzień przed jej przyjazdem do Palm Springs. Czy był to wystarczająco długi czas, by dojść do siebie po „okrutnym i brutalnym ataku”? I czy to z tego powodu budziła się z krzykiem w środku nocy?

Nabrałam podejrzeń. Kiedy Jill wróciła do pokoju, była w tak dobrym nastroju, że nie chciałam jej o to wypytywać. Przypomniałam też sobie ponieważ, że zamierzałam dowiedzieć się czegoś więcej również na temat śmierci

siostrzenicy Clarence'a, której ktoś poderżnął gardło. Zupełnie o niej zapomniałam, pochłonięta sprawą Jill. Postanowiłam zająć się tym nazajutrz, zatem wcześniej położyłam się spać.

„Jutro — myślałam sennie. — Zajmę się tym jutro”.

Jutro nadeszło szybciej, niż się spodziewałam. Zostałam gwałtownie obudzona. Ktoś mną potrząsał i na ułamek sekundy czułam się jak w koszmarze, w którym przyjechali po mnie alchemicy. Ledwo powstrzymałam się od krzyku, lecz w ostatniej chwili dostrzegłam nad sobą Jill.

- Hej, hej - ofuknęłam ją. Na zewnątrz dniało, ale niebo było jeszcze purpurowe. - Co się dzieje? O co chodzi?

Jill drżała z przerażenia.

— Chodzi o Adriana. Musisz go ratować.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

PRZED NIM SAMYM? - Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zadrwić.

- Nie. - Jill przysiadła na skraju łóżka, przygryzając wargi. - Może źle się wyraziłam. Musimy jechać do niego do Los Angeles. Wpadł w pułapkę.

Przetarłam oczy i usiadłam. Odczekałam chwilę w nadziei, że to tylko sen. Nic się jednak nie zmieniło. Sięgnęłam po komórkę leżącą na szafce nocnej i jęknęłam, widząc, która godzina.

- Jill, jest przed szóstą.

Chciałam spytać, dlaczego Adrian nie śpi o tej porze, ale przypomniałam sobie, że prowadzi nocny tryb życia. Przebywając wśród swoich, moroje kładą się późnym rankiem dla reszty świata.

- Wiem! - pisnęła. - Przykro mi. Nie prosiłabym, gdyby to nie było ważne. Wybrał się tam wieczorem, bo chciał znowu spotkać te... morojki. Lee także miał jechać do Los Angeles, więc Adrian uznał, że nadarza się okazja. Potem rozstali się i teraz Adrian nie może wrócić do domu. Jest wyczerpany i ma kaca.

Położyłam się z powrotem.

— Jakoś mi go nie żal. Będzie miał nauczkę.

— Sydney, proszę.

Zasłoniłam oczy ramieniem. Może jeśli udam, że zasypiam, Jill zostawi mnie w spokoju. Nagle coś mnie zaniepokoiło.

— Skąd o tym wiesz? Dzwonił do ciebie? — Nie mam lekkiego snu, lecz dźwięk dzwonka na pewno by mnie obudził.

Dziewczyna odwróciła wzrok. Podniosłam się, marszcząc brwi.

— Jill? Skąd o tym wiesz?

— Proszę — szepnęła. — Możemy po niego pojechać?

— Nie, jeśli mi nie wyjaśnisz. — Naraz ścierpła mi skóra. Przez cały czas czułam, że ukrywają coś przede mną. Teraz miałam nareszcie poznać tę tajemnicę.

— Nie możesz o tym nikomu powiedzieć — wypaliła, patrząc mi w oczy.

Stuknęłam palcem w tatuaż na moim policzku.

— O niczym nie mogę mówić.

— Chodzi mi o alchemików. I o Keitha. A także o morojów, którzy o niczym nie wiedzą.

Mam zachować tajemnicę przed alchemikami? To będzie problem. Popełniałam wiele szaleństw, ale nawet jeśli zadania doprowadzały mnie do furii, nawet jeśli spędzałam sporo czasu z wampirami, nigdy nie miałam wątpliwości, wobec kogo powinnam być lojalna. Musiałam powiadamiać alchemików o wszystkim, co dotyczyło Jill i pozostałych. To był mój obowiązek wobec nich, wobec ludzkości.

Do tych obowiązków należała również opieka nad Jill. Powinnam zająć się tym, co ją dręczyło. Przez krótką chwilę miałam ochotę skłamać, ale odsunęłam tę myśl. Nie mogłam tak postąpić. Jeśli obiecuję dotrzymać tajemnicy, dotrzymam jej. Jeśli nie, muszę ją o tym uprzedzić.

- Nie powiem nikomu — obiecałam.

Te słowa zaskoczyły mnie samą. Morojka przyglądała mi się w półmroku i ostatecznie uznała chyba, że może mi zaufać. Powoli skinęła głową.

- Adrian i ja jesteśmy połączeni więzią. Duchową więzią.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Jak to się... - Nagle zrozumiałam wszystko. — Ta napaść. Ty... ty...

- Umarłam - powiedziała po prostu. - Kiedy wtargnęli zabójcy, zapanowało straszne zamieszanie. Wszyscy sądzili, że zamierzają zabić Lisę, więc strażnicy natychmiast ją otoczyli. Tylko Eddie biegł do mnie, ale się spóźnił. Ten mężczyzna, on... - Jill przyłożyła rękę do piersi i zadrżała. - Ugodził mnie sztyletem. On... mnie zabił. Wtedy pojawił się Adrian. Użył mocy ducha, żeby mnie wskrzesić, i w ten sposób zostaliśmy połączeni. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko. Nikt nie zauważył, co zrobił.

Zakręciło mi się w głowie. Znowu ta moc ducha, żywioł, który nastęrczał wiele kłopotów alchemikom, głównie z powodu braku wiedzy. A każdy brak informacji nas osłabiał. Zapisy o mocy ducha pojawiały się przez stulecia, ale nikt nie uświadamiał sobie, że chodzi o osobny żywioł. Przejawy tej mocy traktowano jako niezależne zjawiska magiczne. Dopiero niedawno na nowo odkryto tę moc oraz jej niezliczone właściwości. Jednym z najważniejszych atrybutów ducha jest zdolność uzdrawiania. Wasylissa wskrzesiła Rose po wypadku samochodowym i od tej pory łączyła je szczególna psychiczna więź. Ta więź została przerwana, kiedy Rose po raz drugi otarła się o śmierć.

- Możesz zaglądać do jego myśli - mruknęłam. - Doświadczasz jego uczuć. - Dopiero teraz zaczynałam rozu-

mieć, skąd Jill tak dużo wiedziała o Adrianie, podczas gdy on sam twierdził, że nic jej nie mówił. Przytaknęła ruchem głowy.

— Nie chcę tego. Możesz mi wierzyć. Nie potrafię tego przerwać. Rose mówi, że z czasem nauczę się blokować przepływ jego emocji, ale bardzo się z tym męczę. On wszystko przeżywa, Sydney. Tak intensywnie odczuwa miłość, smutek, gniew. I te jego wieczne wzloty i upadki. Wciąż zadrećza się rozstaniem z Rose. Gubię się w tym wszystkim. Nie umiem zapanować nad tymi emocjami.

Nie powiedziałam tego głośno, pomyślałam jednak, że tak intensywne uczucia mogą wypływać z mocy ducha, która często prowadzi do granic obłądu. Może zresztą wynikały z charakteru Adriana. Nie miało to teraz znaczenia.

— Ale on nie czyta twoich myśli, prawda? Więc działa tylko w jedną stronę? — upewniłam się.

Rose odbierała uczucia Wasylissy i pośrednio uczestniczyła w wydarzeniach z jej życia, lecz przyjaciółka nie miała takiej możliwości. Założyłam, że tak samo jest z Adrianem i Jill, chociaż moc ducha działała w sposób nieprzewidywalny.

— Tak — potwierdziła Jill.

— To dlatego... dlatego wiesz o nim wszystko. O moich wizytach. I o apetycie Adriana na pizzę. Teraz rozumiem, dlaczego Abe nalegał, by przyjechał z tobą.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

— Abe? Nie, zdecydowaliśmy o tym wspólnie. Rose i Lissa uznały, że powinniśmy teraz przebywać razem, żeby przyzwyczać się do działania więzi. I mnie spodobała się ta myśl. Dlaczego sądziłaś, że to pomysł Abe'a?

— Eee, sama nie wiem — bąknęłam. Jill nie słyszała, jak Abe instruował Adriana w kwestii pobytu w domu Clarence'a. — Coś mi się pomyliło.

— Czy możemy już jechać? — poprosiła. — Odpowiedziałam na twoje pytania.

— Chciałabym wiedzieć coś jeszcze — odparłam. — Wyjaśnij mi, jak się znalazł w Los Angeles i dlaczego tam utknął.

Jill załamała rękę i odwróciła wzrok — zwykle tak robiła, gdy musiała wyjawiać coś, co jej zdaniem mogło mi się nie spodobać.

— Uhm, postanowił wyjść z domu wieczorem, bo... był znudzony. Pojechał do miasta autostopem i trafił na imprezę w grupie osób, które wybierały się do Los Angeles. Dołączył do nich. W tamtejszym klubie poznał dziewczyny — rnorójki — i poszli razem do ich mieszkania. Potem urwał mu się film. Ocknął się dopiero teraz i chce wrócić do Cla-rence'a.

Całe to gadanie o klubach i dziewczynach wzbudziło mój niepokój.

— Jill, w jakim stopniu uczestniczyłaś w tej imprezie? Nadal unikała mojego spojrzenia.

— To nieważne.

— Dla mnie ważne — sprzeciwiłam się. Tamtej nocy, kiedy obudziła się z płaczem, Adrian też imprezowa! Czyżby była zmuszona uczestniczyć w jego życiu erotycznym? — Co on sobie myśli? Przecież wie, że przeżywasz wszystko, co robi, a mimo to nie odpuści sobie... O, Boże. Pierwszego dnia w szkole panna Chang miała rację, prawda? Naprawdę byłaś skacowana. W każdym razie pośrednio. — Potem, niemal każdego ranka budziła się z mdłościami. — To Adrian miał kaca.

Jill potwierdziła moje obawy.

— Na pewno nie wykazałyby tego badania krwi, ale tak się czułam. Okropność.

Ujęłam ją pod brodę i zmusiłam, by spojrzała mi w oczy.

— Teraz też tak się czujesz. — Promienie wschodzącego słońca rozjaśniły pokój i mogłam przyjrzeć się twarzy Jill. Niezdrowa bladość i przekrwione oczy. Nie zdziwiłabym się, gdyby cierpiała na ból głowy i rozstrój żołądka. Potrząsnęłam głową z oburzeniem. — Powinien tam zostać.

— Sydney!

— Zasłużył na to. Wiem, że... nie jest ci obojętny. - Nieważne, czy były to uczucia siostrzane, czy romantyczne. — Ale nie możesz się nim opiekować jak dzieckiem i biec do niego na każde zawołanie.

— O nic mnie nie prosił — zaprotestowała. — Po prostu czuję, że tego chce.

— Powinien o tym pomyśleć, zanim wpakował się w kłopoty. Zna drogę powrotną.

— Ma wyczerpaną baterię w komórce.

— Niech pożyczy telefon od nowych „przyjaciółek”.

— Bardzo się męczy — próbowała jeszcze.

— Takie jest życie — odparłam.

— Ja też się męczę. Westchnęłam. -Jill...

— Mówię poważnie. I nie chodzi wyłącznie o kaca. Bo póki on się źle czuje, to ja też! Ale odbieram również jego myśli. Ugh. — Jill oparła czoło na dłoniach. — Zadręczam się, że on jest nieszczęśliwy. Czuję, jakby wielki młot raz po raz walił mi w głowie. Nie mogę się od tego uwolnić. Myślę tylko o nieszczęściu Adriana! Dlatego jestem nieszczęśliwa. Albo wydaje mi się, że jestem. Już sama nie wiem. — Westchnęła. - Proszę cię, Sydney, pojedźmy tam.

— Wiesz, gdzie on jest? — spytałam.

-Tak.

— Dobrze więc. Pojadę po niego. — Przesunęłam się na krawędź łóżka. Jill także się podniosła.

— Jadę z tobą.

— Wykluczone — zaprotestowałam. — Ty się połóż. Zażyj aspirynę i postaraj się odpocząć.

Chciałam porozmawiać z Adrianem w cztery oczy. Jill z pewnością mogła „podслуchać” naszą rozmowę, ale uznałam, że łatwiej mi będzie powiedzieć mu wszystko, gdy będzie nieobecna przynajmniej ciałem i nie będę czuła spojrzenia tych jej wielkich oczu.

— Ale jak...

— Nie chcę, żebyś mi zwymiotowała w samochodzie. Zadzwoń do mnie, jeśli coś się zmieni albo jeśli Adrian wydostanie się na własną rękę.

Jill protestowała jeszcze, lecz bez przekonania. Może chciała okazać mi wdzięczność, że ruszam na „ratunek” Adrianowi. Nie знаła dokładnego adresu, jedynie opisała mi bardzo szczegółowo dom i okazało się, że znajduje się on w bliskim sąsiedztwie znanego hotelu.

Zorientowałam się z mapy, że hotel jest tuż przy Long Beach, co oznaczało, że będę musiała przejechać całe miasto. Miałam przed sobą dwugodzinną podróż. Potrzebowałam kawy.

Przynajmniej dzień zapowiadał się ładny, a o tak wczesnej porze w niedzielę nie było ruchu na drodze. Patrząc na słońce i błękitne niebo, myślałam, jak miło byłoby mieć otwierany dach. Przyjemniej jechałoby się też w celu innym niż szukanie zabłąkanego wampira ze skłonnością do imprezowania.

Wciąż nie otrząsnęłam się z wrażenia, jakie zrobiła na mnie wieść, że Adrian i Jill są połączeni duchem. Myśl, że można kogoś wskrzesić po śmierci, kłóciła się z moimi przekonaniem religijnymi. Była równie niepokojąca jak

inny atrybut mocy ducha: możliwość przywracania strzyg do życia. A przecież dysponowaliśmy dwoma udokumentowanymi przypadkami. Dwie strzygi zostały uzdrowione przez morojów władających żywiołem ducha. Pierwszym nawróconym był Dymitr Bielików. Poza nim kobieta, Sonia Karp. Powracające strzygi i zmartwychwstający zmarli były dostatecznym powodem, by naprawdę bać się tej mocy. Nie pochodziła z tego świata.

Dotarłam na Long Beach zgodnie z założeniem i bez trudu odnalazłam wskazane osiedle. Znajdowało się dokładnie naprzeciwko hotelu Cascadia stojącego frontem do oceanu. Jill nie dzwoniła, więc uznałam, że Adrian nadal przebywa w mieszkaniu. O tej godzinie bez trudu zaparkowałam przy ulicy i przystanąłam, żeby popatrzeć na niebieskosza-ry bezmiar Pacyfiku na zachodnim horyzoncie. Widok był olśniewający, tym bardziej że ostatni tydzień spędziłam w pustynnym Palm Springs. Niemal pożałowałam, że nie ma ze mną Jill. Bliskość wody poprawiłaby jej nastrój.

Apartamenty mieściły się w dwupiętrowym budynku o ozdobnej fasadzie w kolorze brzoskwiniowym. Na każdym piętrze znajdowały się po dwa mieszkania. Jill poszperała we wspomnieniach Adriana i kazała mi wejść na samą górę, a następnie skrócić w prawo. Wkrótce stanęłam przed niebieskimi drzwiami z ciężką mosiężną kołatką. Zapukałam.

Minęła minuta bez odpowiedzi, więc spróbowałam jeszcze raz, głośniejsze. Już miałam zapukać po raz trzeci, kiedy usłyszałam szcęk zamka. Drzwi uchyliły się i zobaczyłam twarz dziewczyny.

Od razu rozpoznałam morojkę o szczupłej sylwetce modelki i bladej, idealnej skórze, co tego dnia wydało mi się nad wyraz irytujące, bo czułam, że lada moment na czole wykwitnie mi pryszcz. Wyglądała na moją rówieśniczkę,

może nieco starszą. Z gładkimi czarnymi włosami i ciemnoniebieskimi oczami lalki sprawiała niesamowite wrażenie. Była rozespana.

— Słucham? — Zlustrowała mnie wzrokiem. — Masz coś na sprzedaż?

Jej wysoka sylwetka i doskonałość rysów sprawiły, że poczułam się boleśnie świadoma niedbałości swego stroju — lnianej spódniczki i bluzki zapinanej na guziki.

— Czy zastałam Adriana?

— Kogo?

— Adriana. Wysoki. Brązowe włosy. Zielone oczy. Zmarszczyła brwi.

— Masz na myśli Jęta?

— Hmm... nie jestem pewna. Pali jak komin? Kiwnęła głową.

— O, taaak. To na pewno on. — Odwróciła się w stronę mieszkania. — Hej, Jet! — krzyknęła. — Jakaś akwizytorka do ciebie.

— Przyślij ją tutaj — usłyszałam znajomy głos. Morojka otworzyła drzwi szerzej i zaprosiła mnie gestem do środka.

— Jest na balkonie.

Przeszłam przez salon, w którym panował totalny bałagan. Podłogę zaścielały brudne ubrania, a nieumyte naczynia zajmowały każdy centymetr wolnej przestrzeni, gdzie nie stały puste butelki po piwie. Przewrócona buteleczka z lakierem do paznokci uformowała różowy bąbel na dywanie. Na kanapie zobaczyłam zakutaną w koce jasnowłosą morojkę, która spojrzała na mnie nieprzytomnie, po czym natychmiast zasnęła.

Starając się niczego nie nadepnąć, wyszłam do Adriana przez drzwi prowadzące na patio. Stał na balkonie, oparty o balustradę, tyłem do mnie. Poranne powietrze było ciepłe

i czyste, więc naturalnie usiłował je zatruć papierosowym dymem.

— Wyjaśnij mi coś, Sage - zaczął, nie odwracając się do mnie. — Po cholere ktoś postawił budynek przy plaży, skoro nie ma balkonów z widokiem na wodę? Wszystkie wychodzą na wzgórze. Jeśli sąsiedzi natychmiast nie dostarczą mi atrakcji, jestem gotów oświadczyć, że cała ta inwestycja to fiasko.

Skrzyżowałam ręce na piersi i utkwiałam niechętnie spojrzenie w jego plecach.

— Niezmiernie się cieszę, że usłyszałam twoje cenne zdanie w tej kwestii. Dopilnuję, by włączyć to do mojego raportu dla Ministerstwa Niewłaściwych Widoków.

Odwrócił się, a na jego ustach wykwitł krzywy uśmiezek.

— Co ty tu robisz? Sądziłem, że jesteś w kościele czy coś w tym stylu.

— A jak sądzisz? Przyjechałam na prośbę piętnastolatki, która nie zasłużyła sobie, byś fundował jej takie wątpliwe rozrywki.

Uśmiezek znikł.

— O. Powiedziała ci. — Znów stanął do mnie tyłem.

— Tak, a ty powinienesz być mnie uprzedzić! To ważna sprawa...
śmiertelnie ważna.

— Bez wątpienia alchemicy byliby tym zachwyceni. -Mogłam sobie wyobrazić, jak szczerzy kły.

— Dałam jej słowo, że dochowam tajemnicy. Mimo wszystko powinienesz być mi powiedzieć. Ostatecznie robię tu za waszą niańkę.

— Przesadziłaś z tą niańką, Sage.

— Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia? Ani na jotę. Adrian milczał, a ja go otaksowałam. Miał na sobie
ciemne sprane džinsy dobrej marki i czerwoną bawełnia-

na koszulkę, w której — sądząc po wygnieceniach — chyba spał tej nocy. Stał boso.

— Masz tu kurtkę? — spytałam. -Nie.

Wróciłam do mieszkania i zaczęłam szukać w rozrzuconych ciuchach. Jasnowłosa morojka spała głęboko, a ta, która mnie wpuściła, leżała na niepościelonym łóżku w drugim pokoju. Odnalazłam skarpetki i buty Adriana w kącie na podłodze. Zgarnęłam je i rzuciłam mu pod nogi na balkonie.

— Wkładaj to. Wychodzimy.

— Nie jesteś moją matką.

— Nie. O ile mnie pamięć nie myli, twoja matka odsiaduje teraz wyrok za krzywoprzysięstwo i kradzież.

To było podłe, ale prawdziwe. Adrian obrócił się gwałtownie, a w głębokich zielonych oczach zabłysł gniew, po raz pierwszy, od kiedy go poznałam.

— Nie waż się o niej więcej wspominać. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Byłam zaskoczona taką reakcją, lecz wytrzymałam jego wzrok.

— To ja odnalazłam akta, które wykradła.

— Miała swoje powody — wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Tak łatwo ci stanąć w obronie kogoś, kto został skazany za przestępstwo, a nie masz litości dla Jill, która jest niewinna.

— Bardzo jej współczuję! — Urwał, by drżącymi rękoma zapalić papierosa. Podejrzewałam, że próbuje w ten sposób się uspokoić. — Przez cały czas o niej myślę. Jak mógłbym zapomnieć? Jest tutaj... nie czuję jej, ale zawsze będzie ze mną, słucha moich myśli, słyszy to, czego ja sam wolałbym nie słyszeć. Czuje to, czego nie chcę czuć. — Zaciągnął się

głęboko i znów zapatrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem.

— Skoro tyle o niej myślisz, to dlaczego tak się zachowujesz? — Pokazałam ręką pokój. — Jak możesz pić, wiedząc, że ona odczuje skutki? Jak mogłeś... — skrzywiłam się — zadawać się z tymi dziewczynami, wiedząc, że ona jest tego świadkiem? Ma piętnaście lat.

— Wiem, wiem — burknął. — Nie od razu się zorientowałem. Przestałem, gdy przyjechała po lekcjach i powiedziała mi o wszystkim. Naprawdę przestałem. Dopiero w piątek... pozwoliła mi się napić, mówiąc, że jest weekend. Nie martwiła się konsekwencjami. Powiedziałem sobie, że ograniczę się do dwóch kieliszków. Wczoraj przeholowałem. Impreza się rozkręciła i wylądowałem tutaj. Co ja wyprawiam? Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

— Nie wydaje mi się, byś mógł wytłumaczyć się komukolwiek! — warknęłam. Byłam na niego wściekła.

— Jesteś mocna tylko w gębie, Sage. — Wymierzył we mnie oskarżycielsko palec. — Ja przynajmniej coś robię. Ty pozwalasz, by świat się toczył obok ciebie. Przyglądasz się spokojnie, jak ten dupek Keith traktuje cię jak ścierkę, i uśmiechasz się, kiwając głową. Nie masz kręgosłupa. Nie podejmujesz walki. Nawet stary Abe rozstawia cię po kątach. Czy Rose miała rację, że on ma na ciebie haka? A może po prostu nie chcesz się angażować?

Bardzo się starałam nie pokazać, jak zaboląły mnie jego słowa.

— Nic o mnie nie wiesz, Adrianie Iwaszkow. Bez przerwy o coś walczę.

— Mnie nie oszukasz. Posłałam mu krótki uśmiech.

— Nie robię wokół siebie tyle szumu co ty. To się nazywa odpowiedzialność.

— Jasne. Jeśli dzięki temu możesz zasnąć. Wyrzuciłam ręce w górę.

— Otóż to. Nie mogę już spać, bo muszę cię wyciągać z tarapatów. Możemy już wyjść? Proszę.

Zamiast odpowiedzieć, zgasił papierosa i sięgnął po skarpetki. W pewnej chwili spojrzął na mnie i zobaczyłam, że jego gniew już uleciał. Nastroje tego chłopaka zmieniały się, jakby regulowano je przełącznikiem.

— Musisz mnie zabrać od Clarencea. — Miał spokojny, stanowczy ton. — To miły gość, ale oszaleję, jeśli u niego zostanę.

— Przez to rozumiesz doskonale opanowanie? — Zerknęłam za siebie. — Może twoje nowe przyjaciółeczki znajdą dla ciebie wolny kąt?

— Hej, odrobinę szacunku. One mają imiona. Carla i Krissy. — Zmarszczył czoło. — A może Missy?

Westchnęłam.

— Mówiłam już, że nie mam wpływu na miejsce twojego zamieszkania. Na pewno coś znajdziesz. Do czego ci jestem potrzebna?

— Jestem bez grosza, Sage. Staruszek obciął mi fundusze. Starcza ledwo na papierosy.

Chciałam zaproponować, żeby zerwał z nałogiem, ale nie tak miała przebiegać nasza rozmowa.

— Przykro mi. Naprawdę. Dam ci znać, jeśli coś wymyślę. Poza tym, czy Abe nie prosił, byś został na miejscu? — Postanowiłam się ujawnić. — Podśluchałam waszą rozmowę pierwszego dnia. Chciał, żebyś coś dla niego zrobił.

Adrian zawiązał buty i się wyprostował.

— Tak, ale nie wiem, o co mu chodziło. Pamiętasz, jaki był tajemniczy? Sądzę, że próbował mnie czymś zająć, bo w głębi swego pokręconego serca czuje się źle z tym, co zaszło między mną i...

Urwał, lecz znałam niewypowiedziane słowo: Rose. Twarz Adriana zszarzała, a w jego oczach pojawił się wyraz zagubienia i udreki. Przypomniało mi się, jak w samochodzie Jill opowiadała o Rose, o tym, jak Adrian zadreślał się wspomnieniami o niej. Teraz, gdy wiedziałam o łączącej ich więzi, uświadomiłam sobie, że Jill opowiadała wtedy o uczuciach Adriana. Patrzyłam na niego i nie potrafiłam nawet ogarnąć rozmiarów jego cierpienia. Nie umiałam mu pomóc. Ale zrozumiałam, dlaczego usiłuje utopić swój smutek.

— Adrian — zaczęłam nieswoim głosem. — Ja...

— Daj spokój - uciał. — Nie wiesz, jak to jest kochać kogoś, kto nagle rzuca ci tę miłość w twarz...

Nagle usłyszeliśmy rozdzierający krzyk. Adrian zareagował silniej niż ja. Dla wyczulonego słuchu wampira tak przenikliwy dźwięk musiał być nie do zniesienia. Natychmiast wbiegliśmy do środka. Jasnowłosa dziewczyna siedziała wyprostowana na sofie, równie przestraszona jak my. Druga morojka stała w drzwiach sypialni. Była śmiertelnie blada, w dłoni ścisnęła telefon komórkowy.

— Co się stało? — spytałam.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz się zawahała, najwyraźniej przypominając sobie, że jestem człowiekiem.

— W porządku, Carla - odezwał się Adrian. - Ona wie. Możesz jej zaufać.

Carla tylko czekała na te słowa. Z głośnym szlochem rzuciła się w ramiona Adriana.

— Och, Jet - wyjąkała. - Nie mogę uwierzyć, że jej się to przytrafiło. Jak to możliwe?

— O czym ty mówisz? — spytała przyjaciółka, która podniosła się chwiejnie z łóżka.

Chyba spała w ubraniu, tak jak Adrian. Odczułam ulgę, że Jill nie była jednak świadkiem nieprzyzwoitych scen, jak początkowo sądziłam.

— Powiedz nam, Carla — Adrian odezwał się tak łagodnie, jak wtedy gdy zwracał się do Jill.

— Mam na imię Krissy — prychnęła dziewczyna. — Nasza koleżanka... — Otarła łzy napływające jej do oczu. — Właśnie dostałam wiadomość, że morojka, którą znamy z college'u, nie żyje. — Krissy spojrzała na przyjaciółkę, która, jak założyłam, musiała mieć na imię Carla. — Melody została zeszłej nocy zabita przez strzygę.

Carla westchnęła głośno i się rozplakała. Krissy również. Napotkałam wzrok Adriana. Oboje byliśmy wstrząśnięci. Nie znaleźliśmy Melody, lecz morderstwa dokonywane przez strzygi zawsze wyglądały makabrycznie. W jednej chwili zadziałał we mnie instynkt alchemiczki. Musiałam się upewnić, że scena zbrodni została uprzątnięta i ludzie o niczym się nie dowiedzą.

— Miejsce zbrodni — zażądałam stanowczo. — Gdzie to się wydarzyło?

— W zachodniej części Hollywood — załkała Carla. — Na tyłach jakiegoś klubu.

Ta odpowiedź nieco mnie uspokoiła, chociaż byłam zszokowana tym, co się stało. Zachodnia część Hollywood miała wielu mieszkańców i alchemicy na pewno strzegli tego rejonu. Jeśli istnieli świadkowie zdarzenia, nasi ludzie już dawno się tym zajęli.

— Przynajmniej jej nie przemieniły — rzuciła Carla ze smutkiem. — Będzie spoczywała w spokoju. Bestie, pokaleczyły ją.

Naraz oblał mnie zimny pot.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Wytarła nos w koszulę Adriana.

— Strzygi nie poprzestały na wysączeniu krwi. Melody miała podcięte gardło.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

ADRIAN PRZESPAŁ większą część drogi powrotnej do Palm Springs. Uznałam, że impreza w towarzystwie Carli i Krissy musiała przeciągnąć się do późnej nocy. Czułam się nieswojo na myśl o Jill, która musiała w tym wszystkim uczestniczyć.

Nie mogliśmy wiele zrobić dla tych morojek poza okazaniem im współczucia. Ataki strzyg nie są czymś niezwykłym. I choć zawsze wiążą się z tragedią, moroje wiedzą, że najlepiej zadbają o bezpieczeństwo, zachowując ostrożność i nie wążając się po obcym terenie bez ochrony strażników. Oczywiście zwykłe morojki, jak Carla i Krissy, mieszkające wśród ludzi i nie pochodzące z arystokracji są zdane wyłącznie na siebie. Powinny być ostrożniejsze.

Okoliczności śmierci koleżanki wstrząsnęły nimi. Nie dziwiłam się im. Jednak żadna nie zauważyła, że podcięte gardło nie pasowało do typowego zachowania strzyg. Sama również zignorowałabym ten fakt, gdyby nie relacja Clarence'a o śmierci jego siostrzenicy.

Zawiozłam Adriana do Amberwood i wpisałam go jako gościa, zakładając, że Jill poczuje się lepiej, widząc go całego i zdrowego. Nie pomyliłam się, czekała na nas. Uściskała

Adriana i posłała mi wdzięczne spojrzenie. Jill towarzyszył Eddie i chociaż się nie odezwał, jego poirytowana mina mówiła, że nie tylko mnie oburzyło zachowanie Iwaszkowa.

- Tak się martwiłam! - westchnęła Jill. Adrian zmierzwił jej włosy, lecz uchyliła głowę.

- Niepotrzebnie, Ślicznotko. Nic się nie stało, pod warunkiem że tę koszulkę da się uprasować.

„Nic się nie stało” - powtórzyłam w myślach zjadliwie. Zupełnie nic, poza tym, że Jill musiała oglądać erotyczne ekscesy Adriana i znosić skutki jego pijaństwa. Nieważne, że Lee pomógł jej zapomnieć o zauroczeniu Iwaszkowem. Adrian był skończonym egoistą.

- A teraz - ciągnął lekko - jeśli Sage zechce odegrać rolę szofera, zabieram nas wszystkich na lunch.

- Podobno jesteś bez grosza - zauważyłam.

- Powiedziałem, że mam ograniczone fundusze. Jill i Eddie wymienili spojrzenia.

- My, uhm, umówiliśmy się na lunch z Micahem - bąknęła Jill.

- Więc zabierzemy i jego - rzucił Adrian. - Niech pozna rodzinę.

Micah pojawił się wkrótce i z radością powitał kolejnego „brata”. Uścisnął dłoń Adriana i się uśmiechnął.

- Teraz dostrzegam rodzinne podobieństwo. Zastanawiałem się już, czy Jill nie została adoptowana, ale jesteście do siebie podobni.

- Do siebie i do naszego listonosza w Dakocie Północnej — odparł Adrian.

- Południowej - poprawiłam. Na szczęście Micah nie dostrzegł nic dziwnego w pomyłce.

-Hmm... - Adrian przyjrzał się chłopakowi z namysłem. - Jest w tobie coś znajomego. Czy już się spotkaliśmy?

Micah pokręcił głową.

— Nigdy nie byłem w Dakocie Południowej.

Byłam pewna, że słyszałam mruknięcie Adriana: „Więc jest nas dwóch”.

— Jedźmy już — wtrącił pospiesznie Eddie, ruszając do drzwi. — Mam jeszcze lekcje do odrobienia.

Zastanowiła mnie nagła zmiana w zachowaniu dampira. Eddie nie był złym uczniem, ale szkoła nie interesowała go tak jak mnie. Powtarzał znane wiadomości, więc nie musiał się szczególnie starać.

Jeśli inni także zauważyli nagłą zmianę jego nastroju, nie dali tego po sobie poznać. Micah gawędził z Jill, Adrian zaś miał taką minę, jakby wciąż się zastanawiał, skąd go zna. Iwaszkow zabrał nas na lunch w barze szybkiej obsługi, więc prędko uporaliśmy się z jedzeniem. Mimo wszystko doceniłam odmianę po tygodniu spędzonym na szkolnej diecie, a co dopiero Adrian, który od dawna narzekał na „zdrową” kuchnię Dorothy.

— Powinnaś zamówić dziecięcą porcję — mruknął, pokazując mojego niedojedzonego hamburgera i frytki. — Zaoszczędziłbym kupę kasy. No i dostałabyś zabawkę.

— Tak dużo byś nie oszczędził — odparłam. — Poza tym oddam ci resztki, które pozwolą ci przeżyć.

Przewrócił oczami i skradł frytkę z mojego talerza.

— Zabierz je do domu. Jak ty wytrzymujesz bez jedzenia? — spytał. — Któregoś dnia po prostu porwie cię wiatr.

— Przestań — zachnęłam się.

— Mówię, jak jest. — Wzruszył ramionami. — Powinnaś przytyć co najmniej pięć kilogramów.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem — co moroj mógł wiedzieć o tyciu? Wszyscy oni mieli doskonałe figury. Nie rozumieli, jak to jest przeglądać się w lustrze i widzieć swoje wady, nigdy nie czuć się dość dobrym. Nie musieli

dbać o wygląd, podczas gdy mnie nigdy nie udało się nawet zbliżyć do ich nieludzkiej doskonałości.

Adrian zerknął na Ti 11, Eddiego i Micaha, którzy z ożywieniem rozprawiali o kolejnych treningach sztuki samoobrony.

— Urocze — mruknął tak cicho, że tylko ja go usłyszałam. Przyglądał się im, bawiąc się słomką. — Może Castile miał jakiś cel w tym, by pozwalać jej umawiać się z kolegą ze szkoły.

— Adrian! — jęknęłam.

— Żartowałam. Lee pewnie wyzwałby go na pojedynek. Po powrocie z minigolfa bez przerwy pytał, kiedy znów umówimy się razem. Mimo to rozpląnął się w powietrzu, gdy go potrzebowałam w Los Angeles.

— Umówiliście się wcześniej? — spytałam ze zdziwieniem. — Miał cię odwiedzić do domu?

— Nie — przyznał Adrian. — Ale co innego mógł mieć do roboty?

W tej chwili jakiś siwowłosy mężczyzna trącił krzesło Jill, przechodząc z tacą burgerów i napojów. Chociaż nic się nie wylało, to Eddie błyskawicznie zerwał się na równe nogi, gotów rzucić się jej z pomocą. Mężczyzna cofnął się, mamrocząc przeprosiny.

Adrian pokręcił głową z podziwem.

— Wystarczy posyłać go z Jill na każdą randkę, a nie będziemy musieli się niczym martwić.

Wiedząc o więzi łączącej Adriana i Jill, pomyślałam o opiekuńczej postawie Eddiego w nowym świetle. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że kieruje nim przede wszystkim instynkt strażnika, lecz czułam, że jest w tym coś więcej. Coś niemal... osobistego. Z początku sądziłam, że Jill po prostu należy do kręgu jego najbliższych przyjaciół, tak jak Rose. Przypomniałam sobie jednak, że Eddie

jako jedyny próbował ją ratować podczas napaści. Zawiódł, ponieważ przybył za późno, nie z własnej winy.

To zdarzenie musiało pozostawić w nim ślad. Celem życia strażnika była opieka nad innymi, tymczasem widział, jak ktoś ginie na jego oczach. Gdy Adrian wskrzytał Jill, Eddie mógł uznać to za szansę na odkupienie winy. Czyżby dlatego wykazywał wzmożoną czujność?

- Masz niepewną minę — zauważył Adrian. Pokręciłam głowę z westchnieniem.

- Rozmyślałam o kilku sprawach. Kiwnął głowę z powagą.

- I właśnie dlatego nigdy tego nie robię. W tej chwili coś sobie przypomniałam.

- Dlaczego przedstawiłaś się tamtym morojkom jako Jet?

- To standardowy zabieg, jeśli nie chcesz, by dziewczyna cię później namierzyła, Sage. Poza tym sądziłem, że w ten sposób zachowuję tajemnicę naszej misji.

- Rozumiem, ale dlaczego Jet? Czemu nie... sama nie wiem... Travis albo John?

Spojrzał na mnie, dając do zrozumienia, że marnuję jego czas.

- Ponieważ Jet to imię twardej.

Po lunchu odwieźliśmy Adriana do Clarence'a i wróciliśmy do Amberwood. Jill i Micah poszli gdzieś razem, a ja namówiłam Eddiego na wizytę w bibliotece. Usiedliśmy przy stoliku i wyjęłam laptopa.

- Dowiedzieliśmy się dziś ciekawej rzeczy, kiedy odbierałam Adriana - zaczęłam szeptem ze względu na nakaz ciszy.

Eddie zerknął na mnie krzywo.

- Już sama wyprawa po niego była ciekawa, sądząc z tego, co powiedziała Jill.

- Mogło być gorzej - skwitowałam. - Przynajmniej był ubrany, gdy tam weszłam. Towarzyszyły mu tylko dwie mo-rojki, na szczęście nie trafiłam na całą grupę rozentuzjasmowanych pańienek.

Eddie parsknął śmiechem.

- Wtedy nie wyciągnęłabyś go tak łatwo.

Monitor rozświetlił się już i rozpoczęłam skomplikowany proces logowania się do supertajnej bazy informacyjnej alchemików.

- Wychodził, kiedy te morojki dowiedziały się o śmierci koleżanki. Podobno została zabita przez strzygę.

Dampir spoważniał w jednej chwili. Utkwił we mnie stalowe spojrzenie.

- Gdzie to się stało?

- W Los Angeles, nie tutaj - wyjaśniłam szybko. Powinnam była zacząć od tego, że nie musi się obawiać wizyty strzyg w kampusie. - O ile wiemy, strzygi naprawdę unikają Palm Springs.

Eddie nieznacznie się odprężył.

- Posłuchaj - ciągnęłam. - Ta morojka zginęła w taki sam sposób jak siostrzenica Clarence'a.

Chłopak uniósł brwi.

- Poderżnięto jej gardło? Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Dziwne. Jesteś pewna, że to prawda? Do tej pory znaliśmy tylko relację Clarence'a. - Eddie zastanawiał się, stukając ołówkiem w biurko. - To miły facet, ale bądźmy szczerzy — ma trochę nie po kolei w głowie.

- Dlatego cię tu ściągnęłam. Chcę sprawdzić te informacje.

Odnotowujemy większość wypadków śmiertelnych spowodowanych przez strzygi.

Eddie patrzył mi przez ramię, gdy wstukywałam nazwisko Tamary Donahue, szukając opisu jej śmierci sprzed pię-

ciu lat. Rzeczywiście znaleziono ją z podciętym gardłem. Wpisałam dane Melody Croft — koleżanki Krissy i Clary — i przeczytałam raport z ostatniej nocy. Moi ludzie błyskawicznie przybyli na miejsce zbrodni i umieścili informacje w sieci. Melody także miała ranę na szyi. Poza tym w Los Angeles odnotowano kilka zgonów z winy strzyg — ostatecznie to wielkie miasto — ale tylko dwa pasowały do naszego profilu.

— Myślisz, że Clarence miał rację, mówiąc o łowcach wampirów? — zapytał Eddie.

— Nie wiem. Uznałam, że warto to sprawdzić.

— Strażnicy zbadali oba przypadki — zauważył Eddie, pokazując palcem monitor. — Oni także stwierdzili, że mamy do czynienia ze strzygami... Dziewczynom wyssano krew. Tak postępują strzygi. Nie wiem, jak działają łowcy wampirów, ale nie sądzę, by wypijali krew swoich ofiar.

— Zgadzam się. Ale tym dziewczynom zostało sporo krwi.

— Strzygi nie zawsze wysysają wszystko. Szczególnie jeśli im się przeszkodzi. Melody zginęła w pobliżu klubu, tak? Zabójca mógł usłyszeć, że ktoś nadchodzi, i uciec.

— To możliwe. Ale jak wytłumaczyć ranę na gardle? Eddie wzruszył ramionami.

— Słyszeliśmy tysiące doniesień o dziwacznych zachowaniach strzyg. Wystarczy spojrzeć na oko Keitha. Są złe do szpiku. Nie kierują się logiką.

— Zostawmy w spokoju oko Keitha. — Nie miałam ochoty włączać go do tej rozmowy. Oparłam się na krzesło i westchnęłam. — Coś mnie niepokoi w tych morderstwach. Chyba ta niedopita krew. I podcięte gardła. Dwa nietypowe fakty jednocześnie. Nie lubię nietypowych faktów.

— W takim razie wybrałaś niewłaściwy zawód. — Eddie znów się uśmiechnął.

Odwzajemniłam uśmiech.

— Pewnie masz rację — przyznałam, wciąż rozmyślając o tej sprawie. Nie odezwałam się więcej i dampir obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem.

— Ty chyba... Nie myślisz, że łowcy wampirów naprawdę istnieją?

— Nie, nie. Nie ma na to dowodów.

— Ale... — podsunął Eddie.

— Czy taka myśl cię nie wystraszyła? Do tej pory wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia. Z morojami i strzygami. Obie rasy łatwo namierzyć. Za to człowiek — łowca wampirów? — Pokazałam na uczniów pracujących w ławkach. — Nie wiadomo, kto okaże się zagrożeniem.

Eddie pokręcił głową.

— To proste. Traktuję każdego jak potencjalne zagrożenie.

Nie byłam pewna, czy po tym wyjaśnieniu poczułam się lepiej.

Kiedy wróciłam do internatu, przywołała mnie pani Weathers.

— Panna Terwiliger zostawiła coś dla ciebie. -Przyniosła mi coś? — spytałam ze zdumieniem. -

Chyba nie pieniądze? — Do tej pory nie zwróciła za żadną kawę.

Pani Weathers w odpowiedzi podała mi oprawioną w skórę księgę. W pierwszej chwili wydało mi się, że to ta sama, nad którą skończyłam już pracę. Przyjrzałam się jej bliżej i zobaczyłam, że to drugi tom. Do książki przyklejono karteczkę, na której widniały gryzmoły panny Terwiliger: „Następna”. Westchnęłam i podziękowałam opiekunce. Byłam gotowa wypełnić każde zadanie powierzone

przez nauczycielkę, jednak chciałam się zająć historią, nie zaś przepisami na klątwy i czary.

Idąc korytarzem, usłyszałam okrzyki dobiegające z drugiego końca. Zobaczyłam otwarte drzwi, a w nich kilka osób. Minęłam swój pokój i podeszłam do nich. Stały pod pokojem Julii i Kristin. Nie wiedząc, czy mam prawo to zrobić, przepchnęłam się przez tłumek przestraszonych gapiów. Nikt mnie nie zatrzymywał.

Na łóżku leżała Kristin. Jej ciałem wstrząsały konwulsyjne drgawki. Mocno się przy tym pocila i miała nienaturalnie rozszerzone źrenice, tak bardzo, że niemal nie widziałam tęczy. Julia siedziała przy przyjaciółce z dwiema innymi dziewczynami, których nie znałam zbyt dobrze. Podniosła na mnie wzrok. Była przerażona.

— Kristin?! — zawołałam. — Kristin, nic ci nie jest? — Nie odpowiedziała, więc zwróciłam się do dziewczyn. — Co jej się stało?

Julia złożyła na nowo mokry ręcznik i drżącymi rękami położyła go na czole Kristin.

— Nie wiemy. Jej stan nie zmienia się od rana. Wpatrywałam się w nią z niedowierzaniem.

— Trzeba wezwać lekarza! Natychmiast. Zawiadomię panią Weathers...

— Nie! — Julia zerwała się z łóżka i chwyciła mnie za rękę. — Nie możesz. Ona tak się czuje... z powodu tatuażu.

— To znaczy?

Jedna z dziewcząt ujęła chorą za nadgarstek i wykręciła go tak, bym mogła zobaczyć wewnętrzną stronę. Lśniącym miedzianym atramentem naniesiono tam rysunek stokrotki. Przypomniałam sobie, że Kristin marzyła o niebiańskim tatuażu, ale wtedy twierdziła, że nie ma pieniędzy.

— Kiedy to sobie zrobiła?

— Dzisiaj rano — odparła speszona Julia. — Pożyczyłam jej kasę. Spojrzałam na lśniący kwiat, tak ładny i pozornie niewinny. Nie miałam wątpliwości, że Kristin cierpi z jego powodu. Cokolwiek dodano do atramentu, by wprawić dziewczynę w dobry nastrój, nie wpłynęło pozytywnie na jej organizm.

— Ona potrzebuje pomocy lekarza — oznajmiłam stanowczo.

— To niemożliwe. Musiałybyśmy opowiedzieć także o tatuażach — odezwała się dziewczyna, która trzymała Kristin za rękę. — Nikt nie uwierzył Treyowi, ale gdyby zobaczyli to... Nigdy Nigdy zostałyby natychmiast zamknięte.

„I dobrze!” — pomyślałam. Ku mojemu zdumieniu pozostałe dziewczyny się z nią zgodziły. Czyżby postradają rozum? Ile z nich nosiło te żalosalne tatuaże? Czy liczyły się bardziej od życia koleżanki?

Julia usiadła z powrotem na krawędzi łóżka.

— Miałyśmy nadzieję, że jej przejdzie. Ze organizm się przestawi.

W tej chwili Kristin jęknęła. Noga dziewczyny zadygotała, a potem znieruchomiała. Wielkie źrenice patrzyły w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Jej oddech stawał się zbyt płytki.

— Minął cały dzień! — przypominałam. — Mogła umrzeć.

— Skąd wiesz? — zdumiała się Julia.

Nie byłam pewna, ale słyszałam, że nawet tatuaże alchemików nie zawsze działają. W dziewięćdziesięciu procentach ciało ludzkie przyswaja wampirzą krew używaną do nasycania tatuaży, a jej właściwości mieszają się z naszymi. Dzięki temu stajemy się kimś w rodzaju dampirów,

choć im nie dorównujemy. Jesteśmy bardziej wytrzymali i dłużej żyjemy, ale nie posiadamy ich zadziwiającej sprawności fizycznej, ponieważ krew w tatuażu jest rozrzedzona. Zdarzają się jednak ludzie, którzy chorują po tym zabiegu. Wampirza krew zatrzuwa ich organizm. Złoto oraz inne substancje chemiczne powodują, że mieszanka trwale przenika do skóry, tak więc rezultatem braku natychmiastowej pomocy może być śmierć.

Krew wampira nie zawiera substancji odurzających, więc nie wierzyłam, że użyto jej do tatuażu Kristin. Leczenie stosowane w przypadkach zatrucia krwią u alchemików polega na oczyszczaniu krwi poprzez przeprowadzenie odpowiednich reakcji metali. Musiałam przyjąć identyczne założenie. Szkopuł w tym, że nie znałam odpowiedniej formuły, a w dodatku nie byłam pewna, czy miedź można potraktować tak jak złoto.

Rozmyślałam o tym, przygryzając wargę, i wreszcie podjęłam decyzję.

- Zaraz wracam - rzuciłam i pobiegłam do swojego pokoju, uciszając krytyczny głos, który oskarżał mnie o głupotę. Niepotrzebnie pakowałam się w nie swoje sprawy. Powinnam od razu zgłosić to pani Weathers.

Otworzyłam drzwi do pokoju i zobaczyłam Jill przy laptopie.

- Cześć, Sydney - spojrzała na mnie z uśmiechem. -Czatuję z Lee... — Urwała. — Co się stało?

Włączyłam swój laptop i położyłam go na łóżku. Czekaając, aż się załaduje, sięgnęłam po małą metalową walizeczkę, którą zapakowałam przed wyjazdem, wątpiąc, że będę z niej korzystać. - Możesz mi przynieść wodę? Tylko szybko.

Jill wahała się zaledwie chwilę. Skinęła głową.

— Już się robi — powiedziała i wyskoczyła z łóżka. Kiedy wybiegła, otworzyłam walizeczkę kluczem, który

zawsze nosiłam przy sobie. Trzymałam w niej kilkadziesiąt substancji alchemicznych. Mieszamy je ze sobą w odpowiednich proporcjach dla różnych celów. Niektóre posiadałam w dużych ilościach, na przykład te, które stosujemy do rozpuszczania ciał strzyg. Innych miałam zaledwie próbki. W tym czasie mój laptop odpalił i mogłam zalogować się na stronie alchemików. Poszukałam odpowiednich informacji i wkrótce znalazłam już formułę oczyszczającą krew z efektów działania tatuażu.

Jill wróciła z filiżanką pełną wody.

— Wystarczy? Gdyby nie tutejszy klimat, wyczarowałabym ci każdą ilość z powietrza.

— Wystarczy — odparłam zadowolona, że ten klimat nie sprzyja jej magii.

Przeczytałam formułę, analizując skład mikstury i działanie poszczególnych komponentów. Odrzuciłam w myślach te, które wchodziły w reakcję tylko ze złotem. Zauważyłam, że brakuje mi kilku składników, lecz uznałam, że są zbędne, bowiem miały jedynie zapewnić komfort skórze. Wyjęłam potrzebne fiołki i starannie odmierzałam odpowiednią ilość każdej substancji do innej filiżanki. Spieszyłam się. Znalazłam kilka zamienników i dodałam składnik, który reaguje z miedzią. Odmierzyłam potrzebną ilość na oko. Potem wzięłam wodę przyniesioną przez Jill i dolałam do mieszanki zgodnie z instrukcją. Uzyskałam ciecz przypominającą kolorem jodynę.

Obejrzałam zawartość filiżanki pod słońce, czując się trochę jak szalony naukowiec. Jill przyglądała mi się bez słowa, wyczuwając, że nie powinna przeszkadzać. Miała zatroskaną minę, ale powstrzymała się od pytań. Potem poszła za mną do pokoju Kristin. Zebrał się tam całkiem

spory tłumek dziewczyn, więc zdziwiłam się, że hałas nie zaalarmował jeszcze pani Weathers. Amatorki tatuaży zachowywały jednak szczególną ostrożność, nie chcąc zdradzać swojej tajemnicy.

Usiadłam przy chorej i stwierdziłam, że jej stan się nie poprawił.

— Przytrzymajcie ją za nadgarstek i postarajcie się, by nim nie poruszyła — poleciłam stanowczo, nie zwracając się do nikogo konkretnie. Posłuchały mnie. — Jeśli to nie pomoże, wezwiemy lekarza. — Oznajmiłam tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Julia, w tej chwili bledsza niż Jill, kiwnęła lekko głową na znak zgody. Wzięłam ręcznik, z którego robiła okłady, i umoczyłam go w filizance z miksturą. Nigdy nie widziałam podobnego zabiegu, więc działałam intuicyjnie. Pomodliłam się w duchu i przyłożyłam kompres do tatuażu na nadgarstku Kristin.

Wydała zduszony okrzyk, jej ciało się wyprężyło. Kilka dziewczyn stojących najbliżej instynktownie ją przytrzymało. Spod ręcznika wydobył się dym, poczułam ostry kwaskowaty zapach. Odczekałam nieco w nadziei, że to wystarczy, i się odsunęłam.

Mała śliczna stokrotka zmieniała się na naszych oczach. Linia rysunku zamazywała się, a barwa miedzi ciemniała, przybierając odcień niebieskozielony. Po chwili wzór był nie do rozpoznania. Zamienił się w bezkształtny bąbel. Wokół niego na skórze wykwitły czerwone pręgi, ale uznałam, że to jedynie podrażnienie.

Mimo wszystko ręka Kristin wyglądała strasznie. Przeraziłam się. Co ja narobiłam?

W pokoju zaległa cisza, nikt nie wiedział, jak zareagować. Minęło kilka minut, które mnie wydały się godzinami. Nagle Kristin się odprężyła. Zaczęła miarowo oddy-

chać. Otworzyła oczy i zamrugała, jakby zobaczyła świat po raz pierwszy w życiu. Nadal miała powiększone źrenice, ale udało jej się skupić wzrok. Zatrzymała go na mnie. — Sydney — sapnęła. —
Dziękuję.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

JAKOŚ UDAŁO MI SIĘ WYŁGAĆ. Naturalnie nie powiedziałam, że sama sporządziłam miksturę. Wyjaśniłam, że użyłam maści, którą dostałam w studiu tatuażu na wypadek wystąpienia reakcji alergicznej. Dziewczyny kupiłyby zapewne tę historyjkę, gdyby nie fakt, że kilka dni później opracowałam formułę leczącą poparzenia na skórze Kristin. Nie usunęłam tatuażu — wymagałoby to użycia lasera — ale czerwone pręgi przybladły.

W szkole szybko rozeszła się wieść, że Sydney Melrose jest lokalną farmaceutką. Zostało mi trochę maści, więc podarowałam ją dziewczynie cierpiącej na silny trądzik. Koleżance pomogło, ja zaś narobiłam sobie kłopotu. Od tej pory wszyscy zwracali się do mnie o pomoc i oferowali zapłatę za wyleczenie. Niektóre prośby uznawałam za absurdalne, na przykład zlikwidowania bólu głowy. Radziłam wówczas stosowanie aspiryny. Na inne nie umiałam i nie chciałam zaradzić, między innymi na zapobieganie ciąży.

Mimo wszystko cieszyło mnie to ożywienie towarzyskie. Przywykłam, że ludzie czegoś ode mnie potrzebują. Tutaj niektórzy chcieli mnie tylko lepiej poznać, co było nowym

i niespodziewanie przyjemnym doświadczeniem. Zdarzali się też tacy, którzy oczekiwali... innych rzeczy.

— Sydney.

Czekałam na lekcję angielskiego, kiedy przy mojej ławce przystanął kumpel Grega Slade'a. Zdziwiłam się. Chłopak miał na imię Bryan. Nie znałam go dobrze, ale nie zachowywał się tak okropnie jak Slade, co świadczyło na jego korzyść.

— Tak? — spytałam, sądząc, że poprosi o notatki z lekcji.

Bryan miał brązowe kręcone włosy, które sprawiały wrażenie nieuczesanych, i był przystojny. Przesunął ręką po głowie.

— Wiesz coś na temat niemego kina?

— Jasne — odparłam. — Pierwsze filmy powstały pod koniec dziewiętnastego wieku. Wyświetlano je często z akompaniamentem muzyki na żywo, ale dopiero w latach dwudziestych następnego wieku dźwięk wszedł na dobre do filmu, a nieme kino odeszło w niepamięć.

Chłopak wybałuszył oczy, jakby nie spodziewał się tylu informacji naraz.

— O. Rozumiem. Wiesz, w przyszłym tygodniu organizują w mieście festiwal. Chciałabyś pójść?

Potrząsnęłam głową.

— Nie, raczej nie. Doceniam tę dziedzinę sztuki, ale nie przepadam.

— Hm. Jasne. — Znów przygładził ręką włosy. Niemal widziałam, jak rozpaczliwie zbiera myśli. Z jakiego powodu wypytuje mnie o nieme kino? — A co powiesz na *Star-ship 30*? W piątek będzie premierowy pokaz. Chciałabyś to zobaczyć?

— Nie lubię fantastyki w kinie — odparłam zgodnie z prawdą. Zupełnie to do mnie nie przemawiało.

Bryan był bliski wyrwania sobie włosów z głowy.

- Czy jest jakikolwiek film, który chciałabyś zobaczyć? Przebiegłam w myślach listę najnowszych premier.

- Nie. Nie wydaje mi się. - W tej chwili zadźwięczał dzwonek i chłopak powlókł się do swojej ławki. - Dziwne - mruknęłam. - Ma kiepski gust, jeśli chodzi o kino. - Zerknęłam w bok, zobaczyłam, że Julia oparła głowę na ławce i krztusi się ze śmiechu. — O co chodzi?

- To - parsknęła - było potwornie śmieszne.

- Co? - nie zrozumiałam. - I dlaczego?

- Sydney, on próbował się z tobą umówić! Odtworzyłam w myślach rozmowę z Bryanem.

- Wcale nie. Wypytywał mnie o kino. Julia omal nie popłakała się ze śmiechu.

- Pytał, co lubisz, żeby cię gdzieś zaprosić!

- To dlaczego nie powiedział tego wprost?

- Jesteś niesamowita - stwierdziła. - Chciałabym być świadkiem, gdy wreszcie zauważysz, że ktoś się tobą interesuje. - Byłam zbита z tropu, a Julia już do końca lekcji raz po raz wybuchała niekontrolowanym śmiechem.

Podczas gdy ja stałam się obiektem powszechnego zainteresowania, popularność Jill wyraźnie spadła. Powodem była po części jej nieśmiałość. Przejmowała się swoją innością, uznała, iż wszyscy to widzą. Trzymała się na uboczu ze strachu przed ludźmi, co interpretowano jako zadzieranie nosa. Nieoczekiwanie sytuację pogorszyło „zwolnienie lekarskie”, które nareszcie nadesłali alchemicy. Szkoła nie zgodziła się, by Jill wybrała inny kurs, ponieważ rok szkolny był już w toku. Uczniowie pierwszych klas nie mogli pełnić funkcji asystentów nauczycieli jak Trey. Po konsultacji z panną Carson ostatecznie zdecydowano, że gdy klasa będzie miała zajęcia na boisku, Jill poćwiczy na sali gimnastycznej i wykona „inne zadania”. Te zadania oznaczały

zazwyczaj pisanie prac z historii softballu. Przymusowe zajęcia jeszcze bardziej izolowały dziewczynę.

Jednak nawet teraz Micah nie przestawał się nią interesować.

— Dostałam rano esemesa od Lee - poinformowała mnie Jill podczas lunchu. - Zaprasza mnie na kolację w weekend. Myślisz, że... Wiem, że musielibycie pójść z nami... — Popatrzyła niepewnie na mnie i na Eddiego.

— Kim jest Lee? — zaciekawił się Micah, który właśnie w tej chwili przysiadł się do naszego stolika.

Zapadła niezręczna cisza.

— Och... - Jill spuściła wzrok. - To nasz znajomy. Nie chodzi do tutejszego college'u. Studiuje w Los Angeles.

Micah przyswajał informację.

— Zaprosił cię na randkę?

— Tak... już raz się umówiliśmy. Właściwie chodzimy ze sobą.

— To nic poważnego — wtrącił pospiesznie Eddie.

Nie wiedziałam, czy troszczy się o uczucia Micaha, czy próbuje zapobiec zaangażowaniu Jill.

Micah potrafił ukrywać emocje, musiałam mu to przyznać. Po chwili milczenia obdarzył Jill lekko wymuszonym uśmiechem.

— To świetnie. Mam nadzieję, że go poznam.

Po tej wymianie zdań rozmowa zesła na zbliżający się mecz piłki nożnej i nikt już nie wspominał o Lee.

Nastawienie Micaha do Jill się zmieniło, lecz chłopak nadal trzymał się blisko nas. Może miał nadzieję, że Lee i Jill się rozstaną. A może po prostu zaprzyjaźnił się z Eddiem. Jednak to nie Micah był problemem. Okazała się nim Laurel.

Nie sądziłam, by Micah zainteresował się nią, nawet gdyby nie znał Jill. Laurel traktowała ją jak rywalkę i wy-

chodziła ze skóry, żeby jej dokuczyć. Rozgłaszała plotki o Jill i raz po raz rzucała złośliwe komentarze na temat jej bladości, wzrostu i szczupłej sylwetki.

Raz czy dwa usłyszałam, jak ktoś szeptem nazwał ją „wampirzycą”. Te uwagi mroziły mi krew w żyłach, choć powtarzałam w duchu, że to tylko złośliwe żarty.

— To nie Jill jest winna, że Micah nie chodzi z Laurel — bąknęłam kiedyś w rozmowie z Julią i Kristin. Wciąż śmieszyły je moje bezskuteczne próby logicznego wyjaśniania stosunków panujących w szkole. — Nie rozumiem tego. On po prostu się nią nie interesuje.

— Tak, ale Laurel woli obwiniać Jill i nie widzieć tego, że Micah, tak jak wszyscy, uważa ją za jędzę — wyjaśniła Julia.

Od czasu niezręcznej rozmowy z Bryanem ona i Kristin próbowały wpoić mi podstawy „normalnych” ludzkich zachowań.

— Poza tym Laurel lubi dręczyć innych — dorzuciła Kristin.

Rzadko wspominała o tatuażu, od czasu nieszczęsnego incydentu bardzo spoważniała.

— Może to racja — starałam się zrozumieć. — Ale to ja zarzuciłam jej farbowanie włosów, a nie próbowała się na mnie odegrać.

Kristin się uśmiechnęła.

— Nic by jej to nie dało. Potrafisz się obronić. Jill jest nieśmiała, a w dodatku niewiele osób stanęłoby po jej stronie. Jest łatwym celem.

Przynajmniej jeden kłopot miałyśmy z głowy. Od czasu wyprawy do Los Angeles Adrian zachowywał się przyzwoicie, chociaż nie byłam pewna, jak długo wytrzyma. Jill mówiła, że jest znudzony i nieszczęśliwy. Lee wyjeżdżał

i przyjeżdżał nieregularnie, poza tym nie miał obowiąz-

ku opiekować się Adrianem. Wyglądało na to, że brakuje dobrego rozwiązania dla Jill. Gdyby Adrian powrócił do swoich złych nawyków, cierpiałaby z powodu kaca i jego „romantycznych przygód”. Kiedy jednak siedział w domu, bywał przygnębiony, co także odbijało się na nastroju dziewczyny. Pozostawała jedynie nadzieja, że Jill nauczy się blokować przepływ jego myśli i uczuć, ale Rose twierdziła, że na to potrzeba czasu.

Nadszedł dzień kolejnego karmienia. Byłam rozczarowana, widząc samochód Keitha na podjeździe Clarence'a. Skoro nie zamierzał aktywnie uczestniczyć w naszej misji, wolałabym, by przynajmniej się nie wtrącał. Tymczasem Keith widać uznał, że powinien „nadzorować” nasze wizyty w tym domu. W salonie siedział tylko Adrian. Nie dostrzegłam nigdzie Keitha ani pana domu.

— Gdzie oni są? — spytałam.

Adrian rozparł się na kanapie z książką. Odniosłam wrażenie, że rzadko do nich zagłada, i niemal pożałowałam, że mu przerywam. Stłumił ziewnięcie. Nie zauważyłam w pobliżu alkoholu, tylko trzy puste puszkę po napojach energetyzujących.

Wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Poszli pogadać. Twój przyjaciel ma chore poczucie humoru. Myślę, że podsycą paranoję Clarencea, opowiadając mu o łowcach wampirów.

Zerknęłam niepewnie na Lee, który od razu zajął się Jill. Oboje byli tak pogrążeni w rozmowie, że nie zwracali na nas uwagi. Wiedziałam, że chłopak denerwuje się na każdą wzmiankę o łowcach wampirów. Nie spodobałoby mu się zachowanie Keitha.

— Czy Clarence dowiedział się o zabójstwie w Los Angeles? — spytał Eddie.

Keith na pewno o tym słyszał, wiadomość została udostępniona wszystkim alchemikom, nie byłam jednak pewna, czy połączył ten fakt z opowieściami Clarence'a.

— Nie wspominał o tym — odparł Adrian. - Założę się, że Keith dręczy go dla zabicia nudy. Nawet ja nie upadłem tak nisko.

— Za to pocieszasz się tym? — Usiadłam naprzeciw niego i wskazałam palcem napoje energetyzujące.

— Hej, to nie jest wódka, brandy ani... cóż, nic dobrego.

— Adrian westchnął i podniósł jedną z puszek, dopijając ostatnie krople napoju. — Proszę o odrobinę zaufania.

Eddie też popatrzył na puste puszki.

— Czy Jill dobrze dziś spała?

— Adrian! — jęknęłam głośno.

Eddie miał rację. Zauważyłam, że Jill przewracała się w nocy na łóżku. Zawartość kofeiny w tych napojach z pewnością mogła to wyjaśnić.

— Staram się — usprawiedliwiał się Adrian. - Gdybyś mnie stąd zabrała, Sage, nie musiałbym topić smutków w taurynie i żeń-szeniu.

— To niemożliwe, Adrian, i ty o tym wiesz — wtrącił Eddie. — Nie mógłbyś... Sam nie wiem, znaleźć sobie jakiegoś hobby?

— Jestem czarujący, to wystarczy — upierał się Iwaszkow.

— Ożywiam każdą imprezę, nawet bez alkoholu. Samotność nie jest w moim stylu.

— Poszukaj jakiejś pracy — poradził dampir, sadowiac się na krześle stojącym w kącie pokoju. Uśmiechnął się, zadowolony z żartu. — Rozwiążesz oba problemy naraz — zarobisz trochę kasy i znajdziesz towarzystwo.

Adrian przewrócił oczami.

— Uważaj, Castile. W tej rodzinie jest miejsce tylko dla jednego błazna.

Wyprostowałam się.

— To nie taki zły pomysł.

— Beznadziejny. - Adrian przeniósł wzrok na mnie.

— Dlaczego? — Nie zrażałam się. - Teraz powiesz, że twoje ręce nigdy nie skalają się pracą?

— Raczej że nie mam nic do zaoferowania społeczeństwu — sprzeciwił się.

— Mogłabym ci w tym pomóc — zaproponowałam.

— Będziesz za mnie pracować i oddawać mi wypłatę? — spytał z nadzieją. — To rzeczywiście by mi pomogło.

— Mogę cię wozie na rozmowy kwalifikacyjne — odparłam. - I pomogę ci napisać list motywacyjny, który otworzy przed tobą wszystkie drzwi. - Przypatrywałam mu się przez chwilę i zmieniłam zdanie. - W granicach rozsądku, rzecz jasna.

Adrian przeciągnął się na kanapie.

— Przykro mi, Sage. Nie czuję tego.

Do pokoju weszli Clarence i Keith. Moroj zachowywał się bardzo wylewnie.

— Dziękuję. Dziękuję - powtarzał. - Dobrze porozmawiać z kimś, kto rozumie moje obawy, z łowcami nie ma żartów.

Nie sądziłam, by Keith rozumiał cokolwiek poza swoimi problemami. Twarz Lee zachmurzyła się, kiedy uświadomił sobie, że Keith igra z obsesją ojca. Mimo to powstrzymał się od komentarza. Po raz pierwszy widziałam negatywne emocje u tego chłopaka. Pomyślałam, że Keith potrafi dopieć nawet osobie z największą pogodą ducha.

Clarence ucieszył się na nasz widok, Dorothy także.

Ludzie służący wampirem jako karmiciele niepokoiли nie tylko faktem oddawania krwi. Znacznie gorsze było ich uzależnienie od endorfin wydzielanych w trakcie ukąszenia. Substancje te powodują coś w rodzaju narkotycznego

transu. Ludzie, którzy żyją wśród morojów, właściwie nigdy nie wychodzą z tego stanu. Ktoś taki jak Dorothy, od lat mieszkająca tylko z Clarence'em, nie mógł się naprawdę uzależnić. Dopiero teraz, kiedy pojawili się Jill i Adrian, Dorothy dostawała regularnie zwiększoną dawkę endorfin. Rozpromieniła się na widok Jill, co dowodziło, że pragnie więcej.

— Hej, Sage — odezwał się Adrian. — Nie musisz mnie wozie do pracy, ale chętnie przejechałbym się z tobą po papierosy.

Już miałam odpowiedzieć, że nie przyłożę ręki do zaspokajania jego ohydneho nałogu. Zauważyłam jednak, że patrzy znacząco na Dorothy. Czyżby próbował mnie stąd wyciągnąć? Wymyślił pretekst, bym nie musiała patrzeć na karmienie? Zorientowałam się już, że moroje nie pożywiają się w odosobnieniu. Jill i Dorothy wychodziły tylko ze względu na mnie. Teraz też miały tak zrobić, ale postanowiłam skorzystać z okazji i się wynieść. Zerknęłam na Keitha, spodziewając się jego protestów, ale tylko wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że jest mu to całkowicie obojętne.

— Dobrze — oznajmiłam, wstając. — Jedźmy.

Gdy siedzieliśmy już w samochodzie, Adrian się odezwał.

— Zmieniłem zdanie — oznajmił. — Przyjmę twoją pomoc w sprawie pracy.

Omaliem nie zderzyłam się z nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodem. Niewiele rzeczy mogło mnie bardziej zaskoczyć.

— Szybka decyzja. Mówisz serio?

— Jak zawsze. Pomożesz mi?

— Chyba tak, chociaż niewiele mogę zdziałać w tej sprawie. Nie znajdę ci posady. — Przypomniałam sobie szybko,

co wiem o Adrianie. — Nie spodziewam się, że masz pomysł na to, co chciałbyś robić?

— Coś rozrywkowego — wypalił i się zamyślił. — I dobrze płatnego, co nie wymagałoby wysiłku.

— Ślicznie — mruknęłam. — To wiele ułatwia. Wjechaliśmy do centrum, gdzie wykonałam błyskotliwy

manewr parkowania. Nie zrobiło to jednak na nim pożądanego wrażenia. Stanęliśmy pod sklepem. Zostałam na ulicy, a Adrian wszedł do środka. Zapadał wieczór. Często przebywałam poza kampusem, ale do tej pory moje wyjazdy ograniczały się do wizyt w domu Clarence'a, na polu minigolfa i w barach szybkiej obsługi. Dopiero teraz miałam okazję się przekonać, że Palm Springs jest ładnym miastem. Wzdłuż ulicy ciągnęły się butiki i restauracje. Mogłabym tu spędzić wiele godzin, przyglądając się ludziom. Emerycy w strojach do golfa przechadzali się obok pięknych i młodych bywalców deptaków. Wiedziałam, że przyjeżdżają tu znane osobistości, jednak w zbyt słabym stopniu orientowałam się w świecie show-biznesu, by rozpoznać, kto jest kim.

— Szlag — rzucił Adrian, wychodząc ze sklepu. — Podnieśli cenę mojego ulubionego gatunku i musiałem kupić gorsze papierosy.

— No wiesz — rzuciłam. — Gdybyś całkiem rzucił palenie, tobyś zaoszczędził.

Nagle zamarłam. Po drugiej stronie ulicy, trzy domy dalej, między liśćmi palmowymi dostrzegłam szyld z napisem Nigdy Nigdy wykonanym ozdobnym pismem gotyckim. Więc to tutaj mieściło się osławione w Amberwood studio tatuażu. Po incydencie z Kristin chciałam je odwiedzić, lecz nie miałam adresu. Teraz nadarzyła się okazja.

Gdzieś z tyłu głowy usłyszałam głos Keitha, który ostrzegał mnie przed angażowaniem się w nie nasze sprawy. Później przypomniałam sobie jednak, co przydarzyło

się biednej Kristin. Musiałam coś z tym zrobić. Zdecydowałam się.

— Adrian — powiedziałam. — Potrzebuję twojej pomocy.

Pociągnęłam go w stronę salonu, objaśniając pokrótce

sytuację. W pierwszej chwili zainteresował się narkotycznym działaniem tatuaży, pomyślałam, że sam zechce sobie taki zrobić. Jego entuzjazm przygasł, kiedy opowiedziałam mu o Kristin.

— Może nie korzystają z technik alchemicznych, ale wyrządzają ludziom krzywdę — wyjaśniałam. — Nie tylko Kristin. Slade i jego kumple noszą tatuaże nafaszerowane sterydami, żeby wykazać się w sporcie. To poważna sprawa. — Przypomniałam sobie rany i siniaki Treya.

Wąska alejka oddzielała salon od sąsiedniej restauracji.

Przystanęliśmy tam na chwilę. Otworzyły się drzwi i z lokalu wyszedł jakiś mężczyzna. Zapalił papierosa. Zrobił zaledwie dwa kroki, gdy jakiś inny facet wystawił głowę przez boczne drzwi i zawołał:

— Jak długo cię nie będzie?

Zdążyłam zajrzeć do środka i zobaczyłam półki oraz kilka stolików.

— Skoczę tylko do sklepu — odparł ten z papierosem. — Wracam za dziesięć minut.

Drzwi się zamknęły. Po chwili zobaczyliśmy przez okno, jak mężczyzna sprząta ladę.

— Muszę się dostać do środka — poinformowałam Adriana. — Tamtymi drzwiami.

Uniósł brew.

— Chcesz się tam wkraść? Planujesz misję specjalną. To niebezpieczne i głupie.

— Wiem — przyznałam spokojnie, zaskoczona swoją reakcją. — Ale muszę się czegoś dowiedzieć i to może być moja jedyna szansa.

- Pójdę z tobą, na wypadek gdyby ten drugi wrócił - westchnął Adrian.
- Niech nikt nie mówi, że Adrian Iwasz-kow nie pomaga kobiecie w potrzebie. Poza tym, widziałaś go? Wyglądał jak jakiś skin. Ten drugi także.

- Nie chcę, żebyś... Zaraz. - Coś mi zaświtało w głowie. — Pogadaj z tym w środku.

-Co?

- Wejdz głównymi drzwiami i zajmij go rozmową, a ja się trochę rozejrzę. Zapytaj go o... Sama nie wiem. Wymyśl coś.

Uzgodniliśmy pobieżnie szczegóły i wysłałam Adriana do salonu, sama zaś cichaczem podkrađłam się do bocznego wejścia. Pociągnęłam za klamkę. Drzwi były zamknięte.

- Jasne — mruknęłam do siebie. — Przecież nie zostawialiby otwartego wejścia do firmy.

Mój błyskotliwy plan zaczął się walenie, ale przypomniałam sobie o alchemicznych „akcesoriach” w torebce.

Pełen zestaw zostawiałam zwykle w domu, bo rzadko z niego korzystałam - poza przypadkami leczenia trądziku w szkole. Alchemicy zawsze stawiali się na żądanie w dowolnym miejscu, żeby uprzątnąć ślady bytności wampirów, tak więc nosiliśmy niezbędne mikstury przy sobie. Sięgnęłam po substancję, która rozpuszcza ciało strzygi w niecałą minutę. Wiedziałam, że jest równie skuteczna w rozpuszczaniu metalu.

Jest to rodzaj kwasu, toteż trzymam go w zabezpieczonej fiolce. Otworzyłam buteleczkę i natychmiast uderzył mnie w nozdrza ostry zapach. Nachyliłam się ostrożnie i spuściłam kilka kropeł z dozownika prosto do zamka w drzwiach. Odsunęłam się szybko, bo tam, gdzie spadły krople płynu, uniósł się obłok białej mgły. Po trzydziestu sekundach wszystko znikło, a w miejscu zamka pojawiła

się dziura. Jedną z zalet tej mikstury, którą nazywaliśmy szybkim strzałem, jest błyskawiczność działania. Mogłam dotknąć klamki, nie narażając się na poparzenie. Puściła.

Uchyliłam ostrożnie drzwi, żeby się upewnić, czy w środku nikogo nie ma. Pomieszczenie było puste. Wśliznęłam się i cicho zamknęłam drzwi, na wszelki wypadek zasuwając zasuwę od wewnątrz. Tak jak sądziłam, zaglądając z ulicy, znalazłam się w magazynie pełnym instrumentów i substancji wykorzystywanych do tatuażu. Zobaczyłam troje drzwi. Jedne prowadziły do łazienki, drugie do zaciemnionego pokoju, a trzecie wychodziły na hol, gdzie mieściła się recepcja. Sączyły się stamtąd promienie światła. Usłyszałam też głos Adriana.

— Mój kumpel ma taki — mówił. — Twierdzi, że zrobił go u was. Nie ściemniaj.

— Przykro mi — padła krótka odpowiedź. — Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Powoli przeszukiwałam szafki i szuflady, odczytując etykiety na pojemnikach, które wydały mi się podejrzane. Było tam tego mnóstwo, a zostało mi niewiele czasu.

— Chodzi o kasę? — Adrian nie dawał za wygraną. — Mam dość pieniędzy. Powiedz tylko ile.

Zapadła cisza, a ja wstrzymałam oddech w nadziei, że tamten nie każe Adrianowi pokazać gotówki, którą wydał co do grosza na promocję chorób nowotworowych.

— No nie wiem — odezwał się wreszcie tamten. — Gdybym potrafił zrobić taki miedziany tatuaż — a nie twierdzę, że tak jest — pewnie nie byłoby cię na niego stać.

— Mylisz się — upierał się Adrian. — Podaj tylko cenę.

— A co cię dokładnie interesuje? — To pytanie padło bez pośpiechu. — Sam kolor?

— Myślę, że obaj wiemy — odparł sprytnie Adrian. — Zależy mi na kolorze i na efektach specjalnych. Chcę męski

tatuaż, chociaż pewnie nie potrafisz wykonać wzoru, o jakim myślę.

— To akurat najmniejszy problem — rzucił mężczyzna. — Pracuję w tej branży od lat. Potrafię narysować wszystko.

— Tak? A narysujesz kościotrupa na motorze w płomieniach? Na czaszce ma mieć piracki kapelusz. A na ramieniu papugę. Albo jeszcze lepiej szkielet papugi. A może szkielet papugi ninja? Nie, to już lekka przesada. Chociaż ten kościotrup motocyklista mógłby ciskać gwiazdami ninja. Płonącymi gwiazdami.

Wciąż nie znalazłam tego, czego szukałam, a pozostało jeszcze milion zakamarków. Zaczęłam się denerwować. Czas się kończył. Zerknęłam w stronę ciemnego pokoju i podbiegłam tam. Obejrzałam się za siebie, a potem szybko włączyłam światło i wstrzymałam oddech. Rozmowa toczyła się dalej, nikt nic nie zauważył.

— To najgłupszy opis, jaki słyszałem — burknął spec od tatuażu.

— Dziewczyny powiedzą co innego — odparował Adrian.

— Słuchaj, dzieciaku — uciął tamten. — Tu nie chodzi o kasę, tylko o dostępność. Do tego potrzeba mnóstwo atramentu, a ja nie mam takich zapasów.

— Więc kiedy będzie dostawa? — nie zrażał się Iwasz-kow.

Rozglądałam się po wnętrzu. Trafiłam do gabinetu, w którym wykonywano tatuaże. Stała tam kozetka, znacznie wygodniejsza niż stół, na którym mnie robiono tatuaż, oraz mały stolik, a na nim niedawno używane instrumenty.

— Mam długą listę oczekujących. Nie wiem, kiedy coś się zwolni.

— A możesz mnie powiadomić telefonicznie? — spytał Adrian. — Dam ci numer. Nazywam się Jet Steele.

Gdyby nie konieczność zachowania ciszy, jęknęłabym głośno. Jet Steele? Też coś. Zapomniałam o tym jednak, bo właśnie coś znalazłam. Pistolet do tatuażu leżący na stole miał wbudowany pojemnik na atrament, ale obok leżało kilka mniejszych fiolek. Wszystkie były puste, lecz dostrzegłam na ściankach ślady metalicznej substancji. Nie zastanawiając się dłużej, zakorkowałam je z powrotem i zgarnęłam do torebki. Obok zauważyłam kilka zamkniętych buteleczek wypełnionych czarną cieczą. Znieruchomiałam. Podniosłam ostrożnie jedną, otworzyłam i powąchałam.

Tego się obawiałam.

Zakręciłam butelkę i zabrałam ją także.

I wtedy usłyszałam hałas za plecami. Ktoś próbował otworzyć tylne drzwi. Zamknęłam je na zasuwę. Mimo to musiałam się stąd ewakuować. Zapinałam torebkę, kiedy otworzyły się drzwi frontowe.

— Joey, dlaczego zamknąłeś tylne drzwi? — odezwał się gniewny głos.

— Przecież zawsze są zamknięte.

— Nie tak, ktoś zasunął je od środka. Zatrzasnąłem je, wychodząc.

Teraz. Zgasiałam światło i ruszyłam do wyjścia.

— Chwileczkę! — wykrzyknął Adrian. Wyczułam napięcie w jego głosie, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę. Zorientowałam się, że tamci dwaj zaraz zjawią się w magazynie. — Chciałbym jeszcze o coś spytać. Czy szkielet papugi także może mieć piracki kapelusz? Miniaturowy?

— Zaraz. Musimy coś sprawdzić. — Ten głos się przybliżał.

Drżącymi rękami odsunęłam zasuwkę i wymknęłam się, słysząc za plecami ich nawoływanie. Nie odwróciłam się, zatrzasnęłam drzwi i popędziłam w kierunku ulicy, gdzie zaparkowałam samochód. Byłam pewna, że nie zdążyli mi

się przyjrzeć. Zobaczyli tylko uciekającą postać. Z ulgą zobaczyłam tłum spacerowiczów na deptaku. Natychmiast wmieszałam się między ludzi i podeszłam do samochodu. Otworzyłam zamek spoconymi rękami. Cała się trzęsłam.

Chciałam się obejrzeć, lecz bałam się zwrócić na siebie uwagę, jeśli tamci wyszli za mną na ulicę. Dopóki nie będą mieli powodu mnie podejrzewać...

Czyjaś ręka chwyciła mnie za ramię. Jęknęłam z przestraczem.

— To ja — usłyszałam. Adrian. Odetchnęłam z ulgą.

— Nie odwracaj się — mówił spokojnie. — Wsiądź do samochodu.

Posłuchałam go. Kiedy oboje byliśmy już bezpieczni w środku, wzięłam głęboki oddech, żeby uspokoić oszalałe serce. Adrenalina przyprawiła mnie o bolesny skurcz. Zamknęłam oczy i oparłam się o siedzenie.

— Niewiele brakowało — powiedziałam. — Dobrze się spisałeś.

— Wiem — odparł z dumą. — Teraz naprawdę nabrałem ochoty na ten tatuaż. Znalazłaś to, czego szukałaś?

Otworzyłam oczy i westchnęłam.

— Tak. I wiele więcej.

— Co to jest? Dodają dragów do tatuaży?

— Gorzej — odparłam. — Używają krwi wampirów.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

TO ODKRYCIE UKAZAŁO mi problem tatuaży w nowym świetle. Sądziłam, że podejmuję walkę z ludźmi, którzy stosują techniki zbliżone do alchemicznych, żeby faszerować uczniów narkotykami. Wówczas była to kwestia etyki. Teraz, kiedy zorientowałam się, że używają krwi, zrozumiałam, że to sprawa dla alchemików. Naszym jedynym celem jest ochrona ludzi przed wampirami. Skoro ktoś celowo mieszał krew wampirzą z ludzką, przekroczył granicę, którą ustawialiśmy w pocie czoła każdego dnia.

Wiedziałam, że muszę to natychmiast zgłosić. Jeśli ktoś zyskał dostęp do krwi wampirów, alchemicy musieli to zbadać. Normalnie powinnam powiadomić o tym najpierw Keitha, a on miał się zwrócić do swoich zwierzchników. Ale wtedy na pewno przypisałby całą zasługę sobie. Na to nie mogłam się zgodzić i to nie z powodu widoków na osobiste korzyści. Zbyt wielu alchemików uważało Keitha za szlachetną postać. Nie zamierzałam do tego przykładać ręki.

Zanim jednak mogłam cokolwiek przedsięwziąć, musiałam zanalizować skład fiolek. Mogłam oczywiście zgadywać, jakich metali użyto w miksturze, ale nie byłam

pewna, czy skład jest oparty na formułach podobnych do alchemicznych, czy substancje dobrano przypadkowo. Nie umiałam oszacować, jaka jest zawartość fiolek. Miałam odpowiednie środki, żeby to stwierdzić eksperymentalnie, jednak pewna substancja stanowiła dla mnie zagadkę. Była to przezroczysta gęsta ciecz pozbawiona zapachu. Zgadywałam, że to właśnie narkotyk dodawany do niebiańskich tatuaży. Krew wampirów nie wprowadza ludzi w tak silny trans, chociaż z pewnością odpowiadała za szalone popisy sportowe chłopców z tatuażami ze stali. Uczestniczyłam więc normalnie w lekcjach, jednocześnie prowadząc eksperymenty badawcze.

W tym tygodniu na wuefie graliśmy w koszykówkę halową, więc Jill brała udział w zajęciach i musiała wysłuchiwać docinków Laurel. Raz po raz docierały do mnie komentarze w rodzaju: „Jest wysoka jak tyczka, powinna się wyróżniać w koszykówce. Nie musi podskakiwać, żeby dotknąć kosza. A może umie zmienić się w nietoperza i polecieć”. Denerwowałam się. Powtarzałam sobie, żeby nie przejmować się tymi złośliwościami, ale za każdym razem panika chwytała mnie za gardło. Jeśli miałam pomóc Jill, powinnam zamknąć Laurel usta na dobre. Nie mogłam więc zwracać uwagi na docinki.

Rudą doprowadzało do szału, że po każdej jej odzywce Micah starał się uspokoić Jill.

Ale nie tylko uwagi Laurel docierały do moich uszu. Od czasu wizyty w salonie tatuażu dowiedziałam się mnóstwa ciekawych informacji od Slade'a i jego kumpli. Teraz znów rozmawiali.

— Powiedział kiedy? — Panna Carson odczytywała listę obecności, a Slade wypytywał chłopaka o imieniu Tim o ostatnią wizytę w salonie.

Tim pokręcił głową.

- Nie. Mają jakieś opóźnienia z dostawą. Wygląda na to, że podwyższono im cenę.

- Szlag! - ryknął Slade. — Potrzebuję wzmocnienia.

- Hej — zachnął się Tim. — A co ja mam powiedzieć? W ogóle nie mam tatuażu.

Nie była to pierwsza wzmianka, którą słyszałam o konieczności wzmocnienia tatuażu. Uzależnienie robiło swoje-

Pod koniec lekcji Jill miała skupioną twarz, jakby usiłowała się nie rozpłakać. Próbowałam z nią porozmawiać w szatni, ale potrząsnęła głową i poszła pod prysznic. Sama też chciałam się umyć, kiedy usłyszałam pisk. Dziewczyny popędziły do łazienki, aby sprawdzić, co się stało.

Laurel zerwała zasłonę prysznicową i wybiegła, zapominając, że jest naga. Stałam jak wryta. Ciało dziewczyny pokrywała gruba warstwa lodu. Krople wody spod prysznic zamarzły, przywierając do jej skóry i włosów, ale zaczynały już topnieć. Zerknęłam do kabiny i odkryłam, że woda spływająca z główki prysznic również zamarzła.

Krzyki Laurel sprowadziły pannę Carson. W pierwszej chwili ona również była wstrząśnięta, lecz szybko uznała, że woda zamarzła na skutek uszkodzenia rur i piecyka. Jakie to typowe dla ludzi! Zawsze usiłują znaleźć jakieś pokrętne „naukowe” wyjaśnienie.

Nie miałam tego problemu, co ułatwiło mi zadanie.

Panna Carson próbowała zaprowadzić Laurel pod inny prysznic, żeby zmyć z niej lód, ale ta odmówiła. Poczekała, aż warstwa się roztopi, i wytarła się ręcznikiem. Wyglądała jak zmokła kura, kiedy wreszcie poszła na następną lekcję, a ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu na myśl, że tego dnia nie będzie zarzucała włosami.

- Jill! - zawołałam, bo dostrzegłam ją w grupce dziewczyn wychodzących z szatni. Widziałam jej pełne winy

spojrzenie przez ramię, lecz udawała, że nie słyszy. Poszłam za nią. — Jill! — zawołałam ponownie. Wyraźnie mnie unikała.

W holu zobaczyła Micaha i od razu do niego podbiegła. Spryciara. Wiedziała, że przy nim o nic nie zapytam.

Unikała mnie do końca lekcji, dorwałam ją nareszcie w pokoju, w którym zjawiała się tuż przed porą ciszy nocnej.

— Jill! — wykrzyknęłam, kiedy tylko stanęła w drzwiach.

— Co ty wyprawiasz?!

Rzuciła książki i zwróciła się do mnie. Poczułam, że nie tylko ja przygotowałam się do tej rozmowy.

— Mam dosyć komentarzy Laurel i jej koleżanek pod swoim adresem.

— I dlatego zamroziłaś wodę w prysznicu? — spytałam.

— Sądzisz, że to ją powstrzyma? Przecież nie przyznasz się, że to twoje dzieło.

Jill wzruszyła ramionami.

— Ulżyłam sobie.

— I to ma być usprawiedliwienie? — Nie wierzyłam własnym uszom.

Jill wydawała się taka rozsądna. Poradziła sobie z tytułem książęcym i śmiercią. Dopiero to ją załamało.

— Czy wiesz, jak ryzykowałeś? Staramy się nie zwracać na siebie uwagi!

— Panny Carson to nie zdziwiło.

— Bo wymyśliła pierwsze lepsze wytłumaczenie, żeby się uspokoić!

Ludzie tak postępują. Za chwilę wezwą hydraulika, który stwierdzi, że rury nie zamarzają same z siebie. Szczególnie w Palm Springs!

— I co z tego?! — warknęła Jill. — Co się stanie? W następnej kolejności uznają, że mieli do czynienia z magią wampira?

— Oczywiście, że nie — odparłam. — Ale ludzie zaczną gadać. Wzbudziłaś ich podejrzenia.

Przyjrzała mi się uważnie.

-1 to cię naprawdę zdenerwowało? Czy raczej fakt, że użyłam magii?

- Na jedno wychodzi.

- Wcale nie. Denerwujesz się, że użyłam magii, bo jej nie znosisz. Nie chcesz mieć nic wspólnego z wampirami. To kwestia twoich uprzedzeń. Wiem, co o nas myślisz.

Jęknęłam.

- Jill, lubię cię. Masz rację, wobec magii czuję się nieswojo. — Niezły eufemizm na „przeraża mnie”. — Ale to nie moje osobiste odczucia każą ludziom szukać przyczyny zamarzania wody w prysznicu.

- To niesprawiedliwe, że ona jest bezkarna wobec mnie!

- Wiem. Ale musisz okazać wyższość.

Jill usiadła na łóżku i westchnęła. Gniew ją opuścił, teraz wyglądała na zrozpaczoną.

- Nie mogę tu wytrzymać. Chcę wrócić do Świętego Władimira. Albo na dwór. Do Michigan. Wszędzie, byle nie zostać tutaj. - Spojrzała na mnie błagalnie. - Nie mówiono ci jeszcze, kiedy będę mogła wrócić?

_ Nie - bąknęłam, nie chcąc zdradzić, że sprawa może się przeciągnąć.

- Wszyscy świetnie się bawicie - ciągnęła rozzalona. - Ty jesteś w swoim żywiole. Masz mnóstwo przyjaciół.

- Nieprawda...

- Eddiemu też się tu podoba. Poznał Micaha oraz innych chłopaków. Poza tym opiekuje się mną i czuje, że jest na właściwym miejscu. - Nie myślałam o tym w ten sposób, ale uświadomiłam sobie, że Jill ma rację. - A ja? Co mi zostało? Nic poza tą głupią więzią, przez którą popadam w depresję, bo czuję, jak Adrian bez przerwy użala się nad sobą.

- Jutro wybieram się z nim na poszukiwanie pracy -podsunęłam, nie wiedząc, czy ta wiadomość ją pocieszy.

Jill lekko kiwnęła głową.

- Wiem. Teraz i jego życie nabierze kolorów. Zabrzmiało to melodramatycznie, zauważyłam, że zaczynała uważać się nad sobą - ostatecznie miała do tego prawo.

- Masz jeszcze Lee - podsunęłam. Uśmiechnęła się nareszcie.

- Wiem. Lee jest super. Bardzo go lubię i nie mogę uwierzyć, że... To niesamowite, że mu się podobam.

- Nie takie znów niesamowite. Nagle spochmurniała.

- Lee powiedział, że mogłabym zostać modelką. Twierdzi, że projektanci mody poszukują dziewczyn o takich figurach. Podobno zna kogoś w mieście. Wspomniałam o tym Eddiemu, ale stwierdził, że to zły pomysł, bo nie mogę dać się fotografować. Nie pozwolił mi się narażać.

-1 jeden, i drugi ma rację - przyznałam. - Naprawdę masz figurę modelki, ale to zbyt ryzykowny pomysł. Westchnęła, wyraźnie zbita z tropu.

- Widzisz? Nic mnie tu nie czeka.

- Przykro mi, Jill. Naprawdę. Wiem, że jest ci ciężko. Mogę tylko prosić, byś się nie załamывała. Na razie radzisz sobie doskonale.

Wytrzymaj jeszcze trochę, dobrze? Myśl o Lee.

Moja rada zabrzmiała pusto nawet dla mnie samej. Zastanawiałam się, czy nie zabrać jej nazajutrz do miasta z Adrianem, ale uznałam, że lepiej tego nie robić. Adrian powinien być skoncentrowany na jednym celu. Poza tym Jill mogłaby się nudzić. Jeśli zaciekawia ją, jak Iwaszkow poradzi sobie w rozmowach kwalifikacyjnych, może to poczuć poprzez więź.

Następnego dnia po lekcjach przyjechałam po Adriana

i po raz pierwszy nie spotkałam tu Lee ani Keitha. Był tylko Clarence, który od razu zasypał mnie pytaniami.

— Słyszałaś? — spytał bez wstępu. — Słyszałaś, co się przydarzyło tej biednej dziewczynie?

— O kim mówisz? — byłam zaskoczona.

— O tej biedaczce zamordowanej w Los Angeles kilka tygodni temu.

— Ach, tak — potwierdziłam z ulgą, że nie doszło do kolejnego zabójstwa. — Prawdziwa tragedia. Tutaj na szczęście nie kręcą się strzygi.

Posłał mi zadziwiająco przytomne spojrzenie.

— To nie strzygi ją napadły! Nie słuchałaś? To oni. Łowcy wampirów.

— Przecież wyssano z niej krew. Czy nie twierdził pan, że łowcy są ludźmi? Żaden człowiek nie ma powodu wypijać krwi morojów.

Odsunął się ode mnie i zaczął krążyć po salonie. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Adriana.

— Wszyscy wciąż o to pytają! — rzucił Clarence. — Jakbym nie wiedział. Nie umiem wyjaśnić, dlaczego to robią. To nietypowa banda. Wyznają kult słońca i pielęgnują dziwaczne przekonania na temat zła i honoru, jeszcze dziwniejsze niż wasze. — No, teraz mi dogadał. Przynajmniej rozumiał, że jestem człowiekiem. Chwilami nie byłam tego pewna. — Mają też specyficzną politykę w kwestii doboru swoich ofiar. Zabijają wszystkie strzygi bez zastanowienia, ale morojów i dampirów traktują inaczej.

— Sporo pan o nich wie — mruknęłam.

— Badam ich zachowania od czasu śmierci Tamary. — Westchnął i nagle wydał mi się bardzo stary. — Przynajmniej Keith mi wierzy.

Staralam się nie okazać emocji. -O?

Clarence potwierdził ruchem głowy.

— To porządny młodzieniec. Powinnaś dać mu szansę.

Teraz już nie potrafiłam zapanować nad grymasem.

— Postaram się, sir.

W tej chwili do pokoju wszedł Adrian i odetchnęłam z ulgą.

Przebywanie sam na sam z Clarence'em było wystarczająco trudne, nawet kiedy nie wychwalał Keitha Darnella.

— Gotowy? — spytałam.

— Jak nigdy — odparł Adrian. — Nie mogę się doczekać, kiedy stanę się pożytecznym obywatelem.

Zmierzyłam go wzrokiem od stóp do głów, jednak powstrzymałam się od komentarzy. Wyglądał efektownie, jak zwykle. Zdaniem Jill byłam wybredna, jeśli chodzi o ubranie, ale Adrian bił mnie na głowę. Tego dnia włożył czarne dżinsy i koszulę w kolorze burgunda. Zdaje się, że uszyto ją z jedwabiu. Adrian nosił ją luźno, nie zapiął guzików. Zadbał też o artystyczny nieład na głowie.

Przyznałam jednak w duchu, że prezentował się świetnie, choć niezupełnie tak, jak powinien wyglądać kandydat do nowej posady. Raczej amator klubowych imprez. Poczulałam się nieswojo. Podziwiałam Adriana, chwilami wydawał mi się wręcz dziełem sztuki. Często musiałam sobie powtarzać, że wampiry nie mogą być atrakcyjne, nie są przecież ludźmi. Teraz jednak kwestię wyglądu przyćmiła inna. Adrian nie ubrał się odpowiednio do sytuacji. Co nie powinno mnie dziwić. W końcu był sobą.

— Jaki jest plan? — spytał, kiedy wyruszyliśmy w drogę. — Podoba mi się sformułowanie „prezes Iwaszkow”.

— Na tylnym siedzeniu znajdziesz teczkę ze swoim dossier, panie prezesie.

Adrian sięgnął po teczkę.

Przejrzał pobieżnie zawartość i stwierdził:

— Przyznaję ci punkty za szeroki wachlarz zainteresowań, Sage.

Mimo wszystko nie znajduję tu nic, co przypominałoby mój styl życia.

— Na ostatniej stronie umieściłam podsumowanie. Starłam się, jak umiałam, ale dysponowałam ograniczonymi możliwościami.

Przerzucił kilka kartek.

— No, no. Więc byłem asystentem naukowym u Świętego Władimira?

Wzruszyłam ramionami.

— Tak najlepiej określić to, co tam robiłeś.

— A Lissa była moją superwizorką? Mam nadzieję, że wystawi mi dobrą opinię.

Kiedy Wasylissa i Rose chodziły do szkoły, Adrian mieszkał na terenie Akademii i pracował z Wasylissą nad możliwościami mocy ducha. Sformułowanie „asystent naukowy” było nieco naciągane, ale sugerowało, że jest elastyczny i stawia się punktualnie w pracy.

Adrian zamknął teczkę i oparł się o siedzenie, zamykając oczy.

— Jak tam Ślicznotka? Ostatnim razem wydawała mi się przygnębiona.

Zamierzałam skłamać, lecz uznałam, że i tak dowie się prawdy od Jill albo drogą domysłów. Adrian wygłaszał kontrowersyjne opinie, ale odkryłam, że zna się na ludziach. Eddie twierdził, że tę zdolność zyskał dzięki mocy ducha, i wspominał coś o aurach, nie wiedziałam jednak, czy w to wierzyć. Alchemicy nie potwierdzili istnienia tego zjawiska.

— Nie najlepiej — wyznałam i opowiedziałam mu o wszystkim.

— Ta historia z prysznicem jest wyborna — stwierdził, kiedy skończyłam.

— Nieodpowiedzialna! Dlaczego tego nie widzicie?

— Ta zdzira zasłużyła sobie na to. Westchnęłam.

— Zapomniałeś, dlaczego tu przyjechaliśmy? I to ty wygadujesz takie rzeczy! Widziałaś, jak umarła. Nie rozumiesz, że Jill musi dbać o własne bezpieczeństwo i nie zwracać na siebie uwagi?

Adrian milczał. Zerknęłam na niego i stwierdziłam, że spoważniał, co rzadko mu się zdarzało.

— Wiem. Nie chcę tylko, żeby cierpiała. Ona... nie zasłużyła na taki los. Nie tak jak my.

— My też nie zasłużyliśmy.

— Może ty nie — przyznał z uśmiechem. — Jesteś taka porządna. Nie wiem, jak to powiedzieć. Jill jest... niewinna. Dlatego ją ocaliłem. Po części.

Wzdrygnęłam się.

— Po tym, jak umarła?

Skinął głową, a w jego oczach pojawił się cień smutku.

— Zobaczyłem ją całą we krwi... leżała nieruchomo. Nie myślałem o konsekwencjach tej decyzji. Czułem tylko, że muszę ją ratować. Powinna żyć. Działalem bez zastanowienia, nie wiedziałem nawet, czy mi się uda.

— Zachowałeś się bardzo odważnie.

— Możliwe. Nie jestem pewien. Wiem tylko, że Jill wiele przeszła. Nie chcę, by cierpiała bardziej.

— Ja też tego nie chcę. — Wzruszyła mnie jego troska. Czasem nie wyobrażałam sobie, by Adrianowi mogło zależeć na czymkolwiek. Jednak kiedy mówił o Jill, dostrzegałam inną, delikatną stronę jego natury. — Zrobię, co w mojej mocy. Wiem, że powinnam z nią więcej rozmawiać. Być dla niej przyjaciółką, może nawet siostrą. Tylko że...

Spojrzał mi w oczy.

— Czy nasze towarzystwo naprawdę jest takie okropne?
Zaczerwieniłam się.

— Nie — zaprzeczyłam. — To... skomplikowane. Przez całe życie uczono mnie czegoś innego. Trudno w jednej chwili zmienić przekonania o sto osiemdziesiąt stopni.

— Największe rewolucje w dziejach wybuchały dzięki ludziom, którzy potrafili odrzucić to, czego uczono ich całe życie — powiedział, nie patrząc na mnie.

Wkurzył mnie. Oczywiście zabrzmiało to efektownie, ale ludzie często mówią takie rzeczy, nie zastanawiając się, co one znaczą. „Bądź sobą, walcz z systemem!”. Jednak ci, którzy to powtarzają - także Adrian — nie żyją moim życiem. Nie wychowywali się w sztywnych ramach systemu przekonań, który przypominał więzienie. Nie zmuszano ich, by rezygnowali z samodzielnego myślenia i podejmowania własnych wyborów. Właściwie nie tylko mnie wkurzył. Obudził we mnie gniew. I zazdrość.

— Czy powinnam dopisać zdolności motywacyjne do twojego CV?
— odciełam się.

— Jeśli to podniesie moją gażę. Och. - Wyprostował się. — Nareszcie mi się przypomniało, co jest znajomego w Micahu.

— Co jest w nim znajomego?

— Tak. Zastanawiałem się, kogo mi przypomina. To kopia Masona Ashforda.

— Kogo?

— Dampira ze Świętego Władimira. Kiedyś chodził z Rose. — Uśmiechnął się i oparł policzek o szybę. - O ile ktoś kiedyś z nią chodził naprawdę. Od początku szalała za Bielikowem. Nawet wtedy, kiedy byliśmy razem. Nie wiem, czy Ashford zdawał sobie z tego sprawę, czy oszukiwała go do końca. Mam nadzieję, że tak. Biedak.

Zmarszczyłam brwi.

— Czemu tak mówisz?

— On nie żyje. Został zabity. Wiedziałaś o tym? W zeszłym roku strzygi porwały kilka osób. Rose i Castile wyszli z tego cało. Ashford nie miał tyle szczęścia.

-Nie, nie wiedziałam — zanotowałam w myślach, że muszę to sprawdzić. — Więc Eddie był z nimi?

— Tak. W każdym razie ciałem. Strzygi zrobiły sobie z niego karmiciela, więc prawie przez cały czas pozostawał nieprzytomny. Interesują cię straty emocjonalne? Nie trzeba daleko szukać.

— Biedny Eddie — rzuciłam. Dopiero teraz zaczynałam go lepiej rozumieć.

Przyjechaliśmy na miejsce pierwszego spotkania, do firmy prawniczej, która poszukiwała asystenta do pracy biurowej. Tytuł brzmiał dumnie — w przeciwieństwie do rzeczywistych obowiązków, które polegały zapewne na usługach, jakie Trey i ja świadczyliśmy panie Terwiliger. Mimo to z trzech ofert, jakie znalazłam, ta dawała najlepsze perspektywy na przyszłość.

Firma dobrze prosperowała, sądząc po holu, w którym czekaliśmy na rozmowę. W wielkich wazonach stały orchidee, a pośrodku zbudowano fontannę. Oprócz nas przyszły jeszcze trzy osoby: ładnie ubrana pani koło czterdziestki, siedzący naprzeciwko niej mężczyzna w tym samym wieku i znacznie młodsza kobieta, której głęboki dekolt nie przeszedłby w Amberwood. Za każdym razem, gdy na nią spoglądałam, miałam ochotę przykryć go swetrem. Tych troje wyraźnie się znało, bo raz po raz patrzyli na siebie nieprzyjaznym wzrokiem.

Adrian obejrzał wszystkich po kolei i zwrócił się do mnie.

— Ta firma prawnicza — zaczął szeptem — specjalizuje się w rozwodach, prawda?

— Tak — potwierdziłam.

Skinął głową i chwilę się zastanawiał. Potem, ku memu przerażeniu, pochylił się do starszej kobiety.

— Gość jest skończonym głupcem. Jest pani olśniewającą damą z klasą. Wystarczy poczekać, a gorzko tego pożałuje.

— Adrian! — wykrzyknęłam.

Kobieta cofnęła się zaskoczona, lecz nie wyglądała na obrażoną. Tymczasem ta młodsza, siedząca w drugim kącie pokoju obok mężczyzny, wyprostowała się gwałtownie.

— Słucham? — odezwała się zaczepnie. — Co to ma znaczyć'?

Chciałam zapaść się pod ziemię. Na szczęście w tej chwili recepcjonistka zaprosiła tych troje na rozmowę z adwokatem.

— No wiesz? — oburzyłam się, kiedy się oddalili. — Dlaczego to powiedziałeś?

— Powiedziałem, co myślę, Sage. Nie sądzisz, że powinniśmy mówić sobie prawdę?

— Oczywiście. Ale to nie czas ani miejsce, aby to robie! Nie zaczepia się w ten sposób obcych ludzi, którzy w dodatku znaleźli się w trudnej sytuacji.

— Nie zrobiłem nic złego. — Adrian był wyraźnie zadowolony z siebie. — A ta kobieta będzie miała dzięki mnie udany dzień.

Z biura wyszła kobieta w czarnym kostiumie i na bardzo wysokich obcasach.

— Nazywam się Janet McCade i jestem menadżerką — przedstawiła, się. Patrzyła na nas niepewnie i w końcu wybrała mnie. — Pani to Adrian?

Mogła pomylić imiona, ale nie rokowało to dobrze dla Adriana. Nie pomyliłam się w ocenie jego stroju. Moja brązowa spódniczka i bluzka w kolorze kości słoniowej bardziej pasowały na rozmowę w sprawie pracy.

— To jest Adrian. — Wskazałam na niego. — Jestem jego siostrą, przyjechałam go wesprzeć.

— To bardzo miłe z pani strony — odparła Janet lekko zmieszana. — W takim razie porozmawiajmy, Adrianie.

— Bardzo chętnie — rzucił, wstając. Ruszył za nią, a ja zerwałam się z miejsca.

— Adrian — szepnęłam, chwytając go za rękaw. — Lubisz szczerość? Wypróbuj ją teraz. Nie opowiadaj bajek, że jesteś prokuratorem okręgowym.

— Pojąłem — mruknął. — To będzie czysta przyjemność. Jeśli sugerował przez to, że rozmowa nie potrwa długo,

to się nie pomylił. Wyłonił się z biura już po pięciu minutach.

— Nie sądzę — zagadnęłam, kiedy siedzieliśmy już w samochodzie — by dała ci pracę wyłącznie za wygląd?

Adrian patrzył gdzieś w bok, ale posłał mi szeroki uśmiech.

— Och, Sage, potrafisz mnie ująć.

— To nie był komplement! Co tam się wydarzyło? Wzruszył ramionami.

— Powiedziałem prawdę.

— Adrian!

— Nie żartuję. Spytała o moją największą zaletę. Odpowiedziałem, że potrafię dogadywać się z ludźmi.

— Nieźle — przyznałam.

— Potem chciała wiedzieć, jaka jest moja największa wada. Spytałem więc, od której zacząć.

— Adrian!

— Przestań krzyczeć. Byłem szczery. Przy czwartej wadzie oznajmiła, że jestem wolny.

Jęknęłam, powstrzymując się przed uderzeniem głową o kierownicę.

— Powinłam była cię poinstruować. To standardowe, podchwytliwe pytanie. Odpowiada się na nie: „Za bardzo angażuję się w pracę” albo „Jestem perfekcjonistą”.

Adrian prychnął i skrzyżował ręce na piersi.

— Co za brednie. Kto tak odpowiada?

— Ludzie, którzy dostają pracę.

Mieliśmy trochę czasu, więc starałam się przygotować do następnej rozmowy. Posada była u Spencera i poprosiłam Treya, by się za nami wstawił. Podczas gdy Adrian wszedł do biura na zapleczu, zajęłam stolik i zamówiłam kawę. Po kwadransie Trey się przysiadł.

— To naprawdę twój brat? — spytał.

— Tak — odparłam w nadziei, że zabrzmiało to przekonująco.

— Kiedy powiedziałaś, że szuka pracy, wyobraziłem sobie mniejszą wersję ciebie. Sądziłem, że zaproponuje uszeregowanie filiżanek kolorami czy coś w tym stylu.

— O co ci chodzi? Trey potrząsnął głową.

— Chyba musicie poszukać innej posady. Byłem na zapleczu i podsłuchałem fragment rozmowy. Kierowniczka wyjaśniała mu, że będzie musiał tu sprzątać co wieczór, a on rzucił komentarz o swoich dłoniach i pracy fizycznej.

Nie przeklinam z zasady, ale teraz miałam ochotę.

Ostatnia rozmowa odbyła się w modnym barze w centrum miasta. Uznałam, że Adrian zna wszystkie drinki, jakie świat wymyślił, i na tej podstawie opracowałam jego podanie jako doświadczonego barmana. Zostałam w samochodzie w przekonaniu, że w tym miejscu ma największe szanse. Przynajmniej tutaj pojawił się w odpowiednim ubraniu. Byłam oburzona, kiedy wrócił po dziesięciu minutach.

— Jak? — spytałam. — Jakim cudem schrzaniłeś i tę rozmowę?

— Kiedy wszedłem, powiedziano mi, że kierownik rozmawia przez telefon i przyjdzie do mnie za parę minut. Usiadłem przy barze i zamówiłem drinka.

Oparłam jednak głowę o kierownicę.

— Co zamówiłeś?

— Martini.

— Martini. — Podniosłam głowę. — Zamówiłeś martini przed rozmową w sprawie pracy.

— To był bar, Sage. Uznałem, że nie mają nic przeciw temu.

— Kłamiesz! — wrzasnęłam tak głośno, że zdumieliśmy się oboje. Adrian lekko się wzdrygnął. — Nie jesteś głupi, chociaż takiego udajesz! Wiesz, że tak się nie postępuje. Zrobiłeś to specjalnie, by nie dostać tej pracy. Zakpiłeś sobie ze mnie! Od początku o to ci chodziło. Nie traktowałeś tego poważnie. Zmarnowałeś czas tym ludziom i mnie, bo nie miałeś nic lepszego do roboty!

— To nieprawda — odparł, choć nie zabrzmiało to przekonująco. — Chcę pracować... ale nie w takich miejscach.

— Nie masz wielkiego wyboru. Chcesz się wyprowadzić od Clarence'a? Miałeś okazję to zrobić. Mogłeś z niej skorzystać, wystarczyło trochę się postarać. Potrafisz być czarujący, kiedy zechcesz. Mogłeś ich do siebie przekonać. — Zapaliłam silnik. — Nie licz już na mnie.

— Nie rozumiesz — wtrącił.

— Rozumiem, że nie jest ci lekko. Rozumiem, że czujesz się skrzywdzony. — Nie patrzyłam na niego, skupiłam się na prowadzeniu. — Jednak to nie daje ci prawa bawić się cudzym kosztem. Zajmij się wreszcie własnym życiem.

Adrian nie odezwał się, dopóki nie podjechaliśmy pod dom Clarence'a, ale nawet wtedy nie chciałam go słuchać.

— Sage... — zaczął.

— Wsiadaj — rzuciłam krótko.

Zawahał się, jakby chciał mnie przekonać. Ostatecznie ustąpił i skinął głową. Wsiadł i ruszył w stronę domu, zapalając papierosa. Byłam wściekła i sfrustrowana. Ten chłopak bez przerwy serwował mi huśtawkę emocjonalną. Kiedy tylko zaczynałam go lubić i odnosiłam wrażenie, że nawiązaliśmy porozumienie, natychmiast stawał okoniem i wyprawiał takie rzeczy. Byłam naiwna, sądząc, że warto okazać mu życzliwość. Jak mogłam nawet pomyśleć, że jest dziełem sztuki? To kloc drewna.

Dotarłam do Amberwood wzburzona. Nie miałam najmniejszej ochoty na spotkanie z Jill, która na pewno wiedziała już o mojej kłótni z Adrianem. Nie chciałam słuchać, jak będzie go broniła.

Weszłam do internatu i od razu zobaczyłam panią Weathers stojącą w towarzystwie Eddiego i ochroniarza z kampusu. Obok nich kręcił się Micah z pobludłą twarzą. Serce we mnie zamarło. Eddie natychmiast podbiegł do mnie. Był w panice.

— Jesteś nareszcie! Nie mogłem się dodzwonić do ciebie ani do Keitha.

— Wyłączyłam komórkę. — Spojrzałam na panią Weathers i pracownika ochrony. Oboje mieli przerażone miny. — Co się stało?

— Chodzi o Jill — wyjaśnił posepnie Eddie. — Zniknęła.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

JAK TO: ZNIKNEŁA? - spytałam.

— Miała się z nami spotkać parę godzin temu — wyjaśnił Eddie, wymieniając spojrzenia z Micahem. — Sądziłem, że jest z tobą.

— Nie widziałam jej od lekcji wuefu. — Bardzo się starałam, by nie wpaść w panikę. Wszystko mogło się zdarzyć, niekoniecznie od razu porwali ją szaleni morojscy dysydenci. — Szkoła jest ogromna, ma trzy kampusy. Jesteś pewien, że się gdzieś nie zaszła, by się pouczyć?

— Przeszukaliśmy cały teren — wtrącił ochroniarz. — Zawiadomiliśmy też nauczycieli i pracowników administracji. Nikt jej nie widział.

— Nie odbiera komórki — odpowiedział Eddie.

Teraz poczułam, że ogarnia mnie strach. Mój wyraz twarzy musiał to zdradzić, bo mężczyzna złagodniał.

— Proszę się nie martwić. Na pewno się znajdzie. — W jego zawodzie mówi się takie rzeczy, żeby pocieszyć członków rodziny. — Nie przychodzi wam do głowy, dokąd mogła się wybrać?

— Może jest z którymś z waszych braci? — podsunął Micah.

Obawiałam się, że do tego dojdzie. Byłam niemal w stu procentach pewna, że Jill nie spotkała się z Keithem. Musiałam go powiadomić o zaginięciu dziewczyny. Nie zachwycała mnie ta perspektywa, bo wiedziałam, że alchemik zmyje mi głowę i natychmiast poinformuje zwierzchników. Nie powinnam opuszczać Jill, takie dostałam zadanie. Tymczasem, jak ostatnia idiotka, uganiałam się po mieście, żeby pomóc komuś innemu. I to nie było komu — wampirowi. Tak to będzie wyglądało w oczach alchemików. „Miłośniczka wampirów”.

— Byłam z Adrianem — zastanawiałam się głośno. — Jill mogła pojechać do Clarence'a, żeby tam na niego poczekać. Odwiozłam Iwaskowa, ale nie zajrzałam do domu.

— Dzwoniłem do niego — odparł Eddie. — Nie odbiera.

— Miał kilka rozmów w sprawie pracy, więc na pewno wyłączył telefon. Spróbujesz jeszcze raz?

Sama nie miałam ochoty z nim rozmawiać.

Eddie odszedł na bok, by zadzwonić do Adriana, a ja rozmawiałam z panią Weathers i ochroniarzem. Micah krążył w pobliżu, poczułam wyrzuty sumienia, że do tej pory starałam się trzymać go z daleka od Jill. Oczywiście był człowiekiem, ale naprawdę mu na niej zależało. Powiedziałam ochroniarzowi, gdzie najchętniej chodziła Jill w obrębie kampusu. Potwierdził, że przeszukali wszystkie te miejsca.

— Dodzwoniłeś się? — spytałam, kiedy Eddie wrócił. Przytaknął.

— Nie ma jej tam. Chyba źle zrobiłem. Adrian się zdenerwował.

Może nie powinniśmy byli go alarmować.

— Nie... postąpiłeś słusznie. — Spojrzałam mu w oczy i dostrzegłam w nich błysk zrozumienia.

Emocje Adriana przenikały do Jill, kiedy się czymś przejmował. Jeśli teraz wpadnie w panikę, jest nadzieja, że

dziewczyna zorientuje się w sytuacji i wróci. Pod warunkiem że się gdzieś' zaszyła albo znalazła w nieznanym nam miejscu. Odsuwałam od siebie inne wyjaśnienie: że stało się coś, co nie pozwoliło jej się z nami skontaktować.

— Uczniowie czasem wymykają się bez pozwolenia — odezwał się ochroniarz. — To normalne. Zwykle wracają przed porą ciszy nocnej. Miejmy nadzieję, że tak będzie i tym razem. Jeśli się nie pojawi, cóż, wezwiemy policję.

Odszedł, by nadać komunikat przez radio. Podziękowaliśmy mu za pomoc. Pani Weathers wróciła za swój pulpit. Widziałam, że jest zaniepokojona. Czasem na nas burczała, lecz naprawdę się o nas troszczyła. Micah postanowił wypytać kolegów, którzy pracowali na terenie kampusu.

Zostaliśmy z Eddiem we dwoje. Bez słowa ruszyliśmy w stronę foteli stojących w holu. Chyba tak jak ja wolał czekać przy wejściu, żeby zobaczyć Jill, kiedy tylko pojawi się w drzwiach.

— Nie powinienem był jej zostawiać samej — mruknął.

— Musiałeś - przypomniałam. — Przecież nie chodzicie do jednej klasy ani nie mieszkacie razem.

— Wybrali złe miejsce. Kampus jest za duży. Trudno zapewnić tu bezpieczeństwo. — Westchnął. — Nie mogę w to uwierzyć.

— Nie... wybór był dobry. Jill potrzebowała w miarę normalnych warunków. Mogliście ją zamknąć w odosobnionym miejscu, izolując od świata — i co dobrego by z tego wynikło? Powinna chodzić do szkoły i przebywać wśród ludzi.

— Z tego też nie wyszło nic dobrego.

— To fakt - przyznałam. - Przeżyła ciężkie chwile. - Miałam jednak nadzieję, że sytuacja się poprawi.

— Chciałem tylko, aby była zadowolona.

— Ja też. — Wyprostowałam się, bo przyszła mi do głowy pewna myśl. — Nie myślisz chyba... że uciekła i pojechała do matki? Albo na dwór?

Eddie posmutniał jeszcze bardziej.

— Mam nadzieję, że nie. Sądziś, że aż tak źle tu się czuła?

Przypomniała mi się nasza sprzeczka po incydencie pod prysznicem.

— Nie wiem. Możliwe. Eddie ukrył twarz w dłoniach.

— Nie mogę w to uwierzyć — powtórzył. — Zawiodłem. Zawsze kiedy chodziło o Jill, Eddie prezentował zapal-

czywość i gotowość do walki. Nigdy nie widziałam, by był tak przygnębiony. Od przyjazdu do Palm Springs żyłam w obawie, że to ja poniosę klęskę. Eddie czuł to samo. Przypomniałam sobie, co Adrian mówił o Masonie. Dampir czuł się odpowiedzialny za śmierć przyjaciela. Jeśli Jill się nie znajdzie, Eddie będzie przeżywał ten sam koszmar. Uzna, że znów ktoś zginął przez niego. Nowa misja miała być dla niego szansą na odkupienie winy, tymczasem może się okazać, że ponownie zawiódł.

— Nie nawaliłeś — powiedziałam. — Miałeś chronić Jill i to robiłeś. Nie masz wpływu na jej samopoczucie. Już raczej ja powinnam czuć się odpowiedzialna. Wygłosiłam jej kazanie po tej historii z prysznicem.

— Tak, ale ja rozwiązałem jej nadzieje na pracę modelki, którą proponował Lee.

— Miałeś rację... Lee! — wciągnęłam powietrze. — Na pewno jest z nim. To nie ulega wątpliwości. Masz jego numer?

Eddie jęknął.

— Dureń ze mnie — mruknął, sięgając po komórkę. — Powinienem był o tym pomyśleć.

Dotknęłam krzyżyka na szyi, modląc się w duchu, żeby sprawa szybko się wyjaśniła. Pogodzę się z myślą o Jill i Lee, jeśli tylko wróci cała i zdrowa.

— Cześć, Lee. Tu Eddie. Czy Jill jest z tobą? Czekałam, co powie Lee. Postawa Eddiego przekazała

mi odpowiedź szybciej, niż ją usłyszałam. Rozluźnił się, a na twarzy dampira pojawił się wyraz ulgi.

— W porządku — powiedział parę sekund później. — Przywieź ją tu natychmiast. Wszyscy jej szukają. — Znowu cisza. Twarz Eddiego steżała. — Później o tym porozmawiamy. — Rozłączył się i spojrzał na mnie. — Nic jej nie jest.

Poszłam do pani Weathers i ochroniarza, i przekazałam im wiadomość. Mężczyzna natychmiast zawiadomił swoich kolegów i wyszedł. Ku memu zaskoczeniu pani Weathers miała łzy w oczach.

— Dobrze się pani czuje? — spytałam.

— Tak, tak. — Zarumieniła się, zawstydzona okazaniem emocji. — Bardzo się martwiłam. Nie chciałam was straszyć, ale za każdym razem, kiedy jakiś uczeń znika... Cóż, kilka lat temu zaginęła pewna dziewczyna. Sądziliśmy, że wymknęła się ukradkiem, tak jak wspominał Matt, to się czasem zdarza. Ale okazało się, że... — Pani Weathers skrzywiła się i odwróciła wzrok. — Nie powinnam ci tego mówić.

Jak mogła przerwać po takim wstępie?

— Proszę dokończyć. Westchnęła.

— Policja odnalazła ją po kilku dniach... martwą. Została porwana i zamordowana. To było straszne. Mordercy nie odnaleziono. Kiedy słyszę, że ktoś zaginął, zawsze myślę o niej. Taka historia na szczęście się nie powtórzyła, strach jednak robi swoje.

Mogłam to sobie wyobrazić. Idąc do Eddiego, rozmyślałam o nim i o Masonie. Wyglądało na to, że wszyscy dźwi-

gamy jakiś bagaż przykrych doświadczeń. W każdym razie ja na pewno. Teraz, martwiąc się o bezpieczeństwo Jill, raz po raz pytałam siebie: Co powiedzą alchemicy? Jak zareaguje mój ojciec? Kiedy się zbliżyłam, Eddie znów wisiał na telefonie.

— Powiadomiłem Micaha — wyjaśnił. — Naprawdę się o nią martwił.

Wszystkie oznaki traumatycznych przeżyć pani Weathers znikły w chwili, kiedy Jill i Lee stanęli w drzwiach bursy. Jill miała rozradowaną minę, dopóki nie zobaczyła nas. Zatrzymała się gwałtownie. Lee był posepny. Wiedział, co ich czeka.

Eddie i ja zerwaliśmy się z miejsc, lecz nie dano nam szansy do nich podejść. Pani Weathers natychmiast zażądała wyjaśnień. Zamiast wymyślić jakieś kłamstwo, Jill szczerze opowiedziała, że wybrali się z Lee do Palm Springs. Dobierała tylko słowa, uważając, by Lee nie został oskarżony o porwanie. Zapewniła, że nie wiedział o zakazie opuszczania kampusu bez asysty członków rodziny. Potwierdziłam to, chociaż nie miałam najmniejszej ochoty chronić Lee.

— Mógłbyś poczekać na zewnątrz? — spytałam uprzejmie.

— Chciałabym zamienić z tobą kilka słów na osobności.

Lee posłuchał, rzucając na odchodnym współczujące spojrzenie Jill. Musnął jej rękę na pożegnanie i ruszył do wyjścia. Zatrzymała go jednak pani Weathers.

— Chwileczkę — przyglądała mu się z zaciekawieniem.

— Czy my się znamy?

Lee się zaniepokoił.

— Nie wydaje mi się. Nigdy tu nie byłem.

— Jest w panu coś znajomego — upierała się opiekunka, marszcząc brwi. Potem wzruszyła ramionami. — Nie, to niemożliwe. Musiałam się pomylić.

Lee pożegnał ją skinieniem głowy, jeszcze raz zerknął na Jill i wyszedł.

Pani Weathers wzięła teraz w obroty winowajczynię. Wygłosiła kazanie o tym, jak niebezpieczne było to, co zrobili, oraz jak nieodpowiedzialnie się zachowali.

- Skoro zamierzałaś złamać reguły i opuścić teren szkoły, mogłaś przynajmniej powiadomić rodziców. Umierali ze strachu o ciebie.

Wzmianka o „odpowiedzialnym” łamaniu reguł zabrzmiała dość komicznie. Jednak mnie to nie rozbawiło, ciężko mi było dojść do siebie po tym incydencie. Opiekunka poinformowała Jill, że dostanie pisemną naganę i zostanie ukarana.

-Na razie - ciągnęła pani Weathers - masz zakaz opuszczania pokoju do rana. Stawisz się u mnie po śniadaniu i wtedy dowiemy się, czy dyrektor zawiesi cię w prawach uczennicy.

- Przepraszam - wtrącił Eddie. - Czy możemy z nią zamienić parę słów, zanim pójdzie do siebie?

Kobieta zawahała się, najwyraźniej chcąc ukarać Jill natychmiast. Przyjrzała się Eddiemu. Był tak rozgniewany, że uznała, iż dziewczynie przyda się solidna reprimenda od starszego brata.

- Macie pięć minut - oznajmiła, stukając w zegarek. -Potem udasz się prosto do pokoju.

- Wystarczy - zaczęła Jill, kiedy zostaliśmy sami. Na jej twarzy odbijały się lęk i upór. - Wiem, że źle postąpiłam. Nie musicie mi prawić kazań.

- Czyżby? - odezwał się. - Gdybyś wiedziała, co robisz, nie postąpiłabyś w ten sposób!

Jill skrzyżowała ręce na piersi.

- Musiałam stąd wyjść. Na moich warunkach. Nie w waszej asyście.

Jej słowa zabrzmiały absurdalnie. Przemawiała jak nadąsane dziecko. Ku memu zdziwieniu Eddie poczuł się zraniony.

— Co to ma znaczyć? — spytał.

— To, że chciałam się wyrwać, aby nie wysłuchiwać waszych uwag o tym, co robię nie tak. — To oświadczenie było skierowane do mnie. — Osaczacie mnie. — Tym razem zwróciła się do Eddiego.

— Chcę cię tylko chronić — odparł urażony. — Nie zamierzam nikogo osaczać, ale nie mogę pozwolić, by coś ci się stało. Po raz drugi.

— Bardziej zagraża mi Laurel niż jacyś zabójcy! — wykrzyknęła Jill. — Wiesz, co dzisiaj zrobiła? Pracowaliśmy w sali komputerowej i zupełnie przypadkiem potknęła się o mój kabel! Utraciłam połowę zapisu i nie skończyłam pracy w porę, co obniży mi ocenę.

To chyba nie był dobry moment na przypominanie jej o kopiach zapasowych.

— Posłuchaj, bardzo mi przykro — powiedziałam. — Jednak złośliwości Laurel nie równają się śmiertelnemu zagrożeniu. Gdzie w ogóle byłaś?

W pierwszej chwili wydawało mi się, że nic nie powie. Jednak zmieniła zdanie.

— Lee zabrał mnie nad Salton Sea. — Widząc nasze pytające spojrzenia, dodała: — To jezioro za miastem. Było cudownie. — Na twarzy Jill pojawił się wyraz rozmarzenia. — Od dawna nie widziałam tyle wody. Potem pojechaliśmy do miasta i spacerowaliśmy. Zagląaliśmy do sklepów, jedliśmy lody. Lee pokazał mi butik tej projektantki, która poszukuje modelek i...

— Jill — przerwałam te rewelacje. — Nie interesuje mnie, jak wspaniale spędziłaś dzień. Napędziłaś nam strachu. Nie rozumiesz tego?

— Lee nie powinien był tego robie' — warknął Eddie.

— Nie obwiniaj go — zaprotestowała Jill. — To ja go namówiłam. Powiedziałam, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu. Poza tym on nie wie, dlaczego naprawdę tu przyjechałam.

— Chyba nie powinniśmy się zgadzać na te wasze randki — mruknęłam.

— Lee to najlepsze, co mnie tutaj spotkało! — zaperzyła się dziewczyna. — Mam prawo do wychodzenia z domu i odrobiny rozrywki, tak jak i wy.

— Rozrywki? Nie nazwałabym tego w ten sposób — sprzeciwiłam się, wspominając popołudnie spędzone z Adrianem.

Jill szukała obiektu, na którym mogłaby wyładować swoją frustrację, i to mnie przypadł w udziale ten wątpliwy zaszczyt.

— Mam inne zdanie na ten temat. Nigdy cię nie ma. A kiedy już jesteś, bez przerwy mnie krytykujesz. Zachowujesz się jak moja matka.

Do tej pory byłam spokojna, a teraz poczułam złość. Straciłam nad sobą kontrolę.

— Wiesz co? Właściwie podzielałam twoje zdanie. Bo do tej pory tylko ja w tej grupie zachowuję się jak dorosła. Sądzisz, że świetnie się tu bawię? Tymczasem muszę was niańczyć i sprzątać po was. Spędziłam całe popołudnie — nie, zmarnowałam je — na wożeniu Adriana, który moje wysiłki miał za nic. Potem wróciłam do bursy i musiałam rozładować sytuację po twojej wycieczce na łono natury. Rozumiem, że Laurel daje ci się we znaki, ale nie byłoby tego problemu, gdybyś od razu dała Micahowi kosza. — To zdanie skierowałam do Eddiego. — Nie rozumiem, dlaczego tylko ja dostrzegłam powagę sytuacji. Ludzie i wampiry nie wiążą się ze sobą. Stawką jest twoje życie. Tu nie ma

miejsca na pobłażanie! Mimo to... każdy z was lekceważy problem. Zostawiacie mi najtrudniejsze sprawy, każecie zacierać ślady po sobie... a do tego czuję na karku oddech Keitha i alchemików, którzy tylko czekają na mój pierwszy błąd, bo nikt już mi nie ufa po tym, jak pomogłam Rose. Uważacie, że to jest rozrywka? Chciałabyś się ze mną zamienić? Więc proszę. Zamień się ze mną i weź za to odpowiedzialność.

Nie krzyczałam, mówiłam ledwie podniesionym głosem. Całą przemowę wygłosiłam jednym tchem. Eddie i Jill wytrzeszczyli oczy, jakby widzieli mnie po raz pierwszy w życiu.

W tej chwili podeszła do nas pani Weathers.

— Wystarczy na dzisiaj. Idź do siebie — poleciła Jill. Dziewczyna skinęła głową i odeszła, nie żegnając się

z nami. Opiekunka odprowadziła ją do schodów, a Eddie spojrzał na mnie. Był blady i bardzo poważny.

— Masz rację — powiedział. — Zaniedbałem swoje obowiązki.

Westchnęłam, czując się wyczerpana.

— Nie jesteś taki krnąbrny jak oni. Potrząsnął głową.

— Mimo wszystko. Może masz rację co do Micaha. Powinienem z nim pogadać, a wtedy Laurel zostawi Jill w spokoju. Zrobię to jeszcze dzisiaj. Tylko... - Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad słowami. — Postaraj się nie być zbyt surowa dla Adriana i Jill. Dziewczyna jest zestresowana. Czuję, że przejmuje niektóre cechy Adriana poprzez więź. Jestem nawet pewien, że właśnie dlatego dzisiaj uciekła. On tak by postąpił.

— Nikt jej do tego nie zmuszał — zaprotestowałam. — A już na pewno nie Adrian. Fakt, że namówiła Lee na wycieczkę i nie wspomniała nam o tym, świadczy, że wiedzia-

ła, co wyprawia. Postąpiła samowolnie. Adrian nie ma nic na swoje usprawiedliwienie.

— Tak, ale... to Adrian — bąknął Eddie. — Czasem zastanawiam się, na ile w jego zachowaniu przejawia się jego charakter, a na ile moc ducha.

— Moroje obdarzeni mocą ducha mogą zażywać środki antydepresyjne, prawda? Jeśli martwi się, że będzie miał problemy, powinien o siebie zadbać zawczasu. Ma wybór, nie jest bezradny. Nikt nie jest pokrzywdzony.

Eddie spojrział na mnie badawczo.

— A sądziłem, że to ja mam surowe poglądy na życie.

— Bo masz — poprawiłam. — Jednak wychodzisz z założenia, że musisz troszczyć się o innych. Mnie wpajano, że czasem to rzeczywiście bywa konieczne, ale generalnie każdy powinien troszczyć się o siebie.

— Mimo to przyjechałaś tutaj.

— Jakbym nie wiedziała. Pójdiesz ze mną porozmawiać z Lee?

Z twarzy Eddiego w jednej chwili zniknęła łagodność.

— Tak — oznajmił zdecydowanie.

Znaleźliśmy go na ławce przed budynkiem. Czekał tam z nieszczęśliwą miną i zerwał się na nasz widok.

— Przepraszam! Nie powinienem był jej zabierać. Ale była taka smutna, taka zagubiona, więc chciałem...

— Wiesz, że nie spuszczaamy jej z oka — przerwałam mu. — Jak mogłeś nie pomyśleć, że będziemy się zamartwiać?

— Jill jest niepełnoletnia — dodał Eddie. — Nie możesz tak po prostu jej zabierać i robić z nią, co chcesz!

Przyznaję, byłam lekko zaskoczona, że jako argumentu użył akurat cnoty Jill. Nie zrozumcie mnie źle. Ja też zdawałam sobie sprawę z jej młodego wieku. Ale Eddie widział, jak zginęła, więc akurat ten problem wydawał się mniej istotny.

Lee spoglądał na nas z przestraczeniem.

— Nic między nami nie zaszło! Nigdy bym się do tego nie posunął. Słowo! Nie mógłbym wykorzystać kogoś tak ufnego. Nie zepsułbym tego. Jill znaczy dla mnie więcej niż wszystkie dziewczyny, z którymi się spotykałem. Chcę z nią zostać na zawsze.

Z tym „na zawsze” nieco przesadził, biorąc pod uwagę ich młody wiek, lecz wzruszyło mnie jego szczere spojrzenie. Choć nie mogło usprawiedliwić lekkomyślności. Lee potraktował nasze zarzuty poważnie, przyrzekł, że to się więcej nie powtórzy.

— Ale proszę... czy będę mógł ją jeszcze widywać w waszej obecności? Będziemy się nadal umawiali?

Spojrzeliliśmy na siebie z Eddiem.

— O ile władze szkoły pozwolą jej opuścić kampus — mruknełam. — Nie wiem, jak zareagują.

Lee poszedł sobie, przeprosiwszy nas jeszcze kilka razy, i Eddie także wrócił do swojej bursy. Wchodziłam po schodach, kiedy zadzwonił mój telefon. Zerknęłam na ekran i odczytałam ze zdumieniem numer domowy rodziców w Salt Lake City.

— Halo? — odezwałam się. Przez jedną szaloną chwilę miałam nadzieję, że dzwoni Zoe.

— Sydney.

To był ojciec. Poczulałam ścisnięcie w żołądku.

— Musimy porozmawiać o tym, co się stało.

Wpadłam w panikę. Jakim cudem tak szybko dowiedział się o zniknięciu Jill? To musiał być Keith. Ale kto mógł powiadomić jego? Może był z wizytą u Clarence’a, kiedy Eddie zadzwonił do Adriana? Nie, Adrian miał swoje wady, lecz nie wygadałby się przed alchemikiem.

— To znaczy o czym? — spytałam, żeby zyskać na czasie.

— O twoim zachowaniu. Keith dzwonił do mnie wczoraj wieczorem i muszę przyznać, że jestem rozczarowany.

— Wczoraj wieczorem? — Więc nie chodziło o Jill. W takim razie o co?

— Twoim zadaniem jest dopilnować, by ta dziewczyna nie zwracała na siebie uwagi. Nie powinnaś wchodzić z nimi w bliższy kontakt i w dodatku dobrze się przy tym bawić! Nie mogłem uwierzyć, że zabrałaś ich na kręgle.

— Na minigolfa, a Keith się zgodził! Spytałam go najpierw.

— Słyszałem też, że świadczysz najróżniejsze przysługi wampirom i Bóg wie co jeszcze. Miałaś się ograniczać do niezbędnej opieki nad tą dziewczyną. Czego, jak słyszę, także nie robisz. Keith powiedział, że miała problemy z przebywaniem na słońcu, ponieważ nie zatroszczyłaś się o nią jak należy.

— Natychmiast zgłosiłam ten problem! — wykrzyknęłam do słuchawki. Powinnaś była przewidzieć, że alchemik wykorzysta ten incydent przeciwko mnie. — Keith...

— urwałam, zastanawiając się, jak to powiedzieć. — Źle odczytał mój pierwszy raport. — W rzeczywistości totalnie go zignorowałam, ale mówiąc ojcu, że jego pupilek łączy jak pies, naraziłabym się wyłącznie na jego atak. Nie uwierzyłby mi.

— To z Keithem powinieneś przeprowadzić taką rozmowę! Bez przerwy przesiaduje u Clarence'a i nie chce powiedzieć dlaczego.

— Na pewno troszczy się o jego równowagę psychiczną. O ile wiem, starszy pan ma nierówno pod sufitem.

— Ma obsesję na punkcie łowców wampirów — wyjaśniłam. — Uważa, że to ludzie zabili jego siostrzenicę.

— Cóż — odparł mój ojciec. — Niektórzy ludzie naprawdę usiłują wejść do świata wampirów, a my nie potrafimy ich od tego odwieść. I nie mówię o łowcach. Keith wypełnia

swój obowiązek i tłumaczy wszystko Clarence'owi. Za to ty wyraźnie zbladziłaś.

— To niesprawiedliwe porównanie!

— Naprawdę obwiniam wyłącznie siebie — ciągnął. Bardzo w to wątpiłam. — Nie powinienem cię tam posyłać. Nie byłaś gotowa po tym, co przeszłaś. Obecność wampirów ma ci w głowie. Dlatego cię odwołuję.

— Co takiego?!

— Gdyby to ode mnie zależało, wróciłabyś jeszcze dzisiaj. Niestety, Zoe potrzebuje dwóch tygodni, żeby się przygotować. Alchemicy zamierzają poddać ją próbom, zanim otrzyma tatuaż. Wówczas zastąpi cię i udzieli ci... pomocy.

— Tato! To szaleństwo. Dobrze sobie radzę. Proszę, nie wysyłaj Zoe...

— Przykro mi, Sydney — uciął. — Nie zostawiłaś mi wyboru. A do tego czasu proszę, trzymaj się z dala od kłopotów.

Rozłączył się, a ja stałam w bezruchu, czując jak ścisnęło mi się serce. Dwa tygodnie! Potem wyślą Zoe. A ja... dokąd ja trafię? Wolałam o tym nie myśleć, ale wiedziałam, co się stanie. Musiałam temu zapobiec. Machina została już uruchomiona. „Tatuaże — pomyślałam. — Jeśli uda mi się zanalizować skład wykradzionych substancji i wytropić tego, kto dostarcza krew wampirów do salonu, zaskarbię sobie uznanie alchemików”. Miejmy nadzieję, że to wystarczy, by zmasać rzekome winy.

Właściwie dlaczego Keith tak się zachował? Czemu teraz? Nie chciał, bym to ja mu towarzyszyła. Pewnie od początku knuł za moimi plecami i gromadził dowody, które pozwolą mu się mnie pozbyć raz na zawsze. Niedoczekanie. Rozwikłam sprawę tatuaży i dowiem się, który z alchemików zdradził. Już teraz miałam dowody, które mogłam

przedłożyć zwierzchnikom. To wystarczy, nawet jeśli nie uda mi się znaleźć nic więcej.

Poczułam ulgę, lecz nie mogłam zasnąć tej nocy. Zawisła nade mną groźba ojca i perspektywa zesłania do ośrodka reedukacji.

Długo przewracałam się na łóżku, aż wreszcie zapadłam w niespokojny, męczący sen. Obudziłam się po paru godzinach, by potem zasnąć ponownie.

Tym razem śniłam głęboko.

Znajdowałam się w saloniku Clarence'a. Wszystko było na swoim miejscu, ciemna boazeria i antyczne meble nadawały wnętrzu ponury wygląd. Rejestrowałam zadziwiająco dużo detali, niemal wdychałam w płuca zapach zakurzonych książek i skóry na obiciach mebli.

— Uff. Udało się. Nie byłam pewien, czy to działa też na ludzi.

Obróciłam się na pięcie i zobaczyłam Adriana opartego plecami o ścianę. Jeszcze przed sekundą go tam nie widziałam. Znów ogarnął mnie dziecinny lęk przed wampirami, które pojawiały się nagle nie wiadomo skąd. Potem przypomniałam sobie, że śnię, a w snach takie rzeczy się zdarzają.

— Czego nie byłeś pewien? — zapytałam. Zatoczył ręką krąg.

— Czy potrafisz cię tu ściągnąć. Do snu. — Nie zrozumiałam, więc nie skomentowałam. Adrian uniósł brew. — Ty nic nie wiesz, prawda? Nie wiesz, gdzie jesteś.

— W domu Clarence'a — odparłam przytomnie. — Ale w rzeczywistości śpię w swoim łóżku. To tylko sen.

— W połowie masz rację — przyznał. — To sen wywołany mocą ducha. Realny.

Zmarszczyłam brwi. Sen wywołany magią. Nic nie wiedzieliśmy o tym zjawisku. Chociaż Rose opowiadała mi

co nieco o nocnych wizytach Adriana. Mówiła, że śniący i władający mocą ducha spotykają się w swoich umysłach i dzięki temu porozumiewają się, nawet jeśli dzieli ich duża odległość. Nie rozumiałam tego w pełni, lecz widziałam, że Rose po przebudzeniu miała nowe informacje, których nie mogła uzyskać inną drogą. Mimo wszystko nie od razu uwierzyłam Adrianowi.

— To normalny sen — sprzeciwiłam się.

— Jesteś pewna? — spytał. — Rozejrzyj się dobrze. Skoncentruj. Czy nie czujesz różnicy? To jak sen... ale nie do końca. Podobnie jak nie do końca jawa. Nazywaj to sobie, jak chcesz, ale kiedy spotkamy się następnym razem, opowiem ci wszystko, o czym tu rozmawialiśmy.

Rozejrzałam się uważnie. Ponownie uderzyło mnie, że dostrzegam wszystkie szczegóły, nawet te najdrobniejsze. Czułam, że doświadczam tego wszystkiego w pełni, ale w snach często to się zdarza... prawda? Nie wiemy, że śnimy, dopóki się nie obudzimy. Przymknęłam powieki i odetchnęłam głęboko, starając się wyciszyć umysł. I nagle zrozumiałam, o czym mówi Adrian. Znajdowaliśmy się pomiędzy jawą a snem. Otworzyłam oczy.

— Przerwij to — zawołałam, cofając się. — Zakończ ten sen. Wypuść mnie.

Zdałam sobie sprawę, że otacza mnie magia wampirów. Zniewala mnie. To było jak atak klaustrofobii. Czar osaczał mnie i spowijał, pozbawiając powietrza.

— Proszę... — mówiłam gorączkowo. — Proszę, wypuść mnie.

Adrian wyprostował się, przyglądając mi się ze zdumieniem.

— Sage. Uspokój się. Nie dzieje się nic złego.

— Nieprawda. Nie chcę. Nie chcę czuć tej magii.

— Nie zrobię ci krzywdy — przekonywał.

— To jest złe — wyszeptałam. — Uwolnij mnie, Adrian. Wyciągnął rękę, jakby próbował mnie uspokoić, ale zrezygnował.

— Nic ci się nie stanie — powtórzył. — Wysłuchaj mnie tylko i pozwolę ci odejść. Słowo.

Nawet we śnie czułam przyspieszone bicie serca. Objęłam się ramionami i cofnęłam pod ścianę, mając ochotę zniknąć.

— Dobrze — mruknęłam. — Pospiesz się.

— Chciałem ci tylko powiedzieć... — Wepchnął ręce do kieszeni i odwrócił wzrok, jakby naraz poczuł się niepewnie. Czy jego oczy stały się bardziej zielone w tym śnie? A może to tylko moja wyobraźnia? — Chciałem... Próbuję cię przeprosić.

— Za co? — spytałam. W tej chwili czułam tylko strach.

— Za moje zachowanie. Miałaś rację. Zmarnowałem twój czas. Zlekceważyłem starania.

Zmusiłam się, by przypomnieć sobie ostatnie popołudnie.

— Dziękuję — odparłam po prostu.

— Nie wiem, dlaczego robię takie rzeczy — ciągnął. — Nie panuję nad tym.

Nadal byłam przerażona, dusiłam się w powietrzu przesyconym magią, ale przypominałam sobie wcześniejszą rozmowę z Eddiem.

— Możesz nad tym zapanować — powiedziałam. — Nie jesteś ofiarą.

Nie patrzył na mnie, pogrążony w myślach. Nagle spojrzał mi w oczy.

— Tak jak Rose.

— Nie rozumiem.

Wyciągnął rękę — nagle pojawiła się w niej czerwona ciernista róża. Krzyknęłam cicho i próbowałam się cofnąć

jeszcze dalej. Obrócił w palcach gałązkę, uważając, by się nie pokłuć.

— Powiedziała mi to samo. Żebym nie robił z siebie ofiary. Naprawdę jestem aż tak żałosny?

Róża obróciła się i zmaląła na moich oczach, zamieniając się w pył, który zaraz znikł. Natychmiast nakreśliłam znak chroniący przed złem i usiłowałam sobie przypomnieć, o czym rozmawiamy.

— Nie użyłam tego określenia — odparłam.

— A jakiego byś użyła? Miałam pustkę w głowie.

— Nie wiem. Zagubiony? Adrian się uśmiechnął.

— To eufemizm.

— Sprawdzę w słowniku i później ci powiem. Czy możesz już to zakończyć?

Jego uśmiech ustąpił miejsca zdumieniu.

— Ty jesteś naprawdę przerażona... — Nie odpowiedziałam. —

Dobrze, ostatnia sprawa. Wymyśliłem sposób, aby wyprowadzić się od Clarence'a i zdobyć trochę pieniędzy. Poczytałem co nieco o stypendiach naukowych. Sądzisz, że przyznano by mi pieniądze, gdybym zapisał się do college'u?

To było konkretne pytanie, które mogłam rozważyć.

— Możliwe. Ale boję się, że jest już za późno. Rok akademicki przecież trwa.

— Znalazłem taki college w internecie. Carlton. Mieści się na drugim końcu miasta i jeszcze nie rozpoczęto tam nauki. Muszę się jednak pospieszyć, a... nie bardzo wiem, jak się do tego zabrać. Wiesz, dokumenty, procedury. Ale to twoja specjalność, prawda?

— Smutne, lecz prawdziwe — przyznałam.

Nazwa college'u zabrzmiała znajomo, lecz nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego.

Adrian wziął głęboki oddech.

— Pomożesz mi? Wiem, że masz dość roli niańki, ale nie wiem, od czego zacząć. Obiecuję, zrobię, co do mnie należy. Tylko powiedz, co mam robić.

Niańka. Musiał rozmawiać z Jiłl albo z Eddiem. Nie zdziwiło mnie to. Pewnie chciał sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. Mogłam się tylko domyślać, w jakich słowach przedstawiła moją tyradę.

— Byłeś już w college'u — przypomniałam sobie, co wyczytałam w jego aktach, kiedy przygotowywałam te nieszczęsne podania o pracę. — Ale rzuciłeś naukę.

Przytaknął ruchem głowy.

— Rzuciłem.

— Skąd mam wiedzieć, że tym razem nie postąpisz tak samo? Może znów zmarnuję tylko czas.

— Nie możesz mieć pewności, Sage — przyznał. — I nie dziwię się twoim oporom. Proszę tylko o drugą szansę. Postaraj się mi zaufać, gdy mówię, że się postaram. Uwierz mi, proszę.

Umilkliśmy oboje. Nie zdając sobie z tego sprawy, lekko się rozluźniłam. Patrzyłam na niego, żałując, że nie potrafię oceniać innych. Na jawie jego oczy były równie zielone. Po prostu nigdy się w nie tak nie wpatrywałam.

— Dobrze — mruknęłam. — Zaufam ci. Był poruszony.

— Naprawdę?

W ciągu tych dziesięciu sekund nie dowiedziałam się więcej o innych, lecz zrozumiałam tajemnicę, jaką był Adrian Iwaszkow. Rzadko kto obdarzał go zaufaniem. Nie oczekiwano po nim zbyt wiele, więc się nie starał. Nawet Eddie go podsumował: „To jest Adrian”.

Zrozumiałam również, choć wydawało się to nieprawdopodobne, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Oboje żyli-

śmy pod presją oczekiwań innych. Nieważne, że ode mnie wciąż czegoś chciano, a od niego właściwie nic. Tak samo próbowaliśmy decydować o sobie i naciągać stawiane nam granice. Adrian Iwaszkow - nonszalancki bywalec imprez, wampir — bardziej przypominał mnie samą niż ktokolwiek. Ta myśl była tak zaskakująca, że nie mogłam mu odpowiedzieć od razu.

- Tak - zgodziłam się w końcu. - Pomogę ci. - Zadrżałam. Powrócił lęk przed snem i znów pragnęłam jedynie, by się skończył. Przystałabym na wszystko, byle tylko znów się znaleźć w swoim łóżku. - Ale teraz, proszę, wypuść mnie. Skończmy to. Cokolwiek to jest.

Powoli skinął głową, wciąż przejęty moją reakcją. Pokój zaczął się rozmywać, kolory i kształty bladły jak na oddalającym się obrazie. Wkrótce spowiała mnie ciemność, a po chwili obudziłam się w swoim pokoju. Dobiegł mnie ledwo słyszalny głos Adriana.

— Dzięki, Sage.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

JUŻ PRZEDTEM MIAŁAM PROBLEM Z ZAŚNIĘCIEM, a sen z Adrianem tylko pogorszył sprawę. Byłam już wprawdzie bezpieczna w pokoju, jednak nie mogłam się otrząsnąć po tym, jak wtargnął do moich myśli. Wyobrażałam sobie, że na mojej skórze zostały ślady po magii. Tak bardzo chciałam się wyrwać z tamtego snu, że nie do końca przemyślałam, na co się zgadzam. Szanowałam decyzję Adriana o podjęciu studiów, lecz teraz zastanawiałam się, czy powinnam mu pomóc, zwłaszcza po zarzutach ojca, że za bardzo zżyłam się z wampirami.

Wstałam w podłym nastroju kilka godzin później. W pokoju można było wyczuć napięcie, gdy obie z Jiłl szykowałyśmy się do szkoły. Po hardej postawie dziewczyny nie pozostał ślad. Obserwowała mnie z niepokojem, gdy była pewna, że tego nie widzę. Z początku myślałam, że czuje się onieśmielona po moim wczorajszym wybuchu. Uświadomiłam sobie, że chodzi o coś więcej, dopiero gdy wyszłyśmy na śniadanie.

— Co jest? — spytałam bez ogródek, żeby przerwać milczenie. — O co chcesz zapytać?

Zerknęła na mnie ostrożnie, gdy dołączyliśmy do dziewczyn idących w stronę schodów.

— Wczoraj coś się wydarzyło.

„Bardzo wiele” — pomyślałam. Przemawiały przeze mnie jednak przemęczenie i gorycz, wiedziałam, że Jill ma na myśli co innego.

— Mianowicie? — spytałam.

— No... Zaczęłam ci opowiadać, że Lee zabrał mnie do tego sklepu. Do butik, którego właścicielkę zna osobiście. Nazywa się Lia DiStefano. Rozmawiałyśmy i zaproponowała mi pracę. W pewnym sensie.

— W charakterze modelki? - Stałyśmy w kolejce do lady, chociaż nie czułam głodu. Wybrałam jogurt, który czekał samotnie na pustej tacy. - Rozmawiałyśmy już o tym. Nie możesz ryzykować.

Swoją drogą zakrawa na ironię, że Jill dostała pracę przypadkiem, a Adrianowi nie udało się to po trzech oficjalnych spotkaniach.

— Moje zdjęcia nie trafią do gazet, nie będę fotografowana. Chodzi o udział w pokazach kolekcji lokalnych projektantów. Nakłamaliśmy, że religia zabrania nam ujawniania tożsamości na fotografiach. Lia miała pomysł, by jej modelki występowały w maskach zakrywających połowę twarzy. Takich, jakie się nosi na balach kostiumowych. Maski, słabe oświetlenie i ruch... Trudno byłoby mnie rozpoznać na przypadkowym zdjęciu. Chodzi tylko o jeden pokaz, ale wcześniej musiałabym ją odwiedzić, by przymierzyć strój i odbyć próbę. Zapłaci mi za występ. Potrzebuję tylko transportu i pozwolenia rodziców.

Usiadłyśmy. Mieszałam jogurt, zastanawiając się nad tym, co powiedziała. Przez cały czas czułam na sobie jej wzrok.

— Na pewno się wygłupię — podjęła, kiedy milczałam. -Nie mam doświadczenia. Nawet nie wiem, dlaczego mnie wybrała. Może przygotowuje eksperyment w rodzaju pokazu dziwadła.

Zjadłam nareszcie łyżeczkę jogurtu i podniosłam na nią wzrok.

- Nie jesteś dziwadłem, Jill. Masz idealną figurę modelki. Trudno taką znaleźć. W każdym razie wśród ludzi. — Starłam się nie myśleć o tym, jak trudno nam ludziom osiągnąć fizyczną doskonałość morojek. O tym, jak przed laty ojciec skrytykował moją figurę: „Jeśli te potwory mogą tak wyglądać, dlaczego ty nie możesz?”.

- Mimo to uważasz, że to beznadziejny pomysł — powiedziała.

Milczałam. Wiedziałam, czego chce Jill, chociaż nie odważyła się poprosić wprost. Nie mogłam podjąć decyzji. Wciąż nie otrząsnęłam się po wczorajszych wydarzeniach i nie miałam ochoty być dla niej miłą. Z drugiej strony nie umiałam jej odmówić. Jeszcze nie teraz. Zachowała się nieodpowiedzialnie, ale dotarło do mnie, co mówiła o swoim nieszczęśliwym życiu. Ten występ bardzo by jej pomógł. Potrzebowała pozytywnego wzmocnienia. Laurel bez przerwy wyśmiewała jej wygląd. Jill poczułaby się pewniej, gdyby inni ją docenili. Powinna uświadomić sobie, że jest szczególna i wspaniała. Nie wiedziałam, czy przeklinać, czy dziękować Lee za taką możliwość.

— Nie możemy niczego ustalać przed rozmową z panią Weathers — rzekłam w końcu. Zerknęłam na zegar. — Właściwie już powinniśmy do niej iść.

Przełknęłam jeszcze kilka łyżek jogurtu, zanim wyrzuciłam go do kosza. Jill wzięła na drogę paczkę. Weszliśmy do holu bursy i odkryliśmy przesyłkę dla mojej podopiecznej: wspaniały bukiet czerwonych róż i liścik z przeprosina-

mi od Lee. Dziewczyna rozplęnęła się w zachwycie. Nawet ja podziwiałam ten romantyczny gest, choć pomyślałam złośliwie, że Lee powinien przysłać róże raczej Eddiemu i mnie. To nam należały się przeprosiny. Tak czy owak, kwiaty szybko zostały odsunięte na bok, bo zasiadliśmy z Jill w biurze pani Weathers, żeby wysłuchać wyroku.

— Rozmawiałam z dyrektorem. Nie zostaniesz zawieszona — oznajmiła opiekunka. — Jednak przez najbliższy miesiąc nie wolno ci opuszczać bursy w czasie wolnym. Będziesz się u mnie meldowała zaraz po lekcjach. Możesz jadać w stołówkach, ale tylko na terenie bursy, nie w zachodnim kampusie. Jedynym wyjątkiem może być polecenie nauczyciela, jeśli wyśle cię na przykład do biblioteki.

Obie przytaknęłyśmy i przez chwilę poczułam ulgę, że Jill nie wyrzucono ze szkoły. Po chwili zrozumiałam, że mamy poważny problem. Co prawda uprzedzałam Jill, by nie robiła sobie nadziei na pracę modelki. Konsekwencje jej lekkomyślności były jednak znacznie poważniejsze niż rezygnacja z modelingu.

— Skoro dostała areszt domowy, nie wolno jej opuszczać terenu szkoły — zauważyłam.

Pani Weathers posłała mi krzywy uśmiech.

— Zgadza się, panno Melrose. Na tym z grubsza polega areszt.

— To niemożliwe — zaprotestowałam. — Dwa razy w tygodniu spotykamy się w gronie rodzinnym.

Właściwie powinnyśmy wyjeżdżać częściej, lecz miałam nadzieję, że uda mi się wynegocjować choć okazjonalne wyjścia. Jill potrzebowała krwi, bez której wampir może przetrwać najdłużej dwa dni.

— Przykro mi, lecz obowiązują nas reguły. Twoja siostra złamała je i straciła przywileje.

— To spotkania religijne — rzuciłam. Grałam nieuczciwie, ale wiedziałam, że szkoła miałaby problem z odrzuceniem takiego argumentu. Nie zlekceważyła go nawet projektantka mody. — Chodzimy do kościoła razem z braćmi.

Wyraz twarzy pani Weathers powiedział mi, że trafiłam w dziesiątkę.

— Będziemy potrzebowali potwierdzającego listu od waszych rodziców w tej sprawie — oznajmiła na koniec.

Świetnie. Z wuefem nam się udało.

— Czy wystarczy list od starszego brata? Jest naszym prawnym opiekunem. — Nawet Keith nie mógł odmówić takiej prośbie. Chodziło o krew.

Wychowawczyni rozważała odpowiedź.

— Tak. Możemy na to przystać.

— Przykro mi — zwróciłam się do Jill, kiedy wyszliśmy na przystanek autobusowy. — Mam na myśli twój występ na wybiegu. I tak ciężko będzie uzyskać pozwolenie, żebyś mogła wyjeżdżać na karmienie.

Jill skinęła głową, nie starając się ukrywać rozczarowania.

— Kiedy ten pokaz? — spytałam, myśląc, że uda jej się wystąpić po upływie kary.

— Za dwa tygodnie. Więc nie było możliwości.

— Przykro mi.

Ku memu zaskoczeniu Jill parsknęła śmiechem.

— Niepotrzebnie. Nie po tym, co zrobiłam. To mnie powinno być przykro. I jest, także dlatego, że Adrianowi nie udało się znaleźć pracy.

— W tej sprawie akurat nie ma powodu mu współczuć. Znów uderzyło mnie, jak łatwo wszyscy znajdowali dla niego usprawiedliwienie. Co już po chwili potwierdziła Jill.

— Nie może temu zaradzić. Taki już jest.

„Nie może zaradzić” — pomyślałam sarkastycznie, lecz powiedziałam tylko:

— Wytrzymaj trochę, dobrze? Zwrócę się do Keitha o pozwolenie na nasze praktyki religijne.

Uśmiechnęła się.

— Dzięki, Sydney.

Zwykle rozstawałyśmy się przy wyjściu z autobusu, ale tym razem poszła ze mną. Czułam, że chce mi coś wyznać, lecz nie ma odwagi.

— Tak? — ośmieliłam ją.

— Ja... chciałam ci powiedzieć, że bardzo mi przykro, iż sprawiłam tyle kłopotu. Wiele dla nas robisz. Naprawdę. Zdenerwowałam się, bo... Wiem, że się o mnie troszczysz. To więcej niż mogę powiedzieć o morojach na królewskim dworze.

— Nieprawda — zaprotestowałam. — Zależy im na tobie. Zadali sobie mnóstwo trudu, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

— Bardziej zależy im na Lissie niż na mnie — odparła ze smutkiem.

— Mama też o mnie nie walczyła, kiedy postanowili mnie odesłać.

— Bo tutaj jesteś bezpieczna — powtórzyłam. — Zdecydowali się na takie rozwiązanie, chociaż na pewno nie był to łatwy wybór.

Jill skinęła głową, lecz nie wiedziałam, czy udało mi się ją przekonać. Przed lekcją historii zdążyłam złożyć Eddie-mu poranny raport. Jego twarz zmieniała wyraz z każdą usłyszaną informacją.

— Myślisz, że Keith to załatwi? — spytał na koniec przyciszonym głosem.

— Nie ma wyjścia. Przyjechaliśmy tutaj, by zapewnić Jill przeżycie. Śmierć głodowa zniweczyłaby ten plan.

Nie powiedziałam mu, że mam problem z ojcem i alchemikami ani że za dwa tygodnie może mnie już tu nie być. Eddiego wyraźnie zdenerwowała sytuacja Jill, nie chciałam dodawać mu zmartwień.

Wieczorem spotkałam się z panną Terwiliger i oddałam jej ostatnie notatki ze starych ksiąg. Siadając w ławce, zobaczyłam na stole teczkę wypełnioną artykułami. Na okładce widniał napis wykonany złotymi ozdobnymi literami: Carlton College. Dopiero teraz przypomniałam sobie, że ta nazwa zabrzmiała znajomo, gdy Adrian wymówił ją we śnie.

— Panno Terwiliger... Czy nie wspominała pani, że zna kogoś w Carlton?

Nauczycielka podniosła wzrok znad komputera.

— Hmm? A, tak. To możliwe. Grywam w pokera z wykładowcami z wydziału historycznego. A latem miewam u nich wykłady. To znaczy z historii, nie z pokera.

— Ale pewnie nie ma pani znajomości wśród członków komisji naboru studentów?

— Raczej nie. Choć znam ludzi, którzy znają kogoś stamtąd. — Ponownie utkwiała wzrok w monitorze. Nie odezwałam się więcej, ale po chwili znów zerknęła na mnie. — Dlaczego pytasz?

— Bez powodu.

— Na pewno jest jakiś powód. Chcesz się tam przenieść? Bardziej byś na tym skorzystała. Tu jest niższy poziom, oczywiście poza moimi zajęciami.

— Nie chodzi o mnie, proszę pani — zaprzeczyłam. — To mój brat przymierza się do tego college'u. Słyszał, że jeszcze nie rozpoczęli zajęć, ale nie wie, czy zechcą go przyjąć w ostatniej chwili.

— Rzeczywiście, długo zwlekał — zgodziła się panna Terwiliger i przyjrzała mi się badawczo. — Chciałabyś, żebym popytała?

— Och. Nie, proszę pani. Miałam tylko nadzieję, że poda mi pani nazwiska osób, do których mogłabym się zwrócić. Nie prosiłabym o tak dużą przysługę.

Uniosła brwi.

— Niby dlaczego nie?

Zmieszałam się. Panna Terwiliger zachowywała się czasem nieprzewidywalnie.

— Bo... nie musi pani tego robić.

— Ale mogłabym ci wyświadczyć przysługę.

Nie znalazłam odpowiedzi, więc tylko uniosłam brwi ze zdumienia. Uśmiechnęła się i poprawiła okulary.

— Trudno ci w to uwierzyć, czy tak? Ze ktoś mógłby coś dla ciebie zrobić.

— Ja... cóż, to znaczy... — urwałam, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Pani jest moją nauczycielką i ma za zadanie jedynie, no... uczyć mnie. Nic więcej.

— Zaś twoim zadaniem — odparła — jest meldować się w tym pokoju na ostatniej przerwie, żebym mogła przekazywać ci różne ćwiczenia, które spiszesz w formie pracy semestralnej. Nie masz obowiązku przynosić mi kawy, przychodzić po lekcjach, organizować mi życia ani też kompletnie przestawiać swojego wyłącznie po to, by sprostać moim absurdalnym wymaganiom.

— Ale ja... nie mam nic przeciwko temu — wyjąkałam. — Poza tym ktoś musi to robić.

Panna Terwiliger zachichotała.

— Tak. I upierasz się przy wypełnianiu dodatkowych poleceń, prawda? Nawet jeśli są ci nie na rękę.

Wzruszyłam ramionami.

— Lubię dobrze wywiązywać się z powierzonych mi zadań, proszę pani.

— Spisujesz się doskonale. Znacznie lepiej, niżbym oczekiwała. I nigdy się nie skarżysz. Dlatego mogę przynaj-

mniej zadzwonić do kilku osób w twojej sprawie. — Znów się roześmiała. — Teraz dopiero się zaniepokoiłaś, co? Bo ktoś cię pochwalił.

— Ależ nie — bąknęłam. — To mi się zdarza.

Kobieta zdjęła okulary i przyglądała mi się z uwagą. Już się nie śmiała.

— A ja myślę, że tak nie jest. Nic o tobie nie wiem, ale znałam wielu uczniów podobnych do ciebie. Przyjeżdżali tutaj odsyłani przez rodziców. Doceniam rodzicielską troskę o wykształcenie dzieci, ale nazbyt często widzę, że wynika ona z braku czasu i ochoty, by angażować się w wychowanie. Ci ludzie nie interesują się dziećmi.

Zapuściłyśmy się na obszar osobistych relacji, toteż poczułam się nieswojo, zwłaszcza że nauczycielka miała sporo racji.

— To bardziej skomplikowane, proszę pani.

— Z pewnością — przytaknęła z niezwykłą dla siebie żarliwością. — Posłuchaj. Jesteś wyjątkową, utalentowaną i błyskotliwą młodą osobą. Nie pozwól, by ktokolwiek traktował cię gorzej, niż na to zasługujesz. Nikt nie ma prawa się tobą wysługiwać. Nie pozwalaj na to nawet nauczycielce, która bez przerwy posyła cię po kawę. — Panna Terwiliger włożyła okulary i zaczęła bezładnie przekładać papiery. Na koniec odnalazła długopis i uśmiechnęła się triumfalnie. — A zatem, jak nazywa się twój brat?

— Adrian, proszę pani.

— Dobrze. — Wzięła kartkę i starannie zapisała imię oraz nazwisko. — Adrian Melbourne.

— Melrose, proszę pani.

— Tak. Oczywiście. — Poprawiła błąd, mrużąc pod nosem: — Całe szczęście, że nie ma na imię Hobart. — Skończyła i oparła się wygodnie na krześle. — A teraz chciałabym cię o coś prosić.

— Zrobię wszystko — oświadczyłam.

— Czy mogłabyś wypróbować dla mnie jedno zaklęcie z pierwszej księgi?

— Nie rozumiem. Mam wypowiedzieć zaklęcie? Panna Terwiliger machnęła ręką.

— Nie obawiaj się. Nie proszę, byś używała czarodziejskiej różdżki czy składała ofiary ze zwierząt. Po prostu intryguje mnie, jak bardzo skomplikowane są formuły tych zaklęć. I czy ludzie stosowali się do nich dokładnie. Niektóre już na oko wymagają wielu przygotowań.

— Wiem — rzuciłam sucho. — Przepisywałam wszystkie.

— Otóż to. Zatem wypróbuj któreś. Krok po kroku. Sprawdź, ile czasu ci to zajmie i czy składniki zostały podane w odpowiednich proporcjach. Potem zapisz uzyskane wyniki. Wiem, że zrobisz to doskonale.

Zamurowało mnie. Panna Terwiliger nie prosiła wprawdzie, bym zajmowała się czarami, w każdym razie nie tak, jak robią to wampiry. To zresztą byłoby niemożliwe. Ludzie nie władają magią, która sprzeciwia się wszelkim prawom istnienia tego świata. Działanie alchemików opiera się na nauce. To prawda, opatrują swoje tatuaże zaklęciami, ale w tym celu korzystają z magii wampirów — nie mają własnej. Jedynym rytuałem, który mógłby kojarzyć się z wykorzystywaniem nadnaturalnej mocy, jest błogosławieństwo, o które prosimy, sporządzając nasze mikstury. Nauczycielka chciała tylko, abym odtworzyła stare zaklęcie. To nie będzie używanie magii. Nie ma w tym żadnej szkody. A jednak... dlaczego poczułam niepokój? Jakby poprosiła mnie, bym skłamała lub dopuściła się kradzieży.

— O co chodzi? — spytała.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zasłonić się przekonaniem religijnymi, ale odsunęłam tę myśl. Zbyt często ostatnio używałam tego argumentu.

— O nic, proszę pani. Jestem tylko zaskoczona. Panna Terwiliger wzięła do ręki oprawioną w skórę księgę i przerzuciła kilka kartek.

— To. Wypróbuj procedurę sporządzania amuletu spalającego. Jest skomplikowana, ale jeśli ci się to uda, będziesz miała gotową pracę na plastykę i technikę. Poza tym te składniki chyba nietrudno zdobyć.

Wzięłam od niej książkę i przebiegłam wzrokiem recepturę.

— Skąd ja wezmę pokrzywę?

— Spytaj pana Carnesa. Uprawia niewielki ogród na terenie szkoły. Resztę składników kupisz bez problemu. Paragony możesz mi przedłożyć potem. Zwrócę ci pieniądze, które na mnie wydajesz. Na pewno już straciłaś fortunę na te wszystkie kawy.

Nabrałam otuchy, widząc chaotyczny dobór składników niezbędnych do wykonania amuletu. Pokrzywa. Agat. Jedwabna szmatka. Nie było tam nic, co mogło wzniecić ogień. Uznałam, że zaklęcie jest nic niewarte, więc skinęłam głową i obiecałam, że nazajutrz przeprowadzę eksperyment.

Zabrałam się do pisania oficjalnego listu do władz szkoły, który zamierzałam wysłać rzekomo w imieniu Keitha. Wyjaśniłam, że nasze przekonania religijne wymagają spotkań dwa razy w tygodniu i że Jill musi w nich uczestniczyć nawet w okresie odbywania kary. Obiecałam solennie, że będzie się zgłaszała u pani Weathers przed każdym wyjściem i po powrocie. Byłam zadowolona z efektu, chociaż stwierdziłam, że stanowczo Keith jest w tym liście zbyt elokwentny.

Zadzwoiłam do niego po lekcjach i opowiedziałam pokrótce, co się przydarzyło Jill. Oczywiście miał pretensje do mnie.

— Nie powinnaś spuszczać jej z oka, Sydney! — wykrzyknął.

— A jednocześnie uchodzić za zwykłą uczennicę, więc nie mogę jej towarzyszyć bez przerwy. — Nie wspomniałam o tym, że w czasie kiedy Jill się ulotniła, jeździłam po mieście z Adrianem.

— I teraz ja muszę ponosić konsekwencje — poskarżył się zbolalym głosem. — Cierpię z powodu twojego braku kompetencji.

— Cierpisz? Musisz tylko podpisać list, który za ciebie napisałam. Jesteś teraz w domu? Przywiozę ci go.

Spodziewałam się oburzenia na tę propozycję, skoro tak go zirytowała sama wiadomość. Byłam zaskoczona, kiedy zareagował spokojnie.

— Nie musisz tego robić. Przyjadę do ciebie.

— To żaden problem. Mogę być u ciebie za niecałe dziesięć minut. — Nie chciałam dawać mu powodu do składania alchemikom skarg na moje postępowanie.

— Nie — odparł stanowczo. — To ja przyjadę. Już wychodzę. Spotkamy się w sekretariacie?

— Dobrze — bąknęłam, zdumiona tą nagłą zmianą jego nastawienia. Czyżby chciał mnie sprawdzić? Przyjedzie na inspekcję? — Do zobaczenia.

Byłam już w środkowym kampusie, więc od razu poszłam do sekretariatu. Usiadłam na ozdobnej kamiennej ławce z widokiem na parking dla gości i czekałam. Upał doskwierał jak co dzień, więc schowałam się w cieniu i odpoczywałam. Ławkę ustawiono na niewielkim trawniku wśród kwitnących roślin. Dostrzegłam obok tabliczkę z napisem: „Ogród pamięci Kelly Hayes”. Nie widziałam jej tu wcześniej.

— Cześć, Sydney!

Kristin i Julia wyszły z budynku i machały do mnie. Podeszły i przysiadły obok, pytając, co porabiam.

— Czekam na brata.

— Jest przystojny? — spytała z nadzieją Kristin.

— Nie — zaprzeczyłam. — Zupełnie nie.

— Owszem jest — sprzeciwiła się Julia. — Widziałam go w bursie w ubiegły weekend. Wychodziliście razem na lunch.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że ma na myśli Adriana.

— Och. To mój drugi brat. Nie są do siebie podobni.

— Czy to prawda, że wasza siostra ma poważne kłopoty? — chciała wiedzieć Julia.

Wzruszyłam ramionami.

— Nie takie poważne. Nie wolno jej opuszczać kampusu, chyba że w towarzystwie rodziny. Mogło się skończyć gorzej. Chociaż... straciła przez to pracę modelki, więc jest przygnębiona.

— U kogo ta praca? — dopytywała Kristin. Szukałam w pamięci nazwiska.

— U Lii DiStefano. Za dwa tygodnie urządza pokaz mody i chciała, by Jill prezentowała jej projekty. Niestety, Jill ma areszt domowy.

Obie dziewczyny wytrzeszczyły oczy.

— Lia projektuje fantastyczne ciuchy! — poinformowała Julia. — Jill musi wziąć udział w tym pokazie. Dostanie za to za darmo strój.

— Mówiłam wam już, że jej nie wypuszczą. Kristin przekrzywiła głowę z namysłem.

— A gdyby powiedziała, że to zadanie zlecone przez któregoś z nauczycieli? Coś w rodzaju praktyki albo kształcenia zawodowego? — Spojrzała na przyjaciółkę. — Nie mamy tu kółka kroju i szycia?

— Chyba mamy — rozjaśniła się Julia. — To dobry pomysł. Czy Jill należy do jakiegoś kółka? — Amberwood wymagała, by uczniowie zajmowali się jakimś hobby. — Mogłaby się zapisać na kurs kroju i szycia... Wtedy na pewno uznano by pokaz u Lii jako pracę w terenie.

Któregoś dnia Jill omal nie spruła sobie swetra, usiłując zawiązać supeł na wystającej nitce.

— Nie wydaje mi się, by była w tym dobra.

— To bez znaczenia — oświadczyła Kristin. — Większość uczestniczek nie ma pojęcia o szyciu. Za to każdego roku zgłaszają się na pokazy u lokalnych projektantów mody. Panna Yamani na pewno zgodzi się posłać tam Jill. Uwielbia Lię DiStefano.

— Załatwione — dodała triumfalnie Julia. — Jill odbędzie praktyki zawodowe.

— Ciekawe — mruknęłam nieprzekonana. — Powiem o tym Jill. — Tymczasem na parking wjechał znajomy niebieski samochód. Wstałam z ławki. — Oto i on.

Keith wysiadł z auta i rozglądał się za mną. Kristin kiwnęła na jego widok z aprobatą.

— Nie jest taki brzydki.

— Możesz mi wierzyć — odparłam, odchodząc — że nie chciałabyś mieć z nim nic wspólnego.

Keith posłał dziewczynom coś, co zapewne miało być czarującym uśmiechem, i nawet do nich mrugnął. Uśmiech znikł, kiedy tylko się oddaliły. Nie krył zniecierpliwienia, aż się zdziwiłam, że nie tupie nogą.

— Załatwmy to szybko — rzucił.

— Skoro tak się spieszysz, dlaczego nie przyjechałeś w wolnej chwili? — Podałam mu teczkę, do której włożyłam list i długopis. Keith podpisał, nie czytając, i oddał mi papiery.

— Potrzebujesz jeszcze czegoś? — spytał.

-Nie.

— Tylko znowu czegoś nie zepsuj — ostrzegł, otwierając drzwiczki.

— Nie mam czasu, żeby cię wiecznie kryć.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — odważyłam się spytać wprost. —
Już zadbałeś o to, by się mnie stąd pozbyć.

Posłał mi zimny uśmiech.

— Nie trzeba było wchodzić mi w drogę. Ani teraz, ani przedtem. —
Mrugnął, a potem obrócił się na pięcie.

Wpatrywałam się w niego, nie wierząc własnym uszom. Po raz pierwszy nawiązał do wydarzenia sprzed lat.

— W tym właśnie problem! — krzyknęłam za nim. — Wtedy ci się nie przeciwstawiłam. Uszło ci to na sucho. Ale nie popełnię drugi raz tego błędu. Myślisz, że się ciebie boję? To ty masz powody się bać.

Keith zatrzymał się i powoli obrócił w moją stronę. Jego twarz wyrażała niedowierzanie. Nie dziwiłam mu się. Sama byłam zaskoczona tym, co powiedziałam. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek przedtem odważyła się otwarcie przeciwstawić komuś wyższemu rangą, a już na pewno nie osobie, która miała mnie w garści.

— Uważaj — wycedził po chwili. — Mogę sprawić, że twoje życie zamieni się w piekło.

Posłałam mu lodowaty uśmiech.

— Już sprawiłeś i dlatego masz przewagę. Posunąłeś się bardzo daleko, ale jeszcze nie wiesz, na co mnie stać.

Blefowałam, szczególnie że Keith mógł zrobić znacznie więcej. Zdołałby nawet sprowadzić tu Zoe w ciągu doby i odesłać mnie do ośrodka reedukacji.

Mimo to skazując mnie, podpisałby wyrok również na siebie.

Długo mi się przyglądał. Nie wiem, czy go nastraszyłam, czy po prostu nie raczył odpowiedzieć. Odwrócił się i odszedł bez słowa. Byłam wściekła. Poszłam do sekreta-

riatu z listem. Pani Dawson podbiła pieczętkę i zrobiła mi kopię dla pani Weathers.

— Kim jest Kelly Hayes? - spytałam, gdy oddawała mi list.

Pogodna zazwyczaj twarz kobiety nagle posmutniała.

— Biedna dziewczyna. Uczyła się tutaj kilka lat temu.

Przypomniałam sobie.

— To o niej wspominała pani Weathers? Zaginęła? Sekretarka przytaknęła ruchem głowy.

— Straszna historia. Taka miła dziewczyna. Młodziutka. Nie zasłużyła na taką śmierć. W ogóle nie zasłużyła na śmierć.

Musiałam zapytać.

— Jak zginęła? Wiem, że została zamordowana, ale nie słyszałam szczegółów.

— Może i dobrze. To ponura sprawa. — Pani Dawson rozejrzała się, jakby obawiała się kłopotów za plotkowanie z uczennicą. Nachyliła się do mnie przez biurko z poważną miną. — Biedactwo, wykrwawiła się na śmierć. Podcięto jej gardło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

OMAL NIE ZAPYTAŁAM:

— Mówi pani serio?

Ale nie był to temat do żartów, szczególnie że sekretarka wyglądała na zmartwioną. Na usta cisnęły mi się kolejne pytania, lecz je powstrzymałam. Nie chciałam zwracać na siebie uwagi, wykazując nadmierne zainteresowanie ponurym morderstwem. Podziękowałam więc za pomoc w sprawie listu i wróciłam do kampusu wschodniego.

Pani Weathers siedziała za biurkiem. Podałam jej list, który przeczytała dwukrotnie, zanim odłożyła go do akt.

- W porządku - os'wiadczyła. - Dopilnuj tylko, by siostra meldowała się przed każdym wyjściem.

- Tak, proszę pani. Dziękuję. - Zawahałam się, nie wiedząc, czy mogę zadać jej kilka pytań, które pojawiły się w mojej głowie po wizycie w sekretariacie. - Pani Weathers... od czasu zniknięcia Jill nie mogę przestać myśleć o tej dziewczynie, o której pani mi wspominała. Tej zamordowanej. Wciąż zadręczam się wizją, że to mogła być Jill.

Twarz opiekunki złagodniała.

— Jill jest bezpieczna. Nie powinnam była opowiadać o tamtej historii. Nie chciałam cię przestraszyć.

— Czy to prawda, że tej dziewczynie podcięto gardło?

— Tak. — Kobieta pokiwała głową ze smutkiem. — Straszna tragedia. Straszna. Nie wiem, kto dopuszcza się takich rzeczy.

— Czy policja odkryła motyw? Jakaś tajemnicę tej dziewczyny?

— Tajemnicę? Nie, raczej nie. To było urocze dziecko. Bystra, ładna, lubiana. Właściwie doskonała. Uprawiała sport. Miała przyjaciółki, chłopaka. Ale nic nie sugerowało, że mogła stać się obiektem nienawiści. Oczywiście ludzie robią straszne rzeczy bez konkretnego powodu.

— To fakt — mruknełam.

Poszłam do siebie, żałując, że pani Weathers nie rozgadała się na temat urody Kelly. Ciekawiło mnie, czy dziewczyna była morojką. Odgadłabym to, słysząc o jej niezwykłym wzroście albo bladości skóry. Ale zarówno Clarence, jak i alchemicy twierdzili, że w tym rejonie nie przebywali inni moroje. Jednak nie musieli wiedzieć wszystkiego. Postanowiłam się tego dowiedzieć na własną rękę. Jeśli Kelly była morojką, mielibyśmy trzy młode wampirzyce zabite w stosunkowo krótkich odstępach czasu. Clarence snuł teorie na temat łowców wampirów, ale mnie to wyglądało na strzygi.

Jill odsiadywała areszt w pokoju. Moja złość na nią przeszła. Zwłaszcza że znalazłam rozwiązanie problemu karmienia. Denerwowałabym się, gdyby nie pozwolono mi jej zabierać poza teren szkoły.

— Co się stało? — spytała, podnosząc wzrok znad laptopa.

— Dlaczego myślisz, że coś się stało? Uśmiechnęła się.

— Masz tę minę. Zawsze, kiedy próbujesz coś rozwiązać, robi ci się zmarszczka między brwiami.

Potrząsnęłam głową.

— To nic ważnego.

— Wiesz — powiedziała. — Może byłoby ci lżej unieść te wszystkie zadania, gdybyś mogła o nich rozmawiać i uzyskać pomoc.

— Tym razem nie chodzi o obowiązki. Usiłuję rozwiązać pewną zagadkę.

— Opowiedz mi o tym — poprosiła. — Możesz mi zaufać.

To nie była kwestia zaufania. Nie chciałam niepotrzebnie niepokoić Jill. Pani Weathers obawiała się, że mnie przestraszy, lecz jeśli ktoś mordował morojki, to nie ja znalazłam się w niebezpieczeństwie. Spojrzałam prosto w oczy Jill i uznałam, że jeśli potrafi żyć ze świadomością zagrożenia ze strony swojej rasy, poradzi sobie i z tą wiadomością. Streściłam jej wszystko, co odkryłam.

— Ale nie wiesz, czy Kelly była morojką — stwierdziła, gdy skończyłam.

— Nie. I to jest kluczowa informacja. — Siedziałam na łóżku po turecku przed rozłożonym laptopem. — Zaraz przejrzę dane alchemików oraz lokalne gazety. Może zamieścili gdzieś jej zdjęcie. Pani Weathers podpowiedziała mi tylko, że Kelly była bardzo wysportowana.

— Co może sugerować, że nie łączyły jej żadne więzi z morojami — doszła do wniosku Jill. — Zobacz, jak beznadziejnie sobie radzę na słońcu. Oparłaś swoją teorię na założeniu, że ta dziewczyna była wampirem. A jeśli się mylisz? Co wtedy? Czy możemy zapomnieć o całej sprawie? Nie zyskamy pewności, czy mordercą jest ta sama osoba... I co, jeśli sprawca zabił dwie morojki i jednego człowieka?

Trafiła w sedno.

— Nie wiem — przyznałam.

Poszukiwania na stronie alchemików nie przyniosły rezultatów. Nie zamieścili żadnych informacji na temat śmierci Kelly, co mogło oznaczać, że była człowiekiem. Więcej wiadomości odnalazłam w lokalnej prasie, ale nie natrafiłam na ani jedno zdjęcie dziewczyny.

— Może będzie wzmianka w kronice szkolnej? — podsunęła Jill. — Ktoś tu na pewno je pisze.

— Świetna myśl — ucieszyłam się.

— Widzisz? Mówiłam, że mogę ci się przydać. Uśmiechnęłam się do niej i nagle coś sobie przypomniałam.

— Och, mam dla ciebie dobre wieści. Prawdopodobnie.

— Opowiedziałam jej pokrótce o „planie” Julii i Kristin i zaproponowałam, by zapisała się do kółka krawieckiego.

Jill pojaśniała, lecz była ostrożna.

— Naprawdę myślisz, że to się uda?

— Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

— Nigdy w życiu nie siedziałam przy maszynie do szycia

— wyznała.

— W takim razie masz okazję spróbować — odparłam. — A może dziewczyny przyjmą cię jako modelkę.

Jill prychnęła.

— Skąd wiesz, że tam chodzą tylko dziewczyny?

— Nie wiem — zgodziłam się. — Chyba myślę stereotypami.

W tej chwili odezwała się moja komórka i na ekranie wyświetlił się numer panny Terwiliger. Odebrałam, przygotowując się w duchu na wyprawę po kawę.

— Panna Melbourne? — spytała. — Jeśli może pani stawić się z bratem za godzinę w Carlton, porozmawiacie z osobą odpowiedzialną za nabór studentów, zanim zamkną biuro. Zdążycie?

Zerknęłam na zegar i założyłam, że Adrian nie robi nic ważnego.

— Uhm, tak. Tak, oczywiście, proszę pani. Dziękuję. Dziękuję bardzo.

— Człowiek, z którym się spotkacie, nazywa się Wes Regan. — Przerwała. — Czy mogłabym panią prosić o cappuccino w drodze powrotnej?

Zapewniłam ją o dostawie i zadzwoniłam do Adriana z poleceniem, by na mnie czekał. Błyskawicznie przebrałam się w bluzkę i spódnicę ze skosu. Przeglądając się w lustrze, stwierdziłam, że Iwaszkow miał rację. Nie widać było wielkiej różnicy między szkolnym mundurkiem a moim normalnym ubiorem.

— Szkoda, że nie mogę pojechać z wami — mruknęła z żalem Jill. — Chciałabym zobaczyć Adriana.

— W pewnym sensie widujecie się codziennie.

— Fakt - przyznała. - Chociaż jeszcze nie nauczyłam się przenikać do jego myśli zawsze, kiedy tego chcę. Na razie zdarza mi się to przypadkowo. Poza tym to nie to samo. On nie może ze mną rozmawiać.

Omam nie palnęłam, że to lepsze niż osobista rozmowa z nim, ale uznałam, że tym nie poprawię jej nastroju.

Adrian był gotów do wyjścia, kiedy podjechałam pod dom Clarence'a. Stał przejęty.

— Minęłaś się z przyjacielem - poinformował mnie, wsiadając do Latte.

— To znaczy z kim?

— Z Keithem. Skrzywiłam się.

— Nie jest moim przyjacielem.

— Czyżby? Większość z nas dostrzegła to już pierwszego dnia, Sage.

Zrobiło mi się nieswojo. Z jednej strony czułam, że nie powinnam pozwalać sobie na subiektywizm w relacjach służbowych. Keith i ja byliśmy partnerami — w pewnym sensie — i powinniśmy tworzyć wspólny front. Z drugiej zaś cieszyłam się, że oni — nawet jeśli chodziło o wampiry i dampiry — wyczuli, że nie jestem taka jak Keith. Nie chciałam, by myśleli, że mam z nim wiele wspólnego. I z całą pewnością nie pragnęłam mieć.

Naraz dotarło do mnie pełne znaczenie słów Adriana.

— Chwileczkę. Był tutaj?

— Zaledwie pół godziny temu.

Musiał się tu zjawić prosto z Amberwood. Całe szczęście, że na niego nie wpadłam. Coś mi mówiło, że Keith nie pochwaliby naukowych ambicji Adriana.

— Po co przyjechał?

— Pojęcia nie mam. Chyba sprawdzić, co u Clarence'a. Gospodarz nie czuje się dobrze. — Adrian wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. — Mogę zapalić?

— Nie — odparłam krótko. — Co jest Clarence'owi?

— Właściwie nie wiem. Dużo odpoczywa, a w domu zapanowała jeszcze większa nuda. Nie był błyskotliwym rozmówcą, mimo to jego szalone opowieści wydawały się całkiem interesujące. — Adrian się zasmucił. — Zwłaszcza przy szklaneczce szkockiej.

— Informuj mnie na bieżąco o stanie zdrowia staruszka — mruknęłam.

Zastanawiałam się, czy z tego powodu Keith tak bardzo się spieszył. Gdyby Clarence się rozchorował, musielibyśmy zatroszczyć się o lekarza moroja. Skomplikowałoby to nam życie, bo starszego pana trzeba by było gdzieś zawieźć albo ściągnąć do jego domu lekarza. Niby nie powinnam zaprzętać sobie tym głowy, skoro Keith zajął się sprawą, lecz... nie wierzyłam, że się postara.

— Nie wiem, jak z nim wytrzymujesz — stwierdził Adrian. — Z początku myślałem, że jesteś słaba i się poddajesz... Zmieniłem zdanie. Szczerze mówiąc, uważam, że twarda z ciebie sztuka. Trzeba dużo siły, żeby się nie skarżyć na taki los. Mnie brakuje twojej dyscypliny.

— Masz jej więcej, niż ci się wydaje — stwierdziłam, lekko zażenowana tym komplementem. Nazbyt często oskarżałam się o brak uporczywości i odwagi, by dostrzec własną siłę. Jeszcze bardziej zaskoczyło mnie, że uświadomił mi to Adrian. — Stąpam po cienkiej linii. Mój tata — i alchemicy — przywiązują wielką wagę do posłuszeństwa i wykonywania poleceń zwierzchników. Jest mi tym trudniej, że mają mi ostatnio sporo do zarzucenia, więc naprawdę nie mogę sobie pozwolić na humory.

— Z powodu Rose? — rzucił ostrożnie. Potwierdziłam ruchem głowy.

— W ich oczach mój czyn jest ekwiwalentem zdrady.

— Nie mam pojęcia, co znaczy „ekwiwalent”, ale zabrzmiało poważnie. — Widziałam, że przygląda mi się spod oka. — A warto było?

— Do tej pory tak — odparłam bez zastanowienia, bo Zoe nie dostała jednak tatuażu, a ja nie trafiłam jeszcze do ośrodka reedukacji. Może odpowiedziałabym inaczej, gdyby sytuacja przybrała inny obrót. — Postąpiłam słusznie. To usprawiedliwia moje spontaniczne decyzje.

— Sam złamałem wiele reguł, żeby jej pomóc — wyznał z zakłopotaniem. — Zrobiłem to z miłości. Złe rozumianej, ale z miłości. Nie wiem, czy to równie szlachetny powód jak twój, szczególnie że ona kochała innego. Większość moich „pochopnych decyzji” nie służyła żadnej sprawie. Przeważnie chciałem dokuczyć rodzicom.

Poczułam ukłucie zazdrości. Nie mogłam sobie nawet wyobrazić, że usiłuję wywołać jakąś reakcję ojca, chociaż chciałabym.

— Sądzę, że miłość jest szlachetnym powodem — powiedziałam. Mówiłam, rzecz jasna, teoretycznie. Nigdy nie byłam zakochana i nie miałam punktu odniesienia. Jednak patrząc na innych, wierzyłam, że to musi być cudowne przeżycie... Tymczasem byłam tak zajęta pracą, że nie odczuwałam braku życia uczuciowego. Nieraz zastanawiałam się, czy powinnam się tym martwić. — Myślę też, że masz mnóstwo czasu, by robić inne szlachetne rzeczy.

Zachichotał.

— Nie spodziewałem się, że motywować mnie będzie osoba, która uważa mnie za złą i pokrętną istotę.

Więc było nas dwoje.

Nieśmiało zdecydowałam się zadać mu pytanie, które nurtowało mnie od dłuższego czasu.

— Czy wciąż ją kochasz? Rose? — Nie wiedząc, jak to jest być zakochaną, nie miałam też pojęcia, jak długo dochodzi się do siebie po stracie miłości.

Uśmiech Adriana zgasł. Zamyślił się.

— Tak. Nie. Trudno zapomnieć o kimś takim jak ona. Miała na mnie wielki wpływ, dobry i zły. Nie mogę tak po prostu pójść dalej. Staram się jednak nie myśleć o niej w kategoriach miłości i nienawiści. Próbuję żyć. Z różnym skutkiem.

Wkrótce dojechaliśmy do college'u. Wes Regan okazał się pokaźnym mężczyzną ze szpakowatą brodą. Pracował w biurze rekrutacji. Panna Terwiliger kiedyś udzielała jego siostrzenicy korepetycji i Wes był jej winien przysługę.

— Oto jak mają się sprawy — zaczął, kiedy usiedliśmy naprzeciwko. Adrian miał na sobie spodnie koloru khaki

i koszulę w odcieniu szalwii. W tym stroju świetnie prezentowałyby się podczas rozmowy o pracę. Za późno. — Nie mogę tak po prostu wpisać pana na listę studentów. Formularze do college'u są długie i wymagają odpisów różnych dokumentów, których nie zdąży pan tu ściągnąć w ciągu doby. Mogę więc zaproponować panu pozycję wolnego słuchacza.

— A na czym to będzie polegać? — spytał Adrian.

— Będzie pan mógł brać udział w wykładach i ćwiczeniach, ale nie zostanie pan za to oceniony.

Adrian już otwierał usta, a ja wyobraziłam sobie, co chce powiedzieć na temat starań bez nagrody. Ubiegłam go.

— I co dalej?

— Kiedy zbierze pan potrzebne dokumenty w ciągu tygodnia czy dwóch — i zostanie pan przyjęty — mogę przyznać panu status studenta.

— A stypendium? — Adrian nachylił się do urzędnika. — Czy mogę liczyć na jakieś pieniądze?

— Jeśli zostanie pan zakwalifikowany — odparł Wes. — Wcześniej to niemożliwe.

Moroj opadł z powrotem na krzesło. Odgadłam jego myśli. Jeśli zgromadzenie dokumentów zabierze mu dwa tygodnie, na pieniądze też będzie musiał poczekać. Oznaczało to konieczność przemieszkiwania u Clarence'a jeszcze co najmniej przez miesiąc, a i to był wariant optymistyczny. Oczekiwałam, że podziękuję za studia. Tymczasem przybrał rezolutną minę. Skinął głową.

— Zgoda. Poproszę o te formularze. Zaimponował mi.

Pozazdrościłam mu również, gdy Wes pokazał nam katalog kursów. Znalazłam wprawdzie coś dla siebie w Amberwood, ale oferta szkoły nie mogła się równać z prawdziwym college'em. Dzieliła je przepaść. Kurs historii obejmo-

wał zajęcia, o których mogłam jedynie pomarzyć. Adrian nie wykazał najmniejszego zainteresowania tą dziedziną wiedzy. Od razu zagłębił się w ofertę wydziału sztuki.

Ostatecznie zdecydował się na dwa kursy dla początkujących: malarstwo olejne i akwarelowe. Zajęcia odbywały się trzy razy w tygodniu i zaplanowano je tak, by następowały zaraz po sobie.

— To wygodne rozwiązanie, skoro będę przyjeżdżał autobusem — wyjaśnił, gdy wychodziliśmy.

Zerknęłam na niego ze zdumieniem.

— Zamierzasz jeździć autobusem? Wyglądał na rozbawionego moją reakcją.

— A czym innym? Zajęcia odbywają się w ciągu dnia. Nie możesz mnie wozić.

Pomyślałam o domu na odludziu.

— Myślisz, że jest jakaś linia autobusowa w pobliżu Clarence[^]?

— Widziałem przystanek niecały kilometr od domu. Potem przesiądę się do autobusu jadącego prosto do Carlton. Cała podróż zajmie mi ledwie godzinę.

Przyznaję — zaniemówiłam. Byłam zaskoczona, że sprawdził dojazd, nie wspominając już o gotowości Adriana do podjęcia takiego wysiłku. Przez całą drogę powrotną nie zająknął się słowem o niewygodach ani o tym, jak długo będzie musiał czekać na wyprowadzkę od Clarence'a.

Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem Jill o sukcesie Iwaszkowa — choć pewnie już o wszystkim wiedziała. Może nawet więcej niż ja. Wciąż się o niego martwiła, więc na pewno ją ucieszy, że Adrianowi wreszcie zaczęło się układać.

Jill nie zastałam w pokoju, gdy weszłam, lecz zostawiła mi liścik, że jest na terenie bursy. Jediną jasną stroną kary było to, że wiedziałam z grubsza, gdzie przebywa moja

podopieczna. Postanowiłam skorzystać z jej nieobecności i zająć się sporządzeniem amuletu dla panny Terwiliger. W ciągu ostatnich dni gromadziłam potrzebne składniki. Promotorka załatwiła mi również dostęp do laboratorium chemicznego od nauczycielki biologii. Wieczorem nikt tam nie zaglądał, więc miałam mnóstwo miejsca i przestrzeń do pracy.

Jak obie zauważyłyśmy, instrukcje były niezwykle szczegółowe i — moim zdaniem — zbyteczne. Nie wystarczyło odmierzyć odpowiednią liczbę liści pokrzyw. Zgodnie z przepisem miały „odpoczywać przez godzinę” i w tym czasie powinnam do nich przemawiać. Należało wypowiadać formułę „Do was płomień przepajam” co dziesięć minut. Jednocześnie podgrzewałam agat, by „nasyścić go ciepłem”. Pozostałe zalecenia brzmiały podobnie. Panna Terwiliger nie mogła sprawdzić, czy się do nich stosowałam. Ponieważ celem eksperymentu było doświadczenie, jak to jest być starożytnym adeptem magii, wykonywałam wszystkie punkty jak najdokładniej i wkrótce pogrążyłam się w transie, w którym nie ma miejsca na nic poza czarami.

Skończyłam mniej więcej po dwóch godzinach i zaskoczyło mnie, jak wyczerpujące okazało się to zajęcie. Cel nie był wart poświęconej mu energii. Trzymałam w ręku rzemień, z którego zwisało jedwabne zawiniątko wypełnione liśćmi i kamieniami. Zaniósłam je wraz z notatkami do pokoju, zamierzając napisać raport dla panny Terwiliger i szybko zapomnieć o sprawie. Stałam jak wryta przed naszymi drzwiami. Ktoś namalował na nich czerwoną farbą nietoperze i twarze o ustach, z których wystawały kły. Wielkimi literami napisano przez całą szerokość drzwi: WAMPIRZYCA.

Wpadłam w panikę. W pokoju siedziała już Jill w towarzystwie pani Weathers i nauczycielki, której nie znałam.

Kobiety przeszukiwały nasze rzeczy. Nie wierzyłam własnym oczom.
— Co się tu dzieje? — spytałam.

Jill potrząsnęła głową z przerażoną miną. Nie była w stanie odpowiedzieć. Najwyraźniej przyszłam na koniec rewizji, bo pani Weathers i jej pomocnica zbierały się do wyjścia. Pomyślałam z ulgą, że zabrałam wszystkie akcesoria alchemiczne. Z całą pewnością nie chciałam się tłumaczyć z kolekcji chemikaliów, jaką dysponowałam.

— Cóż — pani Weathers miała surowy wyraz twarzy — wygląda na to, że nic tu nie ma, ale być może jeszcze do was zajrzę. Proszę więc nie myśleć, że się pani upiekło. Ma pani wystarczająco dużo kłopotów. — Westchnęła i pokręciła głową, patrząc na Jill. — Bardzo mnie pani rozczarowała, panno Melrose.

Jill zbladła.

— Mówiłam, że to pomyłka!

— Miejmy nadzieję — odparła opiekunka z groźbą w głosie. — Miejmy nadzieję. Zamierzałam kazać pani posprzątać zniszczenia na zewnątrz, jednak skoro nie mamy dowodów... wezwę jutro sprzątaczkę.

Kobiety wyszły, a ja natychmiast zwróciłam się do Jill.

— Co się stało?

Dziewczyna opadła z jękiem na łóżko.

— Laurel. Usiadłam.

— Opowiadaj.

— Poszłam do biblioteki, aby poszperać w kronikach szkolnych i znaleźć jakieś fotografie Kelly Hayes. Okazuje się, że normalnie mają tam takie rzeczy, ale wszystko wypożyczyła jakaś gazeta z okazji rocznicowego wydania poświęconego Amberwood. Nie zgadniesz, kto został wyznaczony do tego projektu — Laurel.

— Masz rację — przyznałam. — Nigdy bym nie zgadła. Czy takich projektów nie zleca się pierwszacom? — Laurel chodziła do drugiej klasy.

— Owszem.

— Cóż, każdy potrzebuje jakiegoś zajęcia — mruknęłam.

Jill skinęła głową.

— Tak czy owak panna Yamani była w budynku, więc poszłam ją spytać, czy mogę zapisać się do kółka krawieckiego i pracować dla Lii. Bardzo się tym przejęła i obiecała, że wszystko załatwi.

— No, to jest coś — odparłam ostrożnie, wciąż nie mając pojęcia, jaki to ma związek ze zniszczonymi drzwiami i rewizją w naszym pokoju.

— Idąc do pokoju, minęłam się w holu z Laurel. Postanowiłam zaryzykować... Podeszłam do niej i powiedziałam, że jest mi przykro, że nie udało nam się dogadać, a potrzebuję jej pomocy. Wyjaśniłam, że chodzi mi o kroniki szkolne i zapytałam, czy może mi je wypożyczyć na jeden wieczór. Obiecałam oddać jak najszybciej.

Milczałam. Jill zachowała się bardzo szlachetnie i odważnie, szczególnie że zachęcałam ją, by starała się być lepsza od Laurel. Niestety, nie spodziewałam się po rudowłosej podobnej dojrzałości. I się nie myliłam.

— Oświadczyła mi... bardzo wyraźnie, że nigdy nie dostanę tych kronik. — Jill się nachmurzyła. — Dorzuciła też parę innych przyjemności. I wtedy, uhm, nazwałam ją podłą suką. Wiem, że nie powinnam, ale cóż, zasłużyła sobie! Po tym wszystkim Laurel pobiegła do pani Weathers z butelką... Nie wiem czego. Chyba wina malinowego. Twierdziła, że jej to sprzedałam i mam więcej w pokoju. Pani Weathers nie mogła mnie ukarać, nie mając dowodów, ale

ponieważ panna Chang oskarżyła mnie pierwszego dnia o kaca, uznała, że przeszuka nasz pokój.

Pokręciłam głową z niedowierzaniem, czując, jak wzbiera we mnie gniew.

— Jak na elitarną, prestiżową szkołę szybko wyskakują z oskarżeniami! Wierzą we wszystko, co ktokolwiek powie. A skąd się wziął ten napis na drzwiach?

W oczach Jill załśniły łzy.

— To, oczywiście, sprawka Laurel — rzuciła sfrustrowana. — Albo jakiejś jej przyjaciółki. Miała alibi, bo w tym czasie rozmawiała z panią Weathers. Nie myślisz chyba... że się czegoś domyślają? Mówiłaś, że to tylko złośliwości... że ludzie nie wierzą w nasze istnienie... tak?

— Tak — potwierdziłam automatycznie.

Jednak zaczęłam się nad tym zastanawiać. Od czasu rozmowy telefonicznej z ojcem, kiedy wspomniał, że niektórzy ludzie coś podejrzewają i nie można ich uciszyć, nie miałam pewności, czy słusznie lekceważę żart Laurel. Czy po prostu uwzięła się na Jill, czy też może była jedną z tych osób, które wiedzą coś o świecie wampirów i mogą narobić kłopotów? Wątpiłam, że ktoś jej uwierzy, ale nie mogliśmy zwracać na siebie uwagi.

Czy to możliwe, że ona uważa Jill za wampirzycę?

Rozżalenie Jill zamieniło się w złość.

— Może to ja powinnam coś zrobić z Laurel. Są inne sposoby, by się na niej odegrać, lepsze od zamarzającego prysznicza.

— Nawet nie próbuj! — zaproponowałam pospiesznie. — Nie zniżaj się do tego. Zemsta jest podła, a ciebie stać na więcej. — „Poza tym — pomyślałam — każde niewyjaśnione zdarzenie może potwierdzić podejrzenia Laurel”.

Jill patrzyła na mnie ze smutnym uśmiechem.

— Wciąż to powtarzasz. Nie wydaje ci się, że ktoś powinien ją wreszcie uciszyć?

O, tak. Zdecydowanie tak mi się wydawało. Sprawy zaszły za daleko, powinnam była zareagować znacznie wcześniej. Jill miała rację, że istnieje wiele sposobów, by się na kimś odegrać. Naprawdę uważam, że zemsta jest podła i Jill nie powinna nic robić. To należało do mnie.

— Sama się tym zajmę — oświadczyłam. — Alchemicy wysłażą zażalenie od naszych rodziców.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem.

— I myślisz, że to wszystko załatwi?

— Jestem tego pewna — odparłam.

Zamierzałam dorzucić co nieco do treści skargi. Zerknęłam na zegarek i stwierdziłam, że jest już za późno na powrót do laboratorium. Ale to nie był problem. Postanowiłam nastawić budzik na wcześniejszą godzinę i pójść tam przed lekcjami.

Chciałam przeprowadzić pewien eksperyment, w którym Laurel odegra rolę królika doświadczalnego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ZMIESZANIE POTRZEBNYCH SKŁADNIKÓW było łatwe. Przeniesienie ich we właściwe miejsce zajęło mi parę dni. Najpierw musiałam się dowiedzieć, jakiego szamponu używa Laurel po lekcji wuefu. Szkoła oczywiście zapewniała nam środki higieniczne, ale ona na pewno nie używała do swoich cennych loków niczego darmowego. Kupiłam właściwy szampon w lokalnej drogerii i wylałam kosztowną zawartość do umywalki. Następnie napełniłam butelkę specyfikiem domowej roboty.

Pozostało mi jeszcze zamienić butelki i w tym celu poprosiłam o pomoc Kristin. Jej szafka sąsiadowała z szafką Laurel, a dziewczyna aż się paliła do tego zadania. Nie znosiła Laurel tak samo jak my, a poza tym od czasu, gdy pomogłam jej dojść do siebie po reakcji na nieszczęsny tatuaż, oświadczyła, że jest moją dłużniczką i zrobi wszystko, o co poproszę. Nie chciałam, by czuła się zobowiązana, ale teraz naprawdę potrzebowałam jej pomocy. Kristin wypatrzyła chwilę, kiedy Laurel odeszła od otwartej szafki, i ukradkiem dokonała zamiany buteleczek z szamponem. Teraz musiałyśmy już tylko czekać.

Tymczasem eksperymenty, które prowadziłam w laboratorium, zakończyły się porażką. Panna Terwiliger zaakceptowała mój raport, lecz była niezadowolona z amuletu.

- Na nic mi się nie przyda - oznajmiła, zerkając znad kartek, które jej dostarczyłam.

-No... ja z pewnością z tego nie skorzystam, proszę pani.

Odłożyła papiery.

- Wykonałaś go dokładnie? Krok po kroku? Czy czegoś nie pominęłaś?

Potrząsnęłam głową.

- Niczego nie pominęłam.

- Zatem do ciebie należy wypróbowanie czaru podpalania.

- Ależ... — usiłowałam protestować. Nauczycielka się uśmiechnęła.

- Co należy zrobić? Rzucić czar i wyrecytować ostatnią inkantację?

Pamiętasz słowa?

- „W płomienie, w płomienie” - odpowiedziałam.

Przepisywałam treść zaklęć na komputerze, a potem musiałam sporządzić amulet. Trudno byłoby nie zapamiętać słów. Według książki, angielskiego przekładu łacińskiego tekstu, język nie miał znaczenia, pod warunkiem że słowa oddawały sens oryginału.

- W takim razie możesz zacząć. Wypróbuj zaklęcie w najbliższych dniach i przekonaj się, co nastąpi. Tylko nie podpal szkolnej własności. To ryzykowne.

Uniosłam amulet zawieszony na nitce.

- Przecież on nie działa. To jakiś absurd. Kilka połączonych śmieci. Panna Terwiliger wzruszyła ramionami.

- Kimże jesteśmy, by podważać mądrość przodków?

Wytrzeszczyłam oczy, nie wiedząc, czy żartuje. Od początku uważałam, że jest nieco ekscentryczna, lecz z reguły zachowywała się, jak na poważną mentorkę przystało.

— Przecież pani w to nie wierzy. Te czary... to tylko wymysły — bąknęłam i dodałam bez zastanowienia: — Nawet gdyby istniała jakaś moc, nie jest ona dostępna dla ludzi.

Nauczycielka milczała przez chwilę.

— Naprawdę tak sądzisz? Dotknęłam krzyżyka na szyi.

— Tak mnie uczono.

— Pojmuję. W takim razie możesz zrobić z tym amuletem, co uznasz za stosowne. Wyrzuć go, ofiaruj na jakiś cel, eksperymentuj. Zadowolę się twoim raportem. Dziękuję, że się zaangażowałaś. Jak zawsze zrobiłaś więcej, niż oczekiwałam.

Włożyłam amulet do torebki i wyszłam z mieszanymi uczuciami. Był bezużyteczny... z drugiej strony poświęciłam mu sporo czasu. Sądziłam, że panna Terwiliger wykorzysta go w jakiś sposób w swoich badaniach. Tymczasem moje wysiłki miały pójść na marne.

Za to drugie moje dzieło przyniosło efekty — i to już następnego dnia. Mieliśmy chemię. Greg Slade i kumple wśliznęli się do klasy razem z dzwonkiem. Nauczyciel posłał im surowe spojrzenie, lecz tego nawet nie zauważyli. Slade prezentował z dumą tatuaż w kształcie orła. Atrament lśnił srebrnym blaskiem. Jego kumpel także przeżył ramię — srebrne skrzyżowane sztylety były niewiele mniej tandetne od orła. To ten sam chłopak, który wcześniej narzekał, że nie może zdobyć tatuażu. Najwyraźniej salon otrzymał jednak dostawę. Ciekawe. Zwlekałam z raportem dla alchemików, chcąc się przekonać, czy zdołam odzyskać substancje, które ukradłam.

— Niesamowite — mruknął kumpel Sladea. — W ostatniej chwili.

— Wiem. — Slade uderzył go pięścią w ramię. — W samą porę na jutro.

Trey przyglądał się im z nachmurzoną miną.

— Co będzie jutro? — spytałam go szeptem. Zmierzył chłopców pogardliwym wzrokiem, zanim obrócił się do mnie.

— Żyjesz w jaskini? Mamy pierwszy szkolny mecz.

— Oczywiście — bąknęłam. Doświadczenie pobytu w liceum okazałoby się niepełne bez rozgrywek.

— Co i tak nie ma dla mnie wielkiego znaczenia — ciągnął Trey.

— Przecież już zdjęto ci bandażę — zauważyłam.

— Tak, ale trener twierdzi, że powinienem się oszczędzać. Poza tym przy nich nie mam szans. — Skinął głową w kierunku Slade'a i jego kumpla. — Jakim cudem uchodzi im to na sucho? Nawet się z tym nie kryją. W tej szkole nie obowiązuje już żadna dyscyplina. Żyjemy w czasach anarchii.

Uśmiechnęłam się.

— Fakt.

— Twój brat powinien zagrać w drużynie. Obserwowałem go na wuefie. Gdyby tylko zechciał, zostałby szkolną gwiazdą.

— Nie lubi zwracać na siebie uwagi — wyjaśniłam. — Ale pewnie zasiądzie na widowni.

— A ty przyjdiesz?

— Raczej nie. Trey uniósł brew.

— Gorąca randka?

— Nie! Tylko... nie przepadam za sportem. Poza tym powinnam zostać z Jill.

— Nie będziesz mnie dopingować?

— Nie będę ci potrzebna.

Na twarzy Treya pojawiło się rozczarowanie.

— Właściwie to nieważne — mruknął. — I tak nie byłbym w gwiazdorskiej formie.

— Szkoda — zgodziłam się.

— Daruj sobie ten sarkazm. — Westchnął. — Mój tata będzie zawiedziony. Rodzina ma wobec mnie wielkie oczekiwania.

To akurat potrafiłam zrozumieć.

— Twój tata gra w futbol?

— Nie, ale przywiązuje dużą wagę do sprawności fizycznej. To chodząca doskonałość. Zawsze gotowy do największych wyczynów. Do tej pory był ze mnie dumny, bo utrzymywałem się na najlepszej pozycji w drużynie. A potem pojawiły się tatuaże...

— Przecież jesteś dobry i bez tatuażu. Nadal powinien być z ciebie dumny — zauważyłam.

— Nie znasz mojego ojca.

— Nie, ale znam kogoś bardzo podobnego. — Uśmiechnęłam się. — Wiesz, może jednak powinnam obejrzeć ten mecz.

Trey tylko odwzajemnił mój uśmiech, bo zaczęła się lekcja.

Dzień minął spokojnie, lecz kiedy tylko weszłam do szatni przed wuefem, przyskoczyła do mnie Jill.

— Dzwoniła Lia! Pytała, czy mogę do niej wpaść dziś wieczorem. Trwają próby z modelkami, i pomyślała, że przyda mi się osobna sesja, bo nie mam doświadczenia. Oczywiście... no wiesz, potrzebuję transportu. Myślisz, że... Czy mogłabyś...

— Jasne — odparłam. — Po to tu jestem.

— Dziękuję, Sydney! — Rzuciła mi się na szyję, wprawiając mnie w zdumienie. — Wiem, że nie masz powodu mi pomagać po tym, co wyprawiałam, ale...

— W porządku — mruknęłam, niezgrabnie klepiąc ją po ramieniu. Odetchnęłam głęboko, aby się rozluźnić. „Myśl, że to Jill cię przytula. Nie wampir”. — Cieszę się, że mogę ci pomóc.

— Chciałybyście zostać same? — zakpiła Laurel, która właśnie wkroczyła do szatni w otoczeniu swojej świty. — Czułam, że w waszej rodzinie dzieją się dziwne rzeczy.

Odsunęłyśmy się od siebie, a Jill się zaczerwieniła, co wzbudziło jeszcze większą salwę śmiechu.

— Boże, jak ja ich nienawidzę — powiedziała, kiedy dziewczyny nie mogły jej usłyszeć. — Chciałabym im dopiec.

— Cierpliwości — mruknęłam. — Prędzej czy później pożałują swojego zachowania. — Zerkając na szafkę rudej, pomyślałam, że jednak prędzej.

Jill pokręciła głową z niedowierzaniem.

— Nie wiem, jak możesz być tak wyrozumiała, Sydney. Wszystko po tobie spływa jak po kaczce.

Uśmiechnęłam się na myśl, co by powiedziała, gdyby знаła prawdę. Nie byłam aż tak „rozumiała”. Nie dla Laurel. Na razie jednak Jill mogła sobie myśleć, co chciała. Niedługo, bo już po godzinie karty zostały odkryte. Wszyscy usłyszeliśmy przenikliwy krzyk Laurel.

Wyglądało to niemal na powtórkę afery z lodem. Laurel wyskoczyła spod prysznicza owinięta w ręcznik. Podbiegła do lustra z przerażeniem, żeby przyjrzeć się swoim włosom.

— Co się stało? — spytała któraś z przyjaciółek.

— Nie widzisz?! — wykrzyknęła. — Coś jest nie tak... są inne. Tłuste... sama nie wiem! — Złapała suszarkę i włączy-

la, a my przyglądałyśmy się wszystkiemu z zainteresowaniem.

Po kilku minutach dostrzegłyśmy różnicę. Suchy kosmyk wyglądał jak oblepiony tłustą mazią, jakby nie myła włosów od tygodni. Zawsze lśniące, sprężyste loki zwisały teraz w długich, brzydkich strąkach. Nawet kolor nieco przybladł. Stał się zgniłozółty.

— Cuchną! — krzychała Laurel.

— Umyj je jeszcze raz — poradziła koleżanka.

Laurel posłuchała, ale wiedziałam, że to nie pomoże. Ruda zorientowała się już, że to szampon zniszczył jej włosy, lecz moja mikstura nie dawała się tak łatwo zmyć. Woda jedynie wzmacniała reakcję.

Jill obrzuciła mnie zdumionym spojrzeniem.

— Sydney? — W jej głosie kryło się mnóstwo pytań.

— Cierpliwości — zapewniłam. — To dopiero pierwszy akt.

Wieczorem zawiozłam ją do butiku Lii DiStefano. Oczywiście Eddie również nam towarzyszył. Lia była tylko kilka lat starsza ode mnie i niemal trzydzieści centymetrów niższa. Mimo niewielkiego wzrostu promieniowała siłą i energią. Sklep był pełen eleganckich sukni i sukienek, lecz właścicielka nosiła postrzępione dżinsy i za dużą zgrzebną bluzę. Przełożyła kartkę na drzwiach na znak, że butik jest zamknięty, i stanęła naprzeciw nas, opierając ręce na biodrach.

— Jillian Melrose - zaczęła. — Mamy niecałe dwa tygodnie, żeby zrobić z ciebie modelkę. — Jej wzrok spoczął na mnie. — A ty mi w tym pomożesz.

— Ja?! — wykrzyknęłam. — Jestem tylko kierowcą.

— Nie tylko, jeśli chcesz, by twoja siostra zabłysła na moim pokazie. - Spojrzała na Jill, a ja stwierdziłam, że różnica ich wzrostu jest niemal komiczna. — Musisz jeść, pić i oddychać jak modelka. I przez cały czas nosić te buty.

Lia chwyciła stojące obok pudełko, w którym leżała para lśniących czerwonych pantofli na co najmniej dwuna-stocentymetrowych obcasach. Jill i ja wpatrywałyśmy się w nie bez słowa.

— Czy Jill nie jest wystarczająco wysoka? — bąknęłam w końcu.

Lia prychnęła i rzuciła buty Jill.

— Nie wystąpi w nich na pokazie. Ale kiedy nauczy się w nich chodzić, będzie gotowa na wszystko.

Jill oglądała pantofle. Obcasy przypominały mi srebrne sztylety używane przez Eddiego i Rose do zabijania strzyg. Pomyślałam, że skoro chciała być przygotowana na każdą sytuację, niech sobie ćwiczy.

Świadoma, że jej się przyglądamy, zrzuciła brązowe mokasyny i zabrała się do zapinania paseczków na czerwonych bucikach. Potem wyprostowała się powoli i... omal nie runęła. Podskoczyłam, by ją podtrzymać.

Lia kiwnęła głową z aprobatą.

— Widzicie? Właśnie o tym mówiłam. To się nazywa siostrzana współpraca. Pilnuj, żeby nie skreśliła karku przed moim pokazem.

Jill zerknęła na mnie z przerażeniem. Podzielałam jej uczucia. Już miałam zasugerować, aby to Eddie wspierał siostrę, ale dyskretnie usunął się z pola widzenia Lii. Jednak jego opiekuńczość ma pewne granice.

Podczas gdy Jill koncentrowała się, by utrzymać równowagę, pomogłam Lii uprzątnąć środek sklepiku. Przez następną godzinę projektantka prezentowała nam sposób chodzenia na wybiegu. Pokazywała, jak wyprostować sylwetkę i jaki krok jest najkorzystniejszy, by podkreślić walory strojów. W tej chwili jednak największym wyzwaniem dla Jill było się nie potknąć. Wdzięk i uroda zeszły na dalszy plan.

Spojrzałam na Eddiego, który gapił się na Jill jak cielę na malowane wrota. Dla niego wyglądała jak czarodziejka. Zorientował się, że na niego patrzę, i natychmiast przybrał oficjalną, czujną minę strażnika.

Dodawałam Jill otuchy, jednocześnie podtrzymując ją, by nie upadła i nie skręciła karku. W połowie próby usłyszeliśmy pukanie do oszklonych drzwi. Lia skrzywiła się, lecz rozpoznała twarz po drugiej stronie. W jednej chwili się rozpromieniła i poszła otworzyć.

— Donahue — powiedziała, wpuszczając Lee — przyszedł pan zobaczyć, jak sobie radzi przyjaciółka?

Lee się ucieszył, widząc Jill, która odwzajemniła mu uśmiech. Nie było go podczas naszej ostatniej wizyty u Clarence'a i chociaż ciągle rozmawiali ze sobą przez telefon i czatowali, wiedziałam, że dziewczyna bardzo się za nim stęskniła. Spojrzenie na Eddiego uświadomiło mi, że on jest już mniej zachwycony tym spotkaniem.

— Wiem, jak sobie radzi — oświadczył Lee. — Doskonale.

Lia prychnęła.

— To lekka przesada.

— Hej — wtrąciłam w przypływie natchnienia. — Lee, może zastąpisz mnie przy Jill? Mam coś do załatwienia. — Nie zdziwiło mnie, że chłopak natychmiast zajął moje miejsce. Nie musiałam martwić się o bezpieczeństwo Jill, skoro zostawiałam tam Eddiego.

Przebiegłam dwie ulice do salonu Nigdy Nigdy. Od czasu, gdy usłyszałam od Slade'a i jego kumpli, że tatuaże znów są dostępne, chciałam to osobiście sprawdzić. Tym razem zamierzałam to zrobić jawnie. Materiały, które im wykradłam, wystarczyły do przeprowadzenia analizy i poza przezroczystym płynem rozpoznałam już wszystkie substancje. Te metaliczne odpowiadały składnikom uży-

wanym przez alchemików, co oznaczało, że ci ludzie albo mieli wśród nas koneksje, albo wykradali nam towar. Tak czy owak, sprawa była poważna. Miałam tylko nadzieję, że zdążę ją rozwiązać przed przyjazdem Zoe, a zostało mi już niewiele czasu. Zaledwie tydzień, jak sugerował ojciec.

Musiałam się przekonać, czy w salonie zaoferują mi tatuaż. Adrian nie uzyskał wielu informacji, bo jego projekt płonącego szkieletu na motocyklu z papugą musiał wzbudzić nieufność mistrzów tatuażu. Tego dnia dysponowałam gotówką. Miałam nadzieję, że to ułatwi rozmowę.

Jednak wcale nie musiałam pokazywać pieniędzy. Kiedy tylko weszłam, facet za ladą — ten sam, z którym rozmawiał Adrian — powitał mnie z ulgą.

— Dzięki Bogu! — westchnął. — Błagam, powiedz, że przyniosłaś coś więcej. Te dzieciaki doprowadzają mnie do obłędu. Nie miałem pojęcia, że będzie tylu chętnych. Zarabiamy kasę, ale, Chryste, nie nadążam.

Staralam się nie okazywać zaskoczenia, zastanawiając się, o czym on mówi. Zachowywał się tak, jakbyśmy prowadzili razem interesy. Czyżby mnie z kimś pomylił? Zrozumiałam dopiero, kiedy zerknął na mój policzek.

Tatuaż w kształcie lilii.

Po lekcjach nie zakrywałam twarzy. Teraz miałam już absolutną pewność, że dostawca salonu był alchemikiem. Facet uznał, że lilia jest znakiem rozpoznawczym.

— Nie mam nic przy sobie — odparłam. Zrzedła mu mina.

— Ale zamówienie...

— Poprzednia dostawa przepadła — przerwałam mu ostro. — Pozwoliłeś, by ktoś sprzątnął ci ją sprzed nosa. Wiesz, ile trudu kosztuje nas zdobycie towaru?

— Wyjaśniłem już wszystko twojemu przyjacielowi! — wykrzyknął.
— Twierdził, że rozumie. Powiedział też, że już zajął się problemem i że nie muszę się tym martwić.

Poczułam ściskanie w żołądku.

— Tak, cóż, on nie ma prawa przemawiać w imieniu nas wszystkich. Nie zdecydowaliśmy się jeszcze na podtrzymanie współpracy z wami. Skompromitowaliście się.

— Jesteśmy bardzo ostrożni — upierał się tatuażysta. — A kradzież to nie nasza wina! Musicie nam pomóc. Nie powiedział ci? Mamy wielkie zamówienie na jutro, bo dzieciaki z tej prywatnej szkoły rozgrywają mecz. Możemy zarobić podwójnie.

Posłałam mu swój najlepszy lodowaty uśmiech.

— Przedyskutujemy to i damy ci znać.

Po tych słowach obróciłam się na pięcie i zamierzałam wyjść.

— Zaczekaj! — zawołał. Zerknęłam na niego z ukosa. — Czy możesz sprawić, by ta osoba przestała do nas wydzwaniać?

— Co za osoba? — spytałam, sądząc, że mają na karku jakiegoś natrętnego ucznia Amberwood.

— O dziwnym głosie. Wciąż pyta, czy nie kręcą się tutaj wysocy, bladzi ludzie. No wiesz, o wyglądzie wampirów. Sądziłem, że to wasz znajomy.

Wysocy i bladzi? Nie podobało mi się to, lecz zachowałam spokój.

— Przykro mi. Nie wiem, o czym mówisz. To na pewno dowcip.

Wyszłam, nakazując sobie w myślach to sprawdzić. Jeśli ktoś wypytywał o osoby wyglądające jak wampiry, to mieliśmy problem. Ale to mogło poczekać. Tymczasem rozważałam pierwszą rewelację. Jakiś alchemik dostarczał skład-

ników do salonu tatuażu. Właściwie nie powinno mnie to dziwić. Skąd mieliby brać wampirzą krew i wszystkie niezbędne metale? Poza tym rzeczony osobnik podobno „zajął się problemem” kradzieży w salonie. Kiedy to dzwonił mój ojciec, aby oznajmić, iż zostałam odwołana na skutek raportu Keitha?

Zaraz po tym, jak włamałam się do Nigdy Nigdy.

Zrozumiałam, kim jest tajemniczy alchemik.

To ja okazałam się „problemem”. Keith chciał się mnie pozbyć z Palm Springs i ściągnąć tu kogoś młodego, niedoświadczonego, kto nie będzie mu wchodził w drogę. Dlatego tak mu zależało na przyjeździe Zoe.

Byłam oburzona. Nie miałam dobrego zdania o Darnellu. Ale nigdy, przenigdy nie sądziłam, że zagra tak nieczysto. Był niemoralny, chociaż wpajano mu te same zasady dotyczące ludzi i wampirów co mi. Fakt, że porzucił nasze wartości i narażał niewinnych ludzi na straszne skutki uboczne domieszki wampirzej krwi oraz że zrobił to wyłącznie dla korzyści materialnych... To coś dużo gorszego niż nielojalność wobec alchemików. On zdradził ludzką rasę.

Zacisnęłam palce na telefonie komórkowym z zamiarem powiadomienia Stanton. Nie musiałam robić nic więcej. Wystarczyłby jeden telefon, by alchemicy natychmiast przyjechali do Palm Springs po Keitha. A jeśli nie znajdą wystarczających dowodów przeciwko niemu? Gdyby któryś z nich wszedł do salonu i odegrał tę samą scenkę, pracownik pomyślałby, że także należy do ekipy Keitha. Tak, w tej sprawie istniało potencjalnie wielu podejrzanych, a ja chciałam schwytać Darnella na gorącym uczynku. Musiałam być pewna, że się nie wywinie.

Podjęłam decyzję i zamiast do alchemików zadzwoniłam do Adriana.

Kiedy wróciłam do sklepiku Lii, próba dobiegała końca. Projektantka udzielała Jill ostatnich wskazówek, a Eddie wraz z Lee się przyglądali. Dampir spojrzał na mnie i od razu wiedział, że coś jest nie tak.

— Co się stało?

— Nic — odparłam lekko. — Mam problem, z którym wkrótce się uporam. Lee, czy mógłbyś odwieźć Jill i Eddiego do szkoły? Muszę załatwić parę spraw.

Eddie zmarszczył czoło.

— Wszystko w porządku? Potrzebujesz kogoś do ochrony?

— Już znalazłam — odparłam, chociaż nie umówiłam się jeszcze z Adrianem. — W pewnym sensie. Tak czy owak, nic mi nie grozi. A twoim zadaniem jest opieka nad Jill, pamiętasz? Dzięki, Lee — zwróciłam się do moroja i się zawahałam. — Zaraz... czy to nie dzisiaj masz wieczorne zajęcia? Może przez nas nie... Kiedy dokładnie jeździsz na wykłady?

Nigdy się nie zastanawiałam, kiedy Lee spędzał wieczory w Los Angeles. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy wyjeżdżał tam regularnie. Spojrzałam na minę Eddiego i stwierdziłam, że ma podobny problem.

— Właśnie — rzucił, spoglądając podejrzliwie na Lee. — Jak przedstawia się plan twoich zajęć?

Lee otworzył usta, po czym zerknął niepewnie na Jill, która nadal rozmawiała z Lią, i przeniósł na nas niespokojny wzrok.

— Proszę, nie mówcie jej o niczym — szepnął.

— Nie rozumiem? — starałam się przyciszyć głos.

— Nie uczę się w college'u. W tym semestrze potrzebowałam zrobić sobie przerwę. Nie chciałem martwić taty, więc powiedziałem, że mam mniej zajęć i mogę go częściej odwiedzać.

— Więc co robisz w Los Angeles? — dopytywał Eddie.

— Wciąż jeszcze mam tam przyjaciół, którzy mnie kryją. — Lee westchnął. — Wiem, że to głupie. Proszę, pozwólcie, że sam jej o tym powiem. Bardzo chciałem jej zaimponować, zasłużyć na nią. Ona jest cudowna. Po prostu spotkaliśmy się w nieodpowiednim czasie.

Popatrzyliśmy na siebie z Eddiem.

— Nic jej nie powiem — obiecałam. — Ale ty powinienes. Chyba nic złego się nie stało... chociaż kłamstwa nie służą związkom.

Lee miał nieszczęśliwą minę.

— Wiem. Dziękuję.

Kiedy odszedł na bok, Eddie spojrzał na mnie, kręcąc głową.

— Nie podoba mi się, że kłamie. O, nie.

— Lee próbuje jedynie zachować twarz, a tu się dzieją znacznie dziwniejsze rzeczy — odparłam.

W tej chwili odkryłam, że Jill potrafi już przejść przez pokój, nie potykając się. Nie wyglądało to ładnie, ale ostatecznie dopiero zaczęła próby. Wprawdzie musiała włożyć jeszcze wiele wysiłku, by chodzić jak modelki pokazywane w telewizji, lecz biorąc pod uwagę, że przed chwilą nie umiała nawet stać na wysokich obcasach, z pewnością robiła postępy. Chciała zdjąć pantofle, ale Lia ją powstrzymała.

— Nie, mówiłam ci przecież, że musisz je nosić przez cały czas. Praktyka czyni mistrza. Nie zdejmuj ich w domu ani w innych miejscach. — Spojrzała na mnie. — A ty...

— Tak, wiem. Dbaj o to, by nie skreśliła karku — mruknęłam. — Ale nie może ich nosić przez cały czas. W szkole obowiązują reguły dotyczące ubioru.

— A gdyby miała pantofle w innym kolorze? — spytała Lia.

— Obawiam się, że nie chodzi o kolor — wtrąciła przeproszająco Jill.
— Raczej o szpilki. Obiecuję jednak, że będę ćwiczyła po lekcjach i w domu.

Lia wyglądała na zadowoloną. Udzieliła przyszłej modelce jeszcze kilku wskazówek i pozwoliła nam wyjść. Umówiliśmy się z nią za dwa dni. Powiedziałam Jill, że spotkamy się później, lecz nie wiedziałam, czy mnie usłyszała. Była zaaferowana perspektywą powrotu z Lee i nic poza tym nie miało już dla niej znaczenia.

Pojechałam do domu Clarencea. Adrian czekał na mnie w drzwiach.

— No, no! — zawołałam z wrażenia, że zdobył się na inicjatywę. — Nie sądziłam, że będziesz już gotów.

— Bo nie jestem — odparł. — Muszę ci coś koniecznie pokazać.
Zmarszczyłam brwi.

— Dobrze.

Adrian prowadził mnie w głąb domu — nie znałam tej części i lekko się zdenerwowałam.

— To na pewno nie może poczekać? Mamy pilną sprawę...

— To też jest pilne. Jak zachowywał się Clarence, kiedy widziałas go ostatnio?

— Dziwnie.

— Ale normalnie? Zastanawiałam się.

— Wiem, że jest zmęczony. Ale poza tym chyba normalnie.

— Cóż, teraz już tak się nie zachowuje. I nie można tego wytłumaczyć zmęczeniem. Jest osłabiony, cierpi na zawroty głowy i nie wstaje z łóżka.

Stanęliśmy przed zamkniętymi drewnianymi drzwiami.

— Wiesz dlaczego? — spytałam z przestraczem. Obawiałam się komplikacji, jakie mógłby spowodować chorowity moroj, lecz nie spodziewałam się ich tak szybko.

— Wiem aż za dobrze — Adrian rzucił przez zaciśnięte zęby. — Z powodu twojego chłoptasia, Keitha.

— Przestań to ciągle powtarzać. On nie jest „moim chłoptasem”! — wykrzyknęłam. — Niszczy mi życie!

Adrian otworzył drzwi, ukazując wewnątrz z ogromnym zdobionym łóżem z baldachimem. Wzdragałam się przed wejściem do sypialni moroja, jednak spojrzenie mojego towarzysza nie pozostawiało mi wyboru. Krzyknęłam cicho na widok Clarence'a.

— Nie tylko tobie. — Adrian wskazał leżącego. Clarence zamrugał nieprzytomnie na dźwięk naszych

głosów, lecz po chwili zamknął powieki na dobre i zasnął. Ale to nie jego oczy przykuły moją uwagę. Skóra moroja miała niezdrowy blady odcień, a na jego szyi widniała krwawa rana. Była niewielka, jakby powstała z nakłucia narzędziem chirurgicznym. Adrian patrzył na mnie wyczekująco.

— No, Sage? Potrafisz wyjaśnić, dlaczego Keith pobiera mu krew?

Przełknęłam ślinę, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę. Odnalazłam ostatni fragment układanki. Wiedziałam już, że to Keith dostarcza krew do salonu tatuażu. Teraz odkryłam, skąd ją bierze.

— Tak — odpowiedziałam cicho. — Niestety, potrafię.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

CLARENCE NIE CHCIAŁ z nami rozmawiać. Zaprzeczał stanowczo, jakoby w ogóle coś się stało, i twierdził, że zaciął się w szyję przy goleniu.

— Panie Donahue - zaczęłam najłagodniej, jak potrafiłam. — Ta rana została zadana narzędziem chirurgicznym. Nie miał pan jej przed wizytą Keitha.

— Nie, nie - bronił się słabo. - On nie ma z tym nic wspólnego.

W tej chwili Dorothy wsunęła głowę przez drzwi. Przyniosła choremu szklankę soku. Poprosiliśmy ją o to zaraz po moim przyjeździe.

Remedium na utratę krwi jest takie samo dla morojów i ludzi: cukier i płyny. Kobieta podała Clarence'owi napój ze słomką. Była wyraźnie zmartwiona. Pił, a ja nie przestawałam go prosić.

— Niech pan nam wszystko opowie — powtarzałam. — Jaki zawarłście układ? Co on panu daje w zamian za krew? _ Clarence milczał, więc zmieniłam taktykę. — Ludzie cierpią z tego powodu. Keith rozdaje im pańską krew bez ograniczeń.

Zareagował dopiero na te słowa.

- Nieprawda - zaprzeczył. - Moja krew i ślina służą ludziom chorym. Uzdrowiają ich.

Ślina? Omal nie jęknęłam głośno. Oczywiście. Tajemniczy przezroczysty płyn w fiolce. Zrozumiałam, jaki składnik niebiańskich tatuaży powodował stany euforyczne. Ohyda.

Spojrzeliliśmy na siebie z Adrianem. Krew wampirów rzeczywiście posiadała właściwości uzdrawiające. Mój tatuaż był tego dowodem, a alchemicy od dawna prowadzili badania nad odtworzeniem jej właściwości dla celów medycznych. Do tej pory im się to nie udało, a używanie prawdziwej krwi wampirów nie stanowiło rozwiązania.

— Okłamał pana — powiedziałam. — Sprzedaje ją bogatym nastolatkom, żeby mogli zabłysnąć w sporcie. Co panu obiecał w zamian? Część zysków?

Adrian rozejrzył się po luksusowym wnętrzu.

- On nie potrzebuje pieniędzy. Chce tylko tego, czego odmówili mu strażnicy. Pomście Tamare, prawda?

Zdumiona spojrzałam na Clarence'a a i zorientowałam się, że Adrian się nie mylił.

— On... podjął śledztwo w mojej sprawie. Szuka łowców wampirów - zaczął z ociąganiem. - Mówi, że jest blisko. Depcze im po piętach.

Pokręciłam głową. Miałam ochotę wymierzyć sobie solidnego kopniaka za to, że nie zorientowałam się wcześniej. To wyjaśniało wszystkie niespodziewane wizyty Keitha w tym domu oraz jego nerwowość, gdy pojawiałam się bez zapowiedzi. Nie chodziło o to, że rzekomo „bratam się z wampirami”.

- Sir, daję panu słowo, że jedyne dochodzenie, jakie prowadzi Keith, dotyczy ulokowania zarobionych pieniędzy.

— Nie... nie... on mi pomoże odnaleźć zabójców Tamary...

Wstałam. Nie mogłam tego dłużej słuchać.

— Przynieś mu coś normalnego do zjedzenia, zobaczymy, ile da radę przełknąć — poleciłam Dorothy. — Jeśli to jedynie osłabienie z powodu utraty krwi, dojdzie do siebie po jakimś czasie.

Skinęłam Adrianowi, by ze mną wyszedł. W drodze do salonu zauważyłam:

— Ta sytuacja ma dobre i złe strony. Możemy być pewni, że Keith dysponuje zasobami świeżej krwi, które wystarczą, by go oskarżyć. Jest mi tylko przykro, że Clarence ucierpiał...

Znieruchomiałam w wejściu do saloniku. Zamierzałam usiąść w znajomym miejscu i przedyskutować plan działania. Była dalej od mrocznej sypialni Clarence'a. Podczas każdej wizyty w tym starym domu wyobraźnia podsuwała mi najdziwniejsze obrazy i teraz niewiele mogło mnie naprawdę zaskoczyć. Jednak nawet w najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie, że salonik przemieni się w galerię sztuki.

Wszędzie stały sztalugi i blejtramy. Nawet stół bilardowy został przykryty wielkim rulonem papieru. Tematyka obrazów była różnorodna. Na niektórych widziałam tylko plamy barw. Inne przedstawiały zadziwiająco realistyczne przedmioty i postaci. Między nimi leżał szeroki asortyment farb akwarelowych i olejnych.

Na krótką chwilę sprawa Clarence'a i Keitha zupełnie wywietrzała mi z głowy.

— Co to jest?

— Praca domowa — wyjaśnił Adrian.

— Czy nie... przecież dopiero zacząłeś zajęcia? Jak to możliwe, że ci zadali aż tyle?

Moroj podszedł do płótna, na którym kręta czerwona linia przecinała czarną chmurę, i sprawdził, czy farba już

wyschła. Spojrzałam na obraz, zastanawiając się, czy naprawdę widzę chmurę. Była niemal namacalna.

— Oczywiście, że nikt mi tyle nie zadał, Sage. Ale musiałem się upewnić, że rzetelnie wykonałem zadanie. Doskonałość wymaga wielu prób. Wyjątek stanowią moi rodzice. Powiodło im się już za pierwszym razem.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Przez ostatnie tygodnie wielokrotnie obserwowałam spadki nastroju Adriana. Miło było oglądać go w dobrej formie.

— Niesamowite — przyznałam. — Co przedstawiają? Rozpoznaję coś na dwóch. — Pokazałam oko kobiety, brązowe, ocienione długimi rzęsami, i drugi obraz z różami. — Pozostałe wymagają chyba bardziej wnikliwej interpretacji.

— Tak uważasz? — Adrian odwrócił się od chmury poprzecinanej czerwoną linią. — Myślałem, że to się rzuca w oczy. Ten obraz nosi tytuł „Miłość”. Nie widzisz tego?

Wzruszyłam ramionami.

— Chyba brakuje mi artystycznej wyobraźni.

— Możliwe — zgodził się. — Kiedy przygwoździmy twojego kumpla, podyskutujemy nad moim malarskim geniuszem.

— Jasne — mruknęłam, poważniejąc. — Na początek powinniśmy przeszukać jego mieszkanie. Najlepiej będzie, gdy wyciągnę go stamtąd pod jakimś pretekstem, a ty się włamiesz do środka. Żeby otworzyć zamek...

Adrian machnął ręką.

— Potrafię otwierać zamki. Niby jak dostawałem się do barku rodziców w ogólniaku?

— Powinnam była się domyślić — rzuciłam sucho. — Szukaj wszędzie, nie tylko w oczywistych miejscach. Mógł zainstalować skrytki w ścianach lub w meblach. Musisz znaleźć fiołki z krwią lub płynami o metalicznym połysku,

może nawet wpadnie ci w ręce narzędzie, którym nacinał skórę Clarence'a.

— Jasne. — Omówiliśmy jeszcze kilka szczegółów, na przykład kogo ma powiadomić, jeśli coś znajdzie, i zamierzaliśmy wyjść, kiedy Adrian zapytał: — Sage, dlaczego to mnie wybrałaś na współnika w przestępstwie?

Zamyśliłam się.

— Zdaje się, że padło na ciebie w drodze eliminacji. Jill nie powinna pakować się w kłopoty. Eddie musiał wracać razem z nią i Lee. Poza tym wiedziałam, że nie poczujesz wyrzutów sumienia, gdy będziesz włamywał się do cudzego mieszkania.

— To najmiłsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałem — skwitował z uśmiechem.

Zaraz potem pojechaliśmy pod dom Keitha. Na parterze paliły się wszystkie światła, niwecząc moją ostatnią nadzieję na to, że nie będę musiała wywabiać go z domu. Chętnie pomogłabym Adrianowi w poszukiwaniach. Wysadziłam go i pojechałam do restauracji znajdującej się na drugim końcu miasta, która była czynna przez całą dobę. Uznałam, że to idealne miejsce na spotkanie. Zanim Keith tu dotrze, Adrian zyska sporo czasu. Musi tylko poczekać, aż alchemik wyjdzie. Wybrałam stolik i zamówiłam kawę, a potem wystukałam numer Keitha.

— Halo?

— Keith, to ja. Muszę z tobą pomówić.

— To mów — odparł. Był wyraźnie zadowolony, zapewne ze świeżej dostawy krwi dla salonu tatuażu.

— Nie przez telefon. Spotkajmy się.

— W Amberwood? — zdziwił się. — Czy to nie pora ciszy nocnej? — Miał rację, ale tym problemem zamierzałam martwić się później.

— Nie jestem w szkole. Czekam w Jadłodajni u Margaret, koło autostrady.

Długo milczał.

— Skoro już wyszłaś po dozwolonej godzinie, równie dobrze możesz przyjechać tutaj — powiedział w końcu.

— Nie — odparłam stanowczo. — Zaczekam na ciebie.

— Niby dlaczego miałbym się zgodzić? Zawahałam się przez moment, nim wyciągnęłam kartę,

która musiała przekonać go do przyjazdu, jednocześnie nie kierując podejrzeń na sprawę tatuaży.

— Chodzi o Carly.

— Nie rozumiem? — zapytał po chwili.

— Bardzo dobrze rozumiesz.

Ponownie zapadła cisza, po czym Keith się zgodził na spotkanie. Zauważyłam, że mam wiadomość głosową, której sygnału nie usłyszałam wcześniej. Postanowiłam ją odsłuchać.

„Sydney, mówi Wes Regan z Carlton College. Chciałbym omówić z tobą kilka spraw. Po pierwsze, nie mam dobrych wiadomości. Wygląda na to, że nie będę mógł przyznać twojemu bratu statusu studenta wstecz. Mogę go wpisać na następny semestr, jeśli będzie się starał, do tej pory musi uczestniczyć w zajęciach jako wolny słuchacz. Nie ma więc widoków na stypendium, a w dodatku będziecie musieli wpłacić wpisowe za pierwszy semestr. Oczywiście może również zrezygnować. Dajcie znać, jak zdecydowaliście”.

Wpatrywałam się w telefon z rozczarowaniem. W jednej chwili przepadły nasze marzenia o wpisaniu Adriana na listę studentów, nie wspominając o stypendium, które pozwoliłoby mu wyprowadzić się z domu Clarence'a. Drugi semestr zaczynał się dopiero w styczniu, więc chłopak musiałby wytrzymać aż cztery miesiące. Oznaczałoby to

także cztery miesiące korzystania z komunikacji miejskiej i udział w zajęciach bez ocen.

Z drugiej strony, czy to oceny i stypendium były najważniejsze? Przypomniałam sobie, jak przejęty wydawał się Adrian po kilku ćwiczeniach, z jaką energią zaczął malować. Stał w tej swojej galerii rozpromieniony. W głowie zadźwięczały mi słowa Jill, że sztuka pomaga mu filtrować zbyt intensywne emocje i ułatwia jej towarzyszenie mu poprzez więź. Te studia pomogłyby im obojgu.

Ile może wynosić wpisowe? Nie byłam pewna, ale sądziłam, że mniej niż chesne. Poza tym to jednorazowy wydatek, który mogłabym wliczyć w koszty, nie wzbudzając podejrzeń alchemików. Adrian potrzebował tych zajęć. Jeśli się dowie, że nie dostanie stypendium, zrezygnuje z nich. Nie mogłam na to pozwolić. Wiedział, że będzie musiał poczekać na pieniądze. Jeśli zostanie w college'u jeszcze przez jakiś czas, może się zaangażuje i zacznie chodzić tam z własnej woli, nawet kiedy pozna prawdę. Ryzykowałam, ale dla jego dobra — oraz Jill.

Wystukałam numer biura Wesa Regana. Zostawiłam wiadomość, że zapłacę wpisowe czekiem i że Adrian poczeka do drugiego semestru. Rozłączyłam się, modląc się w duchu, by Iwaszkow nie odkrył spisku zbyt szybko.

Kelnerka zerkała na mnie wymownie, bo wciąż siedziałam nad jedną kawą, więc ostatecznie zdecydowałam się na kawałek ciasta. Właśnie postawiła przede mną papierową tackę, kiedy do restauracji wparował Keith. Stanął wkurzony w drzwiach i rozejrzał się ze zniecierpliwieniem.

- Dobra, o co chodzi? - rzucił, siadając zbyt hałaśliwie. - Co jest takie ważne, że musiałaś złamać szkolne reguły i przeciągnąć mnie przez połowę miasta?

Zamarłam. Patrząc w oczy Keitha - to zdrowe i to sztuczne - poczułam, że wzbierają we mnie wszystkie sprzeczne

emocje, jakich doświadczałam w związku z nim ostatniego roku. Lęk i niepokój wywołane tym, co zamierzałam zrobić, mieszały się z głęboką nienawiścią, jaką nosiłam w sobie od dawna. Instynkt nakazywał mi zadać Keithowi ból. Chciałam czymś w niego cisnąć. Talerzem. Krzesłem. Kijem bejsbolowym. -Ja...

Zanim zdążyłam powiedzieć więcej, usłyszałam sygnał esemesa. Odczytałam wiadomość od Adriana: „ZNALAZŁEM. POWIADOMIŁEM. MASZ GODZINĘ”.

Schowałam komórkę do torebki i wypuściłam powietrze. Dojazd zajął Keithowi jakieś dwadzieścia minut, w tym czasie Adrian zdążył przeszukać jego mieszkanie. Najwyraźniej skutecznie. Teraz musiałam przetrzymać Keitha do czasu, gdy przybędzie wsparcie. Spodziewałam się, że będę musiała grać na zwłokę. Podałam Adrianowi numer Stan-ton. Powinna przysłać do nas alchemików rezydujących najbliżej. Sądziłam, że przyjadą z Los Angeles. Jeśli ktoś z naszych przebywał we wschodniej części miasta, powinni zjawić się bardzo szybko. Mogą przylecieć prywatnym samolotem.

— Co to było? — spytał z rozdrażnieniem Keith. — Ese-mes od któregoś z twoich przyjaciół wampirów?

— Możesz mi przecież tego zakazać — odgryzłam się. — Jednak tak naprawdę wcale ci nie przeszkadza to moje „bratanie z wampirami”. — Nie zamierzałam zaczynać tego tematu, ale podjęłam go, skoro dzięki temu mogłam zatrzymać go dłużej.

— Oczywiście, że mi przeszkadza. Martwię się o twoją duszę.

— I dlatego zadzwoniłeś do mojego ojca? — spytałam. — Z tego powodu chcesz się mnie pozbyć z Palm Springs?

— Robię to dla twojego dobra — oświadczył z niewinną miną. — Czy nie wiesz, że sama chęć uczestniczenia w tej misji była zła? Każdy alchemik wzdragałby się przed przyjazdem tutaj, ty błagałaś o pozwolenie.

— Błagałam — mruknęłam, czując, jak narasta we mnie wściekłość — bo próbowałam chronić Zoe.

— Możesz sobie zaprzeczać, ale ja znam prawdę. Lubisz te monstra.

— Dlaczego wszystko widzisz w czarno-białych barwach? Twoim zdaniem można ich nienawidzić albo się z nimi sprzymierzyć. Nie dostrzegasz niczego pośrodku. Jestem lojalna wobec alchemików, a jednocześnie traktuję życzliwie wampiry i dampiry.

Keith spojrzał na mnie tak, jakbym dopiero skończyła dziesięć lat.

— Jakaś ty naiwna, Sydney. Nie rozumiesz praw rządzących światem. — Rozumiałam aż nadto dobrze, co miał na myśli. Rzuciłabym mu to w twarz, gdyby w tej chwili nie zjawiała się kelnerka, żeby przyjąć od niego zamówienie. Kiedy się oddaliła, Keith ciągnął: — Skąd wiesz, że to, co czujesz, naprawdę wypływa z ciebie? Wampiry posługują się czarami, by manipulować ludźmi. Kontrolują umysły. Moroje obdarzeni mocą ducha, tacy jak Adrian, są w tym naprawdę mocni. O ile nam wiadomo, używa czaru, by pozyskać twoją przyjaźń.

Pomyślałam w tej chwili, jak wiele razy usiłowałam przemówić Adrianowi do rozumu.

— W takim razie kiepsko mu idzie. Przerzucaliśmy się argumentami przez długi czas i po

raz pierwszy cieszyłam się z uporu Keitha. Im dłużej się ze mną spierał, tym więcej czasu zyskiwali alchemicy, aby dotrzeć do jego mieszkania. Skoro Stanton powiedziała Ad-

rianowi, że potrzebują godziny, to tak było. Mimo wszystko powinnam zapewne' im jak najwięcej czasu.

Przełom nastąpił wraz z kolejnym oświadczeniem Keitha.

— Powinnaś być mi wdzięczna, że tak się o ciebie troszczę. Tu nie chodzi wyłącznie o wampiry. Udzielam ci życiowych lekcji. Siedzisz z nosem w książkach, a nie znasz ludzi. Nie potrafisz się z nimi komunikować. Jesteś naiwna i nie radzisz sobie w prawdziwym świecie, sądząc, że wszyscy są dobrzy. Pewnego dnia ktoś — prawdopodobnie jakiś mężczyzna — cię wykorzysta.

— Cóż — warknęłam — akurat ty coś o tym wiesz, prawda?

Keith prychnął gniewnie.

— Spokojna głowa, nie jestem zainteresowany.

— Nie mówię o sobie! Miałam na myśli Carly. — Stało się.

Poruszyłam zapowiadany temat tej rozmowy.

— A co ona ma z tym wspólnego? — Keith usiłował zachować spokój, lecz dostrzegłam w jego oczach błysk niepokoju.

— Wiem, co zaszło między wami. Wiem, co jej zrobiłeś. Keith pomilczał chwilę, po czym z niezwykłym zapalem zabrał się do mieszania lodu.

— Nic jej nie zrobiłem. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— Dobrze wiesz! Powiedziała mi. Po wszystkim przyszła do mnie. — Nachyliłam się do niego. Byłam pewna swego. — Jak myślisz, co by zrobił mój ojciec, gdyby się o tym dowiedział? Jak postąpiłby twój ojciec?

Keith wbił we mnie gniewny wzrok.

— Skoro jesteś taka pewna, że stało się coś strasznego, dlaczego jeszcze nie powiadomiłaś ojca? Co? Może jednak

Carly wie, że nie powinna mnie oskarżać. Cokolwiek robiliśmy, chciała tego, możesz mi wierzyć.

— Kłamca — syknęłam. — Wiem, co zrobiłeś. Zgwałciłeś ją. Nie ma dla ciebie dostatecznej kary. Powinieneś być stracić dwoje oczu.

Zbladł, słysząc moje słowa.

— Wytoczyłaś ciężkie działa, Sydney. Jedno z drugim nie miało nic wspólnego. Co się z tobą dzieje? Kiedy stałaś się taką suką? Może to obcowanie z wampirami okazało się dla ciebie bardziej szkodliwe, niż sądziliśmy. Jutro z samego rana zadzwonię do Stanton i poproszę, by cię odwołała w trybie natychmiastowym. Nie będziemy zwlekali do końca tygodnia. Musisz być natychmiast odsunięta od tych zadań. — Keith kręcił głową, patrząc na mnie wzrokiem pełnym politowania. — Poddasz się reedukacji. Ta decyzja powinna zapaść już wtedy, kiedy pomogłaś w ucieczce tej zbrodniarce.

— Nie zmieniaj tematu — rzuciłam butnie, choć zdołał wzbudzić we mnie cień lęku. Co będzie, jeśli Adrian i ja poniesiemy klęskę? Jeśli alchemicy będą woleli wysłuchać Keitha, mnie zaś odeślą? Uwięziona w ośrodku reedukacji nie będę stanowiła dla niego najmniejszego zagrożenia. — Nie rozmawiamy o mnie, tylko o Carly.

Keith przewrócił oczami.

— Nie zamierzam rozmawiać o twojej puszczałskiej siostrze.

Tym razem mnie poniosło. Na szczęście dla niego miałam pod ręką tylko filiżankę kawy, która w dodatku wystygła. Zostało jej jednak sporo, więc oblałam go dokumentnie, niszcząc fatalnie dobraną białą koszulę. Gapił się na mnie oszołomiony, nie mogąc wyartykułować słowa.

— Ty suko! — rzucił wreszcie, zrywając się z miejsca.

Kiedy ruszył w stronę wyjścia, zorientowałam się, że mogę pogrzebać nasz plan. Pobiełam za nim i szarpnęłam za ramię.

— Zaczekaj, Keith. Ja... przepraszam. Nie odchodź. Wyrwał rękę i zgromił mnie wzrokiem.

— Za późno. Miałaś swoją szansę i zaważyłaś ją. Znowu zacisnęłam palce na jego ramieniu.

— Nie, nie. Zaczekaj. Mamy jeszcze mnóstwo spraw do omówienia.

Otworzył usta, gotów rzucić opryskliwą uwagę, ale się zawahał. Wpił we mnie świdrujący wzrok.

— Czy ty przypadkiem nie usiłujesz mnie zatrzymać? Co się dzieje, do licha?

Nie byłam w stanie odpowiedzieć, a on błyskawicznie wybiegł z restauracji. Wróciłam w pośpiechu do stolika i rzuciłam banknot dwudziestodolarowy. Złapałam placek i krzyknęłam do kelnerki, by zatrzymała resztę.

Zegar samochodowy informował, że zostało jeszcze dwadzieścia minut do przyjazdu alchemików. Tyle akurat czasu potrzebował Keith, żeby dojechać do domu. Trzymałam się tuż za nim, nie kryjąc swojej obecności. Wiedział już, że coś się święci, że celowo wyciągnęłam go z mieszkania. Błogosławiłam wszystkie czerwone światła, które nas zatrzymywały, i modliłam się, by nie dotarł na miejsce za szybko. Adrian i ja musielibyśmy go jakoś powstrzymać. Nie było to niemożliwe, lecz nie miałam ochoty się z nim zmagać.

Dotarliśmy na miejsce. Keith wjechał na niewielki parking, a ja zatrzymałam auto przed wyjściem przeciwpożarowym. Dzieliło nas ledwie kilka kroków, gdy dobiegał do drzwi, ale chyba nawet mnie nie zauważył. Wpatrywał się w rozświetlone okna i ciemne sylwetki, ledwie widoczne za

ciężkimi zasłonami. Wparował do środka, a ja tuż za nim. Omal nie wpadłam na niego, kiedy stanął jak wryty.

Nie znałam tych trzech mężczyzn w garniturach, którzy byli w mieszkaniu razem z Adrianem, lecz wiedziałam, że to alchemicy. Wszyscy rozsiewali wokół tę charakterystyczną chłodną aurę, a na ich policzkach lśniły złote lilie. Jeden z nich przeszukiwał kuchenne szafki Keitha. Drugi trzymał w ręku notes i rozmawiał z Adrianem, który opierał się o ścianę, paląc papierosa. Uśmiechnął się na mój widok.

Trzeci alchemik klęczał na podłodze przy małym schowku w ścianie. Obok leżał obraz przedstawiający nagie kobiece plecy, zapewne zawieszony uprzednio, by ukryć schowek. Drewniane drzwiczki zostały wyważone, a zawartość szafki rozrzucona po podłodze — z kilkoma wyjątkami. Alchemik starannie sortował znalezione przedmioty: metalowe tubki i igły do pobierania krwi, fiołki z krwią i pakieciki srebrnego proszku. Mężczyzna podniósł głowę, gdy weszliśmy, i spojrzał na Keitha z chłodnym uśmiechem.

— Cieszę się, że pan się pojawił, panie Darnell. Mieliśmy nadzieję zabrać pana na przesłuchanie.

Keith stał blady jak ściana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

COŚ TY ZROBIŁA?

Tydzień później siedziałam w ostatnim rzędzie na sali w centrum Palm Springs i czekałam na występ Jill. Nie sądziłam, że Trey również przyjdzie, i wzdrygnęłam się, kiedy nagle ukląkł obok mnie.

— A o czym konkretnie mówisz? — spytałam. — Robiłam milion różnych rzeczy.

Zachnął się i zniżył głos, co było niepotrzebne, bo wokół panował ogromny gwar. Na pokazie zjawilo się kilkaset osób.

— Mam na myśli Slade a i jego kumpli. Dobrze o tym wiesz — wypalił. — W tym tygodniu przeżyli jakieś wielkie rozczarowanie. Bez przerwy narzekają na te głupie tatuaże. — Trey patrzył na mnie wymownie.

— Nie rozumiem. — Udałam niewiniątko. — Dlaczego myślisz, że mam z tym cokolwiek wspólnego?

— A nie masz? — Nie dał się zwieść.

Czułam, że usta rozciągnęły mi się w szerokim uśmiechu. Po rewizji w mieszkaniu Keitha alchemicy dopilnowali, by jego wspólnik z salonu tatuażu bezpowrotnie stracił specjalne dostawy. Nikt też dłużej nie wspominał, że Zoe

ma mnie zastąpić. Dopiero po kilku dniach Slade i spółka zorientowali się, że stracili źródło dopingu. Podśluchiwałam ich wzburzone rozmowy z rozbawieniem, ale nie sądziłam, że Trey też coś zauważył.

— Powiedzmy, że Slade może wkrótce utracić status gwiazdy sportu — bąknęłam. — Jest nadzieja, że zajmiesz jego miejsce.

Trey gapił się na mnie, oczekując, że powiem coś więcej. Ponieważ umilkłam, potrząsnął głową i zachichotał.

— Jeśli kiedykolwiek zechcesz wypić kawę, Melbourne, jestem do usług.

— Zapamiętam — odparłam i pokazałam na gęstniejący tłum. — Co ty tu właściwie robisz? Nie sądziłam, że interesują cię najnowsze trendy w modzie.

— To prawda — zgodził się. — Ale kilka moich znajomych bierze udział w pokazie.

— Twoich dziewczyn? — spytałam chytrze. Przewrócił oczami.

— Koleżanek. Nie mam czasu na głupie podchody.

— Czyżby? Sądziłam, że w tym celu kazałeś sobie zrobić tatuaż. Słyszałam, że dziewczyny to kręci.

Trey spojrzał na mnie Speszony.

— O czym ty mówisz?

Julia i Kristin dziwiły się, że Trey ma tatuaż, a Eddie potwierdził, że widział go na plecach chłopaka w szatni. Podobno wzór wyglądał jak promieniste słońce wykonane zwykłym tuszem. Czekałam na okazję, aby zażartować na ten temat.

— Nie udawaj. Wiem o twoim słoneczku. Dlaczego tak wyśmiewałeś mój tatuaż?

-Ja...

Był wyraźnie zbity z tropu. Więcej — wydawał się naprawdę zaniepokojony, jakby nie chciał, abym się o tym

dowiedziała. Pomyślałam, że zachowuje się dziwnie. Przecież to nic wielkiego. Chciałam go o to zapytać, ale zobaczyłam, że Adrian przeciska się w naszą stronę. Treyowi wystarczyło jedno spojrzenie na jego nachmurzoną minę, by natychmiast się poderwać. Rozumiałam reakcję. Wyraz twarzy Adriana nie wróżył niczego dobrego.

— Cóż — bąknął Trey. — Jeszcze raz dziękuję. Pogadamy później.

Mruknęłam słowo pożegnania i spojrzałam na Adriana, który prześliznął się obok, nie patrząc na mnie. Nieopodal siedział Micah, dalej Eddie, a za nim zostały jeszcze dwa wolne miejsca. Adrian zajął jedno i nie odpowiedział na powitanie Eddiego. Niebawem pojawił się Lee i usiadł na drugim wolnym fotelu. Wydawał się zmartwiony, ale zachowywał się bardziej przyjaźnie niż Iwaszkow. Adrian patrzył przed siebie z kamienną twarzą. Popsuł mi nastrój, wyczułam, że to na mnie jest wściekły.

Nie było jednak czasu dociekać, o co mu poszło. Światła pogasły, pokaz się rozpoczął. Prowadził go konferansjer. Przedstawił piątkę projektantów. Lia została wymieniona jako trzecia. Czekałam w napięciu na występ Jill. Poziom rewii w niczym nie przypominał próbnej sesji, jaką oglądałam w małym butik. Światła i muzyka nadawały jej profesjonalną oprawę, a modelki były wyraźnie starsze od Jill i bardziej doświadczone. Zaczęłam podzielać jej niepokój, że będzie odstawała od reszty.

Wreszcie przyszła kolej na pokaz Lii DiStefano. Jill miała wystąpić na początku i wyłoniła się w zwiewnej srebrzystej sukni wieczorowej uszytej z tkaniny, która zdawała się przeczyć prawu grawitacji. Maseczka zdobiona srebrem i perłami zakrywała połowę jej twarzy, uniemożliwiając rozpoznanie tym, którzy jej nie znali. Spodziewałam się, że makijaż nieco zakryje wampiryczną bladość jej skóry, tym-

czasem jeszcze podkreślił niezwykłość rysów dziewczyny. Połyskujący puder igrał z bladością karnacji i sprawiał, że Jill wyglądała na istotę nie z tego świata. Fryzjer zadbał, by każdy kosmyk znalazł się na miejscu i wdzięcznie opadał wokół twarzy. Dodatkowo we włosy wplótł klejnociki.

Od czasu pierwszej sesji Jill zrobiła wyraźne postępy. Praktycznie spała w butach na wysokich obcasach i opanowała nie tylko sztukę perfekcyjnego chodzenia. Poruszała się z nową pewnością siebie. Chwilami wychwyciłam wahanie oraz sztywność kroków, kiedy usiłowała zachować rytm. Wątpiłam jednak, by dostrzegł to ktokolwiek poza mną. Ci, którzy nie znali Jill i jej nieśmiałości, widzieli silną, smukłą kobietę sunącą po wybiegu. To było zadziwiające. Skoro dokonała tak wielkiej przemiany przy niewielkiej zachęcie, co jeszcze mogła osiągnąć?

Zerknęłam na chłopców siedzących obok mnie i stwierdziłam, że dzielają moje uczucia. Adrian zapomniał

O złym humorze i promieniował braterską dumą. Micah

i Lee wpatrywali się w nią z czystym uwielbieniem. Zauważyłam też ze zdumieniem, że nawet Eddie patrzył na nią wzrokiem pełnym podziwu, a nawet czegoś więcej. Nieomal... czci. Nagle zrozumiałam. Pojawiając się w roli pięknej, potężnej bogini, Jill ucieleśniała idealistyczne fantazje Eddiego. W tej chwili była prawdziwą księżniczką, a on rycerzem u jej boku.

Jill wystąpiła jeszcze dwukrotnie w innych strojach zaprojektowanych przez Lii i za każdym razem olśniewała publiczność, wyglądała w nich równie zjawiskowo jak w srebrnej sukni. Resztę pokazu oglądałam jednym okiem. Przyszłam wyłącznie ze względu na Jill, a prezentowane stroje były w większości zbyt krzykliwe jak na mój gust.

Po rewii odbyło się przyjęcie. Nasza mała grupka znalazła miejsce w kącie sali niedaleko stołów. Czekaliśmy na

Jill. Lee przyniósł ogromny bukiet białych lilii. Adrian popatrywał tęsknie na kelnerkę roznoszącą tacę z kieliszkami szampana. Nie sięgnął jednak po alkohol. Byłam z niego dumna i odetchnęłam z ulgą. Jill, równowaga i procenty nie powinny się łączyć.

Kiedy kelnerka odeszła, Adrian zwrócił się do mnie i znów zobaczyłam wściekłość w jego oczach. Jak podejrzewałam, to ja go wkurzyłam.

— Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? — zaczął. Zabrzmiało to równie enigmatycznie jak wcześniejsza wypowiedź Treya.

— O czym?

— Ze nie dostanę stypendium! Rozmawiałem z sekretarką. Podobno wiedziałaś od początku.

Westchnęłam.

— Nie zamierzałam tego przed tobą ukrywać. Po prostu nie było okazji, by cię powiadomić. Tyle się ostatnio działo. — No dobrze, niezupełnie celowo wszystko zataiłam. Nie spodziewałam się jednak takiej reakcji.

— Ale miałaś okazję wpłacić za mnie wpisowe. I dysponowałaś funduszami, a nie chciałaś wynająć mi mieszkania.

Myślę, że rozjuszyłam go, podejmując decyzję za jego plecami.

— Nietrudno było zdobyć pieniądze na jednorazowy wydatek — wyjaśniłam. — Ale comiesięczny czynsz? To już inna sprawa.

— Więc po co w ogóle się trudzić? — odparował. — Zapisalem się na studia, żeby zdobyć kasę na wyprawdzkę od Clarence'a! W przeciwnym razie nie męczyłbym się na tych idiotycznych ćwiczeniach. Myślisz, że lubię tłuc się autobusami?

— Te ćwiczenia ci służą — sprzeciwiłam się, czując narastającą złość. Nie chciałam tracić kontroli nad sobą, nie tutaj, w obecności przyjaciół, ale Adrian naprawdę mnie wkurzył. Czy nie dostrzegał, jak dobrze to wszystko na niego wpływa? Widziałam jego twarz, gdy pokazywał mi swoje dzieła. Pozwalały mu rozładować emocje związane z Rose, dawały mu poczucie celu. Poza tym zabolalo mnie, że tak łatwo zdyskredytował „idiotyczne” ćwiczenia. Przypomniał mi, że życie jest niesprawiedliwe, bo ja mogłam tylko marzyć o tym, co inni dostawali za darmo.

Zachnął się.

— Służą mi? Daj spokój, przestań się zachowywać jak moja matka! Nie możesz mi dyktować, jak mam kierować swoim życiem. Jeśli będę potrzebował twojej rady, poproszę.

— Jasne. — Oparłam ręce na biodrach. — To nie moja sprawa. Żyj sobie, jak chcesz. Ale oczekujesz, że będę ci wszystko ułatwiać. Nie potrafisz ścierpieć najdrobniejszej niewygody. Co się stało z tym wszystkim, o czym mówiłeś? Z powagą i wolą naprawienia swojego życia? O czym wspominałeś, gdy chciałeś, bym ci zaufała?

— Przestańcie — wtrącił niepewnie Eddie. — To nie czas ani miejsce. Adrian go zignorował.

— Jakoś nie masz problemu z ułatwianiem życia Jill.

— To moja praca! — wrzasnęłam. — Poza tym jest młoda. Nie sądziłam, że dorosły facet będzie wymagał takiej samej opieki!

Oczy Adriana rozbłysły szmaragdowym blaskiem, gdy zgromił mnie wzrokiem, ale nagle dostrzegł coś za moimi plecami. Obróciłam się i zobaczyłam Jill. Znow włożyła srebrną suknię, a jej twarz promieniowała szczęściem, któ-

re przygasło, gdy zorientowała się, że trafiła w sam środek awantury. Kiedy stanęła obok mnie, była tylko zmartwiona i przestraszona.

— Co się stało? — spytała, spoglądając na mnie i na Adriana.

Oczywiście musiała już znać odpowiedź poprzez więź. To był cud, że jego mroczne uczucia nie zepsuły jej występu.

— Nic — odparłam bezbarwnym głosem.

— Cóż — dorzucił Adrian. — To zależy od definicji słowa „nic”. Jeśli uznamy, że oznacza ono kłamstwa i...

— Dosyć! — wykrzyknęłam głośno. W pokoju panował hałas, więc większość ludzi mnie nie słyszała, ale kilka osób zerkało na nas z zaciekawieniem. — Przestań, Adrian. Mógłbyś nie psuć jej tego wieczoru? Nie możesz choć raz udawać, że są inni na tym świecie, którzy także się liczą?

— Ja jej psuję wieczór? — odparował. — Jak, u diabła, mogłaś tak powiedzieć?! Wiesz, co dla niej zrobiłem! Poświęciłem dla niej wszystko!

— Czyżby? — spytałam. — Na moje oko to nie wygląda na...

Zerknęłam na Jill i ugryzłam się w język. Miała na twarzy maskę, ale śledziła naszą kłótnię z przerażeniem w oczach. Przed chwilą wyrzucałam Adrianowi, że jest egoistą i nie troszczy się o Jill, a sama awanturowałam się z nim, nie myśląc o tym, jak bardzo jej psuję ten uroczysty wieczór. Nieważne, że miałam rację. To nie była odpowiednia pora na tę dyskusję. Nie powinnam pozwolić się sprowokować. A skoro Adrian nie miał na tyle przyzwoitości, by przerwać kłótnię, powinnam zrobić to ja.

— Wychodzę — oświadczyłam. Zmusiłam się do szczerego uśmiechu dla Jill, która wyglądała, jakby się miała rozplakać. — Byłaś dziś zachwycająca. Naprawdę.

— Sydney...

— W porządku - uspokoiłam ją. - Po prostu mam coś do załatwienia - dodałam, żeby zabrzmiało wiarygodnie. — Muszę posprzątać rzeczy Keitha. Czy możecie odwieźć ją i Eddiego do Amberwood? - Zwróciłam się do Micaha i Lee.

Wiedziałam, że jeden z nich na pewno się zgodzi. Nie czułam potrzeby organizowania transportu dla Adriana. Nie obchodziło mnie, jak sobie poradzi.

— Oczywiście — zaoferowali się Lee i Micah jednocześnie. Po chwili jednak Lee zmarszczył czoło. — Dlaczego musisz posprzątać rzeczy Keitha?

— To długa historia - mruknęłam. - Powiedzmy, że wyjechał z miasta i nie wróci szybko. Może nawet nigdy.

Z niezrozumiałych dla mnie powodów Lee wyraźnie przejął się tą informacją. Może zdążyli się zaprzyjaźnić, kiedy Keith odwiedzał Clarence'a. Jeśli tak, Lee był moim dłużnikiem.

Jill posmutniała.

— Miałam nadzieję, że wspólnie to uczymy.

— Nie przeszkadzajcie sobie — odparłam. — Dopóki Eddie jest z tobą, możesz robić, co chcesz. - Wyciągnęłam niezgrabnie rękę. Może nawet uściskałabym Jill, gdyby nie elegancja i wspaniałość jej stroju oraz makijażu. Poprzestałam więc na poklepaniu jej po ramieniu. - Mówiłam serio. Wyglądałaś olśniewająco.

Wyszłam pospiesznie, obawiając się, że Adrian lub ja nie wytrzymamy i powiemy coś głupiego. Żywiłam tylko nadzieję, że Iwaszkow będzie miał dość rozumu, żeby nie podejmować tego tematu i nie martwić Jill. Nie wiedziałam, dlaczego tak mnie zdenerwowała cała ta kłótnia. Przecież od początku były między nami nieporozumienia. Czy kolejna utarczka mogła coś zmienić? Potem przypomnia-

łam sobie, że od jakiegoś czasu zaczęliśmy się dogadywać. Nie myślałam o Adrianie jako o człowieku, ale przestałam widzieć w nim potwora.

— Sydney?

To był głos... Laurel. Dotknęła mojego ramienia, gdy mijałam grupkę dziewczyn z Amberwood. Musiałam mieć wściekłą minę, bo kiedy na nią spojrzałam, aż się cofnęła. Chyba po raz pierwszy.

— Co?! — warknęłam.

Przełknęła ślinę i odsunęła się od przyjaciółek. Dostrzegłam strach i rozpacz w jej oczach. Przykryła włosy kapeluszem, słyszałam, że do tej pory nie mogła przywrócić im dawnego blasku.

— Podobno... mogłabyś mi pomóc. Chodzi o moje włosy

— bąknęła.

Kolejna przysługa, jaką wyświadczyła mi Kristin. Pozwoliłam Laurel cierpieć przez kilka dni, a potem poprosiłam Kristin, by zaczęła rozpowiadać, że Sydney Melrose

- posiadaczka prywatnej apteki — jest w stanie zdziałać cuda.

Jednocześnie miała dać Laurel do zrozumienia, że za nią nie przepadam i będzie musiała się postarać, aby mnie przekonać.

— Możliwe — odparłam.

Starłam się zachować surowy wyraz twarzy, co nie było trudne, ponieważ wciąż byłam wściekła na Adriana.

— Proszę — ciągnęła Laurel. — Zrobię, co zechcesz, jeśli mi pomożesz! Próbowałam już wszystkiego, ale bez skutku. — Ku memu zaskoczeniu podała mi kilka kronik szkolnych. — Weź je. Zależało ci na nich, prawda? Dam ci wszystko, czego sobie zażyczysz.

Wystarczyłoby pięć dni szorowania głowy, żeby moja mikstura zeszała, ale nie zamierzałam jej tego mówić. Wzięłam od niej kroniki.

— Pomogę ci — odparłam — pod warunkiem że zostawisz moją siostrę w spokoju. Jasne?

— Tak — odpowiedziała skwapliwie.

— Koniec ze złośliwymi żartami, wyśmiewaniem i plotkowaniem za jej plecami. Nie musisz się z nią zaprzyjaźniać, ale masz się trzymać od niej z daleka. — Urwałam. — Najpierw jednak ją przeprosisz.

Laurel przez cały czas kiwała głową.

— Dobrze, dobrze! Przeproszę ją natychmiast. Zerknęłam na Jill stojącą w gronie wielbicieli. Trzymała w ramionach kwiaty od Lee.

— Nie. Dziś miała za dużo wrażeń. Wystarczy, że pójdziesz do niej jutro.

— Dobrze — zgodziła się Laurel. — Obiecuję. Tylko powiedz mi, co mam zrobić. Jak to zmyć.

Nie spodziewałam się, że dziewczyna zaczepi mnie tego wieczoru, ale byłam przygotowana. Nosłam w torebce małą buteleczkę z remedium na jej problem. Oczy o mało nie wyskoczyły jej z orbit, kiedy jej to pokazałam.

— Wystarczy ci jedna dawka. Użyj tego jako szamponu. Jednak potem będziesz musiała ponownie ufarbować włosy. — Dziewczyna wyciągnęła rękę, lecz cofnęłam swoją. — Ja nie żartuję. Musisz skończyć z prześladowaniem Jill. I nie chcę więcej słyszeć ani słowa o twoich zaczepkach. Nie będziesz zazdrosna o Micaha i nie nazwiesz jej wampirzycą. Jeszcze jedno: koniec z telefonami do salonu tatuażu i wypytywaniem o wysokich, białych ludzi.

Zatkało ją.

— Słucham? Nigdzie nie dzwoniłam!

Zawahałam się. Kiedy facet z salonu wspomniał o tajemniczych telefonach, sądziłam, że to kolejna złośliwość Laurel. Teraz nabrałam wątpliwości.

— Jeśli usłyszę, że nie dałaś Jill spokoju, problem z włosami będzie niczym w porównaniu z kolejną niespodzianką. Rozumiesz?

Potwierdziła z przestachem.

— D-doskonale. Podałam jej buteleczkę.

— Pamiętaj.

Już miała się odwrócić, ale zerknęła na mnie niepewnie.

— Wiesz, potrafisz być naprawdę przerażająca. Zastanawiałam się, czy alchemicy mieli choć niewielkie

pojęcie, na czym będzie polegała moja praca. Przynajmniej jeden problem udało mi się załatwić. Desperacja Laurel utwierdziła mnie w przekonaniu, że jej żarty były jedynie złośliwymi docinkami. Kto zatem wypytuje o wampiry w salonie tatuażu?

Ruszyłam w stronę samochodu, postanawiając pojechać do mieszkania Keitha. Ktoś musiał uporządkować jego rzeczy, a dzięki temu mogłam liczyć na chwilę samotności. Do pory ciszy nocnej w Amberwood pozostało mi jeszcze kilka godzin.

Od czasu wizyty alchemików nikt nie zaglądał do tego mieszkania. Nasi ludzie zabrali tylko potrzebne dowody, nie troszcząc się o rzeczy Keitha. Miałam nadzieję, że znajdę trochę składników niesłużących do produkcji nielegalnych tatuaży. Dodatkowe zasoby chemikaliów zawsze mogą się przydać, czy to dla unicestwienia ciała strzygi, czy prowadzenia domowych eksperymentów chemicznych.

Niestety. Skonfiskowali wszystkie środki Keitha, nawet te legalne. Ale skoro już tu przyjechałam, postanowiłam sprawdzić, czy nie przydadzą mi się inne jego rzeczy. Alchemik najwyraźniej nie ukrywał majątku pochodzącego z nielegalnych źródeł, bo wyposażył swój apartament bardzo komfortowo. Nie sądziłam, by Keith posiadał takie luk-

susy w domu: królewskie łoże rodem z Kalifornii, olbrzymi telewizor z płaskim ekranem i drogie głośniki, które z powodzeniem można zainstalować w kinie, oraz zapasy jedzenia wystarczające, by dzień w dzień urządzać przez cały miesiąc imprezy. Zdumiona przeglądałam kuchenne szafki. Keith kupował góry niezdrowego jedzenia. Mimo wszystko uznałam, że warto zabrać trochę tego dla Jill i Eddiego, więc zapakowałam słodycze. Rozważałam również, czy nie przewieźć do nas wielkiego telewizora. Oddanie go ekipie sprzątającej alchemików byłoby marnotrawstwem. Jednak z drugiej strony wyobraziłam sobie minę pani Weathers, gdybyśmy próbowali wtaszczyć go po schodach bursy. Nie byłam nawet pewna, czy w naszym pokoju znalazłoby się dostatecznie dużo miejsca na ścianie. Usiadłam w fotelu z regulowanym oparciem, żeby zastanowić się nad kwestią telewizora. Ten fotel również musiał być dziełem projektanta. Luksusowe skórzane obicie okazało się miękkie jak puch, dosłownie się w nim zapadłam. Uznałam z żalem, że mebel nie zmieści się w gabinecie panny Terwiliger, bo wyobraziłam sobie, z jaką przyjemnością odpoczywałaby w nim, popijając cappuccino i wertując stare dokumenty.

Nie wiedziałam, co stanie się z dobytkiem Keitha, lecz na pewno potrzeba ciężarówki na jego przewiezienie. W mojej Latte nie zdołałabym upchnąć telewizora, fotela ani innych rzeczy. Nie było powodu zostawać dłużej w tym mieszkaniu, ale nie miałam też najmniejszej ochoty wracać do kampusu. Obawiałam się spotkania z Jill. Żadna reakcja z jej strony nie wydawała się odpowiednia. Jeżeli wciąż będzie się smuciła z powodu awantury, dopadnie mnie poczucie winy. Lecz jeśli spróbuje bronić Adriana, zdenerwuję się jeszcze bardziej.

Westchnęłam. Ten fotel był tak bajecznie wygodny, że chciałam w nim jeszcze chwilę odpocząć. Sięgnęłam do

torby, szukając zeszytu z pracą domową, i przypomniałam sobie o kronikach szkolnych. Kelly Hayes. Do tej pory nie miałam czasu myśleć o niej ani jej zabójcach, za dużo się wydarzyło w związku z Keithem i aferą tatuażową. Kelly zginęła w połowie nauki w Amberwood. Dostałam kroniki z każdego jej roku w szkole.

Już w pierwszej klasie poświęcono jej sporo uwagi. Pani Weathers wspomniała, że wyróżniała się w sporcie. Rzeczywiście. Odnosiła sukcesy w wielu dziedzinach. Występowała jako reprezentantka szkoły w zawodach i zdobyła wiele nagród. Zorientowałam się, że Kelly nie była moroj-ką. Widziałam to nawet na czarno-białych fotografiach, a kolorowe zdjęcia z drugiej klasy to potwierdziły. Miała typową ludzką sylwetkę i opaloną skórę, wyraźnie kochała też słońce.

Przeglądałam spis treści kroniki z pierwszego roku, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. W pierwszej chwili nie miałam zamiaru otwierać, sądząc, że to któryś ze znajomych Keitha wpadł na darmowy posiłek przed telewizorem. Po chwili jednak się przestraszyłam, że może to ktoś w sprawie związanej z działalnością alchemika. Niechętnie odłożyłam kronikę i podeszłam do drzwi. Przez wizjer zobaczyłam znajomą twarz.

— Lee? — zdziwiłam się, otwierając mu. Uśmiechał się nieśmiało.

— Cześć. Przepraszam za najście. Poszedł za mną do pokoju.

— Chciałem z tobą porozmawiać. Kiedy wspomniałaś, że się tu wybierasz, zacząłem się zastanawiać, czy to prawda, co mówił ojciec. Czy Keith się stąd wyniósł?

Rozparłam się w fotelu. Lee zajął miejsce na sofie.

— Tak. Keith wyjechał. Dostał, uhm, nowe zadanie. — Keith odbywał gdzieś karę, krzyżyk na drogę.

Lee popatrzył na kosztowne meble.

— Ładne lokum. — Jego wzrok padł na szafkę, w której właściciel przechowywał akcesoria alchemiczne. Drzwiczki zwisały na nadszarpniętych zawiasach. Nie zamierzałam tu sprzątać po tym, jak alchemicy zabrali zawartość szafek. — Czy tu... — Lee zmarszczył brwi — było włamanie?

— Niezupełnie — odparłam. — Keith szukał czegoś w pośpiechu przed wyjazdem.

Lee splótł ręce i obejrzał pokój jeszcze raz, zanim odwrócił się do mnie.

— Czy on wróci?

— Raczej nie.

Zdziwiło mnie, gdy wyraźnie zrzędała mu mina. Odniosłam wrażenie, że moroj nie przepadał za Keithem.

— Zastąpi go inny alchemik?

— Tego nie wiem — przyznałam. Dopiero dyskutowano tę kwestię. Demaskując Keitha, zapobiegłam przyjazdowi Zoe. Stanton rozważała, czy nie powierzyć funkcji lokalnego alchemika mnie. — Jeśli nawet, to jeszcze nie teraz.

— Zatem pozostałaś jedyną alchemiczką w okolicy — zauważył i posmutniał jeszcze bardziej.

Wzruszyłam ramionami.

— Jest jeszcze kilku innych w Los Angeles. Lee dziwnie się ożywił.

— Naprawdę? A mogłabyś mi podać ich...

Urwał nagle, dostrzegając otwartą kronikę szkolną u moich stóp.

— Och... — Podniosłam ją. — Zbieram materiały o...

— Kelly Hayes — dokończył sucho.

— Tak. Słyszałaś o niej? — Sięgnęłam po skrawek papieru, aby użyć go jako zakładki.

— Można tak powiedzieć — odparł.

Chciałam zapytać, co ma na myśli, i wtedy to zobaczyłam. Fragment kroniki poświęcony Kelly zawierał fotografie uwieczniające różne wydarzenia z jej szkolnego życia. Większość dokumentowała imprezy sportowe, ale były też inne, na przykład ze szkolnego balu. Kelly miała na sobie niebieską satynową sukienkę, która podkreślała jej smukłą sylwetkę. Uśmiechała się szeroko do obiektywu, obejmując przystojnego, wystrojonego w smoking partnera.

Był nim Lee.

Podniosłam na rozmówcę wzrok. Miał nieodgadniony wyraz twarzy. Ponownie zerknęłam na fotografię. Najbardziej uderzyła mnie data tamtego balu. Kronika pochodziła sprzed pięciu lat. Lee musiał być wówczas ledwie czternastolatkiem, a chłopak stojący obok Kelly był wyraźnie starszy. Lee na zdjęciu wyglądał identycznie jak ten siedzący przede mną, a to przecież było niemożliwe. Moroje nie są nieśmiertelni. Starzeją się tak samo jak ludzie. Spojrzałam na niego ponownie, zastanawiając się, czy ma brata.

Oszczędził mi jednak dalszych pytań. Popatrzył ze smutkiem i potrząsnął głową.

— Szlag. Nie chciałem, żeby do tego doszło — powiedział i wyjął nóż.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

TO DZIWNE, jak reagujemy w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia. Spanikowałam, serce biło mi jak szalone. Powróciło znajome uczucie pustki w klatce piersiowej. Ale jakimś cudem nie straciłam zdolności logicznego myślenia. „Tak, to taki rodzaj noża, którym można poderznąć gardło” — wywnioskowałam.

Byłam oszołomiona. Nie poruszyłam się nawet i starałam się mówić spokojnie i cicho.

— O co tu chodzi, Lee? Co ty wyprawiasz? Pokręcił głową.

— Nie udawaj. Jestem pewien, że wiesz. Jesteś zbyt bystra.

Przewidywałam, że do tego dojdiesz, lecz nie sądziłem, że nastąpi to tak szybko.

Zakręciło mi się w głowie. Znowu ktoś okazał się bystrzejszy ode mnie. Pewnie powinnam czuć się dowartościowana wiarą w moją inteligencję, ale naprawdę nie miałam pojęcia, o czym on mówi. Nie mogłam zdecydować, czy to wyjawić, postanowiłam więc grać na zwłokę.

— Jesteś na tym zdjęciu — zaczęłam, starając się, żeby nie zabrzmiało to jak pytanie.

— Oczywiście — zgodził się.

— I się nie postarzałeś. — Zerknęłam na fotografię, żeby zyskać pewność. Znów mnie to zdumiało. Tylko strzygi się nie starzeją, stają się nieśmiertelne w chwili przemiany. — To... niemożliwe. Jesteś morojem.

— Ależ postarzałem się — rzucił z goryczą. — Jednak niewystarczająco, byś to zauważyła.

Nadal nic nie rozumiałam. Nie mogłam odgadnąć, jak to się stało, że Lee — o błyszczących oczach, zakochany w Jill — groził mi nożem. Nie pojmowałam też, jakim cudem wyglądał tak samo jak na zdjęciu sprzed pięciu lat. I w tej chwili uświadomiłam sobie straszną rzecz.

— To ty... zabiłeś Kelly Hayes. — Strach ściskający mnie za serce narastał. Odwróciłam wzrok od ostrza noża i spojrzałam mu w oczy. — Ale chyba nie... Na pewno nie Melody... ani Tamarę...

Skinął głową na potwierdzenie.

— I Dinę. Ale ty o niej nie słyszałaś, prawda? Była człowiekiem, a wy nie rejestrujecie zgonów ludzi. Tylko wampirów.

Trudno mi było oderwać wzrok od noża. Myślałam tylko o tym, jak jest ostry i jak blisko mnie znajduje się ostrze. Jeden ruch ręki Lee i skończę tak samo jak tamte dziewczyny, wykrwawię się na śmierć. Szukałam rozpaczliwie tematu, który mogłabym podjąć, a który odwróciłby uwagę Lee od noża.

— Tamara była twoją kuzynką — wydukałam wreszcie. — Dlaczego miałbyś zabijać krewniaczkę?

Twarz moroja na chwilę posmutniała.

— Nie chciałem... To znaczy chciałem, ale nie byłem sobą, kiedy wróciłem. Czuję tylko, że znów muszę się przebudzić. Tamara znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Sięgnąłem po pierwszą morojkę, jaka mi się trafiła... ale się nie udało. Potem zacząłem pró-

bować z innymi. Wiedziałem na pewno, że któraś z tych dziewczyn mi to umożliwi: człowiek, moroj, dampir... z którąś musiało zadziałać.

Usłyszałam w jego głosie głęboką rozpacz i pomimo lęku jakaś część mnie zapragnęła mu pomóc... Byłam kompletnie zagubiona.

— Lee, wybacz, ale nie rozumiem, co chciałeś osiągnąć. Proszę, odłóż ten nóż i porozmawiajmy. Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

Posłał mi smutny uśmiech.

— Możesz. Nie chciałem, żeby padło na ciebie. Wybrałem Keitha. Z pewnością zasłużył na śmierć bardziej niż ty. No i Jill... Jill cię lubi. Zamierzałem to uszanować i cię oszczędzić.

— Możesz mnie wypuścić — odparłam. — Ona nie chciałaby, żebyś mnie zabił. Będzie załamana, kiedy...

W jednej chwili przyskoczył do mnie, przystawiając mi nóż do gardła.

— Ty nic nie wiesz! — wykrzyknął. — Ona też nie, ale zrozumie i będzie mi wdzięczna. Podziękuje mi, a potem będziemy razem, wiecznie młodzi. Jesteś moją szansą. Z innymi mi się nie udało, ale z tobą... — Przesunął nożem po tatuażu na moim policzku. — Jesteś niezwykła. W twoich żyłach płynie magia. Potrzebuję alchemika i zostałeś mi tylko ty.

— O czym ty mówisz? — wyjąkałam.

— Dzięki tobie będę nieśmiertelny! — zawołał. — Boże, Sydney. Nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Jak to jest mieć to w garści i stracić. Posiąść nieograniczoną siłę i moc... nie starzeć się, wiedzieć, że będziesz żyć wiecznie. A potem doświadczyć takiej pustki! Odebrano mi to wszystko. Jeśli kiedykolwiek dopadnę drania władającego mocą ducha, który mi to zrobił, zabiję go. Zabiję i będę

z niego pił, bo jeszcze dzisiaj na powrót scalę się w jedno. Zostanę przebudzony na nowo.

Ciarki przebiegły mi po plecach. Można by pomyśleć, że człowiek nie jest w stanie poczuć jeszcze większego lęku, ale stało się inaczej. Najgorsze dopiero mnie czekało. Po tym, co teraz powiedział, zaczęłam rozumieć jego zachowanie. Słowo „przebudzenie” wymawiano w świecie wampirów w bardzo szczególnych okolicznościach.

— Byłeś strzygą - wyszeptalam, nie wiedząc, czy jestem w stanie w to uwierzyć.

Odsunął się, szare oczy patrzyły na mnie gorączkowo.

— Byłem bogiem! I będę nim znowu. Przysięgam. Przykro mi, naprawdę. Przykro mi, że to ty, a nie Keith. Nie chciałem, byś dowiedziała się o Kelly. Gdybyś nic nie odkryła, może znalazłbym innego alchemika w Los Angeles. Zrozum, nie mam innego wyjścia... — Znowu przystawił mi ostrze noża do gardła. — Potrzebuję twojej krwi. Nie mogę tak dłużej żyć... nie jako śmiertelny moroj. Muszę się znowu przemienić.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

— Ani słowa! — syknął Lee. - Pójdą sobie.

Kilka sekund później znowu usłyszeliśmy pukanie, a po nim głos:

— Wiem, że tam jesteś, Sage. Widziałem twój samochód. Wiem, że jesteś na mnie wściekła, ale wysłuchaj mnie.

To była moja szansa.

— Adrian! - wrzasnęłam, zrywając się z fotela.

Nie usiłowałam rozbroić Lee. Chciałam tylko uciec. Popchnęłam go, zanim zdążył zareagować, i pobiegłam do drzwi, lecz morderca był przygotowany na ten ruch. Skoczył na mnie i powalił na ziemię, raniąc ostrzem w ramię. Krzyknęłam z bólu, gdy nóż rozdzierał mi skórę. Próbowałam się wyrwać, ale wtedy ostrze głębiej wbiło mi się w ciało.

Nagle otworzyły się drzwi. Pomyślałam z ulgą, że nie zamknęłam ich na klucz po przyjściu Lee. Adrian stanął jak wryty, obserwując rozgrywającą się scenę.

— Nie zbliżaj się! — warknął ostrzegawczo Lee, przykładając mi nóż do gardła. Czułam pulsujące ciepło krwi płynącej z rany. — Zamknij drzwi. Siadaj i załóż ręce za głowę. Zabiję ją, jeśli nie posłuchasz.

— I tak mnie zabije... Auu! — Urwałam, bo napastnik pchnął mnie nożem, nie dość mocno, by zabić, lecz wystarczająco, by zadać mi ból.

— Dobrze, w porządku... — Adrian podniósł rękę. Sprawiał wrażenie bardziej przytomnego i poważnego niż kiedykolwiek. Usiadł na podłodze i założył ręce za głowę, a potem zwrócił się łagodnie do Lee. — Nie wiem, co chcesz zrobić, ale musisz to przerwać, zanim posuniesz się za daleko. Nie masz broni. Nie zatrzymasz nas obojga, wymachując tym nożem.

— Już kiedyś mi się udało — rzucił Lee.

Wciąż trzymając ostrze przy mojej szyi, sięgnął do kieszeni drugą ręką i wyjął z niej parę kajdanek. Tego się nie spodziewałam. Rzucił je Adrianowi.

— Włóż to.

Iwazkow nie zareagował od razu, więc Lee mocniej przycisnął nóż do mojej szyi, aż krzyknęłam.

— Rób, co mówię! Adrian posłusznie się skuł.

— Przyniosłem je z myślą o niej, ale właściwie dobrze, że wpadłeś — powiedział Lee. — Pewnie będę głodny, kiedy przebudzę się na nowo.

Adrian uniósł brew w zdumieniu.

— Na nowo?

— Był strzygą — wtrąciłam. — Mordował te dziewczyny. Podcinał im gardła w nadziei, że znów się przemieni.

— Milcz! — warknął Lee.

— Ale po co podcinałeś im gardła? — spytał Adrian. — Przecież masz kły.

— Na nic się nie przydały. Próbowałem. Piłem ich krew — i nic się nie działo. Potem musiałem zmylić tropy. Strażnicy od razu poznaliby ukąszenie moroja lub strzygi. Nóż i tak był mi potrzebny, aby je zmusić do uległości, więc zacząłem im podcinać gardła dla niepoznaki. Wszyscy myśleli, że jestem obłąkaną strzygą. Albo łowcą wampirów.

Adrian wyraźnie próbował sobie to wszystko poukładać. Nie wiedziałam, czy wierzył Lee, sam również miewał szalone pomysły.

— Skoro nie udało ci się z tamtymi dziewczynami, śmierć Sydney też niczego nie zmienia.

— Musi zmienić — przerwał mu gorączkowo Lee. Przesunął się, popychając mnie na plecy. Leżałam na podłodze unieruchomiona ciężarem jego ciała. — Krew Sydney ma szczególne właściwości. Wiem, że tak jest. jeśli teraz mi się nie uda... Poproszę o wsparcie. Pomogą mi się przebudzić, a wtedy sam przebudzę Jill, żebyśmy mogli być razem na zawsze.

Adrian zerwał się na równe nogi w furii.

— Nie waż się skrzywdzić Jill! Nie wolno ci jej tknąć!

— Siadaj — warknął Lee i Adrian go posłuchał. — Nie zrobię Jill krzywdy. Kocham ją. Dlatego chcę, żeby pozostała na zawsze taka, jaka jest teraz. Na zawsze. Przebudzę również ją, kiedy tylko sam się przebudzę.

Próbowałam przechwycić spojrzenie Iwaszkowa. Gdybyśmy teraz jednocześnie zaatakowali Lee, to — chociaż Adrian został skuty — może mieliśmy szansę go obezwładnić. Napastnik był gotów poderżnąć mi gardło, tego byłam pewna. Liczył... na co? Że napije się mojej krwi i to go przemieni w strzygę?

— Lee! — pisnęłam. Bałam się poruszyć, żeby znów nie dźgnął mnie nożem. — Nie udało się z tamtymi dziewczynami. Nie sądzę, by fakt, że jestem alchemiczką, mógł wiele zmienić. Cokolwiek zrobił tamten moroj obdarzony mocą ducha, by cię ocalić... na pewno sprawił, że nie możesz na powrót stać się strzygą. Nieważne, czyją krew wypijesz.

— On mnie nie ocalił! — ryknął Lee. — Zniszczył mi życie. Próbuje je odzyskać od sześciu lat. Byłem niemal gotów uciec się do ostateczności... ale pojawiliście się ty i Keith. Pozostało mi jedynie tamto wyjście. Nie chciałbym tego robić ze względu na nas wszystkich.

Więc to nie ja byłem ostatnią szansą? Szczerze mówiąc, nie sądziłam, by coś mogło mi zaszkodzić jeszcze bardziej. Tymczasem Adrian wciąż nie patrzył w moją stronę. Frustrowało mnie to, dopóki nie domyśliłam się, do czego zmierza.

— Popęlniasz błąd — mówił. — Spójrz mi w oczy i powiedz, że naprawdę chcesz jej to zrobić.

W kajdankach czy bez, Adrian nie miał siły ani refleksu daimona, który potrafiłby rozbroić Lee. Nie władał także żadnym z żywiołów, na przykład ogniem, którego można było użyć w walce. Jednak posiadał moc wpływania na innych. W pewnym stopniu wszystkie wampiry posiadają tę zdolność, jednak moroje władający żywiołem ducha są w tej mierze najbardziej uprzywilejowani. Czar działa najskuteczniej w kontakcie wzrokowym, a Lee, niestety, nie patrzył na Adriana. Utkwił spojrzenie we mnie, uniemożliwiając interwencję.

— Podjąłem decyzję dawno temu — ciągnął Lee. Wolną ręką umazał palce w mojej krwi, która spływała

po ramieniu, i uniósł je do ust z wyrazem ponurej rezygnacji na twarzy. Obliznął palce. Byłam tak przerażona, że nawet mną to nie wstrząsnęło.

Nagle Lee wykrzywił się w absolutnym zdumieniu, które po chwili ustąpiło miejsca obrzydzeniu.

— O, nie — sapnął. Jeszcze raz dotknął palcami mojej krwi i polizał. — Coś... Coś jest nie tak...

Nachylił usta nad moją szyją, a ja skuliłam się w oczekiwaniu na nieuniknione. Ale nie poczułam jego kłów na skórze, tylko lekkie muśnięcie warg i języka na ranie, niczym perwersyjny pocałunek. Lee odsunął się i spojrzał na mnie z przerażeniem.

— Co jest z tobą nie tak? — wyszeptał. — Co masz we krwi? — Spróbował jej po raz trzeci i skrzywił się jeszcze bardziej. — Nie mogę jej pić. Nie przyswajam jej. Dlaczego?

Ani Adrian, ani ja nie znaleźliśmy odpowiedzi. Lee skurczył się w poczuciu klęski, a ja odważyłam się pomyśleć, że zrezygnuje ze swojego szalonego planu. On jednak odetchnął głęboko i się wyprostował. Najwyraźniej był zdeterminowany. Oczekiwałam ze strachem, że teraz ukąsi Adriana, mimo że moroje — zabił przecież Melody — nie mogli zapewnić mu upragnionej przemiany.

Tymczasem Lee wyjął telefon komórkowy z kieszeni i uniemożliwiając mi ucieczkę ostrzem noża, wystukał jakiś numer.

— Dawn? Mówi Lee. Tak... tak, wiem. Mam dla ciebie dwoje, już czekają. Moroj i alchemiczka. Nie, nie stary. Tak. Tak, jeszcze żywi. To musi być dzisiaj. Wiedzą o mnie. Oddam ci ich, ale... pamiętasz o umowie. Wiesz, czego chcę... Tak. Mhm. Dobrze. — Lee podał adres i się rozłączył. Uśmiechnął się z zadowoleniem. — Mamy szczęście. Są we wschodniej dzielnicy Los Angeles, więc powinny zjawić się szybko. Szczególnie że nie przejmują się ograniczeniami prędkości.

- O kim mówisz? - spytał Adrian. - Pamiętam, że dzwoniłeś do jakiejś Dawn w Los Angeles. Czyżby to twoja atrakcyjna koleżanka z college'u?

-To wysłanniczki naszego przeznaczenia - odparł z rozmarzeniem Lee.

— Cudownie enigmatyczna i nonsensowna odpowiedź — mruknął Iwaszkow.

Lee zgromił go wzrokiem, a potem przyjrzał się z uwagi-

— Zdejmij krawat.

Spędziłam z Adrianem wystarczająco dużo czasu, by spodziewać się odpowiedzi w rodzaju: „No, nareszcie, możemy przestać być tacy oficjalni”. Tym razem Adrian jednak był zbyt przejęty powagą sytuacji i nożem przystawionym do mojej szyi. Miał skute ręce, więc dopiero po kilku próbach udało mu się rozwiązać krawat włożony specjalnie na pokaz Jill. Rzucił go na podłogę.

— Ostrożnie - mruknął przy tym. - Jedwabny. - Jednakowoż stać go było na sarkazm.

Lee przewrócił mnie na brzuch, ostatecznie uwalniając od groźby noża, ale nie dając czasu na reakcję. Błyskawicznie wykręcił mi ręce do tyłu i związał je krawatem. Szarpnął mnie przy tym, co dotkliwie zabolalo. Potem odsunął się nieco, pozwalając mi niezgrabnie usiąść. Spróbowałam poruszyć dłońmi, lecz czułam, że nie zdołam ich uwolnić z więzów. Zastanawiałam się, ilu dziewczętom wiązał ręce, realizując swój chory plan.

Zapadła dziwna, niezręczna cisza. Czekaliśmy na zapowiedziane przez Lee „wysłanniczki przeznaczenia”. Mijały minuty, zastanawiałam się gorączkowo, co robić. Ile czasu zostało nam do przybycia tajemniczych nieznajomych? Na podstawie tego, co mówił Lee, zakładałam, że co najmniej godzina. Zebrałam się na odwagę i spróbowałam jednak

porozumieć się z Adrianem, znów mając nadzieję, że wspólnie uda się nam obezwładnić Lee.

— Jak się tu w ogóle dostałeś? — spytałam.

Adrian nadal koncentrował się na przeciwniku, wierząc, że nawiąże z nim kontakt wzrokowy, lecz zerknął na mnie.

— Tak samo jak wszędzie, Sage. Autobusem.

— Dlaczego?

— Bo nie mam samochodu.

— Adrian! — To było niewiarygodne. Potrafił wyprowadzić mnie z równowagi nawet w sytuacji zagrożenia życia.

Wzruszył ramionami i znów utkwiał wzrok w Lee, kierując słowa wyłącznie do mnie.

— Chciałem cię przeprosić. Zachowałem się jak ostatni dupek na pokazie Ślicznotki. Niedługo po twoim wyjściu poczułem, że musimy porozmawiać. — Przerwał i rozejrzał się wymownie. — Ale widać żaden dobry uczynek nie pozostaje bez kary.

Poczułam się zagubiona. Nie miałam wpływu na to, że Lee okazał się psychopatą, ale poczułam się odpowiedzialna za sytuację, w jakiej znalazł się Adrian.

— W porządku. Nie zachowałeś się... uhm, aż tak źle — rzuciłam niezręcznie, żeby poprawić mu nastrój.

Uśmiechnął się słabo.

— Nie potrafisz kłamać, Sage, ale wzruszyłaś mnie. Dzięki za dobre chęci.

— Cóż, tamten incydent nie ma wielkiego znaczenia w porównaniu z naszą obecną sytuacją — mruknęłam. — Łatwo to wybaczyć.

Lee przysłuchiwał się nam, marszcząc brwi.

— Czy ktoś wie, że tu jesteś? — spytał Adriana.

— Nie — odparł tamten. — Powiedziałem, że wracam do Clarencea.

Nie wiedziałam, czy mówi prawdę. W pierwszej chwili pomyślałam, że to bez znaczenia. Pozostali słyszeli, że wybieram się tutaj, nie mieli jednak powodów mnie szukać.

Chociaż... istniała jeszcze więź.

Wstrzymałam oddech i napotkałam wzrok Adriana. Odwrócił głowę, zapewne z lęku, że zdradzi to, czego się domyśliłam. Nieważne, czy nasi przyjaciele wiedzieli, dokąd pojechałam. Skoro Jill łączy z Adrianem duchowa więź, już się zorientowała, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Pod warunkiem że akurat teraz miała możliwość wejrzeć w jego umysł. Oboje przyznali, że zdarza jej się to przypadkowo, najczęściej z powodu silnych uczuć. No, jeśli to nie była emocjonalna sytuacja, nie mogłam wyobrazić sobie innej. Z drugiej strony nawet gdyby Jill zorientowała się, że coś jest nie tak, niczego nie była pewna na sto procent. I nie mogłaby przyjechać tu sama. Oczywiście najlepsze wyjście to powiadomić policję, lecz zrozumiałabym, gdyby się tego obawiała. Potrzebowała Eddiego. Jak szybko może się z nim skontaktować, jeśli rozeszli się już do pokoi?

Tego nie wiedziałam. Czuję, że musimy jakoś przetrwać, bo tak czy inaczej, Jill przybędzie z pomocą. Czy mieliśmy szansę? Znajdowaliśmy się w pułapce z mordercą, który rozpaczliwie usiłował na powrót przemienić się w strzygę. Fatalna kombinacja, a wyglądało na to, że będzie jeszcze gorzej...

— Kto tutaj jedzie, Lee? — spytałam. - Do kogo dzwoniłeś? — Nie odpowiedział, więc spróbowałam rozumować na głos. — Pewnie strzygi. Wezwałś strzygi.

— To jedyne wyjście — przyznał, przerzucając nóż do drugiej ręki. — Nie ma innego. Przykro mi. Nie potrafię tak dłużej. Nie chcę być śmiertelny. Straciłem za dużo czasu.

Oczywiście. Moroje mogą przemienić się w strzygi na dwa sposoby. Pierwszy polegał na wypiciu krwi drugiej

osoby i tym samym pozbawieniu jej życia. Lee próbował tej metody, wybierając najróżniejsze typy ofiar, lecz na próżno. Pozostała mu więc ostatnia opcja: przeistoczenie dzięki innej strzydze. Zwykle bestie przemieniały morojów wbrew ich woli, podając ofiarom swoją krew. Tego pragnął Lee w zamian za oddanie nas w szpony strzyg, które miały go przemienić. To samo chciał zrobić Jill w porywie chorej miłości...

— To nie jest tego warte — rzuciłam z desperacją. — Nie jest warte śmierci niewinnych i utraty własnej duszy.

Lee posłał mi lodowato obojętne spojrzenie. Z trudem przypominałam sobie, jak pobłażliwie uśmiechałam się kiedyś, obserwując jego zaloty do Jill.

— Czyżby, Sydney? Skąd możesz to wiedzieć? Pozbawiłaś się wszelkiej radości. Żyjesz w izolacji. Nie pozwalasz sobie na egoistyczne odruchy — zobacz, dokąd cię to zaprowadziło. „Etyka”, którą głosisz, skazała cię na życie w rygorze. Czy teraz, chwilę przed śmiercią, możesz powiedzieć szczerze — nie żałujesz, że nigdy sobie nie folgowałaś?

— Jednak nieśmiertelna dusza...

— Co mnie ona obchodzi?! — wrzasnął. — Dlaczego miałbym się godzić na nędzny, ograniczony żywot na tym świecie w nadziei, że być może nasze dusze trafią kiedyś do niebios? Mogę zapanować nad swoim życiem, stać się nieśmiertelny i czerpać ze wszystkich przyjemności tego świata jako wiecznie silny i młody. To jest realne. W to mogę uwierzyć.

— To jest złe — sprzeciwiłam się. — Nie warto.

— Nie mówiłabyś tak, gdybyś doświadczyła tego, co ja. Raz zostając strzygą, nie chciałabyś tego utracić.

— Jak to utraciłeś? — wtrącił Adrian. — Który z morojów cię odmienił?

Lee prychnął gniewnie.

— Chciałeś powiedzieć: obrabował. Nie wiem. Wszystko wydarzyło się tak szybko. Ale kiedy tylko go dopadnę... Auu! — Zachwiał się i upuścił nóż.

Wiązanie węzłów było cenioną umiejętnością wśród alchemików, dlatego długo ćwiczyłam ją pod okiem ojca. Teraz, rozmawiając z Lee, cały czas próbowałam uwolnić dłonie z pętli. W końcu się udało. Sięgnęłam ostrożnie po przedmiot leżący najbliżej: kronikę pierwszej klasy Kelly. Poderwałam się i uderzyłam nią Lee w głowę. Kronika szkolna nie jest może najlepszą bronią, szczególnie tak niewielka jak ta z Amberwood, ale na początek dobre i to. Wykorzystałam tę sposobność, by przebiec przez pokój i chwycić Adriana za ramię. Nie potrzebował mojej pomocy, wstał o własnych siłach.

Nie uciekliśmy jednak daleko. Lee nas dogonił. Nóż przepadł gdzieś, więc użył siły mięśni. Chwycił mnie i oderwał od Adriana, zaciskając palce jednej ręki na moim zranionym ramieniu, a drugą szarpiąc mnie za włosy. Potknęłam się. Adrian rzucił się w naszą stronę, usiłując zdzielić Lee dłońmi w kajdankach. Nie byliśmy skutecznymi wojownikami, lecz gdyby udało nam się ogłuszyć napastnika choć na krótką chwilę, mieliśmy szansę uciec.

Lee musiał walczyć i powstrzymywać nas jednocześnie. I wtedy przypomniałam sobie, co mówił Eddie: dobrze wymierzony cios może obezwładnić silniejszego przeciwnika. Błyskawicznie oceniłam sytuację i uznałam, że nadarza się okazja. Zacisnęłam pałce w pięść tak, jak pokazywał Eddie, i ustawiłam się odpowiednio, by wykorzystać ciężar ciała. Zamachnęłam się.

— Auu!

Wrzasnęłam z bólu. Jeśli tak wyglądał „treningowy” sposób wymierzania ciosów, nie umiałam sobie wyobrazić, jak bolały te niewyuczone. Na szczęście okazał się skutecz-

ny: Lee zachwiał się i upadł na plecy, uderzając po drodze o wygodny fotel. Byłam zaskoczona rezultatem, lecz Adrian nie pozwolił się nim cieszyć. Pociągnął mnie w kierunku drzwi, korzystając z chwilowego zamroczenia Lee. — Dalej, Sage. Wijemy!

Pobiegliśmy do wyjścia, słysząc przekleństwa miotane przez Lee. Sięgnęłam do klamki. Drzwi jednak otworzyły się same.

W progu stały dwie strzygi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

DRWIŁAM Z KEITHA, kiedy przyjechaliśmy do Palm Springs, że sztywnieje ze strachu na widok morojów. Teraz sama zamarłam jak posąg, stając twarzą w twarz z prawdziwym koszmarem. Zrozumiałam, co on wtedy czuł. Nie miałam prawa oceniać nieracjonalnych reakcji kogoś, kto konfrontował się z największymi lękami.

Gdyby Keith był tutaj, pewnie rozumiałby, dlaczego moroje mnie już nie przerażali. W porównaniu ze strzygami byli przedszkolakami. I nagle drobne różnice między naszymi gatunkami stały się nieważne. Liczyło się tylko jedno: różnica między żywymi a nieumarłymi. To ona była istotna. Staliśmy z Adrianem po jednej stronie, tamci po drugiej.

Widywałam wcześniej strzygi. Wtedy jednak nie zagrażały mi bezpośrednio. No i miałam przy sobie Rose i Dymitra, gotowych mnie chronić. A teraz... Nie było nikogo, kto mógłby nas ocalić. Zostaliśmy zdani wyłącznie na siebie.

Mieliśmy przeciwko sobie wprawdzie tylko dwie strzygi, lecz równie dobrze mogło być ich dwieście. Są bowiem w stanie dokonywać nieprawdopodobnych rzeczy. Te były kobietami, musiały mieć po dwadzieścia parę lat w chwili,

kiedy zostały przemienione. Nie umiałam odgadnąć, jak dawno to się stało. Lee rozwodził się nad właściwościami, które pozwalały im zachować „wieczną młodość”. W tej chwili jednak, patrząc obu w oczy, nie zastanawiałam się nad ich wyglądem. Oczywiście wydały mi się nienaturalnie młode, ale tchnęły złem i... rozkładem. Skóra strzyg, pozbawiona wprawdzie zmarszczek, miała chorobliwie blady odcień, jeszcze bledszy niż u morojów. W ślepiach z czerwonymi obwódkami nie dostrzegłam życia ani energii. Sprawiały wrażenie sztucznie ożywionych. Te istoty nie powinny chodzić po ziemi. Były nienaturalnymi tworam.

— Urocze — stwierdziła jasnowłosa strzyga ostrzyżona na pazia. Budowa jej twarzy nasunęła mi myśl, że była kiedyśampirem albo człowiekiem. Patrzyła na nas jak domowy kot, który przygląda się ptakom. — Dokładnie takie, jak je opisałeś.

— Ładnuuuutcy — zaśpiewała druga z obleśnym uśmiechem. Sądząc po wysokim wzroście, musiała być morojką. — Nie wiem, od którego zacząć.

Blondynka posłała jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Podzielimy się.

— Tak jak ostatnim razem — zgodziła się druga, odrzucając czarne kędziory na bok.

— Nie — sprzeciwiła się pierwsza. — Ostatnio ty zabiłaś obu. To nie jest dzielenie się.

— Za to potem pozwoliłam ci się napić.

Zanim tamta udzieliła odpowiedzi, Lee zdążył się pozbierać i podszedł chwiejnym krokiem do jasnowłosej strzygi.

— Zaraz, zaraz. Dawn. Obiecałaś mi coś. Przyrzekłaś, że najpierw mnie przebudzisz.

Obie zwróciły się teraz do Lee. Nie byłam w stanie się poruszyć ani zareagować, stojąc tak blisko tych stworów

z piekła rodem. Mimo to, gdzieś pod gęstą warstwą obezwładniającego strachu, ogarnęło mnie współczucie dla Lee. Nienawidziłam go za to, jak postąpił, jednak zrobiło mi się go żal, że zaufał tym stworom. W jednej chwili stało się dla mnie jasne — rozważały, czy warto przystać na potrójny posiłek. Lee nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

— Proszę — powtórzył. — Obiecałaś. Ocal mnie. Przywróć mi to, co utraciłem.

Zauważyłam małą ranę na jego twarzy po moim uderzeniu. Poczułam dumę, choć ani przez chwilę nie pomyślałam, że mogłam podjąć walkę w tej sytuacji. Strzygi znajdowały się zbyt blisko, nie mieliśmy szans na ucieczkę.

— Wiem, gdzie jest ich więcej — dorzucił Lee, który wyraźnie poczuł się nieswojo, gdy „wybawicielki” nie były skore spełnić jego marzenia.

— Jeden młody... dampir.

— Już od dawna nie syciłam się dampirem — rzuciła niemal z żalem strzyga o długich lokach.

Dawn westchnęła.

— Mnie to obojętne, Jacqueline. Jeśli chcesz go przebudzić, droga wolna. Wystarczy mi tych dwoje. On nie ma dla mnie znaczenia.

— Ale wtedy dampir zostanie tylko dla mnie — ostrzegła Jacqueline.

— Dobrze, dobrze — zgodziła się Dawn. — Tylko się pospiesz.

Lee się rozpromienił. Był uszczęśliwiony, a mnie zrobiło się niedobrze na ten widok.

— Dziękuję — powiedział. — Dziękuję bardzo! Czekałem na to tak długo, że nie mogę wprost uwierzyć... Auu!

Jacqueline doskoczyła do niego tak szybko, że nie zdołałam zauważyć, co zrobiła. Przed sekundą jeszcze stała w drzwiach, a teraz przycisnęła Lee do fotela. Chłopak wydał z siebie zduszony okrzyk, kiedy wgrzyła się w jego szy-

ję. Po chwili ucichł. Dawn zamknęła drzwi i popchnęła nas na środek pokoju. Zesztywniałam pod jej dotykiem.

— No — rzuciła z rozbawieniem. — Przekonajmy się, kogo tu mamy.

Przesunęliśmy się w głąb saloniku. Zerknęłam na Adriana. Potrafił tak doskonale ukrywać emocje, że równie dobrze mógł teraz maskować strach. Nie próbował mnie pocieszać — słowem ani gestem — co w tej sytuacji wydało mi się najwłaściwsze. Nie było dobrego zakończenia tej sceny.

Stanąwszy bliżej, zmuszona obserwować działanie Jacqueline, zobaczyłam błogość malującą się na twarzy Lee. Nigdy nie spotkałam się z czymś tak ohydny. Chciałam zacisnąć powieki albo odwrócić głowę, lecz jakaś siła zmuszała mnie do patrzenia na tę makabryczną scenę. Nie widziałam też nigdy, jak wampir pije krew, ale teraz zrozumiałam, dlaczego karmiciele — jak Dorothy — tak chętnie im się poddawali. W krwi Lee krążyły już endorfiny. Pod ich wpływem nie był świadomy, iż strzyga pozbawia go życia. Pogrzyżył się w narkotycznym transie. Może myślał o tym, jak będzie szczęśliwy po ponownej przemianie, jeśli w ogóle był w stanie o czymkolwiek myśleć.

Nie wiem, jak długo strzyga gasiła pragnienie. Każda sekunda była dla mnie udręką, jakbym fizycznie odczuwała ból Lee. Ta scena trwała całą wieczność i jednocześnie ułamek sekundy. To niesprawiedliwe, że można wyssać z ciała całą krew w tak krótkim czasie. Jacqueline przerwała swoją makabryczną ucztę tylko na chwilę, by powiedzieć:

— Jego krew nie jest tak dobra, jak sądziłam.

— Więc przestań — poradziła Dawn ze znudzoną miną. — Pozwól mu umrzeć i podzielimy się tą dwójką.

Jacqueline zastanawiała się nad propozycją koleżanki. Jakim głupcem był Lee, zawierając tym stworom! Po kilku minutach wzruszyła ramionami.

— Już prawie skończyłam. Chyba mam ochotę na tego dampa.

Znów przyssała się do szyi Lee. Po chwili było po wszystkim. Skóra chłopaka stała się niemal tak blada jak skóra strzyg i naprężona. Leżał bez ruchu. Jego twarz zamarła w grymasie uśmiechu, który równie dobrze mógł wyrażać radość, jak i szok. Jacqueline podniosła głowę i otarła wargi, oceniając ofiarę z przyjemnością. Potem odwinęła rękaw swojej bluzki i dotknęła paznokciami nadgarstka. Zanim jednak rozdarła skórę, spojrzała na podłogę.

— Tak będzie łatwiej. — Schyliła się po nóż.

Wpadł pod sofę podczas naszej walki. Strzyga podniosła go i jednym ruchem przecięła sobie nadgarstek, z którego trysnęła ciemnoczerwona struga krwi. Nigdy nie sądziłam, że ich krew wygląda tak samo jak moja. Powinna być czarna. Albo żrąca jak kwas.

Jacqueline przystawiła krwawiący nadgarstek do ust Lee i odchyliła mu głowę, aby krew mogła swobodnie spływać. Wszystko, co przeżyłam tego wieczoru, było gorsze niż to. Śmierć jest przerażająca, ale stanowi część natury. A to? To było nienaturalne. Stałam się świadkiem największego grzechu, jakiego można się dopuścić, deprawacji duszy za pośrednictwem czarnej magii — ożywienia zmarłego. Naraz poczułam się brudna i zapragnęłam uciec. Nie mogłam tego oglądać. Nie chciałam patrzeć na tego chłopaka, którego uważałam za przyjaciela.

Omam nie podskoczyłam, czując dotknięcie palców na ręku. To był Adrian — wpatrywał się w Lee i Jacqueline. Ścisnął moją dłoń, mimo że wciąż krępowały go kajdanki. Zaskoczyło mnie ciepło jego skóry. Wiem, że moroje są żywi i mają ciepłą krew, jak ludzie, ale irracjonalnie zawsze obawiałam się, że poczuje chłód. Równie zadziwiające wydawało się pokrzepienie, jakie dał mi jego dotyk. Nie od-

czytałam tego jako: „Hej, mam plan, więc trzymaj się, bo z tego wyjdziemy”, a raczej: „Nie jesteś sama”. Tylko tyle Adrian mógł mi ofiarować w tej chwili. Nie potrzebowałam więcej.

I wtedy stało się coś dziwnego. A raczej nie stało się.

Krew Jacqueline nadal spływała do ust Lee i chociaż alchemicy nie dysponowali dokumentacją procesu przemiany w strzygę, wiedziałam mniej więcej, jaki powinien być kolejny etap. Ofiara zostaje pozbawiona życiodajnego płynu, potem jej zabójca, strzyga, karmi ją własną krwią. Nie wiedziałam, ile czasu to zajmuje — z pewnością strzyga nie oddawała też całej swojej krwi — ale w pewnej chwili Lee powinien wstać jako nieumarły.

Chłodny, cwany wyraz twarzy strzygi ustąpił zaciekawieniu, a po chwili była wyraźnie zdezorientowana. Zerknęła pytająco na Dawn.

— Co tak długo? — spytała tamta.

— Nie wiem. — Jacqueline spojrzała znów na Lee. Wolną ręką szturchnęła go w ramię, jakby chciała go przebudzić. Jednak chłopak się nie poruszył.

— Nie robiłaś tego wcześniej? — ciągnęła Dawn.

— Oczywiście, że robiłam — warknęła strzyga. — Ale nie trwało tak długo. Powinien już wstać i normalnie funkcjonować. Coś jest nie tak.

Przypomniałam sobie, co mówił Lee o swoich desperackich próbach mordowania niewinnych, które okazały się nieskuteczne. Niewiele wiem na temat mocy ducha — a jeszcze mniej o ratowaniu strzyg — coś mi jednak mówiło, że nie ma takiej siły na ziemi, która mogła znów przemienić Lee.

Kolejna minuta się dłużyła, a my patrzyliśmy i czekaliśmy. Zdezorientowana Jacqueline cofnęła się i opuściła rękaw. Spojrzała na nieruchome ciało Lee.

— Coś jest nie tak - powtórzyła. — Ale nie zamierzam tracić więcej krwi, żeby to sprawdzić. Poza tym moja rana już się zabliznia.

Pragnęłam jedynie, by Dawn i Jacqueline zapomnieli

o tym, że istnieję, jednak słowa wymknęły mi się z ust, zanim zdołałam je powstrzymać. Moje zamiłowanie do wiedzy wzięło górę.

— Został przywrócony do życia i ten fakt wciąż na niego oddziałuje. Magia ducha zostawiła na nim ślad i nie można znów go przemienić.

Obie strzygi spojrzały na mnie. Skurczyłam się pod wzrokiem czerwonych ślepi.

— Nie wierzyłam w te opowieści o duchu — mruknęła Dawn.

Jacqueline jednak była wyraźnie zaintrygowana swoją nieudaną próbą.

— Nie umiem tego wyjaśnić... ale cały czas czułam coś dziwnego. Innego. Nie smakował tak jak powinien.

— Daj sobie z nim spokój — zachnęła się Dawn. — Miał swoją szansę i tyle. Biorę się do roboty.

Zobaczyłam swoją śmierć w tych przerażających oczach i instynktownie dotknęłam krzyżyka na szyi.

— Chroń mnie, Boże — szepnęłam, kiedy rzuciła się do mnie.

To niewiarygodne, ale Adrian ją powstrzymał, a w każdym razie próbował. Stał pomiędzy nami, ale zabrakło mu refleksu i siły, żeby zablokować strzygę, szczególnie że miał skute ręce. Musiał jednak zobaczyć to samo co ja i usiłował zasłonić mnie w szlachetnym geście odwagi.

Jednym płynnym ruchem Dawn usunęła go z drogi. Zrobiła to niemal bez wysiłku, ale Adrian przeleciał przez cały pokój, zanim wylądował na podłodze. Wstrzymałam oddech, potem zaczęłam krzyczeć. Nagle poczułam przeszywający ból. Strzyga chwyciła mnie za szyję i prawie podniosła, żeby dobrać mi się do gardła. Mimo bólu i lęku wyszeptałam jeszcze rozpaczliwą modlitwę, a potem wszystko znikło. Ogarnęły mnie absolutna błogość i zachwyty. Przestałam myśleć, czułam jedynie, że oto odnalazłam najcudowniejszy, najrozkoszniejszy stan, jaki można sobie wyobrazić. Chciałam więcej. I więcej. Pragnęłam się w nim pogрузić, zapomnieć o sobie, o wszystkim, co mnie otaczało...

— Uch! — wykrzyknęłam, nieoczekiwanie lądując na podłodze. Wciąż wypełniała mnie ta błogość, jeszcze nie czułam bólu...

Równie szybko, jak chwyciła w swoje szpony, Dawn odrzuciła mnie od siebie. Instynktownie wyciągnęłam rękę, żeby złagodzić upadek, ale to nie pomogło. Byłam zbyt słaba i oszołomiona, więc ciężko plasnęłam o dywan. Strzyga dotykała palcami swoich warg, a na jej upiornych rysach pojawił się grymas wściekłości.

— Co to było?! — wrzasnęła.

Jeszcze się nie otrząsnęłam. Dostałam niewielką dawkę endorfin, która jednak wystarczyła, by pozbawić mnie zdolności do racjonalnego myślenia. Nie potrafiłam jej odpowiedzieć.

— O co chodzi? — spytała Jacqueline, idąc w naszą stronę.

Patrzyła na przemian na mnie i na Dawn, nic nie rozumiejąc.

Dawn skrzywiła się i splunęła na podłogę. Plwocina była czerwona od mojej krwi. Ohyda.

— Jej krew... ma okropny smak. Niejadalny. Paskudny. — Znowu splunęła.

Jacqueline wybałuszyła na nią ślepią.

— Tak jak krew tamtego. Widzisz? Mówiłam ci.

— Nie. — Dawn pokręciła głową. — Nie mogą smakować tak samo. Nie dałabyś rady wypić z niej całej krwi. — Wciąż pluła. — Nie smakowała inaczej ani źle... Była... splugawiona. — Widząc powątpiewający wzrok Jacqueline, strzyga szturchnęła ją w ramię. — Nie wierzysz mi? Sama spróbuj.

Jacqueline niepewnie postąpiła w moją stronę. Widząc, że Dawn spluwa raz po raz, uznała jednak, że nie warto próbować.

— Nie mam ochoty na kolejne marne żarcie. Szlag. To jakiś absurd. — Jacqueline zerknęła na Adriana, który stał w bezruchu. — Przynajmniej on nam został.

— O ile też nie jest zepsuty — mruknęła Dawn. Zaczynałam odzyskiwać zdolność rozumowania i przez

krótką chwilę zaświtało mi w głowie, że być może mamy szansę przeżyć. Może te bestie spiszą nas na straty jako nieświeży posiłek. Ale się myliłam. Pozwoliłam sobie na cień nadziei, choć wiedziałam, że nie zostawią nas żywych. Nie odejdą sobie tak po prostu.

Z tą samą zadziwiającą prędkością Jacqueline rzuciła się do Adriana.

— Czas się przekonać.

Krzyknęłam, gdy przycisnęła go do ściany i zatopiła kły w jego szyi. Oderwała się już po kilku sekundach. Podniosła głowę i badała smak krwi. Jej twarz stopniowo skrzywiła się w uśmiechu, obnażając kły.

— Ta jest dobra. Bardzo dobra. — Przesunęła palcem po policzku Adriana. — Co za strata. Jest taki słodki.

Podeszła do nich Dawn.

— Zostaw też dla mnie!

Jacqueline zignorowała ją i znów pochyliła się nad Adrianem, który patrzył przed siebie szklanym wzrokiem. Nie zwracały na mnie uwagi. Spróbowałam się podnieść i świat nagle zawirował mi przed oczami. Udało mi się jednak doczołgać do torebki porzuconej w wejściu do saloniku. Jacqueline znów napiła się krwi Adriana, ale Dawn szybko ją odsunęła.

Zaskoczona faktem, że mogę poruszać się tak sprawnie, przeszukiwałam zawartość torebki w nadziei, że znajdę coś przydatnego. Chłodna, racjonalna część mojego umysłu powtarzała, że nie wyjdziemy z tego cało. Nie mogłam jednak siedzieć beczynn timer i patrzeć, jak Adrian umiera. Musiałam walczyć. Przynajmniej spróbować go ocalić, tak jak on stanął w mojej obronie. Nie miało znaczenia, czy mi się uda, czy także zginę. Liczyło się to, że próbuję.

Niektórzy alchemicy noszą przy sobie broń; ja jej nie miałam. W dużej torbie mieściło się więcej rzeczy, niż potrzebowałam, lecz nie znalazłam nic, co mogłoby posłużyć jako narzędzie walki. Zresztą strzygi były odporne na wiele rodzajów broni. Strzał z pistoletu mógłby je nieco spowolnić, ale nie zabijał. Te bestie można unicestwić tylko na trzy sposoby: ciosem srebrnego sztyletu, ścięciem głowy lub spaleniem.

Ogień...

Zacisnęłam palce na niewielkim amulecie, który wykonałam dla panny Terwiliger. Schowałam go w torebce, nie wiedząc, co z nim począć. Być może to utrata krwi i zmacony umysł kazały mi po niego sięgnąć w nadziei, że okaże się skuteczny. Przecież już sama myśl o tym była śmieszna. Nie można używać czegoś, co nie działa! To zabawka, bezwartościowy woreczek pełen kamyków i liści. Nie było w nim magii, a ja wygłupiałam się, sądząc, że jest.

Mimo wszystko miałam w ręku sakiewkę z kamieniami.

Dość lekka, lecz powinna wystarczyć, by odwrócić uwagę, gdy rzucę nią w łeb strzygi. Ostatecznie tylko taką broń miałam. Musiałam przynajmniej odwlec śmierć Adriana. Zamachnęłam się, wycelowałam w Dawn i cisnęłam amuletem, recytując idiotyczny tekst inkantacji: „W płomienie, w płomienie!”.

Rzut okazał się celny. Panna Carson byłaby ze mnie dumna. Niedługo cieszyłam się sukcesem. — Dawn stanęła w płomieniach.

Nie wierzyłam własnym oczom. Nie wznieciłam pożaru, ale w miejscu uderzonym amuletem rozbłysnął płomień, który błyskawicznie zajął jej włosy. Strzyga wrzasnęła i na oślep biła się po głowie. Bestie boją się ognia i w pierwszej chwili Jacqueline gwałtownie się cofnęła. Dopiero potem puściła Adriana i złapała koc. Owinęła go wokół głowy Dawn i ugasiła ogień.

— Co, do diabła?! — ryknęła Dawn, kiedy się uwolniła.

Natychmiast ruszyła na mnie. Poczułam, że tylko przyspieszyłam swoją śmierć.

Chwyciła mnie w szpony i uderzyła o ścianę. Poczułam wstrząs głowy, a zaraz po nim mdłości, już chciała ponowić próbę, gdy nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Eddie ze srebrnym sztyletem w dłoni.

Najbardziej zadziwiła szybkość następujących po sobie wydarzeń. Nie było chwili na ocenę sytuacji. Eddie wtargnął do środka i zaatakował Jacqueline. Zareagowała z równą prędkością, pędząc na jedyne tam godnego siebie rywala.

Adrian leżał na podłodze oszołomiony endorfinami. Przyczołgałam się do niego i usiłowałam odciągnąć w „bezpieczne” miejsce na drugi koniec pokoju, podczas gdy Eddie walczył z bestiami. Zerknęłam w ich stronę, by zobaczyć śmiertelny taniec trojga wojowników. Strzygi usi-

łowały schwytać daimona, zapewne po to, by skrócić mu kark, lecz bały się ostrza srebrnego sztyletu.

Spojrzałam na Adriana. Niebezpiecznie zbladł, a jego źrenice zmniejszyły się do rozmiaru główki szpilki. Nie umiałam ocenić, czy jego stan był skutkiem utraty krwi, jaką Jacqueline zdążyła z niego wyssać, czy narkotycznego transu.

- Nic mi nie jest, Sage - mruknął, przymykając oczy, jakby raziło go światło. - Niezły haj. To, co brałem do tej pory, nie może się z tym równać. - Zamrugał, jakby próbował się obudzić. Zauważyłam, że jego źrenice wróciły do normalnych rozmiarów i skupiły się na mnie. — Dobry Boże. Nic ci nie jest?

- Wyjdę z tego - odparłam, próbując wstać.

Znow zakręciło mi się w głowie i się zachwiałam. Adrian starał się mnie podtrzymać, co wypadło niezgrabnie, bo miał skute ręce. Oparliśmy się o siebie. Omal nie wybuchnęłam śmiechem, tak absurdalna wydała mi się ta sytuacja. Próbowaliśmy sobie pomagać, a żadne nie miało wiele siły. I nagle zobaczyłam ją w drzwiach.

— Jill— — wyszeptałam.

Adrian instynktownie odwrócił głowę w stronę wejścia do salonu. Nie byłam zaskoczona, że ją zobaczyłam. Eddie mógł się o nas dowiedzieć tylko od niej. Oczy morojki rozbłyły, wyglądała jak mężna bogini, kiedy patrzyła na Eddiego pochłoniętego walką ze strzygami. Stanowiła inspirujący i zarazem przerażający widok. Adrian podzielał moje odczucia.

— Nie, nie, Ślicznotko - mruknął. — Nie rób nic głupiego. To sprawa Castile.

— Ona też potrafi walczyć — zauważyłam. Adrian zmarszczył brwi.

- Nie jest uzbrojona. Wykończyłyby ją jednym ruchem.

Oczywiście miał rację. I ja nie chciałam, by Jill narażała życie, lecz przy odpowiednim wsparciu miała szansę coś zdziałać. Choćby odciągnąć uwagę bestii. Eddie dzielnie sobie radził w nierównej walce, ale był daleki od zwycięstwa. Przydałaby mu się pomoc. A my musieliśmy się upewnić, że Jill nie podbiegnie do niego z gołymi rękami.

Zebrałam resztki sił i jakoś udało mi się podnieść. Świat wirował jeszcze szybciej niż poprzednim razem, ale — mimo protestów Adriana — dokuśtykałam do kuchni. Doszłam do zlewu i odkręciłam kran, zanim nogi się pode mną ugięły. W ostatniej chwili chwyciłam się blatu, żeby nie upaść.

— Jill! — krzyknęłam.

Obróciła się, zobaczyła płynącą wodę i już wiedziała, co robić. Podniosła rękę. Strumień zmienił kierunek, wystrzelił z kuchni prosto do salonu. Dopłynął do Jill, która zebrała znaczną ilość wody między dłońmi i uformowała z niej płynną, lecz całkiem solidną maczugę. Dziewczyna chwyciła ją w garść i rzuciła się na Jacqueline. Z całej siły uderzyła strzygę w plecy. Magiczna maczuga okazała się na tyle wytrzymała, by Jill mogła zamachnąć się ponownie. Dopiero wtedy broń rozprysła się w powietrzu.

Jacqueline obróciła się gwałtownie, wystawiając przed siebie ramię, by odepchnąć napastniczkę. Jill spodziewała się tego ruchu i zdążyła przykucnąć, dokładnie tak, jak uczył ją Eddie. Natychmiast się cofnęła poza zasięg strzygi, która ruszyła w jej stronę, odsłaniając tyły. Eddie błyskawicznie wykorzystał szansę, ominął Dawn i wbił sztylet w plecy Jacqueline. Nigdy nie rozważałam takiej sytuacji, ale teraz zorientowałam się, że mocne pchnięcie może przebić serce, nawet jeśli zostanie zadane z tyłu. Strzyga zeszywniała, a Eddie wyszarpnął sztylet w ostatniej chwili, by uchylić się przed nacierającą z całym impetem Dawn.

Uderzyła go bokiem i dampir zachwiał się lekko, lecz zaraz odzyskał równowagę, gotów do dalszej walki. Jill natychmiast pobiegła do nas do kuchni.

— Nic wam nie jest? — spytała, przyglądając się z niepokojem. Nie była już waleczną boginią, tylko zwykłą dziewczyną troszczącą się o przyjaciół. — O mój Boże. Tak się

O was bałam. Odbierałam intensywne emocje, ale nie mogłam się zorientować, co się dzieje. Wiedziałam jedynie, że to coś potwornego.

Przeniosłam wzrok na Eddiego, który tańczył wokół Dawn.

— Musimy mu pomóc...

Oderwałam się od blatu, ale po dwóch krokach nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Adrian i Jill rzucili się mnie podtrzymać.

— Jezu, Sage! — wykrzyknął Iwaszkow. — Kiepsko z tobą.

— Nie tak kiepsko jak z tobą — sprzeciwiłam się, przejęta, że Eddie jest sam na polu walki. — Z ciebie wysały więcej...

— Tak, ale mnie nikt nie rozpruł ramienia — zauważył. — Ani nie miałem wstrząsu mózgu.

Miał rację. Oszołomiona zapomniałam o ciosie zadany przez Lee. Nic dziwnego, że kręciło mi się w głowie. A może to był skutek uderzenia o ścianę. Trudno było to stwierdzić.

— Pozwól — poprosił Adrian łagodnym głosem. Dotknął mojego ramienia dłońmi skutymi kajdankami. — Zajmę się tym.

Poczułam łaskoczącą falę ciepła rozlewającą się na skórze. W pierwszej chwili dotyk Adriana był kojący. Napięcie

i ból lekko ustępowały. Na świecie zapanowała harmonia. Adrian panował nad wszystkim. Zajmował się mną.

Znalazłam się pod wpływem magii.

- Nie! — pisnęłam nagle, odsuwając się od nich z siłą, jakiej u siebie nie podejrzewałam. Dopiero do mnie dotarło, co się tu dzieje. - Nie dotykaj mnie! Trzymaj się ode mnie z daleka ze swoimi czarami!

- Sage, poczujesz się lepiej, naprawdę - mówił, wyciągając do mnie rękę.

Cofnęłam się i oparłam o blat plecami. Przyjemne uczucie ciepła przyćmił lęk przed magią wampirów, lęk, który nosiłam w sobie przez całe życie.

- Nie, nie. Żadnej magii! Nie chcę! Tatuaż mnie uzdrowi! Jestem silna!

- Sage...

- Przestań, Adrian - wtrąciła się Jill. Podeszła do mnie niepewnie. - W porządku, Sydney. Nie będzie cię uzdrawiał. Obiecuję.

- Żadnej magii — wyszeptałam.

- Na litość boską! — ryknął Iwaszkow. — To jakiś zabobonny koszmar.

- Żadnej magii — powtórzyła stanowczo Jill. Zdjęła rozpinaną bluzkę nałożoną na podkoszulek. — Podejdź do mnie, zabandażuję ci ranę, żeby zatamować...

Z salonu dobiegł nas rozdzierający krzyk. Eddie zadał śmiertelny cios strzydze, wbijając jej w pierś ostrze sztyletu. Podczas gdy odciągałam Adriana w spokojne miejsce, Dawn musiała kilkakrotnie ranić Eddiego. Dostrzegłam duży czerwony ślad na jego policzku i krwawiącą wargę. W oczach dampira pojawił się wyraz triumfu i dumy, gdy wyszarpnął sztylet z piersi Dawn i patrzył, jak bestia osuwa się na ziemię.

Mimo oszołomienia i strachu odezwał się we mnie instynkt alchemiczny. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Przyszła pora na rutynowe działania.

— Musimy pozbyć się ciała — stwierdziłam. — Mam specjalny środek w torebce.

— Spokojnie — powstrzymał mnie Adrian. — Nie ruszaj się. Castile ci ją poda. Ty co najwyżej możesz udać się do lekarza.

Posłuchałam tylko w kwestii torebki, na lekarza nie mogłam się zgodzić.

— Nie ma mowy! Chyba że wezwiecie kogoś z naszych. Mam tam numery telefonów...

— Przynies tę torebkę — Adrian zwrócił się do Jill — zanim nam tu zemdleje. Obwiążę jej rękę. — Posłałam mu ostrzegawcze spojrzenie. — Nie użyję magii. Chociaż poszłoby nam znacznie szybciej.

— Sama się uleczę — upierałam się, obserwując, jak Jill idzie po moje rzeczy.

— Zdajesz sobie sprawę — nie ustępował Adrian — że będziesz musiała teraz zapanować nad obsesją rygorystycznej diety i zjadać więcej kalorii. Straciłaś sporo krwi. Zalecam cukier i płyny, tak jak w przypadku Clarence'a. Szczęśliwie ktoś zgromadził zapasy słodczy na blacie.

Eddie podszedł do Jill, by spytać, jak się czuje. Zapewniła go, że nic jej nie jest. Chociaż sprawiał wrażenie gotowego do starcia z pięćdziesięcioma strzygami, dostrzegłam w oczach daimona coś... Nie mogłam uwierzyć, że nie zauważyłam tego wcześniej. Musiałam to poważnie przemyśleć.

— Szlag! — Adrian męczył się z bandażowaniem mojego ramienia. — Eddie, przeszukaj ciało Lee, może znajdziesz klucz od tych przeklętych kajdanek.

Jill była zajęta rozmową z Eddie, ale znieruchomiała na dźwięk słów „ciało Lee”. Kolor jej skóry przybrał teraz odcień ciała zabitej strzygi. W całym tym zamieszaniu — ferworze walki z bestiami, w obliczu zagrożenia, jakie

przedstawiły — nie zauważyła zwłok Lee leżących na fotelu. Zrobiła kilka kroków w kierunku pokoju i wtedy go zobaczyła. Otworzyła usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Podbiegła do niego i chwyciła za rękę.

— Nie — rozplakała się. — Nie, nie, nie. — Potrząsała zmarłym, jakby chciała go obudzić.

W jednej chwili Eddie znalazł się przy niej. Otoczył Jill ramionami i próbował ją ukoić. Nie słyszała go. Lee był jej całym światem.

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu, nie mogłam znieść tego widoku. Lee próbował mnie zabić, a potem wezwał strzygi. Mordował niewinne istoty. Powinnam odczuwać ulgę, że zginął, jednakże było mi smutno. Na swój obłąkany sposób kochał Jill. Widząc jej cierpienie, wiedziałam, że odwzajemniała tę miłość. Mimo więzi łączącej ją z Adrianem nie zorientowała się, co zaszło i jaką rolę odegrał w tym Lee. Nawet teraz sądziła, że padł ofiarą strzyg. Wkrótce miała poznać prawdę. Nie wiedziałam, czy to ulży jej w bólu, ale podejrzewałam, że tak się nie stanie.

Nie wiedzieć czemu, nagle stanął mi przed oczami obraz Adriana „Miłość”. Pomyślałam o nierównej czerwonej linii przecinającej mrok, rozdzierającej ciemności. Patrząc na Jill i jej nieukoiony żal, nagle zrozumiałam lepiej przekaz autora.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

MINĘŁO WIELE DNI, zanim poznałam wszystkie okoliczności wydarzeń tamtej nocy. Dowiedziałam się więcej o Lee i o tym, jak Eddie i Jill przybyli nam na ratunek.

Wiedząc, że to Lee był brakującym ogniwem, bez trudu połączyłam ze sobą zabójstwo Tamary, Kelly, Melody oraz Diny, zwykłej dziewczyny, o której wspomniał. Wszystkie zginęły w ciągu ostatnich pięciu lat w Los Angeles oraz w Palm Springs. Znajomi mordercy potwierdzili, że ofiary znały zabójcę. Niewiele udało nam się wyciągnąć od Clarence'a. Zgadywaliśmy, że Lee został przemieniony w strzygę siłą, jakieś piętnaście lat wcześniej. Pozostawał bestią przez dziesięć lat do momentu, kiedy jakiś moroj obdarzony mocą ducha przywrócił go do życia, ku wielkiemu rozczarowaniu Lee. Clarence już wtedy nie myślał jasno, nie dociekał więc, jakim cudem jego syn powrócił po dziesięciu latach i nie postarzał się ani trochę. Nie odpowiadał, gdy pytaliśmy go o czas, który Lee spędził w ciele strzygi, więc nie umieliśmy stwierdzić, czy nie zdawał sobie sprawy z prawdy, czy może świadomie jej zaprzeczał. Nie odkryliśmy też, czy Clarence wiedział, że to jego syn zamordował

Tamarę. Zapewne łatwiej było mu przyjąć naciąganą teorię o łowcach wampirów, niż uznać prawdę o okrucieństwie Lee.

Odwiedziliśmy jego dawny college w Los Angeles i dowiedzieliśmy się, że porzucił studia, gdy został przemieniony w strzygę. Potem, gdy na powrót stał się morojem, kłamał, że się tam uczy, by usprawiedliwić wyjazdy do Los Angeles, gdzie miał więcej okazji do wybierania ofiar, których, jak podejrzewaliśmy, było zapewne więcej. Atakował także ludzi, dziewczyny takie jak Melody i Dina, na próżno poszukując tej „jedynej”, która przemieni go w strzygę.

Późniejsze dochodzenie w sprawie Kelly Hayes ujawniło fakt, którego nie skojarzyłam. Była dampirzycą. Wyglądała wprawdzie jak człowiek, ale odnosiła niezwykle sukcesy w sporcie. Lee poznał ją podczas wizyty u ojca pięć lat wcześniej. Wiedział, że ma niewielkie szanse w walce zampirem, więc zadał sobie sporo trudu, by się do niej zbliżyć i uwieść.

Ciągle nie wiedzieliśmy nic na temat „tego drania, obdarzonego mocą ducha”, który go odmienił, a interesował on zarówno alchemików, jak i morojów. Do tej pory znaliśmy niewielu morojów władających tym żywiołem, a skoro ich możliwości nie zostały do końca zbadane, wszyscy pragnęli odkryć więcej. Clarence upierał się, że nie wie, o kim mowa, i ja mu wierzyłam.

Alchemicy spędzili cały tydzień w Palm Springs, zacierając ślady i przesłuchując wszystkich zamieszanych w sprawę. Spotykałam się z nimi, powtarzając bez końca tę samą historię. Po raz ostatni streściłam ją Stanton podczas sobotniego lunchu. Byłam niemal perwersyjnie ciekawa dalszych losów Keitha, ale uznałam, że nie powinnam o niego wypytywać. Zniknął z mojego życia i to się liczyło najbardziej.

— Autopsja Lee nie wykazała żadnych cech nietypowych dla moroja. Tak twierdzą ich lekarze — poinformowała mnie alchemiczka między kęsami spaghetti carbonara. Doprawdy trudno jest gawędzić o śmierci podczas posiłku. — Cóż... raczej nie spodziewaliśmy się jakiejś magicznej przemiany.

— Jednak musiało w nim być coś niezwykłego — powiedziałam, bawiąc się jedzeniem. — Choćby fakt, że starzał się dużo wolniej. Poza tym uśmiercił wiele ofiar, wysysając z nich krew. Widziałam też, co zrobiła mu Jacqueline. To naprawdę powinno było zadziałać. Nie pominęła żadnego szczegółu.

Zaskoczyło mnie, że potrafiłam rozmawiać o tym w obojętny, rzeczowy sposób. Jakby te wydarzenia mnie nie dotyczyły. Ostatecznie byłam alchemiczką. Uczono nas tego. W głębi duszy czułam jednak, że wydarzenia tamtej nocy pozostawiły we mnie trwałe ślady. Gdy zamykałam oczy, leżąc w łóżku, powracał do mnie obraz śmierci Lee i Jacqueline karmiącej go własną krwią. Lee, który przynosił kwiaty dla Jill i zabrał nas na minigolfa.

Stanton pokiwała głową w zamyśleniu.

— Możemy zatem wysnuć wniosek, że raz odmienione strzygi nie mogą powrócić do poprzedniego stanu.

Milczałyśmy przez chwilę, rozważając znaczenie tych słów.

— To wielka sprawa — mruknęłam na koniec.

Cóż, nie przesadziłam w słowach. Lee pozostał dla nas tajemnicą pod wieloma względami. Zaczął się starzeć, kiedy ponownie stał się morojem, ale ten proces przebiegał u niego znacznie wolniej niż normalnie. Nie mieliśmy wyczerpujących informacji w tej kwestii, lecz przeczuwaliśmy, że to epokowe odkrycie. Podejrzywałam również, że Lee stracił zdolności magiczne, które posiadają wszyscy moro-

je. Podczas gry w minigolfa byłam przestraszona, gdy Jill poprosiła go o wytworzenie mgły, teraz przypominałam sobie, jak zdenerwowała go ta prośba. Poza tym powrót do życia uchronił go przed ponowną przemianą w strzygę. Tak. Określenie „wielka sprawa” stanowczo nie oddawało istoty rzeczy.

— Bardzo wielka — zgodziła się Stanton. — Naszą misją od lat jest powstrzymanie ludzi przed dobrowolnym poświęcaniem duszy w zamian za obietnicę nieśmiertelności. Jeśli istnieje sposób, żeby wykorzystać ich magię, dowiedzieć się, co chroniło Lee... Moglibyśmy wiele zmienić.

— Także dla morojów — zauważyłam.

Wiedziałam, że w ich świecie, również wśród dampi-rów, przymusowa przemiana w strzygę była uważana za los dużo gorszy od śmierci. Gdyby odkryli sposób, jak się przed nią uchronić, wiele by się zmieniło, bowiem napotykali bestie znacznie częściej niż my. Być może rozmawialiśmy o magicznej szczepionce.

— Oczywiście — przytaknęła Stanton, chociaż ton jej głosu sugerował, że nie jest przejęta przyszłością tego gatunku. — Może kiedyś uda się nawet wyeliminować strzygi. Ale pozostaje jeszcze tajemnica twojej krwi. Mówiłaś, że nie smakowała strzygom. Możliwe, że także jesteśmy przed nimi chronieni.

Wzdrygnęłam się na to wspomnienie.

— Tak. Wszystko wydarzyło się tak szybko... trudno powiedzieć. W każdym razie na pewno nie chroni mnie przed skręceniem karku.

Alchemiczka skinęła głową.

— Rzeczywiście, powinniśmy jakoś rozwiązać ten problem. Ale najpierw dowiedzmy się, co dokładnie przydarzyło się Lee.

— Cóż — zaczęłam. — Na pewno najważniejszy wpływ miała tu moc ducha, prawda? Lee został odmieniony przez moroja, który nią władał.

Podeszła do nas kelnerka i Stanton pokazała jej gestem, że może zabrać talerz.

— Otóż to. Niestety, jest ich niewielu. Wasylissa Drago-mir nie ma czasu eksperymentować ze swoją mocą. Sonia Karp zgłosiła się na ochotnika do badań, co bardzo nas ucieszyło, szczególnie że sama także była strzygą. Przynajmniej przekonamy się, na czym polega ten spowolniony proces starzenia. Ale Sonia ma ograniczony czas, a moroje nie odpowiedzieli jeszcze na moją prośbę o kontakt z pozostałymi. Gdybyśmy mogli nawiązać współpracę z kimś, kto nie ma wielu zobowiązań i mógłby nam poświęcić czas w pełnym wymiarze...

Spojrzała na mnie znacząco.

— Chodzi o Adriana? — domyśliłam się.

— Sądzisz, że zgodziłby się nam pomóc w badaniach nad magicznymi metodami ochrony przed przemianą w strzygę? Jak już mówiłam, nie byłby sam — dodała szybko. — Rozmawiałam z morojami, tworzą niewielką grupę ekspertów. Zamierzają nam ich niedługo przysłać. Adrian byłby potrzebny tylko jako wsparcie.

— No, no. Nie tracicie czasu — mruknęłam.

Słowa „Adrian” oraz „badania” utworzyły w moim umyśle obraz Iwaskowa w laboratorium, w białym kitlu, pochylonego nad probówkami. Wiedziałam, że zapowiadane eksperymenty przebiegałyby zgoła inaczej, lecz scenka nie rozwiewała się w mojej wyobraźni. Równie trudno było pomyśleć, że Adrian skupia się nad konkretnym zadaniem. Z drugiej strony sądziłam, że potrafiłby się poświęcić czemuś, na czym by mu zależało. Czy ta sprawa była dla niego wystarczająco ważna?

Nie wiedziałam. Nie umiałam ocenić, jaki to szlachetny cel mógłby go zainteresować, za to znałam kilka mniej szlachetnych powodów nakłonienia go do udziału.

— Zaoferujcie mu samodzielne lokum — odpowiedziałam. — Adrian bardzo chce się wyprowadzić z domu Clarence'a.

Stanton uniosła brwi. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

— Cóż. To nie jest wygórowana prośba. Poza tym jesteśmy zobowiązani opłacać czynsz Keitha, który wynajął mieszkanie na rok. Pan Iwaszkow mógłby się tam po prostu wprowadzić, tylko...

-Co?

Alchemiczka wzruszyła lekko ramionami.

— Zamierzałam zaproponować je tobie. Po długiej dyskusji postanowiliśmy powierzyć ci rezydenturę w Palm Springs po... niefortunnym wyjeździe Keitha. Mogłabyś opuścić Amberwood i panować nad sytuacją.

Zmarszczyłam brwi.

— Sądziłam, że ktoś powinien stale towarzyszyć Jill.

— Ależ tak. Bez urazy, lecz mamy lepszą kandydaturę do tej roli niż twoja. Moroje znaleźli dampirzycę w wieku Jill, która nie tylko mogłaby z nią dzielić pokój, ale także służyć jako jej strażniczka. Przyjedzie tu z grupą badawczą. Nie musisz dłużej udawać uczennicy.

Świat zawirował. Alchemicy wечно zmieniali plany i projekty. Najwyraźniej w tym tygodniu podjęli wiele decyzji. Rozważałam propozycję. Oznaczała koniec prac domowych i zwolnienie z obowiązków szkolnych. Swobodne poruszanie się. Z drugiej strony straciłabym kontakt z nowymi znajomymi — Treyem, Kristin i Julią. Oczywiście widywałamby Eddiego i Jill, ale znacznie rzadziej. Poza tym

czy wówczas alchemicy — albo mój ojciec — zgodziliby się opłacić moje zajęcia w college'u? Wątpliwe.

— Czy muszę się przeprowadzić? - spytałam Stanton. — Nie mogłabym oddać mieszkania Adrianowi i zostać w Amberwood jeszcze jakiś czas? Przynajmniej do chwili, gdy udałoby się znaleźć dla mnie inne lokum?

Stanton nie ukrywała zdziwienia.

— Nie spodziewałam się, że będziesz chciała tam zostać. Sądziłam, że męczysz cię mieszkanie pod jednym dachem z wampirem.

Ta uwaga obudziła we mnie cały lęk i napięcie, które dręczyły mnie przed przyjazdem do Palm Springs. Miłośniczka wampirów! Byłam idiotką. Należało głośno ucieszyć się z okazji do rozstania z Jill. Każdy alchemik tak by się zachował na moim miejscu. Moja reakcja ponownie obudzi ich podejrzenia. Jak wyjaśnić Stanton, że bardziej zależy mi na innych rzeczach?

— Och — bąknęłam, starając się zachować obojętny wyraz twarzy. - Wspomniałaś, że Jill dostanie nową współlokatorkę i nie będę już musiała dzielić z nią pokoju. Przypuszczałam, że przydzielią mi własny.

— Pewnie można to załatwić...

— Po ostatnich wydarzeniach czułabym się pewniej, mogąc mieć ją na oku. Łatwiej będzie mi ją obserwować, jeśli zostanę w szkole. Poza tym skoro Adrian potrzebuje mieszkania, żeby podjąć badania nad fenomenem strzyg, powinniśmy mu to umożliwić. Poczekam.

Stanton przyglądała mi się kilka długich sekund. Odezwała się dopiero, gdy kelnerka położyła na stole rachunek.

— To bardzo profesjonalne podejście. Zajmę się wszystkim.

— Dziękuję — odparłam.

Poczułam się szczęśliwa i omal się nie uśmiechnęłam na myśl o minie Adriana, gdy usłyszy o przeprowadzce.

— Jednego nie rozumiem — podjęła Stanton. — Podczas oględzin mieszkania zauważyliśmy ślady ognia, a żadne z was nie wspomniało o tym w zeznaniach.

Spodziewałam się tego pytania. Efektownie zmarszczyłam czoło.

— Doprawdy...? Byłam tak oszołomiona utratą krwi i faktem, że ukąsiła mnie strzyga... Naprawdę nie pamiętam. Keith miał jakieś świece. Może któraś stała zapalona... Nie wiem. Wciąż myślę tylko o ich strasznych kłach i jak potworne było ukąszenie...

— Tak, rozumiem — przerwała mi szybko. Moje tłumaczenie zabrzmiało pokrętnie, lecz nawet Stanton nie pozostawała obojętna na opis wampira żywiącego się krwią. Wiedziałam, że wszyscy alchemicy boją się tego jak ognia, więc nikt nie mógł zaprzeczyć, że przeżyłam traumę. — Nie myśl już o tym. Ten ogień to najmniejsze z naszych zmartwień.

Miałam zgoła odmienne zdanie. Tego dnia po powrocie do kampusu postanowiłam się z tym zmierzyć i odnalazłam pannę Terwiliger w jednym z bibliotecznych gabinetów.

— Pani wiedziała — oświadczyłam, zamykając za sobą drzwi. Nie myślałam w tej chwili o szacunku należnym nauczycielowi. Od tygodnia wzbierała we mnie złość. Całe życie wpajano mi posłuszeństwo wobec władzy, która jednak tym razem mnie oszukała. — Wszystko, co kazała mi pani robić... przepisywać zaklęcia, sporządzić amulet, „żeby przekonać się, jakie wzbudza emocje"! — Potrząsnęłam głową. — To jedno wielkie oszustwo. Pani wiedziała... że to działa.

Panna Terwiliger zdjęła okulary i przyjrzała mi się z uwagą.

— Ach, więc wypróbowałaś zaklęcie?

— Jak pani mogła mi to zrobić?! — wykrzyknęłam. — Nie ma pani pojęcia, jaki mam stosunek do magii i nadnaturalnych zjawisk!

— Przeciwnie — odparła oschle. — Wiem wszystko o twojej organizacji. — Dotknęła palcem policzka, sugerując, że rozpoznała mój tatuaż. — Wiem również, dlaczego twoja „siostra” nie może uczestniczyć w zajęciach na słońcu, a „brat” odnosi tak wspaniałe sukcesy w sporcie. Mam szeroką wiedzę na temat sił działających w naszym świecie, także tych ukrytych przed ludzkim okiem. Ale nie trwóż się, moja droga. Na pewno nikomu o tym nie powiem. Nie interesuję się wampirami.

— Dlaczego? — spytałam, postanawiając nie zdradzać wszystkich tajemnic. — Czemu to mnie pani wybrała? Dlaczego kazała mi pani to robić, skoro rzekomo zdaje pani sobie sprawę z tego, co na ten temat myślę?

— Mmm... Z kilku powodów. Jak wiesz, wampiry posiadają różne zdolności magiczne. Potrafią nawiązać kontakt z żywiołami niemal bez wysiłku. Ale ludzie nie mają takich zdolności.

— Ludzie nie powinni stosować magii — rzuciłam chłodno. — Zleciła mi pani zadanie sprzeczne z moimi przekonaniem.

— Aby zyskać dostęp do magii — ciągnęła, jakby mnie nie słyszała — ludzie muszą wyrwać jej tajemnicę świata. To niełatwe. Oczywiście wampiry także używają czasem zaklęć i mikstur, ale nie muszą się przy tym trudzić tak jak my. One posiadają wrodzony dar. Nasze zdobycze nie mogą się temu równać. Jesteśmy zmuszeni podejmować wysiłek, dokonywać skomplikowanych kalkulacji... Cóż,

większości ludzi brakuje do tego cierpliwości i kompetencji. Ale nie tobie. Ćwiczono cię bezlitośnie w tej dyscyplinie od czasu, gdy nauczyłaś się mówić.

- Uważa pani, że to wystarczy, by opanować tajniki magii? Umiejętności organizacyjne i odpowiednie pomiary? — Nie próbowałam ukrywać irytacji.

- Oczywiście, że nie. - Roześmiała się. - Potrzebny jest jeszcze naturalny talent. Instykt połączony z dyscypliną. Ty to wszystko masz. Widzisz, sama osiągnęłam pewien stopień zaawansowania w tej dziedzinie. Zdobyłam status czarownicy, choć to stosunkowo niewiele. Za to ty... Wyczuwam w tobie źródło wielkiej mocy, a nasz mały eksperyment jest tego dowodem.

Zmroziło mnie.

- To kłamstwo - rzuciłam. - Wampiry używają magii, ale nie ludzie. Nie ja.

- Ten amulet nie wywołał płomieni sam z siebie — przekonywała. - Nie zaprzeczaj temu, kim jesteś. Skoro już to ustaliłyśmy, możemy posunąć się dalej. Twoja wewnętrzna moc może być większa niż moja, ale mogłabym nauczyć cię podstaw sztuki magicznej.

Nie wierzyłam własnym uszom. To nie mogło się dziać naprawdę. Miałam wrażenie, że znalazłam się na planie filmowym, takie sytuacje nie zdarzają się przecież w życiu.

-Nie! - wykrzyknęłam. - Pani... oszalała! Magia nie istnieje, nie mam żadnych zdolności! To wbrew naturze i dobru. Nie zamierzam narażać swojej duszy.

- Tyle oporu w tak uczonym umyśle - mruknęła zniecierpliwiona.

- Mówię poważnie — podkreśliłam, ledwo rozpoznając swój głos. - Nie mam zamiaru studiować okultyzmu. Mogę sporządzać notatki i biegać po kawę. Jeśli jednak nadal będzie pani wygłaszać swoje szalone opinie i stawiać mi

niemożliwe wymagania, pójdę do sekretariatu i poproszę o przydział do innego nauczyciela. Może mi pani wierzyć, że moja prawdziwa wewnętrzna moc potrafi przedrzeć się przez wszelkie biurokratyczne procedury. Uśmiechnęła się smutno.

— Mówisz poważnie. Naprawdę nie interesuje cię twój zadziwiający potencjał.

Nie odpowiedziałam.

— Niech tak będzie. - Westchnęła. - Szkoda. Uważam, że to marnotrawstwo. Ale masz moje słowo — nie poruszę więcej tego tematu, jeśli sama tego nie zrobisz.

— To się nigdy nie stanie - oznajmiłam stanowczo. Panna Terwiliger wzruszyła ramionami.

— Dobrze. Skoro już tu jesteś, mogłabyś przynieść mi kawę.

Ruszyłam do drzwi i nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Czy to pani wydzwaniała do Nigdy Nigdy, pytając o wampiry?

— Niby po co miałabym to robić? - zdumiała się. — Przecież wiem, gdzie ich szukać.

Dotarłam do kafeterii, gdy Eddie, Jill i Micah kończyli obiad. Rozumiałam Jill, która przeżywała trudne chwile po śmierci Lee. Dowiedziała się już wszystkiego. Nawet tego, że chciał z niej zrobić swoją nieumarłą królową. Oboje z Eddiem staraliśmy się z nią dużo rozmawiać, ale to Micah miał chyba najlepszy wpływ na Jill. Pewnie dlatego, że nie poruszał otwarcie tego tematu. Wiedział, że Lee zginął w wypadku, i nie miał rzecz jasna pojęcia o istnieniu wampirów. Podczas gdy Eddie i ja odgrywaliśmy role domorosłych psychoterapeutów, Micah po prostu starał się zająć czymś Jill i poprawić jej nastrój.

— Musimy już iść — zaczął przepaszajaco, gdy się do nich przysiadłam. — Rachel Walker udzieli nam dzisiaj lekcji obsługi maszyny do szycia.

Eddie pokręcił głową.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że zapisałeś się do kółka krawieckiego.

Oczywiście kłamał. Oboje znaleźliśmy powód.

Jill miała ponurą minę — niezmiennie od śmierci Lee — i podejrzewałam, że jeszcze długo tak zostanie, lecz na jej wargach pojawił się cień uśmiechu.

— Zdaje się, że Micah ma zadatki na prawdziwego projektanta mody. Może kiedyś wystąpię na jego pokazie.

Potrząsnęłam głową, skrywając uśmiech.

— Tymczasem musisz zapomnieć o pokazach.

Po występie Jill, Lia i inni projektanci ubiegali się o nią.

Odmawialiśmy im z oczywistych względów, ale wiedziałam, że Jill z tego powodu jest smutno.

Skinęła głową.

— Wiem, wiem. — Wstała razem z Micahem. — Spotkamy się później w pokoju, Sydney. Chciałabym z tobą pogadać.

Potwierdziłam ruchem głowy.

— Oczywiście.

Obserwowaliśmy z Eddiem, jak wychodzą w pośpiechu.

Westchnęłam.

— Chyba mamy problem — mruknęłam.

— Możliwe — zgodził się dampir. — Ale Jill wie, na co może sobie pozwolić. Jest mądra i odpowiedzialna.

— Tyle, że Micah o tym nie wie — zauważyłam. — Obawiam się, że zakochał się po uszy. — Przyjrzałam się Eddie-mu. — Zresztą nie tylko on.

Eddie wciąż patrzył za odchodzącymi, więc nie od razu pojał aluzję. Nagle obrócił na mnie wzrok. -Hm?

— Eddie, nie uważam się za eksperta w dziedzinie uczuć, lecz nawet ja widzę, że szalejesz za Jill.

Szybko odwrócił głowę, lecz zdradził go rumieniec.

— Nieprawda.

-Sygnały docierały do mnie od dawna, ale dopiero tamtej nocy u Keitha zrozumiałam to, co widzę. Jak na nią patrzysz. Wiem, co czujesz do Jill, i staram się coś zrozumieć: dlaczego w ogóle przejmujemy się Micahem? Czemu po prostu nie spróbujesz się z nią umówić i tym samym wybawić nas z kłopotu?

— Ponieważ jest moją siostrą — odparł cierpko.

— Eddie! Mówiłam poważnie.

Skrzywił się, potem wziął głęboki oddech i spojrzał mi w oczy.

— Ponieważ nie jestem jej wart. Chcesz dowiedzieć się czegoś o hierarchii społecznej? Tam, skąd pochodzimy, moroje i dąpiiry nie wiążą się ze sobą.

— Tak, ale to tylko kwestia różnic społecznych — sprzeciwiłam się. - To nie to samo co związek człowieka z wampirem.

— W przypadku Jill na jedno wychodzi. Nie jest zwykłą morojką. Jest arystokratką. Księżniczką. Przecież ją znasz! Jest bystra, silna i piękna. Stworzona do wielkich rzeczy, do których z pewnością nie należy związek z kontrowersyjnym strażnikiem. W jej żyłach płynie królewska krew. Do diabła, nawet nie wiem, kim był mój ojciec! Nie wolno mi się z nią umawiać. Moim zadaniem jest ją chronić. Zapewnić jej bezpieczeństwo. Tylko na tym powinienem się skupić.

— Zatem uważasz, że zasługuje na związek z człowiekiem? - spytałam z niedowierzaniem. - Balansowanie na granicy tabu ustanowionego przez oba gatunki?

— Nie jest to idealna sytuacja — przyznał. — Jednak dzięki Micahowi może zyskać namiastkę życia towarzyskiego i...

— A gdyby chodziło o innego chłopaka? — przerwałam mu. — Gdyby to inny człowiek zaprosił ją na randkę? Nie miałbyś nic przeciwko temu?

Nie odpowiedział. Zatem moje podejrzenia były słuszne.

— Nie chodzi tylko o to, że nie zasługujesz na Jill — powiedziałam.

— Ważny jest Micah, prawda? Bo przypomina ci Masona.

Eddie zbladł.

— Skąd o tym wiesz?

— Adrian mi powiedział.

— Niech go szlag! — wkurzył się Eddie. — Czemu nie stać go na taką obojętność, jaką udaje?

Uśmiechnęłam się.

— Nic nie jesteś winien Micahowi. A już na pewno nie musisz rezygnować dla niego z Jill. On nie jest Masonem, nawet jeśli wyglądali podobnie.

— Nie chodzi wyłącznie o wygląd — stwierdził melancholijnie. — Także o zachowanie. Micah ma charakter Masona, jest otwarty, pełen optymizmu i energii. Mało jest takich osób na świecie: naprawdę dobrych. Mason oszedł przedwcześnie. Nie pozwolę, by to samo przydarzyło się Micahowi.

— Nic mu nie grozi — zapewniłam łagodnie.

— Jednak zasługuje na coś dobrego. Jest człowiekiem, wiem, ale to jeden z najlepszych kandydatów dla Jill, jakich znam. Z pewnością są warci siebie. Niech im się dzieje jak najlepiej.

— Podczas gdy ty będziesz cierpieł? Bo jesteś zakochany w Jill, lecz przekonany, że ona zasługuje na księcia, którym

nie jesteś? A twoim obowiązkiem jest chronić wszystkich Masonów świata? — Pokręciłam głową. — To niedorzeczne, Eddie. Nawet ty musisz to dostrzegać.

— Możliwe — przyznał. — Mimo to czuję, że tak powinienem postąpić.

— Powinieneś? Jesteś masochistą! Popychasz ukochaną dziewczynę w ramiona najlepszego przyjaciela.

— Chcę, żeby była szczęśliwa, i uważam, że warto się poświęcić.

— Nonsens.

Eddie uśmiechnął się lekko i poklepał mnie po ramieniu, a potem obrócił się w stronę nadjeżdżającego autobusu.

— Mówiłaś, że nie jesteś ekspertem w kwestii uczuć. Miałas rację.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

MYŚLĘ, ŻE ADRIAN zgodziłby się na wszystko, byle dostać własne lokum. Nie zwlekał z przewiezieniem swoich rzeczy do mieszkania Keitha, co wyraźnie zasmuciło Clarence'a. Ogarnęło mnie współczucie dla starego moroja. Polubił Adriana, a jego przeprowadzka tuż po śmierci Lee była dla staruszka szczególnie trudna. Nadal nas zapraszał i używał swojej karmicielki, lecz uparcie zaprzeczał wszystkiemu, co powiedzieliśmy mu o Lee i strzygach. Nawet kiedy już przyjął do wiadomości fakt śmierci syna, wciąż obwinał łowców wampirów.

Niedługo po wyniesieniu się Adriana poszłam go odwiedzić. Doszły nas wieści, że „grupa badawcza” przyjedzie tego dnia, postanowiliśmy więc spotkać się z nimi tylko we dwoje. Jill i Eddie mieli poczekać. Tak jak poprzednio to Abe miał eskortować przybyszów, a wśród nich Sonię i nową współlokatorkę Jill. Odniosłam wrażenie, że przyjedzie jednak więcej osób, lecz nie podano nam szczegółów.

— Proszę, proszę — mruknęłam, gdy Adrian wprowadził mnie do mieszkania.

Spędził tu zaledwie parę dni, a już zdążył przewrócić wszystko do góry nogami. Pozbył się wszystkich rzeczy Kei-

tha — z wyjątkiem telewizora. Apartament nie przypominał dawnego, nawet rozkład się zmienił. Adrian wprowadził nowe dekoracje, a w powietrzu wyczułam intensywny zapach świeżej farby do ścian.

— Żółta? — zdziwiłam się, rozglądając się po ścianach.

— Prawidłowa nazwa brzmi „Nawłóć” — poprawił mnie.

— Ponoć wnosi radosny, kojący nastrój.

Chciałam zauważyć, że te dwie cechy nie idą ze sobą w parze, ale ugryzłam się w język. Kolor ścian, choć lekko obrzydliwy, całkowicie odmienił wnętrze. Dzięki niemu oraz roletom, które zastąpiły ciężkie kotary Keitha, pokój wypełniły światło i barwy, zacierając wszelkie ślady stoczonej tu walki. Wzdrygnęłam się na jej wspomnienie. Mieszkanie przydało się, żeby przekupić Adriana, lecz sama chyba nie mogłabym się tu wprowadzić. Pamięć o śmierci Lee

— oraz dwóch strzyg — była wciąż nazbyt żywa.

— Skąd miałeś pieniądze na wymianę mebli? — spytałam. Alchemicy oddali mu lokal, ale nie dorzucili funduszy.

— Sprzedałem stare. — Adrian był z siebie bardzo zadowolony. — Ten rozkładany fotel... — zawahał się, jakby się czymś stropił. Zastanawiałam się, czy on także miał przed oczami Lee, który się tu wykrwawił. — Fotel sporo kosztował. Stanowczo wygórowana cena, nawet jak na moje standardy. W każdym razie udało mi się zbierać trochę kasy. Te meble są używane, ale nie miałem innego wyboru.

— Ładne — zauważyłam, przesuwając ręką po pękatej sofie. Wyglądała dziwacznie na tle tych ścian, ale zdaje się, że była w dobrym stanie. Poza tym wyposażenie kontrastujące z jaskrawym kolorem wnętrza pomogło zatrzeć pamięć o tym, co się tu wydarzyło. — Odbyłeś pomyślne łowy. Nie sądzę, byś często kupował używane meble.

— Nigdy — odparł Adrian. — Nie wyobrażasz sobie, do czego musiałem się zniżyć. — Uśmiech zadowolenia znikł z jego twarzy, gdy baczniej mi się przyjrzał. — A jak ty się trzymasz?

Wzruszyłam ramionami.

— Świetnie. Nie dziw się. To, co przeżyłam, nie może się równać z cierpieniem Jill.

Iwazkow skrzyżował ręce na piersi.

— Czy ja wiem? Jill nie musiała patrzeć na niczyją śmierć. Nie zapominajmy, że ten sam facet próbował cię zabić chwilę wcześniej, by stać się nieumarłym.

Rozmyślałam o tym bez przerwy w ciągu ostatniego tygodnia. Na pewno szybko się z tym nie uporam. Czasami wydawało mi się, że nic nie czuję, ale zdarzały się chwile, kiedy nieodległa przeszłość dopadała mnie, pozbawiając oddechu. Koszmarne sny o ośrodku reedukacji zastąpiły teraz mroczne obrazy strzyg.

— Naprawdę radzę sobie lepiej, niż myślisz — odpowiedziałam ostrożnie, uciekając wzrokiem w bok. — Ta historia z Lee była koszmarem, ale wiem, że z czasem o niej zapomnę. Wiesz, o czym myślę najczęściej?

— O czym? — spytał łagodnie.

Słowa same wypłynęły mi z ust. Nie spodziewałam się, że kiedyś to wszystko powiem, a już na pewno nie jemu.

— Lee powiedział, że marnuję życie i się izoluję. Podczas naszej ostatniej rozmowy Keith stwierdził, że jestem naiwna, bo nie rozumiem świata. Obaj mieli rację. To nie znaczy, że mylę się co do was, bo w rzeczywistości nie jesteście zli... ale naprawdę jestem naiwna. Powinnam była zachować większą ostrożność w opiece nad Jill. Od razu obdarzyłam Lee całkowitym Zaufaniem. Nie jestem wojowniczką jak Eddie, raczej obserwatką... a w każdym razie lubię tak myśleć. Ale zawiodłam. Nie radzę sobie w relacjach.

— Po pierwsze, nie powinnaś brać sobie do serca tego, co wygaduje Keith Darnell. To skończony imbecyl i dupek. Mógłbym tu jeszcze przytoczyć kilka mocniejszych określeń, ale nie godzi mi się tego robić w obecności damy.

— Widzisz?! — wykrzyknęłam. — Sam przyznałeś, że uchodzę za nieskalaną świętoszkę.

— Nic takiego nie powiedziałem — zaprotestował Adrian.

— Keith nie dorasta ci do pięt, a Lee... Po prostu mieliśmy pecha. Pamiętaj, że nikt go nie podejrzewał. Nie obwiniaj tylko siebie. Nie miałaś z tym nic wspólnego. Chociaż...

— Uniósł brwi. — Może i miałaś. Mówiłaś, że Lee zamierzał zabić Keitha, żeby napić się krwi alchemika?

— Tak... ale Keith niespodziewanie wyjechał.

— Masz dowód. Nawet psychopata umiał docenić twoją wartość i zamierzał cię oszczędzić.

Nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać.

— To mi nie poprawia samopoczucia. Adrian wzruszył ramionami.

— Ale potwierdza moje zdanie. Jesteś w porządku, Sage. Poza tym ładna, choć nieco koścista, łatwo zapamiętujesz bezużyteczne informacje, co robi kiedyś oszałamiające wrażenie na jakimś mężczyźnie. Nie zwracaj sobie głowy Keithem ani Lee, bo żaden z nich nie będzie miał wpływu na twoje życie.

— Koścista? — wyjąkałam w nadziei, że się nie zarumieniłam.

Chciałam, by zabrzmiało to groźnie — Adrian nie powinien widzieć, że mnie rozbroił tą uwagą. Powiedział też, że jestem ładna. Nie nazwał mnie zabójczą piękną czy wcieleniem seksu. Ale ja przez całe życie słyszałam tylko, że „ujdę w tłoku”, więc potraktowałam to jako prawdziwy komplement, szczególnie że padł z jego ust.

— Mówię, co widzę.

Omal nie parsknęłam śmiechem.

— Tak. Na pewno. Zmieńmy temat, bo ten mnie męczy.

— Proszę bardzo. — Adrian doprowadzał mnie czasem do szału, ale jedno mi się w nim podobało: nie potrafił długo koncentrować się na jednej rzeczy. Ułatwiało mi to unikanie niewygodnych kwestii. W każdym razie tak sądziłam. — Czujesz ten zapach?

To pytanie natychmiast podsunęło mojej wyobraźni widok martwych ciał leżących w tym pokoju i w pierwszej chwili pomyślałam, że pyta o odór zgnilizny. Wciągnęłam powietrze nosem.

— Czuję zapach farby i... zaraz... Czy to sosna? Zaimponowałam mu.

— Brawo. Użyłem płynu o sosnowym zapachu. Rozumiesz, posprzątałem. — Wykonał dramatyczny gest w stronę kuchni. — Tymi rękami, które nie plamią się pracą.

Spojrzałam tam.

— Ale co właściwie umyłeś tym płynem? Szafki?

— Nie musiałem. Zająłem się podłogą i blatem. — Chyba spodziewał się wyrazów podziwu, a ja musiałam wyglądać na zaskoczoną, bo dodał: — Robiłem to na kolanach.

— Użyłeś tego płynu na podłodze i blatach? — spytałam.

Na podłodze leżała terakota, a blaty były granitowe. Adrian zmarszczył brwi.

— Tak i co z tego?

Rozpierała go taka duma, że raz w życiu coś posprzątał, że nie chciałam mu psuć nastroju. Płyn sosnowy służy wyłącznie do czyszczenia drewna. Uśmiechnęłam się do niego.

— Wygląda wspaniale. Musisz do mnie wpaść i posprzątać też mój nowy pokój. Pełno tam kurzu.

— Nie licz na to, Sage. Nie znoszę porządków.

— Warto było się wyprowadzać? U Clarence'a miałeś wikt i opierunek.

— Z całą pewnością warto. Tak naprawdę nigdy nie miałem własnego kąta. Mieszkałem sam na królewskim dworze... ale tamto lokum było tylko przereklamowaną wersją pokoju w akademiku. Tu jestem panem u siebie. Nawet jeśli muszę sprzątać. Dziękuję.

Opowiadając o porządkach, Adrian robił zabawne, przerażone miny, ale teraz spojrzał na mnie z powagą. Poczułam się nieswojo. Przypomniałam sobie tamten sen wywołany mocą ducha, kiedy zastanawiałam się, czy jego oczy są tak intensywnie zielone także na jawie.

— Za co? — spytałam.

— Za to. Wiem, że musiałaś się nieźle nagadać, żeby przekonać alchemików. — Nie mówiłam mu, że sama zrezygnowałam z tego mieszkania. — I za inne rzeczy. Że nie spisałaś mnie na straty, nawet kiedy zachowywałem się jak palant. No i że ocaliłaś mi życie.

Spuściłam głowę.

— To nie moja zasługa. Podziękuj Eddiemu i liii. Oni cię ocalili.

— Nie wiem, czy dożyłbym ich przybycia, gdybyś nie podpaliła tej sukni. Jak to zrobiłaś?

— Drobiazg — bąknęłam. — Alchemicy mają w zanadrzu wiele takich sztuczek. To była zwykła reakcja chemiczna.

Adrian świdrował mnie wzrokiem, pewnie zastanawiając się, czy mówię prawdę. Nie wiem, czy mi uwierzył, ale nie drażył tematu.

— Cóż, sądząc po jej minie, dopiekłaś jej. I porządnie za to oberwałaś. Każdy, kto przyjmuje ciosy za Adriana Iwaszkowa, jest coś wart.

Odwróciłam się do niego tyłem, wciąż onieśmielona pochwałami i lekko zakłopotana przywołaniem incydentu z ogniem. Podeszłam do okna.

— Nie przesadzajmy, nie jestem aż tak bezinteresowna. Nie masz pojęcia, ile dokumentów trzeba wypełnić za zmarłego moroja.

Roześmiał się szczerze, a mnie zrobiło się ciepło na sercu. Rzadko go takim widywałam.

— W porządku, Sage. Skoro tak mówisz. Wiesz? Masz teraz więcej ikry, niż wtedy gdy cię poznałem.

— Co takiego? Miałaś do dyspozycji wszystkie rzeczowniki świata i wybrałaś „ikrę”? — Dużo łatwiej było mi z nim żartować. Nie musiałam przynajmniej zastanawiać się, co chciał powiedzieć, ani czuć, jak moje serce bije szybciej. — Jeśli chcesz wiedzieć, to jesteś teraz bardziej stabilny niż wtedy, gdy cię poznałam.

Podszedł bliżej.

— Nie mów nikomu, lecz cieszę się, że opuściłem dwór. Klimat jest tu co prawda okropny, ale mógłbym się zadomowić w Palm Springs. Tyle tu różności. Wy. Kurs malarstwa. Płyn do mycia o zapachu sosny.

Nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Zerknęłam na niego. Nie do końca żartowałam: Adrian bardzo się zmienił. Nadal nie mógł zapomnieć krzywdy, jaką mu wyrządzili Rose i Dymitr, ale widziałam również, że powraca do równowagi. Uspokoił się i zmęźniał. Pomyślałam, że jeśli to dłużej potrwa — pod warunkiem że po drodze się nie załamie — Adrian może stać się zupełnie nową osobą.

Minęło dobrych kilka sekund, zanim zorientowałam się, że się na niego gapię. On również nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Boże, Sage — mruknął ze zdumieniem. — Jakie ty masz oczy. Dlaczego nie widziałem ich do tej pory?

Znów poczułam się zażenowana.

— O co ci chodzi?

— O kolor — sapnął. — Wyglądają niesamowicie, kiedy stoisz w świetle. Nabierają barwy stopionego złota. Mógłbym je namalować... — Wyciągnął do mnie rękę, lecz zaraz ją cofnął. — Są piękne. Ty... jesteś piękna.

Nie mogłam się poruszyć i nie wiedziałam dlaczego. Czułam tylko, że patrzy na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy, i się przestraszyłam. Nie wzięłam zbyt do siebie jego nonszalanckich komplementów, lecz intensywność tej chwili pozbawiła mnie zdolności reagowania.

Uwierzyłam, gdy powiedział, że moje oczy są piękne — że ja jestem piękna. Ale to było więcej, niż potrafiłam przyjąć. Zarumieniłam się i zrobiłam krok w tył, chowając się przed słońcem. Chciałam zniknąć mu z pola widzenia. Słyszałam, że Adrian zachowywał się czasem dziwnie na skutek działania ducha, lecz nie miałam pojęcia, jak się to przejawia. Nie musiałam się silić na dowcipny komentarz, bo nagle rozległo się pukanie do drzwi. Oboje podskoczyliśmy.

Adrian zamrugał i czar prysł. Uśmiechnął się przebiegle, jakby nic się między nami nie wydarzyło.

— Przyjechali.

Skinęłam głowę, lekko skołowana uczuciami ulgi, niepokoju i... podniecenia. Nie wiedziałam, czy sprawcą mojego zmieszania był Adrian, czy zapowiedziani goście. Czułam tylko, że mogę swobodniej oddychać niż przed chwilą.

Adrian podszedł do drzwi i zamasyście je otworzył. Do mieszkania wkroczył Abe. Wyglądał olśniewająco w szarościach i żółciach, zaskakująco dopasowanych do koloru ścian. Uśmiechnął się do nas od ucha do ucha.

— Adrian, Sydney... cudownie was znowu widzieć. Mniemam, że jedno z was zna tę młodą damę.

Odsunął się i zobaczyliśmy smukłą wampirzycę o kasztanowych włosach i wielkich niebieskich oczach, które spoglądały na nas nieufnie.
— Witaj, Angelinę — powiedziałam.

Kiedy usłyszałam, że to Angelinę Dawes ma zostać nową współlokatorką Jill, uznałam, że to absurdalny pomysł. Ta dziewczyna należała do Stróżów, wyizolowanej grupy morojów, dampirów i ludzi, którzy mieszkali razem w lasach Wirginii. Nie chcieli żyć w „cywilizowanym” świecie żadnego gatunku i hołdowali dziwacznym obyczajom, a co najbardziej mnie oburzyło — tolerowali związki wampirów i ludzi.

Przemyślałam jednak wybór Angelinę i dostrzegłam w nim dobre strony. Była rówieśnicą Jill, co dawało nadzieję, że lepiej się dogadają. Angelinę brakowało profesjonalnego szkolenia strażniczki, lecz umiała walczyć. Gdyby ktokolwiek zagroził Jill, miałby spore kłopoty. Jako że Stróżowie potępiali „zhańbiony” świat morojów, nie istniała obawa, że Angelinę zaangażuje się w politykę i przyłączy do wrogiej frakcji.

Przyglądając się jej postawie i znoszonym ciuchom, zaczęłam się jednak zastanawiać, czy poradzi sobie z daleka od swoich. Miała wprawdzie buńczuczną minę, którą już widziałam podczas wizyty w ich osadzie, ale zauważyłam, że jest lekko przestraszona. Ta dziewczyna wychowała się w lesie, więc niewielkie mieszkanie Adriana z telewizorem i sofą w szkocką kratę musiało jej się wydać szczytem luksusu.

— Angelinę — odezwał się Abe. — To jest Adrian Iwaszkow.

Adrian wyciągnął rękę na powitanie, starając się przywołać cały swój wdzięk.

— Miło mi.

Dampirzyca uścisnęła ją po krótkim wahaniu.

— Mnie również miło ciebie poznać — powiedziała z dziwacznym południowym akcentem. Przez chwilę przyglądała się Adrianowi. — Jesteś zbyt ładny, by na coś się przydać.

Mimo woli wciągnęłam głośno powietrze. Adrian zachichotał i potrząsnął jej ręką.

— Święte słowa — odparł.

Abe zerkał na mnie. Musiałam mieć przerażoną minę, bo już zaczęłam sobie wyobrażać konieczność odkręcania wszystkiego, co ta dziewczyna popsuje w Amberwood.

— Bez wątpienia Sydney chciałaby... wprowadzić cię w parę szczegółów, zanim pojedziesz do szkoły — zaczął dyplomatycznie Abe.

— Bez wątpienia — powtórzyłam po nim.

Adrian odszedł kilka kroków, ale wciąż się uśmiechał.

— Niech wprowadzi ją Ślicznotka. Albo jeszcze lepiej Castile.

Dobrze mu to robi.

Abe zamknął drzwi, ale zdążyłam zobaczyć pusty korytarz.

— Chyba nie przyjechaliście tylko we dwoje? — spytałam. — Mówiono mi, że będzie cała grupa. Między innymi Sonia, czy tak?

Moroj potwierdził ruchem głowy.

— Zaraz będą. Parkują. Trudno tu znaleźć miejsce. Adrian popatrzył na mnie w natchnieniu.

— Hej, czy ja odziedziczyłem też samochód Keitha?

— Niestety nie — odparłam. — Należy do jego ojca. Zabrał go. — Nie była to dobra nowina dla Adriana, gdyż wyraźnie posmutniał.

Abe włożył ręce do kieszeni i przechadzał się po pokoju. Angelinę nie ruszyła się z miejsca. Uznałam, że nadal ocenia sytuację.

— Ach, tak — zamyślił się Abe. — Nasz były wielki alchemik. Ten chłopak naprawdę ma pecha. Co za los. — Urwał i zwrócił się do Adriana. — Za to ty, zdaje się, skorzystałeś z jego upadku.

— Hej — zachnął się Adrian. — Zapracowałem na to i mogłem wyprowadzić się od Clarence'a. Zależało ci, żebym tam mieszkał z tobie tylko znanych powodów, ale...

— Zrobiłeś już swoje — uciał Abe. Adrian był zaskoczony.

— Jak to?

— Pomogłeś w wyjaśnieniu sprawy Clarence'a Donahue.

Podejrzywałem, że sprzedaje swoją krew. Miałem nadzieję, że coś zauważysz. — Z lubością pogłaskał się po brodzie. — Oczywiście nie miałem pojęcia o udziale pana Darnella. Nie spodziewałem się też, że sprzymierzysz się z Sydney i przeprowadzicie śledztwo w tej sprawie.

— Za dużo powiedziane — rzuciłam sucho. Zastanowiło mnie coś. — Właściwie dlaczego chciałeś sprawdzić, czy Keith i Clarence handlują krwią? Oczywiście, że alchemicy chcieliby udaremnić ich poczynania, ale ty?

Moje pytanie zaskoczyło Adriana, ale szybko znalazł odpowiedź. Spojrzał przenikliwie na Abe'a.

— Może próbował wyeliminować konkurencję.

Tego się nie spodziewałam. Wszyscy wiedzieli, że Abe Mazur handluje nielegalnym towarem. Nigdy nie przyszło-by mi jednak do głowy, że sprzedaje ludziom krew. Cóż, nie byłam zbyt spostrzegawcza.

— Dajcie spokój — rzucił lekko Abe. — Nie rozmawiajmy na tak nieprzyjemne tematy.

— Nieprzyjemne? — wykrzyknęłam. — Jeśli jesteś zamieszany w... Abe podniósł rękę, by mnie uciszyć.

— Proszę, ani słowa więcej. Jeśli dokończysz to zdanie obietnicą, że powiadomisz o tym alchemików, będę nalegał, by ich tu zaprosić i podyskutować również o innych tajemnicach. Na przykład jak pan Darnell stracił oko.

Zamarłam.

— Strzygi mu je wyłupały — wtrącił niecierpliwie Adrian.

— Niezupełnie. — Na twarz Abe'a wypełził uśmiezek. — Nie dostrzegłeś w tym nic dziwnego? Od kiedy to strzygi stać na taką precyzję? Pan Darnell został okaleczony, rzekłbym, artystycznie. Choć nie sądzę, by ktokolwiek zauważył ten fakt. Perły przed wieprze.

— Co ty mówisz? — oburzył się Adrian. — To nie strzygi? Ktoś świadomie wyciął mu oko? Chcesz powiedzieć, że wy... — nie mógł dokończyć, więc tylko patrzył na mnie i Abe'a. — To jest ta wasza tajemnica, wasz diabelski pakt. Ale dlaczego?

Niemal się skurczyłam pod spojrzzeniami tych trojga. Nie mogłam jednak pozwolić, by Adrian się wszystkiego domyślił. Może przyznałabym mu się, gdybyśmy rozmawiali w cztery oczy. Nie wiem. Musiałam milczeć w obecności zadowolonego z siebie Abe'a i Angeline, która była tu obca.

Nie mogłam im opowiedzieć, co przydarzyło się mojej siostrze Carly przed kilku laty, gdy wybrała się na randkę z Keithem. Wtedy jeszcze mieszkał z nami, a ona dopiero szykowałą się do wyjazdu do college'u. Nie chciała się z nim spotykać, zrobiła to z powodu ojca, który uwielbiał Keitha. Ojciec wierzył, że gości złotego chłopca o kryształowym charakterze. Sam Keith również tak myślał i właśnie dlatego nie pogodził się, gdy dostał od Carly kosza. Po wszystkim uciekła do mojego pokoju, łkając, a ja tuliłam ją w ramionach.

Chciałam powiedzieć o wszystkim rodzicom, ale Carly się bała, szczególnie ojca. Byłam młodsza i równie przerażona jak siostra, więc przysięgłam jej, że będę milczała. Długo przekonywałam ją, że to nie była jej wina. Keith wciąż powtarzał, że jest piękna i nie zostawia mu wyboru, bo nie może od niej oderwać wzroku. Ostatecznie uwierzyła mi, że przecież go nie prowokowała, lecz nie zwolniła mnie z przyrzeczenia.

Nie mogłam tego znieść. Nie chciałam milczeć. Przede wszystkim jednak znienawidziłam Keitha, który uważał, że miał prawo zgwałcić słodką i łagodną Carly i że ujdzie mu to na sucho. Dużo później, gdy otrzymałam pierwsze zadanie i poznałam Abea Mazura, uświadomiłam sobie, że nie muszę nic mówić, by ukarać Keitha. Zawarłam więc pakt z diabłem, nie myśląc wówczas, że przyjdzie mi za to zapłacić ani że posuwam się do okrutnego czynu. Abe sfingował atak strzyg i wyciął oko Keithowi. Stałam się jego dłużniczką. Dlatego pomogłam Rose po ucieczce z więzienia. Byłam to winna jej ojcu.

Czasem myślałam z goryczą, że wyświadczyłam Keithowi przysługę. Skoro zostało mu tylko jedno oko, może będzie je mógł „oderwać” od innych niezainteresowanych nim młodych kobiet.

Na pewno nie mogłabym powiedzieć o tym Adrianowi, który wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku. Był wyraźnie poruszony. Nie potrafił znaleźć powodu, dla którego zgodziłam się wynająć Abea do mokrej roboty.

Zadźwięczały mi w uszach słowa Laurel. „Wiesz, potrafisz napędzić strachu”.

Przełknęłam ślinę.

— Pamiętasz, jak prosiłeś mnie, bym ci zaufała?

— Tak... — odparł Adrian.

— Teraz ja proszę cię o to samo.

Zapadła cisza. Nie mogłam się zmusić, by spojrzeć na Abe'a, bo byłam pewna, że uśmiecha się z wyższością.

— Ikra to zbyt łagodne określenie — przyznał w końcu Adrian. Minęła chyba wieczność, zanim w końcu skinął potakująco głową. — W porządku. Ufam ci, Sage. Ufam, że miałaś wystarczający powód.

Żadnych złościwości, żadnego sarkazmu. Był poważny i przez krótką chwilę zastanawiałam się, czym zasłużyłam na tak absolutne zaufanie. To dziwne, lecz przypomniałam sobie ten moment przed przybyciem Abe'a, gdy Adrian powiedział, że chciałby mnie namalować.

— Dziękuję — mruknęłam.

— O czym wy mówicie? — wtrąciła się Angelinę.

— To nic ciekawego, zapewniam cię — odparł Abe, który stanowczo za dobrze się bawił. — Lekcje życiowe, praca nad charakterem, niespłacone długi. Takie tam.

— Niespłacone? — Sama byłam zaskoczona, że postąpiłam krok w jego stronę, mierząc go wzrokiem. — Spłaciłam swój dług setki razy. Nie jestem ci już nic winna. Obowiązuje mnie lojalność wobec alchemików, nie wobec ciebie. Wyrównaliśmy rachunki.

Abe wciąż się uśmiechał, lecz nieco mniej pewnie. Nie spodziewał się po mnie tak zdecydowanej reakcji.

— Cóż, to pozostaje... Aha. — Kolejne pukanie. — Oto i reszta naszej ekipy. — Pospieszył do drzwi.

Adrian podszedł do mnie.

— Nieźle, Sage. Właśnie nastraszyłaś starego Mazura. Poczułam, że się uśmiecham.

— Nie jestem pewna, ale to było przyjemne.

— Powinnaś częściej odpowiadać na zaczepki — zauważył. Uśmiechnęliśmy się do siebie, lecz widząc, że spogląda na mnie ciepło, poczułam się nieswojo. Adrian zapewne nie odwzajemniał moich obaw, ale wyraźnie poweselał. Rząd-

ko miewał tak dobry nastrój i muszę przyznać, że wyglądał bardzo pociągająco. Skinął głową w kierunku drzwi. — To Sonia.

Władający mocą ducha wyczuwają się nawzajem, kiedy znajdują się blisko, nawet za zamkniętymi drzwiami. Rzeczywiście, po chwili zobaczyłam Sonię Karp, która wkroczyła do mieszkania niczym królowa, wysoka i elegancka. Upięła w kok rude włosy i wyglądała jak starsza siostra Angelinę. Sonia uśmiechnęła się do nas, ale ja zadrżałam, pamiętając, jak wyglądała, gdy spotkałam ją po raz pierwszy. Nie była wówczas ładna ani czarująca. Miała czerwone obwódki wokół oczu i chciała nas zabić.

Sonia była strzygą, lecz została odmieniona, dzięki czemu stała się idealną kandydatką do współpracy z Adrianem. Razem mogli zbadać właściwości ducha, które utworzą zaporę przeciwko przemianie w strzygę.

Morojka uściskała Adriana i podeszła do mnie, a w tej chwili w drzwiach stanął ktoś jeszcze. Patrząc na to z perspektywy czasu, myślę, że nie powinnam się temu dziwić. Ostatecznie pragnęliśmy się dowiedzieć, co sprawiło, że Lee nie zamienił się znów w strzygę, i potrzebowaliśmy wszystkich możliwych źródeł informacji. Jedna ocalona strzyga to już coś, ale dwie, to coś znacznie lepszego.

Adrian zbladł. Nieruchomo wpatrywał się w nowo przybyłego i w jednej chwili moje nadzieje związane z ustabilizowaniem życia Iwaskowa runęły w gruzy. Sądziłam, że jeśli uda mu się oderwać od przeszłości i złych rzeczy, które mu się przydarzyły, odnajdzie cel w życiu i się uspokoi. Cóż, wyglądało na to, że przeszłość znów go dopadła.

Nowy współpracownik Adriana przekroczył próg i natychmiast zrozumiałam, że kruchy pokój, jaki udało nam się zaprowadzić w Palm Springs, wkrótce dobiegnie końca.

Dołączył do nas Dymitr Bielików.